

730

147

BIBLIOTEKA PISARZY POLSKICH.

TOM XVI.

PISMA

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

BIBLIOTEKA KRAJOWA WARSZAWY
TOM CZWARTY.

O WRUCZANIN.

LIPSK:

F. A. BROCKHAUS.

1863.

OWRUCZANIN,
POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z 1812 ROKU.

PRZEZ

MICHAŁA CZAJKOWSKIEGO.

WYDANIE DRUGIE, PRZEJRZANE I POPRAWIONE.



LIPSK:
F. A. BROCKHAUS.

—
1863.



**FRANCISZKOWI KIRKOROWI,
BEJOWI I PUŁKOWNIKOWI,
DOWÓDCY PUŁKU KOZAKÓW OTOMAŃSKICH**

w dowód

SZACUNKU I STAREJ PRZYJAŹNI

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

POŚWIĘCA

A U T O R.

FRANCISZKOWI KIRKOROWI

BELOWI I PIETROWIKOWI

HOWOBY PIERNI KOSARÓW OTOMANSKICH

WYDAWCA I DZIAŁALNOŚĆ

INSTITUT
BADAŃ HISTORICZNYCH
ul. Nowy Świat 11
00-232 Warszawa
Tel. 88-88 83, 88-22-81 w. 42

Mój ziemiaku Ukraincze, towarzyszu dziewięcioletniej, wojennej służby, na czuźynie! — Twojem imieniem ozdabiam moją obszerną gawędę o Owruczanach, którą znowu, nowem wydaniem, ciągną na świat polski — może to przepowiednia, i daj Boże żeby tak było — że i nas pociągną, na ten świat naszych dążeń. —

Kiedyś, dawno, z końcem panowania Piastów, i początkiem panowania Jagiellonów — Szlachta polska, lackiego rodu, zchlastawszy szable na karkach niemieckich, zhasawszy konia, na pogoniach za moskwicinem — Statutami Króla Chłopków straciwszy lenne prawa nad tubylcami; bez ziemi i bez grosza ustępywała miejsca uszlachconym Sławianom. — I z klejnotem szlacheckim tylko, starych herbów, starych przydomków, starych nazwisk — szła na kraj Polski, na Ukrainę — na Czarnobyłską dzielnicę, na czaty, bronić granic Rzeczypospolitej i coraz dalej posuwać Królestwo Króla Jegomości. —

Królowie, temu rycerskiemu kołu lackiej szlachty, przeznaczyli dzielnicę Czarnobyłską — podówczas węzeł, nieścignionych okiem i nieznanych stepów — i niedostępnych a także nieznanych, borów i puszczy i bagien. — Do takiej dzielnicy dali przywilej obuwia na lewą nogę, buta z ostrogą: na prawą postoi — na znak żeby byli gotowi do konnej i do pieszej służby — i bić ktobykolwiek włąził w granice Polski — albo ktoby pozwolił włązić w granice swoje, zabierać je na rzecz Rzeczypospolitej i Króla Jegomości. — Rycerskie to koło lackiej szlachty — porodziło Owruczanów, Radomyślanów i całą tę kozaczyzną Różyńskiego, Konaszewicza, Chmielnickiego, Wyhowskiego i Brzuchowieckiego. —

Hulała Kozaczyzna, po Krymie i po Budżaku — w Multanach i na Czarnem morzu — i w Moskwie i po niemieckich krajach — i Bóg wie po jakich ziemiach — i przehulała wszystko, krom czci wojennej i serca szlacheckiego. —

I my krew z krwi, kość z kości, tych dzielnych strażników Czernobylskiej dzielnicy — tych Owruczanów, tych Kozaków — stoimy na czatach granic, nie Rzeczypospolitej Polskiej, nie Króla Polskiego; bo w Rzeczypospolitej panami moskal i niemiec, a ostatni król zmarł na czuźynie i korony jego nikt nie śmiał włożyć na skronie. — Cierniowa ona ale potężna — żeby ją unieść, trzeba męża wielkiego serca i wielkiego ducha — czeka rodu bohaterów i liczby imienia czterdzieści i cztery. — Tymczasem naród ujarzmiony, jak pszczoły bez matki, w nieładzie; lata w prawo i w lewo, brzęczy hymnami modłów, miód narodowości zjada, a miodu nie przyrabia — nie ma matki, nie ma Króla Sternika. Choćby serce chciało, dusza pragnęła, jeszcze nie przyszedł czas dla nas: strzedz tych granic. —

Nim przyjdzie, stoimy na czatach — granic Państwa, Wielkiego Pana, Jedynego Sprzymierzeńca Polski; jedynego, któremu szlachcie Polski służyć może z zachowaniem czci i sumienia, z przekonaniem że pełni powinność dobrego Polaka. —

Stoimy w krainie Bogów i Achilesa — z Olimpu nam słońce wschodzi — a zachodzi w tym Peonie, w którym piękna Tetys kąpała dziecięciem Homerowego bohatera. — Na tych polach Farsalskich, gdzie się pobili między sobą synowie Rzymu, w łasce ujarzmionego świata — i krwią legionów zrosili uschłą swobodę ujarzmionych narodów — trupami użyznili swobodę zamarłą, do odrostu — może się odnowi Farsalska sprawa na jakim innym krańcu świata — znajdą się Cezary i Pompejany. — A wtenczas my, choćby jak Numidyjska jazda, skoczmy przez góry i lasy — przez stepy i rzeki — żeby uczestniczyć na tych godach — i stanąć na dzielnicy naszych praojców. —

Kiedy będzie wola Miłościwego naszego Pana, rzucimy Larysę, Kapuę Kozacką, i jej czarodziejki Albanki. — I Achillesową Frikalę — i góry Agrafy i Aspropotamu wody. — I

białą Ermię — i Wolo z krinolinami. — I Pelion i Osę i Olymp — a pójdziemy poić konie nasze w Dunaju — a potem, potem — Boża wola — Sułtana wola. —

I myśmy oczajduśze, jak byli Owruczanie za dawnych i za naszych czasów — bądźmy takimi jak oni — tylko prośmy Boga, aby nam wlał w głowy więcej składu i ładu. —

Kiedy mi zatęskni za Ukrainą — kiedy kozacza dumka zawita do duszy — — zaraz mi przed oczy myśli, jak goście pożądati stają Owruczanie. —

Ten stary Kapitan Huzarów, Feliks Trzeciak, o którego cięciach szabli, rycerskich i dyplomatycznych sprawach, można by foliały popisać — widzę go, jak w pamiętny dzień sprowadzenia zwłok Wielkiego Napoleona ze świętej Heleny, do Paryża — w mundurze huzarskim, Tulińskiego pułku — suto haftowanym srebrem — z wąsami jak u suma naprzód wystawionemi — z brodawką na nosie jak nos drugi — z twarzą rumianą jak burak i kameryzowaną huzarską swawolą — stał między rycerzami polskimi, uczestnikami sławy Napoleońskiej — dusza się radowała patrząc na niego i do myśli się cisnęła pieśń Dawidowa. —

Gdzieście się wy podzieli Huzary prawdziwe — przyjaciele lat upłynionych — drodzy współbutelnicy — prezesowie biesiad. — — Dziady; pamiętam was ja śpiewających z kielichami. — Siedzących w około ognia — z czerwono-sinemi nosami — krótkie cybuchy w zębach. — Dym słupem igra — przebiega w nasterczonych wąsach — i we włosach puklastych. — Ani pół słowa, dym słupem. — Hulają huzary mołodce — piją, chylą się czołami — i zasypiają jak martwi. — Ale zaledwie dzień zaświta — każdy po polu czwałuje — dziarski kołpak na bakier — dołman z wichrami igra. — Koń kipi pod jeźdźcem — szabla swiszcze, wróg się wali. — Ale ledwie bój ustał, znowu kielich z rąk do rąk przechodzi. — A teraz co my widzimy w modnym świecie? — Huzary w wicemundurach walczą po posadce. — Spytaj gagatka, co usłyszysz. — Jomini — Jomini — a o wodzu leni pół słowa. —

Takim był Kapitan Trzeciak. Jak huzar Dawidowa — z twarzy i z postawy — ale nie z hulatyki, bo to już rzecz

przeszła — a kapitan w Paryżu nie wojował, tylko dyplomatyzyował. —

Marszałkowie Francji — towarzysze Wielkiego Napoleona witali orszak Polaków — i przypominali sobie Samosięgę — Smoleńsk — Borodino — Lipsk. — Kiedy Marszałek Pajol spojrzawszy na Trzeciaka — zapytał. —

«Vous êtes le capitaine Trzeciak, vous avez été à Wasserchtad.» —

Trzeciak, który bynajmniej nie miał zdolności a może i chęci do uczenia się obcych języków — i który utrzymywał że od roku 1814 — z Burbonami, zupełnie zmienili język francuzki — stanął frontem, oczami rzucił jak iskrami. —

«Oui — moi Wasserchtad — moi Trzeciak.» —

Marszałek Pajol go uściskał — zabrał z sobą do powozu. — Był na uczcie razem z Marszałkami Francji i nazajutrz dzień, dostał krzyż Legji honorowej oficerski — i kilkanaście tysięcy franków, zaległej pensji od roku 1813. —

Powód tego wypadku był następny. —

W roku 1813 — Kapitan Trzeciak dowodził szwadronem huzarów, i był przykomenderowanym do pułku gwardyi Ułanów, i pod dowództwo Jenerała Hrabiego Wincentego Krasińskiego. — Jenerał Pajol dowodził całą jazdą, złożoną z kilkunastu pułków rozmaitej broni. —

Kiedy się zbliżano do miasteczka Wasserstadt, Pajol odebrał rozkaz — wypędzenia z miasta sprzymierzonych i zajęcia tej pozycji. — Krasiński szedł w awangardzie — a Trzeciak na przodzie ze swoimi huzarami. — Odebrał on rozkaz żeby wpaść do miasta. — Niedaleko Wasserstadt, Krasiński snem zmorzony, zatrzymał pułk Ułanów. — Trzeciak z huzarami poszedł naprzód. — Cała jazda Pajola zatrzymać się musiała, i wtenczas kiedy Dowódca posyłał adjuntatów dowiadywać się o przyczynie tego zatrzymania się, przybył sam Cesarz. — Rozgniewan, kazał jeździe iść naprzód, artylerji na pozycję — i sam wybiegł na wzgórze. — Ale jakież było jego zadziwienie kiedy ujrzał — Moskali, Austryaków i Prusaków, uciekających z miasta w nieładzie i silnie gonionych. — Pojechał do Wasserstadt, i tam zastał huzarów Tulińskiego strzegących rogatek —

i wkrótce przybył Kapitan Trzeciak z huzarami swoimi i z moskiewskimi Ułanami, wiodąc ogromną liczbę jeńców Pruskich i Austryackich. — Rynek i ulice były założone trupami nieprzyjaciół. —

Trzeciak zdał raport, że zaatakowany nieprzyjaciel uciekł z miasta — dwa zaś szwadrony moskiewskich Ułanów, konnopolskiego pułku, których oficerowie uciekli, zostały odciętymi. — On nimi zakomenderował w pogoń za Niemcami — i przyprowadził na powrót do porządku. —

Napoleon pokreślił za wąż Trzeciaka — nagadał mu wiele rzeczy — ale Trzeciak nic innego nie umiał opowiedzieć — tylko — brave Polonais — brave Husard — brave Trzeciak. — Odpiął od swojego adjutanta krzyż legji honorowej oficerski i sam mu go przypiął na piersiach — i polecił Marszałkowi Pajol zrobić go Szefem szwadronu. —

Ułani konnopolscy zostali zaraz przedziani na huzarów i Jenerał Umiński znalazł się znowu na czele silnego i wyborowego pułku huzarów, zbiorowych. — Trzeciak został Kapitanem, komendantem szwadronu — a jak mu nie przysłano patentu na Legię honorową — przestał nosić krzyż — i o potyczce pod Wasserstadt nie mówiono. — Trzeba było odgrzebania zwłok Wielkiego Napoleona z wygnania — iżby odgrzebać z niepamięci sławę wojenną Trzeciaka — Owruczanina. —

Na wygnaniu Trzeciak został dyplomata; potomek, wierny spuściznie praocjów, przywiązał się do osoby księcia Adama Czartoryskiego, tego ostatniego Króla Polski, sercem i poświęceniem się. — Nosił depenę, wprowadzał ludzi politycznych do Królewskiego Salonu — i zawsze był na czatach przeciwko działaniom demokratów. — Za każdym dowiedzeniem się że demokracja gotuje jakąś wyprawę do Polski — natychmiast podawał do Księcia Adama obszerny memoriał, strategiczno — polityczny o potrzebie zajęcia Owruckiego powiatu — pozrywania mostów, dla przecięcia komunikacji między Bobrujskiem a Kijowem i dla utworzenia siły Królowi Jegomości w Owruckiem, którą by mógł ukracać swobodę demokratów — i zmusić ich do ładu, posłuszeństwa i porządku — bez czego nie można mieć ani Rzeczypospolitej ani

Króla. Najbardziej mu o to chodziło żeby Jenerał Dwernicki nie dobrał się do kas publicznych; bardzo on cenił waleczność i moralność bohatera Stoczka — ale miał wielką nieufność ku jego systematom finansowym. — Zawsze sam się ofiarował być i emisaryuszem i wykonawcą swoich planów do zajęcia brzegów Prypeci i poruszenia Owruczanów. —

Z nudów że mu nie pozwolono wziąć się do szabli — czytał gazety francuzkie — których nie rozumiał bo były pisane po 1814 roku — już nowym Burbońskim językiem. —

Jednego dnia przeczytał w Constitutionelu, trzy artykuły z wiadomstek — pierwszy, że Ks. Lubecki Drucki przybył z Petersburga do Londynu — drugi — że w Portsmut splonęły ogniem dwie fregaty — trzeci, że w Edynburgu jakiegoś złoczyńcę powieszono na placu publicznym. —

Trzeciak poleciał jak strzała do Księcia Adama. — «Jaśnie Oświecony Mości Księciu, co ma wisić to nie utonie. Ks. Lubecki już nie żyje, chwała Bogu! Przyjechał z Petersburga, zapewnie, wysłany przez Mikołaja — z poleceniem spalenia floty Angielskiej; nie udało się mu, bo tylko dwie korwety spalił — ale go złapali Anglicy, zawiezli do Edynburga i powiesili.» —

Nikt nie był w stanie wytłumaczyć że co innego było wydrukowanem w gazecie — a kiedy Ks. Lubecki przyjechał do Paryża — z początku utrzymywał że upiór — a potem że Moskale z szubienicy go ukradli. — On wierzył, jak Kozacy Nekrasowcy, że Chrystus Pan ukrzyżowany, testamentem przeznaczył Polakom — burdy i obrzynanie uszów, a Moskalom złodziejstwo. —

Pamiętam, jak dziś, Kapitana Trzeciaka, w salonach Faubourg du Roule, podówczas Królewskiego mieszkania Księcia Adama — w amarantowych szarawarach z srebrnymi galorami — w czarnym fraku, w białej kamizelce — biała chustka na szyi — w żandarmskich rękawiczkach, wąsy suma — i nos jednorożca — ale w oczach hardość i duma. — Jak w tęczę patrzył w twarz swojego Króla — i na jego skinienie gotów był głowę sobie odrąbać i przynieść mu pod nogi. —

Piękne było jego życie; od młodości lat aż do śmierci w służbie sprawy ojczystej — na koniu z szablą w rękę i z piórem przy papierze — a zawsze przy imieniu i przy władzy Królewskiej. — Jednego dnia miał wsie, pieniądze, dostatki i różne życie — drugiego nic, ledwie kawał suchego chleba żeby nie umrzeć z głodu. — A zawsze dobrej miny, dziarskiego serca, gotów do służby pieszej i konnej. — Francuzi go szanowali bo widzieli w nim bohatera Wasserstadt. — Polacy nawet demokraci w nim uznawali Polaka ostarzałego w służbie ojczyzny. — Cholera, ta nieszlachecka słabość, zabrała nam brata Owruczanina. — Świeć Boże jego duszy. — Bogdaj ona, zawitała do nas, w goście, na nasze czaty — i wiodła nas w znajome miejsca, nad Prypeć, między Bobrujsk a stary Kijów. —

Drugą podstawą tych Owruczanów naszych czasów, był Onufry Gałęcki, Marszałek szlachty Radomyńskiego powiatu. — Pan i dziedzic mnogich włości, mąż młodej i ładnej żony, panny Zielonczanki. — Znudzony że go miano za tak szczęśliwego, iż nie był by w stanie porzucić tego szczęścia, gdyby wróciły obowiązki szlacheckie Czernobylskiej dzielnicy — z żoną się rozwiódł, w pałacu swoim, w Słobódce, wydał wielką biesiadę, na którą sprosił wszystkich a wszystkich potomków Czernobylskiej dzielnicy. — Hulanka była ogromna, a po hulance spalenie pałacu i rozdanie dłużnikom całego majątku — żeby być Oczajduszą, gotowym na wszystko — na pieszą i na konną służbę. —

Nie żałował tego co stracił, tylko żałował że Jagiellony przeznaczili na dzielnicę Czernobyl, nia zaś Brusilow. — Czernobyl, w naszych czasach, oprócz smoły, dziegiu i dziedzictwa Chodkiewiczów nie miał nic powabnego. — A Brusilow swojemi wódkami, równał się a może i przewyższał Gdańsk — bo zacząwszy od Dziengielówki i Kalmusówki, a skończywszy na Ratafji i Goldwasserze, wszystko tam było i doskonałe. — Tak dobry strategiczny węzeł jak był w Czernobylu — Gałęcki był zdania żeby przemienić dawne nadanie — na nadanie Brusilowskiej dzielnicy. — I tak będzie, jak powrócimy na czaty naszych praojców. —

Gałęcki od 1825 roku, bez piędzi ziemi swojej, bez jednego grosza swojego, był ciągle Marszałkiem szlachty Radomyńskiej — i na niczem mu nie brakło — żył wystawnie, szumnie — szlachta dobrowolnie się składała na jego utrzymanie. — Gałęcki, słusznie był chlubnym swoim ubóstwem, a szlachta mogła się pochlebić swoją stałością i swoim zaufaniem; i tak to trwało do roku 1831 — bez przerwy. —

Kiedy po tej bezecnej odpowiedzi Jenerała Barona Chłopińskiego, że ani jednej skałki nie ma dla Polaków ziem Ruskich i Litewskich — w Owruczu ogłoszono powstanie — z zastrzeżeniem — że kiedy Warszawa nie chce być Warszawą — Owruć niech będzie Warszawą dla całej Polski — ma się rozumieć połączonej z Litwą i z Rusią. — Kiedy Marszałek Owruckiego, Wilhelma Hołowińskiego ogłoszono Hetmanem piechoty, dla tego że zabijał w lot, bekasy, krzyki i nigdy pudła nie zrobił do fiklauza — Zielenieckiego, Hetmanem jazdy, na zasadzie, że przed laty złamał nogę, upadłszy z koniem, uganiając z chartami zającą — Rapsztyńskiego, Hetmanem artylerji, dla tego że u siebie w domu, miał dwa moździerze dziedziczne, z których palił wiwaty na Boże Narodzenie i w Wielkanoc na rezurekcję — Wtenczas Onufry Gałęcki zebrał powstanie Radomyńskie, w Białej Soroce — dzielne i ochocze. — On był jego wodzem i ojcem. —

Szedł na pomoc Owruczanów, kiedy się dowiedział o rozbiciu tego powstania — z czterystą jazdy wpadł na obóz kilka tysięczny Moskali; nękał siekał na łój, na masło, to carskie wojsko — i był by je rozpedził — ale niestety ranny spadł z konia, szlachta przybiegła mu na ratunek — i ci dzielni wojownicy, w szluchy jak dzieci, jak baby — nasz Marszałek — nasz Onufry zginął — dawaj płakać, załamywać ręce, a Moskale przyszedli do siebie i dawaj ich wiązać. — Wypędzony na Sybir, z ran umarł ten oczajdusza Owrucki. —

Nie dojechał do swoich, by powiększyć nowy naród Sybiraków. — Wiele tam a wiele Owruczanów. — W Tobolsku, Antoni Pausza, jak w Żytomierzu, wykłada Sybirakom naukę,

prawa narodów i powinności człowieka — a pięknym Sybirzankom jak Pani Żemczużnikowa, szepce w ucho: wyście Panie nad Pany — będzie Polską Siberya — i jak wasze starsze siostry nie dają upaść narodowości w Polsce — tak wy ją podnieście i postawcie na nogi w Sybirze. —

W Petropawłowsku, Kapitan Możarski, Owruczanin, potomek Książów Możajskich — którym Cesarz Aleksander, za sprawy w 1812 roku, odebrał Kniaziostwo, i nazwisko Możajskich kazał ukazem przemienić na Możarowskich — ale zostawił, w swej łasce, w Owrukiem — a Cesarz Mikołaj, za sprawy w 1831 wysłał na Sybir z nazwiskiem Możarskich, jednodworców, do wysługi — broniąc twierdzy moskiewskiej, przeciwko Anglikom i Francuzom, zyskał krzyż moskiewski i wzmiankę w moskiewskich gazetach. — Ale co większa, wlał ducha rycerstwa, i ducha sławy, w nowy naród Sybiraków. —

Kapitan Baranowski, Owruczanin także, dowodząc korwetę moskiewską: Święta Trójca, pierwszy zajął na rzecz Moskiewskiego Cara, ujście Amura — i pierwszy powiedział Mamezurskim plemionom: jam nie Moskał, ale Sybirak jestem. —

Rycerskie koło szlachty Lackiej, wyparte przez uszlachconych Sławian, przez upolszczonych Niemców, za starej Polski, utworzyło potężną Kozaczyznę. —

Wygwane z Czernobylskiej dzielnicy, gotowe utworzyć potężne Państwo Sybiraków. — Owruczanie tam na czatach — na robocie. — Bóg im pomagaj, dla szczęścia ludów, dla sławy naszej. — Oni tam rozsiani jak Apostołowie Boscy, sięją jego słowa i plon zbiorą — bo niwa bójna. — Tam i drzewa i ludzie prędzej rosną, prędzej dojrzewają, jak gdzie indziej. — Nie znikną stare narodowości nad Wisłą, Prypecią i Dnieprem, bo co Bóg zbudował tego ludzie nie zrujną — ruiny pozostaną do odbudowania starego gmachu — jak przyjdzie czas — ale kamyki z tych ruin zanesione daleko, postawić mogą gmach nowy. — Tak stanęły Stany zjednoczone Ameryki — tak stanąć mogą stany Sybiraków. —

W ucywilizowanym zachodzie nie lubią gościć Owrucza-

nie — u nich handel dla żydów — rzemiosła i kunszt, dla Niemców — sztuki piękne dla Włochów — muzyka i śpiewy dla Czechów; służyć wojskowo jak jurgieltnicy nie chcą, a inaczej na zachodzie cudzoziemców nie przyjmują. — Cóż by tam mieli robić. —

Dwóch znałem tylko. — Jeden dzielny młodzieniec ognistej duszy, gorącego serca — na którego stary Trzeciak patrzył jak na przyszlą chlubę Owrucza — w Towianizm się wpisał. — Mistrz piekielny, swoją doktrynę wlał w tę piękną budowę, i z młodzieńczego życia zostawił ruinę umysłu ludzkiego. — Gdyby takich Mistrzów wielu użyto, więcej by naniszczyli, jak wysyłki za Sybir — na Kaukaz — jak wygnanie w dalekie kraje. — Jeden się pojawił, i ten jak zły duch pospychał z szanów Ojczystej twierdzy, najdzielniejszych jej Obrońców — i wtrącił ich w zamęt niewiedzy serca, nieładu umysłu. —

Drugi, z samego Czernobyła rodem, chyrlawy ciałem, ale szperacz nauki — został paleologiem, nie Cesarzem, ale poszukiwaczem starych dyplomatów, starych rękopismów i druków. — On to rozwiązał zadanie, które przez przeszło dwa wieki bałamuciło paleologje Francji i Rossji, jakim charakterem pisana ewangelja, na której Królowie Francji przysięgali w Rejms. — Rossjanie dowodzili że starofińskim — Francuzi że Celtyckim — wezwani do kongresu Niemcy utrzymywali że Sanskryckim — dopiero Ludwik Jastrzębski, Owruczanin, pokazał im że Sławiańskim-Cyrylskim — i ku wielkiemu zadziwieniu wszystkich, a mianowicie Arcypaleologa Champoliona, odczytał od a aż do z, całą ewangelję. —

Jastrzębski wyjechał z kraju, już po powstaniu Owrukiem — którego był świadkiem, nie mogąc być uczestnikiem. — I on chciał zrobić z Owrucza Warszawę dla całej Polski — ale że był gorącym katolikiem — chciał z katolicyzmu wywieść najpotężniejsze chwile Polski, i na katolicyzmie oprzeć odbudowanie Polski. — Udał się do Rzymu, aby szperać w archiwach tej wielkiej stolicy, dowody do swojego założenia — szperał, i znalazł: Katolicyzm oddał Królów Polskich pod zwierzchnictwo Cesarzów Niemieckich —

Katolicyzm zepchnął Polskę ze zwierzchnictwa nad Sławiańszczyzną, wyznającą dogmat Kościoła Wschodniego, Kościoła Tradycji. — Katolicyzm sprowadził Krzyżaków na kłęski Polski i Litwy. — Katolicyzm doprowadził do wiarołomstwa Władysława Warneńczyka. — Katolicyzm nie dał Stefanowi Batorowi zniweczyć wzrastającej potęgi Moskwy. — Katolicyzm rozdzielił Polaków z Kozakami, spowodował kłęski i upadek obydwóch rodów jednego narodu. — Katolicyzm uzbroił Jana Sobieskiego, na obronę największego wroga Polski, Cesarza Niemieckiego, przeciwko Muzułmanom najlepszym sprzymierzeńcom Polski. — Katolicyzm chcąc tępić Dysydyntów w Polsce, jak Hugonotów we Francji, sprowadził powód prawny do rozbiorów Polski. — Katolicyzm wydał bullę w 1832 przeciwko tym Polakom, którzy chcieli oswobodzić Ojczyznę z pod obcego jarzma. —

Biedak, jak gradem przybity temi prawdami, nie mógł się nawet pocieszyć odkryciem dokumentu — że Olga wyprawiając Igora na pułki Kozackie, po zwycięstwie miała przenieść stolicę państwa z Kijowa do Owrucza. — Dręczył się i życie sobie odebrał, napisawszy wprzód do jednego ze swoich przyjaciół:

Szkoda, katolicyzm wiele pobłądził względem Polski — nie jego wina, ale Jezuitów: oni służyli Cesarzowi Niemieckiemu, oni chcieli zyskać Cara Moskwy, a ze szkodą Polski — poświęcali nas, w celu, którego zrozumieć trudno; ale to postępowanie, nie anarchia, nie co innego, przyniosło nasz upadek. — U nas katolicyzm powinien się stać Sławiańskim, nie Łacińskim — o to rzecz idzie. — Nam potrzebny katolicyzm Bazylianów z: hospody pomyłuj, a nie katolicyzm Jezuitów z: dominus vobiscum. — Tak trzeba. — Jeżeli Warszawa nie zechce być stolicą dla całej Polski z Litwą i z Rusią — niechże Owrucz albo Kijów będą tą stolicą dla niej, i dla całej Polski. — — Takie były ostatnie słowa tego Owruczanina. —

Dorzucam to wszystko do dawnej gawędy o Owruczanach; niech idzie w świat polski z Twojem imieniem — z imieniem pułków gotowych do służby pieszej i konnej, jak byli nasi praojcowie. —

**

Gotowych, na rozkaz Sultana — naszego Pana — nad Dunaj — za Dunaj — i na dzielnicę do Brusilowa.

Stambuł, 19. Sierpnia 1862 roku.

A U T O R.

	Strona
I.	1
II.	14
III.	26
IV.	39
V.	50
VI.	59
VII.	73
VIII.	86
IX.	98
X.	110
XI.	121
XII.	133
XIII.	145
XIV.	157
XV.	166
XVI.	179
XVII.	190
XVIII.	201
XIX.	212
XX.	220
XXI.	231
XXII.	242
XXIII.	253
XXIV.	263
XXV.	270
XXVI.	279
XXVII.	283
DOMÓWIENIE	287
PRZYPISEK	291
WYJĄTK Z DZIEŁA: POWSTANIE i. t. d.	299
W RZYMIE 29 MAJA 1840 ROKU	309

1	I
14	II
14	III
16	IV
16	V
18	VI
18	VII
20	VIII
20	IX
210	X
221	XI
228	XII
242	XIII
257	XIV
266	XV
275	XVI
286	XVII
290	XVIII
313	XIX
324	XX
331	XXI
342	XXII
352	XXIII
358	XXIV
370	XXV
373	XXVI
383	XXVII
387	Podziękowanie
391	Przebieg
392	WYKAZ Z DZIAŁA: POWSTANIE I. R.
392	W KRYMIN 29 MAJA 1840 ROKU

I.

Polecę w pola, polecę w bory,
Strzelać pierzchliwą zwierzynę.

A. SŁOWIKOWSKI.

Świt dniowy powoli, powoli rozjaśniał niebiosa; wiatr i powietrza nawet nie muskał, lasy drzemały, tylko czasem dało się słyszeć lekkie trącanie kropel rosy, spadających z liści na liście: taka była cisza jak gdyby świat przededniem spał głębokim snem; albo jakby obudzony w uroku milczenia, oczekiwał głosu bożego na dobrydzień. Jasność przerzuciła się po całym niebie, i ztamtąd szmer szeroki a krótki, jak jeden rzut oka, jak jeden mig myśli, doleciał do ziemi; widno niebiosa prędko i razem otrząsnęły się z ciemności nocnych, i było jasno.

Ptakowie leśni poczęli śpiewać gwarnie, w różnogłosy, a rozgłosem ich śpiewu i las śpiewał i świat śpiewał, na cześć Temu który je stworzył. Do koła wszystko ożyło życiem, weselom i chwałą Bożą.

Tu wiewiórka swawoli, z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo poskakuje, rzutkiem okiem w strony strzela, na łapki bierze rosę i pyszczek niemi umywa, a wiotki ogon polotnym włosem igra po nad głową, jak pióropusz nad hełmem rycerza, jak obślona koło twarzy dziewic: to orzech zgryzie i ząbkami ziarnko łuszczy, to na świstaka w gniewie zaśwista i łapką precz jak piłka odrzuci; złęknie się kropeli rosy i między liście się przytuli, znowu wyskoczy, otrząśnie się i zawsze swawoli. Tam cietrzew krasnobrewiec pomiędzy wierzchołki drzew się wywija; to zakołuje, to zygzak zakresli w powietrzu, skrzydłem świszcząc jakby dziobem cyrkał, nad bagna, na olszynę, na bronki leci, i cieciorka starka na żyr śpieszy, a czerniaki podloty za sobą powabia. Głuszczałopotał skrzydłami z łomu, już z żeru na wierzch dębu wyleciał, siadł, aż gałąź się ugięła i rozpatruje po nad lasem. W czarnym lesie jarząbki po ziemi

skaczą i pogwizdują półzadęciem głosu i nagle ucinają. Na halawie na kopicy osoki sójka kracze, papla co się dzieje w lesie. Długo-języczna żółna wiankiem do koła sosen oblatuje, świszczce i wypatruje oczka barci, jak żyd złodziej chrześcijańskiego powozu. Kraska kochanka wrzeszczy, i sroka nad ługiem skrehocze, myśliwych do lisiego kubła powołuje. A pliszki świegotuszki po nad Hrezlą polatują, po łozinie się czepiają, i mizdrzą się do przeźrocza wody.

Takie było wesele w nad Hrezlańskich lasach, i nie było tam słyhać ani głosu, ani stapania ludzkiego, kiedy nagle doławianie się psa zadzwoniło po czarnym lesie, i niebawem kilka głosów zagrało. Gonienie było wolne, nierówne, jakby psie głosy równie jak ich nogi musiały skakać przez łomy, i drapać się przez gęstwiny i bagna, psy grały w jednym miejscu prawie; albo młody zając w małe kółko okładał, albo matka sarna odwiodłszy psy od dzieci, kręci się w miejscu, tak jej żal odbiedz od nich daleko; ni razu psy ani ucieły, ani się uniosły, grały bez przestanku, a jednak nie słyhać było ani strzału, ani nawołania głosu: pilnuj.

Nie widać tam było czuba wschodzącego słońca jak na stepie, tylko promienie jakby ukradkiem wkradały się w ciemnie lasu, i przyzłacały pojedyncze liście, i brylantowały pojedyncze perły rosy. Z przyjściem słońca i wiatr powstał; a gniewny że nie miał gdzie się rozhulać, wichrował po lesie, obrywał z drzew zeschnięte liście i kręcił niemi po nad wierzchołki, jak rojem pszczoł wyleciałym z matecznika, jak stadem drobnego ptastwa szukającego żeru wśród zawieruchy. Jeszcze czas jakiś psy gonily w miejscu, a potem poniosły się w górę, i raźniej grały, jakby wiatr przekrzyzczeć; lecz niedługo to trwało, granie tłumiło się, cichło, w końcu słyhać go nie było; i trąba myśliwska kilka razy zadęła i ucichła, za psami się poniosła, a sam wiatr tylko po lesie dał i pogwizdywał.

Nad Hrezlą, nad samym ruczajem rzeki, na położowatej wierzbie siedział młodzieniec, smutny, zadumany; rusznica srebrem dzwirowana stała koło niego, cisnęła się do ramienia; na szaraczkowej czamarze podpasana kartusza skryta rysiem futrem, i trąba z sosnowego korzenia, w skórę okryta, smołą wylana, wisiała na rzemyku przez plecy; a jednak młodzieniec nie wysłuchiwał głosu psów, nie wypatrywał zwierza, dumal i dumal. To ku ziemi chylił czoło, i kruczy włos tulił się do młodocianej skroni; to siwe oko rzuci ku niebu, i twarz na której mszył się wąs wiosny życia, objaśniał błagalny zapal. Zdaje się że chciał ulżyć smutków serca, pokorą i prośbą.

W starych lasach gdzie nie widać tylko niebo i ziemię, darmo oko targa się na strony, jak na stepie dumą władcy nieraz; poi ducha, i tym napojem nie otrętwi rozkrwawionego serca;

jak tylko cierpienie dotknie, w ciasnym obrębie roztargnienia nie znajdzie; musi bezustannie patrzeć albo na wieczne mieszkanie ciała, albo na siedzibę ducha; gwałtem stroskana myśl szuka odpoczynku w ziemi, a pociechy w niebie. I kiedy człowiek w lesie, sam na sam z sobą, ze smutkiem i z drzewami zostanie, choćby jaka była jego dusza, korzy się i błaga.

Opodał od tego miejsca, koło sosny piorunem rozdartej, zeszło się dwóch ludzi; obadwa w krótkich podartych świtkach, w szarawarach płóciennych dobrze zasmolonych, i zaroszonych, w łyżanych postołach; przez plecy wisały borsucze torby, tak wyleniałe że ledwie gdzie niegdzie włos sterczał; za pasem nad lewym biodrem skórzana kaleta, z krzesiwem i hubką, i kilką piętakami; koło niej nożyk kozik, z tyłu wetknięta siekiera; obadwa czapki pochowali w torby. Jeden miał rude włosy i brodę jak szerszeń: trzymał rusznicę pod pachą, na pierwszym zwodzie zwiedziony kurek, a przykrywał zamek rękawem żęby rosa nie wpadła do panewki. U drugiego między czarną czupryną już przebijała się szpakowaczna: niósł strzelbę przewieszoną przez plecy, z kurkiem spuszczonej na kłak; był on spory wzrostem a cienki: rudy jego towarzysz, mały, przy-sadkowaty a pleczysty.

Widno tylko co się zesli.

— A co to takiego Chwedju? — Zapytał urodziwy postawą.

— Bóg jego święty wie: zając nie zając; w takiej puszczy by nie siedział, może koza.

— Jaki djabeł, czy nawiedzona kręci się koło dzieci?

— Lisz nie wiem, ale chodźmy to zobaczymy; psy pognały nad rzeczkę.

I szli obadwa. Rudy Chwedjo tak lekko i ostrożnie stąpał, że rzadko kiedy liść zaszeleścił, albo gałązka zachrupotała pod jego nogą, schylał się, ciałem podawał się w lewo, w prawo, tak iż nigdzie ani o drzewo, ani o gałęź nie trącił, a okiem na wszystkie strony zerkał między drzewa; wszystko to u niego było już z nałogu, nie z potrzeby.

Jego towarzysz chrupotał jak dzik łomem, zawadzał o pieńki, o kempiny, lufką rusznicy stukał o drzewa, a kłął w djabła przeklęte lasy.

— Paskudna ziemia, djabłowi tu chodzić, a nie człowiekowi. —

Chwedjo skinał głową:

— Co kraj, to obyczaj, i z ciebie Dmytro teraz zrobił się człowiek.

— A to u djabła dla czego?

— O tobie teraz nie możnaby powiedzieć. Jak przywiążesz Ukrainca do sosny, to i z głodu tam zdechnie. —

Zaśmiał się Dmytro.

— Prawda że mam nożyk do oderżnięcia, ale i bez tego by się oderwał, bo Ukraińce, Panie Swacie, to silny naród. —

Gadka poleska była przymówką do nieporządku Ukraińców, iż najczęściej bez nożyka i żadnych innych porządków, ruszają z domu het w step. Poleszuk zaś progę swej chaty nie przestąpi, bez kozika, siekiery, kalety, rusznicy i kawałka chleba w torbie; jak dobry żołnierz, gdzie go zastać wszędzie gotów do dzieła, na niczem mu nie brakuje, wszystko ma z sobą, wszystko przewidział.

Chwedjo machnął ręką i zatrzymał się, chwilkę w dół popatrzył, zgiął się i ręką chwycił czy liść, czy osokę.

— Liszka!

— Gdzie?

— Psy pogoniły. —

Dmytro darmo rozpatrywał między łomy, gęstwiny, i nogą rozgartywał osokę.

Przyśmiechnęła się piegowata twarz Chwedja, pokazał mu nadgniłą kłodę, już okrytą zielonąwą pleśnią.

— Patrz, dwie stopki lisie i pazurki. — Wciągnął powietrze w nos. — Jeszcze czuć świeże; a oto kłaki lisie. — Trzymał w szorstkich palcach dwa włosy lisiej sierści. — A oto psy jak podrapały, tu któryś się przewrócił. No, teraz wszystko przepadło, psiawiara zawiedzie psy w Chabeńszczyznę, jeżeli nie do Bohdanowieckich Jażwin. —

Szli dalej, a Dmytro pomrukiwał:

— Djabli poleszuk, lepiej widzi jak kot w nocy. —

Las coraz był gęściejszy, a Chwedjo tak szybko się przesuwiał, jak gdyby po lodzie ślizgał. Dmytro o mało sobie oczów nie wydrapał. Chwedjo nagle trzy razy skoczył w bok, i przyczaił się pod wiązem; Dmytro ledwie zajrzał skoki poleszuka, zasłyszał łopotanie siadającego ptaka, a z nim huk strzelby, nierozgłośny ale gładki, jakby orzech zgryzł, i wnet łopot bijący się po gałęziach, i klapnięcie czegoś ciężkiego na ziemię. Nim przedarł się przez gęstwę, już poleszuk kończył nabijanie rusznicy, a u jego nóg leżał ogromny głuszec samiec. I jedno zdrowaś Marja zaledwie można było zmówić, tak prędko się to wszystko stało.

— A toż znowu jaka sztuka?

— Żadna sztuka, zajrzałem jak leci opudało, i rozględa gdzie usiąść; tutaj tylko jeden dąb wielki, podskoczyłem; lisz i cała robota. —

Zatknął rówek zatyczką którą trzymał w zębach, zakreślił szmatę która służyła w miejscu prochownicy, głuszca uwiązał do torby i ruszył; a Dmytro za nim. Już dochodzili do Hrezli, kiedy na wąziutkiej ścieżeczce, Chwedjo pokazał wyraźne ślady i lisa i psów na przysychającym błocie. O sześćdziesiąt kroków siedział ztamtąd młodzieniec, widać że nie słyszał ani bli-

skiego strzału, ani nadchodzących ludzi, bo ku nim wzroku nie obracał.

Dmytro głośniej zawołał.

— Paniczu! —

Ten głos obudził młodzieńca z dumania, powstał i kibić jego rosła zarysowała się kształtnymi składy. Wziął bogatą rusznicę.

— Cóż tam, psy nie ruszyć nie mogą?

— Gdzież, zaraz wsiadły na lisa, a Panicz w której stronie był?

— Tutaj stałem od samego początku, nim słońce wzeszło. —

Potrząś głową Dmytro.

— To Panicz prześlepił lisa.

— Czy wykradł się przed psami?

— Psy tuż, tuż za nim pogoniły, jak dzwonki, od niedaleczko ztąd, o dobre pół strzału.

— A ja nic ani widziałem, ani słyszałem. —

Dmytro zamilkł, a młodzieniec wtenczas dopiero rzucił okiem na torbę Chwedja.

— Gdzieżeś go zabił?

— Niedaleczko Jasny Panie, ot tutaj koło kędzierzawego dęba.

— Cóż to, czy podstrzelonego znalazłeś. —

Dmytro poprawił wąsa.

— Nie, taki żywego zabił na miejscu, jak flejtuch padł ani drygnął.

— Ja nie słyszałem. —

Twarz młodzieńca była smutna, i Dmytrowi i Chwedjowi smutno się robiło patrząc na niego.

— Ot Paniczu już po polowaniu, wracajmy do domu.

— Nie, trzeba za psami jechać.

— Iwan za niemi poszedł, a Imość będzie niespokojna.

— Jeszcze nie późno, chodźmy; a którądy najbliżej Chwedju?

— Niech Jasny Pan idzie z Dmytrem do drogi, do wózka, a ztamtąd jedzie wprost do Rudni; ja przerznię borem, czy czasem na Piaskowej Górze nie wlaź w jamę psiawiara, a Jasny Pan na strzelców niech zatrąbi żeby tam ciągnęli. —

Młodzieniec trąbił, ale nie ze skwapliwością ochoczego myśliwca, ale jakby z niechcenia, albo z musu. Po czem rozeszli się.

Chwedjo jak cień drzew przesuwiał się między nie, i ani zwierza, ani ptaka nie spłoszył; a jak wyszedł z czarnego lasu w bór, to kroczył tak szybko, iż zdawałoby się, że jaki ptak szary po nad choiną polatuje. Chwilkę stanął, uchem zasłuchał, okiem obrzucił do koła, i ruszał dalej; sam sobie pośpiech

nakazał, a nogi prześcigały nakaz chęci. Na Piaskowej Górze popatrzył, nigdzie nie masz świeżego śladu psów, zszedł na drożynę i szedł nią, a patrzył czy gdzie nie zajrzy przeskakującego śladu. Już dochodził do Koziego-Brodu, kiedy usłyszał gwizdanie za sobą, obrócił się i stanął.

Był to także strzelec, rudy, pleczysty, przysadkowaty, jakby brat rodzony Chwedja, ale chociaż Chwedjo zdawał się być od niego daleko starszym, miał dla niego pewien rodzaj uszanowania, co to się wiąże z podwładnictwem nie musu, ale dobrej woli. Nowo przybyły niósł na twarzy odpiętnowanie pewności samego siebie, i tego uczucia własnej wartości, co to nie przechodzi na zrozumienie pyszałka, ale na uczucie, co mimowolnie znaczy wyższością nad drugimi.

— Jak się macie Chwedju?

— Sława Bogu, zdrowi kumie Baranie.

— I jakże, czy szczęśliwy dzień? —

Tu w krótkich słowach Chwedjo opisał polowanie, a kiedy wspomniał że młodzieniec prześlepił lisa, Baran zachmurzył czoło.

— Biedna dziecina, gdzie jemu tam teraz polować! Przekłete bisy zabrali mu ojca; może i osierocą — przytknął wargami, widno na zatrzymanie westchnienia. — No i ja idę do Rudni, to chodźmy razem, zobaczę młodego kiedy nie ma starego. —

Szli, a Baran nie rozchmurzał czoła.

— I cóż czy u was nie żalują starego Pana?

— Ta niechaj jego Pan Bóg strzeże, a — — i nagle uciał.

— Mój Chwedju, ty wiesz że ja twój kum; mówią że kruk krukowi oka nie wykole; wilcy między sobą się nie jedzą, a swój swego miałżeby zdradzać?

— Ja nie nie mówię; i stary i młody, to dobrzy panowie, i w Chrystynowiecczyźnie i w Dawidkach, lepiej ludziom jak u innych panów. Niech im Pan Bóg zdzowie i szczęście daje.

— Zapewnie że to dobrzy Panowie; stary chce nie tylko swoim, ale i wszystkim ludziom dobrze zrobić, i dlatego to bisy tak na niego się zawzięli.

— Może być; ja tego nie wiem.

— Ale ja wiem. Stary nieraz do mnie gadał: Marku jak Polska będzie w Owruczu tak jak to niegdyś było, to daremszczyzny nie będzie; i nam i wam będzie dobrze. A jak nasz Pan wyjeżdżał gdzieś tam do wojska, to mówił: — Feliksie, lepiej zostań z nami, ze swojemi i u siebie, to daleko lepsza robotą, jak djabli wiedzą gdzie lecieć zadarłszy ogon. Chłopki, to nasze dzieci, jak oni zostaną bez nas, to będą jak pszczoły bez matki. To dobry i rozmunny Pan. —

Chwedjo nic nie powiedział, ale zżył ramionami.

— Coś ty kumie temu nie wierzysz; ale powiedz no mi jak

to się wszystko stało, bo ja o tem słyszał, jak podzwonne dalekiego kościoła, a do Chrystynówki nie chciałoby się mi teraz chodzić.

— Ludzie zwyczajnie ludzie, ten to a ten to gada — i obejrzał się do koła siebie.

— Jakiego ty djabła się boisz, żeby nas kto nie podsłuchał?

— Nie, ale ot tak sobie — ściszył głos — kumie, wiecie jak tych dwóch Laszków złapali w Łukińskim lesie, i wieźli do Żytomierza zabitych w dyby? —

Baran uśmiechał się i potrząsał głową.

— Otóż i Laszków nie dowieźli, i ludzie nie wiedzieć gdzie się podzieli; powiadają że stary Pan wypłatał im sztukę, a Laszków gdzieś przechował. Chrystynowiecy ludzie nam gadałi, że właśnie kiedy to się stało, Pan we środę wieczór wyjechał wózkem z Charytonem i Harasymem, a nie powrócił aż w piątek nadedniem. —

Baran jeszcze się uśmiechał.

— I cóż dalej?

— Charyton i Harasym mieli dużo pieniędzy, pili w karczmie, a jak człowiek się upije, to djabeł wie co plecie; otóż i oni kilku ludziom szepnęli, że to Pańska sprawka, i pewnie temu nikt nie wierzył. —

Chwedjo patrzył w oczy Baranowi, ale z jego własnych oczów widno było, że nie wiele wiary przywiązywał do ostatnich swoich słów.

— Zapewnie kumie [pjany a senny plotą jak na mękach] ale mów dalej.

— Dalej, było i dalej; w poniedziałek, stary Pan czego nigdy nie bywało zachciał pójść przed świtem na głuszce, wziął z sobą starszego Podhorelca, Charytona i Harasyma. O południu Pan z Podhorelcem przyszli, a Charytona i Harasyma już nikt więcej nie widział.

— Dobrze im tak, [długi język to gorzej głupiej głowy] przyciął sobie język, jakby z żalu, z tego co powiedział. — Gdzież się oni podzieli?

— Podhorelec rozvodził i przysięgał się, że słyszał dwa strzały, a potem z panem w budkach, ani zwierzyny, ani strzelców nie znaleźli.

— Może pouciekali gdzie? — namarszczył czoła.

— Czegoby mieli uciekać, alboż to im źle było? Kapuza Chrystonowiecki pobereźnik, niedaleko budek poznachodził podarte świtki, czapki, obiedwie rusznice, i siekiery i kalety i poprzynosił do dworu, powiadał że wyraźnie kości ludzkie widział w lesie, zwierz ich pojadł.

— Może.

— No dziwo! u nas zwierz nie taki dziki jak na Ukrainie

co to powiadają, że na ludzi, i na sioła napada; u nas gorzej zająca ucieka. To to dziwo!

— A Podhorelec gdzież jest teraz?

— Tam gdzieby mnie się być nie chciało, ani wam kumie bym nie życzył.

— Czy i jego zabrali ze starym Panem?

— Jeszcze gorzej.

— Cóż mu się stało?

— Utopił się pod łotokami, djabli wiedzą po co tam laźł w nocy. —

Baranowi twarz trochę się przeciągnęła, mruknął pod nosem ale dla siebie tylko:

— To on, ja jego znam. — I wnet wydobył krótką fajkę, nałożył bakunem, i skrzesał ognia. — Powiedz że kumie jak się stało ze starym Panem? —

I Chwedjo zaczął fajkę kurzyć.

— A cóż! przyjechał Mewes, a z nim tak dużo żołnierzy że to aż ha; porwali starego Pana i powieźli jak djabli grzeszną duszę, mówią że do Mozyra.

— Imość gdzie?

— Zaraz przyjechała do Dawidek do Panicza. Imość bardzo tęskni. I do Żytomierza i do Kijowa posłała z groszami; a nawet pan sędzia Wyhowski, ten płaskonosy pojechał za panem do Mozyra. Panicza Imość nie puściła, to on jak warjat, nie chce ani jeść, ani spać, dopiero pierwszy raz na polowanie wyszedł, i to dla Imości zrobił.

— Biedny chłopiec! a on tak lubi polowanie.

— Dziwo nie lubi; tażęż to po was kumie, w całej Chabińszczyźnie, Iskoryszczynie i Lisowszczyźnie nie masz strzelca nad naszego Pana!

— A ty Chwedju?

— No, ja strzelam śrutem taj rubańcami, a czasem tam kiedyś sztofem, a on zawsze kulką, jak wy kumie.

— I czutki chłopiec, zna dobrze wagę lasu.

— Dziś przepuścił lisa, jak gdyby był ślepy; po prawdzie mówiąc, o mało go lis nie rozbił.

— Szkoda chłopca. A w Chrystynówce kto teraz panuje, czy młody Pan?

— Gdzie tam u licha! Z Owrucza naznaczyli Hoszowca; już on tam się sprowadził jak do swojego domu.

— Hoszowiec to skurczybyk, będzie on z Chrystynowców drzeć łyka.

— Już i drze. Młodszy Podhorelec donosił Imości, że znalazł w zasięgach pszenicy ze dwa tysiące kos, nożów i siekier i wszystko zabrał na fury. Imość zalekła się. — Dokądże posłał, do Owrucza? — Nie, Jasna Pani, do Naradyc i kazał schować w swój magazyn. — Imość powiedziała — to chwala Bogu,

dać mu pokój; i dała Podhorelcowi trzy karbowanice na wódkę. Lecz to dziwo, Imość tak starego Pana lubi, a o jego dobro nie stoi. —

Uśmiechnął się Baran.

— Jak przyjedzie stary, da on łupnia Hoszowcowi. Nestorcio przypomni sobie że sprawa nie z Waškowskimi taj z Czapowskimi.

— Cóż to było kumie?

Baran jakby w nagrodę obdarzył Chwedja swoim zaufaniem i opowiadał:

— Ty wiesz że Hoszowiec bardzo się modli, i myśli że Pana Boga jak ludzi może oszukiwać. Otóż było koło Waškowa ze czterdzieści włók ładnego lasu; mówią ludzie że więcej sta lat Czapowscy z Waškowskimi się wadzili do kogo ten las należy. Temu trzy lata jak dziś pamiętam, Nestorcio wyprawił wielkie polowanie w tym lesie, naspraszal i Waškowskich i Czapowskich, i my z Paniczem Feliksem tam byli; było ludzi z obławą więcej jak trzy kopy; nie ma co mówić, polowanie dobrze się udało, ja sam zabił łoszycę, kabana i trzy kozy. Pili i jedli, ale każdy co to z sobą przywiózł. Nestorcio wszystką zwierzynę dla siebie zabrał; i wstyd ludziom powiedzieć, po czarce wódki kazał dać strzelcom i obławie. Ja chciałem mojej zwierzyny nie dać, ale Pan powiedział: bierz go djabeł. — Aż tu ni zład ni zowad na furze przywieźli figurę, malowana zielono z Jezusem Chrystusem, i jak panowie mówili, było tam napisano: że dnia tego, roku tego, na sławę Bogu, na dobro ludziom, postawił tę figurę Hoszowiec, Pan Narodyc. Nestorcio mówił że stawia na wieczną pamiętkę, że tu polowali przyjaciele i bracia. Wszyscy patrzyli, a woźny którego z sobą przywiózł, krzyczał jakby przez żart, że Hoszowiec to stawia. Potem za rok i sześć niedziel postawił koło figury karczemkę, a potem i Słobodę. Czapowscy, Waškowscy dawaj jego pozywać, a on jak zaczął kluczyć w sądzie, tak i wygrał. Sąd powiedział, że stawianiem figury, jak oni nazywają przez woźnego, przy świadkach, wziął intromissję; przez rok i sześć niedziel wysiedział possessję, i czterdzieści włók lasu jego dziedzictwem się stało. Bóg to święty wie czy to sprawiedliwie, ale Hoszowiec dmie i trzyma co zabrał Moskiewskim kadukiem.

— Prawda kumie że to moskiewski kaduk, przynajmniej za polskich czasów jak robili kaduka, to strzelali do siebie i bili się szymbami. Ja pamiętam w Bohdanówce. —

— U Potockiego?

— Gdzież tam, tam bili się Niemirycz z Trypolskimi, to nieszczęśliwy dwór.

— Teraz on uszczęśliwił; u Pana Jana są ładne dzieci. Ale oto już i Rudnia.

Stuk młotów dolatywał do ucha, niebawem ukazał się dym, a za nim dachy kurnych chat, jedne pokryte dranicą, drugie osoką. Baran chrząknął.

— Chwedjo, a dobrze ty pokmetował co ja tobie mówił o Hoszowcu.

— Tażeto nie trudno skmetować że on skurczybyk.

— Nietylko skurczybyk, ale niewiara, gadzina taka jak i Mewes. Otóż pójdz zaraz do Chrystynówki, taj Podhorelcowi i wszystkim ludziom gadaj, żeby się jego strzegli, a jak co wiedzą to cyt, niechaj milczą; co tam nam muzykom w pańskie dzieła się wdawać. Nam Pana bronić, bo to nasz ojciec i dobrodziej; jak on nie pożałuje, to i nikt nie pożałuje, a jak on sobie pościele to i wyspi się; zostawmy to jego rozumowi, a czekajmy co każe. Rozumiesz Chwedju?

— Dziwo, że rozumiem.

— A pójdziesz?

— Lisz pójde, kiedy tak chcecie kunie.

— Idź, idź, zobaczysz że to dobrzy ludzie i stary i młody; oni dla nas o dobrem dumają, i jak Bóg da, to i dobrze zrobią.

— Niechaj im Bóg szczęści, a nam pomaga. —

Ucieli rozmowę, bo już z różnych ścieżek lasu wysuwali się Dawidkowsy i Sewrukowsy strzelce. Wszyscy witali Marka Barana z czcią jaka się przynależała najznakomitszemu myśliwcowi w całej okolicy.

W całej okolicy nikt jak Marko Baran nie zawabił wilków; czy to gniazdowe, czy jałowe. Nikt tak po pstrokatej ponówce rysia nie dotropił. Po czarnej stopie wiedział gdzie stójka łosia w upał; gdzie legowisko kabana. I bobra i wydrę dośledził; żadna kuna, żaden borsuk przed nim się nie schował. Strzelba u niego nigdy ani klapnęła, ani na panewce nie zniosła; nie wiedział co to chybiać, albo podstrzelać. Kabana w sam łys, łosia w kark albo w przednią łopatkę, niedźwiedzia w samo serce o zakład ugodził; nigdy inaczej tylko kulką strzelał w lot i cietrzewie i jarzabki. Znał, jak student abecadło, wagi lasów, przeciagi zwierza i ptastwa, tokowiska, jazwiny, wszystkie ścieżki i uroczyska w lesie na trzydzieści mil okolicy; od Kijowa aż do Zwiabla, od Mozyra aż do Łowkowa. Po wszystkich lasach polował, i nikt mu nie śmiał wzbraniać; w domu miał więcej futer i solonej zwierzyny, jak Pan Stecki z Chabeńszczyzny. Kogo lubił to lubił dobrze; jak sobie czasami podochocił, to powiedział: byłem nie oślepl, ani zakulał, a handzarka — tak nazywał swoją janczarkę — zawsze mnie kochała, to od nikogo z ludzi nic nie potrzebuję, a czasami ludziom mogę zrobić dobrze. Kiedy z jednym tylko człowiekiem się zrachodził, to był rozmowny; przy trzecim już niewiele gadał, mówiąc: nigdy nie żałował ten co milczał, a zawsze ten co wiele prawił.

— Przed szopą Rudni stał parokonnny wózek, a widać tylko co przyjechał, bo młodzieniec jeszcze nie zszedł z niego, i Dmytro zaledwie zeskoczył. Ludzie choć oczernieni węglem i okopieni dymem, ale nie w łachmanach, biegli na powitanie Pana, a widać było że to wszystko szczere, serdeczne. Młodzieniec choć smutny uśmiechał się do nich, i do każdego jakieś słowo przemawiał. Oni rozumieli dolegliwość pańską, i radziby częściej jej przyjąć na siebie, a jemu ulżyć.

Baran trącił Chwedja.

— Patrz jaki młody, a już jak rodzony ojciec z ludźmi. —

Skoro młodzieniec ujrzał Barana, natychmiast przystąpił do niego, zaczął rozmawiać; a ciągle postępując, tak się oddalili od ludzi, iż ich rozmowy ani słyhać było.

Nie dziwiło to nikogo: Baran to cymes myślistwa, a młody Pan tak kocha życie łowca, zapewnie o tych to rzeczach rozprawiają z sobą. Chwedjo tylko na nich z pod długiej brwi rzucał okiem niedowiarstwa i w myśli dla siebie samego pomrukiwał.

— Dziś jak senny był na polowaniu, lisa prześlepił, a teraz o polowaniu jak żywo gada z Baranem i za psami nie jedzie. Jakaś to jest robota!

Za szopą podkradł się jakby do czeszącego się łosia w łomie, i ztamtąd wyraźnie dosłyszał te słowa: Tylko pamiętaj o nich.

— Bądźcie spokojni Panie, co Baran weźmie na siebie, to i doniesie tam gdzie trzeba.

W stronie ku Bohdanówce dało się słyszeć podymanie borówki, Ostap psy zwoływał; wszyscy strzelce szli na ten głos, a młody Pan idąc z Baranem ciągle rozmawiali; wózek toczył się z tyłu, kołami rozgartywał piasek, i jakby w puchu tonął, nigdzie nie zaterkotał; konie od owadów kiwały głowami, nogami rzucały, a Dmytro położył rusznicę na wózek, i kawałem łyga jak nachajką pochlastywał po piasku; odezwała się w nim Ukraińska przywyczka.

Doszli do Ostapa, który stał przy granicznych kopcach i trąbił, i nawoływał, a psów jak nie ma tak nie ma, ani jeden nie przyszedł. Baran poszedł w las i niebawem wrócił.

— Nie trąb, porzuć Synu, psy w Bohdanówce we dworze.

— Jak to? — zapytał młodzieniec.

— Ot tak Panie, liszkę zabili, psy połapali i poprowadzili do dworu.

— Gdzie? — Kiedy?

— Chodź Panie tu. —

Przeszli kilkaset kroków drogą i Baran pokazywał. — Tu pod dębczakiem stał Klimowski krzywonózka, patrząc jak

kuterlawo popisał po piasku; ztąd strzelił, ot i flejtuch leży. — Podniósł spalony kłak za drogą, i podszedł kilkanaście kroków.

— A tu liszka upadła i psy przybiegły, i dwóch drugich Bohdanowców. —

Było widać i farbę lisa, i psie pazury, i ludzkie stopy. — Baran szedł znowu na drogę.

— Patrzcie, jak ciągnęli psy na pasach, ot Zagrajowe łapy, jak się opierał, to uparty pies; a to Śpiewak, jak odgryzał się, skakał na strony; ja ich znam, poznałbym djabli wiedzą gdzie.

Strzelce kmetowali i kręcili głowami.

— Prawda. — Prawda. —

Tymczasem Baran zawietrył, i skoczył w bok, jak pies co świeży trop zasłyszcy; odgarnął nogą gęsty krzak, i kolbę handziarki podrzucił lisie ścierwo obdarte.

— No Klimowski, nie taki ty durny! psy będą we dworze, ale lisia skórka tam nie będzie, zagręźnie u Rebe Moszka. —

Myśliwska to sztuka z lisa w duch zdzierzgnąć skórki.

Poleszuki radzili żeby lasem jeźli można przeciąć drogę uwodzącym psy, z nienacka wpaść i odebrać; a jeżeli nie, to poczekać do nocy, i w nocy wykraść psy z Bohdanówki. Już każdy jedną nogę wysforował w las, kiedy Dmytro się nabundiuńczył.

— Poczekajcie! co to będziemy jak złodzieje kraść to co nasze. Paniczu, jedźmy wprost do Bohdanowieckiego dworu, jak nie oddadzą nam, to w Dawidkach i w Sewrukach jest więcej ludzi jak u nich; nauczymy złodziejów. Jakby Pan był, toby tak zrobił. —

Na te ostatnie słowa zarumienił się młodzieniec.

— Jedźmy. — I siadał na wózek.

Baran przystąpił.

— Panie, Bohdanowiecki dwór nieszczęśliwy na zajazdy.

— To nic. Idźcie do Rudni, my z Dmytrem pojedziemy.

— I ja z wami Panie — i dodał bardzo cicho: — staryby się gniewał. —

Nim jednak siadł na wózek, rzucił okiem na strzelców jakby kogo szukał.

— A gdzie Chwedjo, czy poszedł w las? —

Popatrzyli na siebie.

— Z Rudny z nami nie wyszedł. —

Zamruczał pod nosem Marko Baran, jakby nierad był temu; ale wózek pojedzał, i strzelce znikli w lesie, a wiatr dał i pogwizdywał, jakby sam jeden tylko był w całej puszczy.

W Rudni woda szumi na łotokach, warczą koła, młoty stukoczą, ludzie wzięli się do roboty.

Poniżej łątok, nad samą rzeczką, na kupie przepalonych żużli, pod krzakiem gęstej łożyny, siedział jakiś stzelec, u nóg położył rusznicę, wydobyl z torby kawał razowego chleba, sło-
 ninę i główkę czosnku kozikiem krajał, palcami łuszczył czo-
 snek i zajadał. Nie patrzył on jak się pieni, i niby w rozpadliny
 rozdziera wartka woda Hrezli, jak liście za liśćmi to potoną,
 to wyhulkną, i jedne za drugimi gonią po niej. Nie patrzył
 na tę trochę jaśni w ciemnej puszczy, na bury dym z kuźń, na
 błękitnawe niebo i na złote słońce, a tego wszystkiego w puszczy
 nie zawsze i nie tak dużo widać. Zjadł, resztki pochował
 w torbę, z pęcherza nałożył bakunu w drewnianą fajkę, z brzo-
 zowego korzenia, zczerniałej od zakopcenia; zaledwie dotknął
 krzysiwem krzemienia już hubka się zapaliła, pociągnął pare
 razy, dym mu w nos zaleciał. Wtenczas dopiero wstał z ziemi,
 podniósł rusznicę, rzucił wzrokiem do koła, wyjął z torby czap-
 kę z siwych baranów, z sinym wierzchem i z siną wstążką u
 góry, przykrył rude włosy, i żwawym krokiem ruszył po nad
 rzekę; ta czapka na głowie, ten chód nie cichy mówią lepiej
 jak słowa: Nie na łowy, ani w puszcze on śpieszy.

II.

Ucichł wietrzyk, lśkną się wody,
Ani się listek porusza;
Ach czemuż takiej pogody
Nie doznaje moja dusza.

SZYMON KONOPACKI.

X Słońce już dobrze w górę się posunęło, rosa oschła, kiedy Państwo Bodanowieccy z dziećmi wyszli w las na rydze. Nie trzeba było iść daleko, bo na Polesiu krok za wrota wioski, to i bór, jeżeli czasem chałupy nie między borem.

Pan już miał przeszło czterdzieści lat, poczciwy szlachcic i jak to z łacińska zowią domator. Po wyjściu ze szkół od Ojców Bazylianów w Owruczu, z trzeciej klasy, wrócił pod rodzicielską strzechę; nieboszczyk bowiem ojciec powiadał: na co mu ta czwarta klasa, i tak już gada o jakichś Medach, Persach i Assyryjczykach, choć ja ich nigdy nie zdybywałem, ani w Mozyrskim, ani w Rzeczyckim, ani nawet ztamtej strony Żytomierza, co zdaje się że człowiek zjeździł kawał świata i zna cokolwiek ludzi. Gada o królach Izraela i o ich wojnach z Samarytanami; prawda że te parchy goimami nas nazywają, ale nigdy przecie nie słyszałem, żeby nawet Kahał Berdyczowski miał swoje wojsko i z kimś wojował. Wolno pisać w psalmach o królu Salomonie, o królu Dawidzie, to zwyczajnie rzecz religijna, tajemnica; trzeba w to wierzyć, ale szlachcicowi, kopciuchowi smoły, na co to się zdało? — Od tego czasu Pan Jan do żadnej książki oprócz kalendarza i rejestrów nie zajrzał. Polowanie nie koniecznie lubił, ale gospodarką umiał się zajmować; co roku przedawał na miejscu i z wywozem do Berdyczowa albo do Korostyszowa, a nawet czasem i do Chwastowa, po sto kilkadziesiąt kuf smoły, po kilkadziesiąt kuf dziegiu, tysiącami kóp drani, a hukiem tysięcy gąt; u niego kopali położy do sani, gięli obwody i z grabu wyrabiali dzwona do kół. Becańskiemu Frankłowi, albo Czarnobyłskiemu Szai, przedawał potaż dobrą ilością szyfuntów.

Założył rudnię, a myślał sobie jak Hrezła stanie się spławną rzeką, to znajdą się i bale i klepka i wańczosy, a nawet i masztowe sosny. Sprawy czasami miewał, a zatem na kadencje jeździł, raz albo dwa razy na rok do Owrucza. Żadnego trzechlecia w Żytomierzu wyborów nie opuścił, bo to byłoby śmiertelną winą dla Owruczanina, przywileju obywatelskiego zaniedbywać, swego stronnictwa na wyborach nie wspierać; raz mu się trafiło być w Berdyczowie, a słyszał o Kijowie; choć Owruczanin nie był wielkim zawadką. Stał się zamożnym obywatelem, nie grzeszył gorącym rwaniem się do pracy, a nadzwyczaj lubił, nadziawszy chałat i rogatą czapkę z barankiem, zapaliwszy fajkę na długim cybuchu, wyjść z dziećmi i żoną, czy na poziomki, czy na grzyby, czy na orzechy, a tego wszystkiego było pełno; ta rozrywka wielce go cieszyła, i miała czego cieszyć.

Żona, poczciwa kobieta, niewybredna, zawsze kilka tysięcy złotych polskich zbierała za żurachwiny, za orzechy, za wianki suszonych grzybów i za solone rydze. Zajmowała się drobiem, nabiąłem, przędzą i całem gospodarstwem. Przytem czytywała książki pożyczane u Pani Pauszyny z Lisowszczyzny, albo u Pani Podkomorzyny Załęskiej. Sama uczyła dzieci czytać, pisać, rachunków, religii i historyj polskiej, a Pan Uszczapowski, wysłużony agent Owruckiego grodu, bawiący na respekcie w Bohdanówce, dawał dzieciom nocje o prawnej i kościelnej łacinie, o jeografji i kaligrafji; tej ostatniej nauki nieznaney w Owruckim powiecie, nasłuchał się od Pana Franciszka Załęskiego, którego rodzice wysyłali gdzieś bardzo daleko na nauki, bo aż za cesarski kordon, tam gdzie bywali Polacy walczący w szeregach Napoleona; ale ci pewnie kaligrafji nie wwiozą do kraju.

Z siedmiorga dzieci, czterech synów już wyrastało z malców na chłopaków; najmłodsze córki były jeszcze malutkimi dziećmi, a najstarsza Benigna, pierwszego małżeństwa, miała już rok szesnasty.

Podczas kiedy dzieci i matka zbierały rydze, toczyła się rozmowa Pana Jana z Rejentem.

— To jest gwałt, abusum przeciw privilegium obywatelskim, bez zapoznania i zyskania kondemnaty, porwać kogo ze swojego własnego domu, jak gdyby był złapanym na gorącym uczynku zbrodni! Na to nie pozwalam! veto!

— Co Waćpan z swoim veto poradzisz; oni dawniej tak robili i teraz tak robią.

— Dawniej in tempore zaborów, nie mówię; prawo silniejszego, lex przemocy, ad conclusum, zawiesiło vigor wszystkich konstytucyi i statutu Litewskiego; ale kiedy najjaśniejszy cesarz Paweł przywrócił nam wszystkie prawa i przywileje, a dzisiaj miłościwie nam panujący manifestem nie protestował

się przeciw temu, zatem takie postępowanie jest non ~~de~~ jure, ale de hajda.

— Waćpanu się roją po głowie manifesta, kondemnaty, najjaśniejszy cesarz kazał i kwita; zresztą Chrystynowiec pies wart tego. — Zczerwienił się, i bursztyn cybucha ścisnął zębami.

— Panie Janie, sine ire, na bok prywaty, a rem publicam miejmy na pieczy; jak się nam gratka trafi, tak jakem Uszczapowski, sproprocessujemy Pana Wojciecha, na grzywny wskażemy i osadzimy in fundo; ale w dzisiejszej kategorii nie cieszymy się z tego, bo co się stało Panu Wojciechowi dziś, to się jutro może stać Panu Janowi.

Tak się spierając dochodzili do drogi, właśnie w chwili, kiedy pobereźnicy prowadzili na pasach sześć psów gończych. Klimowski, rodzaj leśniczego, zdał sprawę z całej rzeczy, dodając:

— Lis w norę się schował, a psy wszystkie połapaliśmy. — Rejent klasnął w dłoń.

— Otóż i gratka; ale psy na naszej ziemi już były?

— A jużci, przynajmniej pięćset kroków za kopcami.

— Czy nikt nie był za psami ze strzelbą, z odwiedzionym kurkiem?

— Myśmy nie widzieli, ale dojeżdżający trąbił, i teraz jeszcze trąbi.

— Gdzie? w pańskim lesie?

— Nie, zdaje się na samych kopcach.

— Podrapał się w głowę.

— No, jakoś to będzie; dobrze, psy Pana Dominika zapuszczone i zachęcane przez dojeżdżacza, jak to z głosu trąbki słyhać było, bez żadnego opowiedzenia się, prawem kaduka wpadły w las Bohdanowiecki, i tam goniły lisa należącego do Jaśnie Wielmożnego Jana Potockiego, deputata sądu głównego. Urodzony Paweł Klimowski, leśniczy Bohdanowiecki, z roboczemi Wasylem i Hryckiem Birukami, i Mykitą Hucalukiem pobereźnikami, per amor justicii i poczciwość służby, lisa Wielmożnego Pana obronili, a psy na gorącym uczynku połapali. Ciż ludzie słyszeli wyraźnie i dobitnie cum omnibus argumentis przekonania, że dojeżdżacz trąbił, w zamiarze wypłoszenia wszelkiej zwierzyny z lasów Bohdanowieckich, w lasy Dawidkowskie i Sewrukowskie, należące do Jaśnie Wielmożnego Podczaszyca Kijowskiego. I strzelce Dawidkowscy w lesie być musieli, i sam Pan Podczaszyca być musiał. Czy przysięgniecie na to?

— Przysięgniemy Panie.

— A więc dobrze. Psy prowadźcie do dworu; tam zamknąć in fundo, wartę postawić, a jak przyjdziemy, pozabijać w dyby, i odstawić do grodu w Owruczu, jako corpus delicti.

Pojutrze pozew, potem kondamnata, publikata, na gruncie kondescencja, dekret, jedno po drugim, łap, cap; sprocesujemy in fundo. —

Ręce zacierał, i jak żóraw podskakiwał z radości; pobereźnicy prowadzili psy, i Pan Deputat z Rejentem szli za niemi. Imość z dziećmi została na rydzach.

— Teraz za nami lex — rzecze dalej Pan Rejent — z tego się cieszymy, ale z wypadku Pana Podczaszego to nie. Wyraźnie stoi w prawie: Neminem captivabimus nisi jure victum, a tu postąpioło wbrew wszystkiemu, po hajdamacku.

— Ależ i my Mości Rejencie nie bardzo sumiennie poczynamy, z ojcem mamy na pięku, a na synie chcemy powetować, coś to na to wyjdzie; [nie można po koniu, to po hołoblach.]

— Ja nie ksiądz żebym szperał w sumieniu; u mnie statut litewski i konstytucje to grunt, quod litera prawa docet, to się i godzi.

Panna Benigna zapewnie z przypadku, nie przez wmawianą ciekawość u kobiety, widziała i słyszała to wszystko co się stało na drodze. Jeszcze zbierała rydze nie daleko ztamtąd, kiedy zobaczyła jadącego Pana Podczaszyca; Panna Benigna nie rozmawiała nigdy z Panem Dominikiem, gdyż między rodziną Potockich Owruckich, a Podczaszym Kijowskim była wielka nienawiść; nigdy u siebie nie bywali, a jak się u kogo przypadkiem zjechali, to gospodarz miał wielką robotę żeby nie dopuścić ich do siebie. Ta nienawiść ojców, w spadku musiała zstępować i na dzieci; szczęściem że Panowie Podczaszy Kijowski i Deputat Wołyński, byli z tak zwanych w Owruckim, pojedynkami czyli odyńcami; to jest że nie liczyli wiosek zamieszkałych przez szlachtę noszącą jedno i tożsame szlacheckie miano, i pieczętującą się jednym i tymże samym herbem; albo że nie byli z praojców rodzimemi z Owruckiego, bo by był nie jeden zajazd krwią namaszczony, jak to bywało między Możarowskim a Massalskim, między Niemiryczami a Trypolskimi.

Młoda dziewica widywała jednak nieraz młodzieńca nieprzyjaznego rodu, w Metyjkach w cudownej kaplicy; choć ta kaplica stała na gruncie Pana Podczaszego, Pan Deputat tam jeździł z rodziną na wszystkie odpusty i nabożeństwa, powiadając: To Boży grunt, nie tego psa. Zresztą powód waśni z Podczaszym nie był osobistym Panu Deputatowi, ale tyczył się jego brata, on zaś jako dobry brat wspierał brata swoją nienawiścią.

Panna Benigna poznała Podczaszyca, oznajmiła jego przyjazd matce i zaraz wszyscy z rydzów wrócili do domu.

Matka niespokojna i córka niespokojna; reszta zaś dziatwy nierada, postępowała opornie, i gdyby nie stara Katarzyna zaganiała je przed sobą jak trzodę gęsi, pewnieby pogubiły się w lesie, bo ani Pani Deputatowa, ani Panna Benigna nie oziebrały się za siebie.

Wózek Podczaszyca stał na dziedzińcu przed gankiem i przy nim był Baran; na wszystkie strony rozpatrywał okiem, jak przezorny wódz pole i szeregi nieprzyjacielskie przed stoczeniem bitwy; miał on twarz spokojną, ale handzarkę ręką cisnął. Dmytro w sieni nabundiuzył się i uchem słuchał co się dzieje w pokojach, na jeden głos pański gotów tam biedz; milczał przez wzgląd na swojego Pana, lecz na Bohdanowieckich ludzi poglądał jak chart na kundysy, a pięści miał na podobieństwo gotowe. Pan Deputat, dla tego iż nie mógł znieść widoku człowieka, którego ojciec znieważył jego brata, nie ufając powstrzymaniu swojej żartkości, wyszedł do kobiecego pokoju, którego drzwi wychodziły na ogród warzywny przytykający do lasu. Rejent zapraszał Pana Podczaszyca w pierwszym pokoju aby usiadł, i podał mu krzesło.

— Niech Jaśnie Wielmożny Podczaszyce pozwoli sobie: po fatydze spoczynek nie zawadzi, a kiedy będzie jego wola, zrobimy komportacją dokumentów do sprawy.

— Panie Rejencie, jabym żadnej sprawy mieć nie chciał, ani sądzę aby ona być mogła. Na moim gruncie psy lisa ruszyły i zapędziły w las Pana Deputata; cóż to dziwnego? w sąsiedztwie takie rzeczy co dnia się zdarzają.

— Humillimus servus Jaśnie Wielmożnego Pana; z mego obowiązku przestrzegacza praw, muszę oświadczyć, że Statut Litewski w artykule o polowaniu, wyraźnie powiedział o gonieniu liszki cudzej.

— Ależ to nie cudza liszka, tylko moja?

— Dokumenta, wizje na gruncie i przysięgli świadkowie to okażą.

— I na co to wszystko się zdało? lepiej zgodnym sposobem tę rzecz zakończyć.

— Co się nieprawnie zrobiło, to prawo rozsądzać musi, i ukarać przestępnego. W innym razie na cóżby były i Statut Litewski i Konstytucje. —

Młodzieniec się zaczerwienił, a głos jego krótszy, bardziej ucinkowe brzmienie nadawał słowom.

— A więc Pan Deputat moich psów oddać nie chce?

— Nie nie chce, ale nie może; prawo lex, zasadą porządku krajowego.

— No kiedy tak, to ja potrafię. —

W tem drzwi się otworzyły i weszła Pani Deputatowa; Podczaszyce wnet powstrzymał gniewne słowa, powitał ją grzeczny ukłonem, a nawet skinął okiem na wchodzącego

Dmytro, aby się zatrzymał za drzwiami. Dmytro jak rozsierdzony a posłuszny wyżeł, mruknął, ale zrobił co Pan kazał.

Z wielką nieradością Rejenta rozmowa przerwana została, a zaczęła się o rzeczach nieznaczających, o pogodzie, o dobrej drodze, ilości rydów. Już Rejent chciał znowu wypalić jakiś prawny argument, bo się pogłaskał w łysinę, i głębiej przekrzywił jak do łaciny, kiedy usłyszano na dziedzińcu skomlenie i naszczekiwanie psów.

Panna Benigna jak łowczyni Dianna, szła dziedzińcem lekko, polotnie, piasek ledwie drobną nóżką muskała, sześć podżarych ogarów koło niej się lasiło, jak gdyby ona była ich panią; z pod słomianego kapelusza, jasny włos wymykał się w bezładzie i igrał z gładkiem licem, a małą rączką głaskała psy: kibić kształtna, nie rosła, ani mała, miała w sobie urok dziewicy lasu.

Rejent pierwszy w okno spojrzął.

— Panna Benigna protestuje. —

Deputatowa mrugnęła na niego.

— Niech Pan da pokój, na co to zwady w sąsiedztwie?

— Podstęp, świadczę się wszystkimi, zanoszę manifest, i idę do strony, do Jaśnie Wielmożnego Deputata. —

I szybko wyszedł w głąb domu.

Pani Deputatowa powstała z miejsca, nie śmiała powiedzieć, a jednak otwierała usta jakby miała co do powiedzenia. Podczaszyc odgadł jej myśl; pocałował ją w rękę.

— Bardzo Pani dziękuję za takie skończenie niepotrzebnego sporu, i żegnam żeby na nowo go nie wszcząć.

— Niech Pan będzie pewnym, że mojem życzeniem jest, aby jak najlepsza sąsiedzka zgoda trwała.

— Ja z mojej strony wszystko zrobię żeby tak być mogło. —

Już odchodził, kiedy weszła Panna Benigna. Deputatowa ją przedstawiła.

— Moja najstarsza córka. —

Panna dygnęła, zarumieniła się, błękitnymi oczyma, ładnymi jak niebo Krymu, spojrzała chwilkę i spuściła je ku podłodze.

Podczaszyc skłonił się, pocałował ją w rękę; nie mówili do siebie, ale ich spojrzenie lepiej jak słowa powiedziało: że to spotkanie na zawsze zapisało się, nie w pamięci rozumu, ale w pamięci serca.

Podczaszyc odjechał, i posworowane psy za wózkiem pobiegły. Dmytro się przeczwaniał: Bohdanowieccy ludzie nie śmieli ani słowem, ani czynem, temu odjazdowi przeczyć, bo tak Panna z rozkazu Pani poleciła, a Pani była prawdziwą

Panią w domu. Widzieli zaś wszyscy jak Baran z Panią rozmawiał, musiał skłonić ją do tego postępku ważnemi powodami.

Sebestjan Uszczapowski po warzywnym ogrodzie deptał i wrzeszczał.

— Zdrada! podstęp! lex za nic! Jaśnie Wielmożny Deputacie protestuję, ratujmy się! Jaśnie Wielmożny Deputacie, hop! hop! —

Przybiegła sama Pani, i trzech chłopacy.

— Daj Pan pokój, nie krzycz! Mężu, Janie! —

Chłopcy wrzeszczli.

— Tatu! tatu! —

Rozbiegli się po ogrodzie i jeden z nich zawołał:

— Oto tato! —

I Deputat rad nierad podniósł się z konopi.

— Co tam takiego? — A twarz miał zatrwożoną.

— Corpus delicti przepadł, protestuję, manifest zanoszę. —

Pani Deputatowa opowiedziała mężowi całą rzecz; on cierpliwie słuchał.

— Pojechał?

— Pojechał. —

Otrząsł chałat z ziemi, i twarz otarł.

— Ja też to wszystko słyszałem; ażeby go drugi raz na uczynku złapać, cichaczem przez konopie ruszałem chcąc mu przeciąć drogę i zatrzymać. —

Żona się uśmiechnęła, a Rejent pogładził łysinę.

— Jeszcze czas, żywo na koń, to i dopędzimy; jak nie zechce dobrą wolą zwrócić do egzportacji, na kondescencją, corpus delicti, to przy świadkach zaprotestujemy się i zanieśmy manifest do akt; swoją drogą wydamy pozew na pierwszą kadencję. Chodźmy! —

Deputat się nie spieszył.

— Zapewnie, zapewnie; ale starzy ludzie mówią, że nie ma nic złego, co by nie wyszło na dobre; może to i lepiej.

— Statut Litewski, konstytucję, cały lex pogwałcony! o tempora, o mores! —

Deputatowa się śmiała.

— Niech Pan Sebestjan tak nie krzyczy, ludzieby myśleli, że tu nie wiedzieć co się stało, a ja powiadam że to się dobrze zrobiło; nie godziło się wadzić z Panem Dominikiem, kiedy jego ojciec cierpi, może niesłusznie.

— Słusznie nie słusznie, tego nie wiem, i w to nie wchodzę; ale nieprawnie, gorzej jak jure caduco. —

Pan Jan już przyszedł do siebie.

— Dobrze mu tak, dobrze, niechaj cierpi; i synowi to się dostanie.

— Mój mężu, żebyś ty widział jak Pan Dominik był umiar-

kowanym, roztropnym, jak nam dziękował grzecznie; niech Benisia ci powie. —

Panna Benigna zarumieniła się, i nie śmiała podnieść oczu na ojca; a ojciec zmarszczył się.

— Nie dbam ja o ich grzeczność; dziękował, bo wiedział że źle by z nim było; słusność z naszej strony. Gdybyście mnie były nie przeszkodziły, byłbym go zatrzymał; ja biegam jak sarna kiedy idzie o rzecz. —

Chłopak co znalazł ojca przerwał mu:

— Ależ tatko nie biegł tylko leżał jak grzyb, jak Cytra kiedy się od much schowa. — Cytra była to stara wyźlica.

Deputat dał klapsa chłopakowi.

— Milcz, kiedy starsi mówią to trzymaj język za zębami.

— Ja prawdę mówię, jak mamę Kocham. — I płacząc odszedł.

— [Co z woza spadło, to nie zawsze przepadło] wszak prawda Panie Sebestjanie?

— Możemy jeszcze zaraz pozwać, wpis nastąpi przed kadencją.

— Pomyślemy nad tem, ja ich nauczę.

— Sprocesujemy. Zaraz ja im tu wytnę pozew, cum omnibus argumentis. — Zacierał ręce, Pani Deputowa uśmiechała się, a Panna Benigna koila płaczącego braciszka, i sama miała łzy w oczach, nie wiedzieć dla czego. —

W Dawidkach we dworze, przed obrazem Matki Najświętszej Pani Podczaszyna klęczała i modliła się; modliła się gorąco, a łzy po łzach spadały na lice; łzy to najlepsze słowa do Matki dziewicy, bo i ona płakała.

W trzecim pokoju Kawecki, Łowczy Pana Podczaszego Kijowskiego, rozmawiał z Księdzem Sierocińskim, młodym Bazyljanem tylko co przybyłym z Owrucza.

— Proszę Ojca, czy nie słyszał co o naszym Panu?

— Słyszałem, dopiero wczoraj powieziono go do Mozyna.

— Jak to? dopiero wczoraj, a już przeszło trzy tygodnie jak go nam porwano z Chrystynówki.

— Mówiono mi że chorował, ot tak sobie; ale Pan Tadeusz Teleżyński w to się wmięszal.

— No, jak Pan Tadeusz w to się wdał, to nie może być inaczej tylko na dobro naszego Pana. Poczciwe bo to Panisko, ale ten Hoszowiec gospodaruje u nas jakby u siebie.

— W Bogu nadzieja, wszystko to dobre się skończy.

— Ojciec Dobrodziej jego nie zna, on gorszy Tatar. Tatar porabowałby to co zastał i uciekł, a on to ssie jak pijawki, póki wszystek dobytek z człowieka nie wyssie. Od Tataru można było się chować w nasze Poleskie twierdze, i już tam było bezpiecznie, jak u Pana Boga za plecami; a od Hoszowca

żeby się człowiek w ziemię schował, to jeszcze i ztamtąd wykopie.

— Trzeba doglądać pańskiego dobra.

— Jak tu pilnować, kiedy rząd natychmiast naznaczył go Administratorem. Za pozwoleniem Ojca Dobrodzieja, tak sobie postąpił, jak gdyby Cygana zrobił dozorcą nad sadłem, albo żyda nad dukatami holenderskimi, a nie obrzezanymi jeszcze. No już jak Pan nie prędko powróci, a on nie przestanie szarą gęsią gospodarować w naszym dobru, to mu takiego dam lupnia, jak dzikowi w Stepczakowym polu.

— Cóż ta ma znaczyć?

— Jak go wytnę z mojej segalasówki, to mu zaśpiewają requiem eternam.

— Tego Waćpan nie rób.

— Choć to grzech śmiertelny, do piekła mnie poprowadzi, dalibóg dłużej nie wytrzymam.

— Waćpan jesteś człowiek bogobojny, zabójstwo to grzech śmiertelny, zresztą Pan Nestor taki Polak jak i Waćpan.

— Prawda że on Polak; prawda i to, że jak krzyknie w Hoszowie, to przynajmniej ze sześciuset szlachty stanie na jego zawołanie, i to samych Hoszowców, ale żeby tylko krzyknął.

— Może też on i krzyknie kiedy.

— To proszę Ojca: jak kto nie Polak, to można jego zabić?

— Jeżeli Waćpana, albo Waćpana ziemię napastuje, to w obronie Pan Bóg przebacza.

— Dziękuję Ojcu, dobrze że ja wiem; nabiję ja moją segalasówkę i zasiądę nade drogą jak na wilka; co nie chybię, to nie.

— Tylko Waćpan niewinnego nie napastuj.

— Niech Ojciec Dobrodziej będzie spokojny, już ja to rozumiem kto to winny, a kto niewinny.

— Trzeba także, żebyś nie Waćpan sam, ale inni byli tej samej myśli.

— Ja to także rozumiem; ale proszę Ojca Dobrodzieja, czy są jakie nadzieje?

— Nadzieja zawsze w Bogu, ale bez siejby nie będzie żniwa.

— To siejmy i zbierajmy.

— Pan Bóg da, że i to przyjdzie. —

Kawecki wyszedłszy, pomyślał sobie: coś i Ksiądz tak śpiewa jak nasz Pan śpiewał; nie przekroczyłem pańskiego rozkazu, takem ostrożnie gadał, że niktby się nie domyślał że ja o czemkolwiek bądź wiem; ale kiedy Bazylijanie już zaczynają rozwodzić takie słowa, to pewnie coś będzie; oni jak dzwonią Boże dla sprawy polskiej, zawsze na Anioł Pański pierwsi dzwonią. Chwała Bogu nietylko same kozy i kabany będzie człowiek

strzelał, ale może i na grubszego zwierza od losia zapoluje się; na białego niedźwiedzia.

Ksiądz Bazyljan ze swej strony powtarzał: gdyby to z każdym człowiekiem jak z tym można się rozmówić, toby i dobrze poszły rzeczy; pewny jestem że mnie rozumie, ale też on z dobrej szkoły, ze szkoły Pana Podczaszego. O ja wiem że tu u nas w Owruckim, mało który powie: nie pójdę, zostanę w domu. Boże daj żeby prędzej można było powiedzieć: Idźcie w Imię Boże.

Tak rozmyślał młody Bazyljan, kiedy przed ganek zajechał wózek. Pani Podczaszyna matczynem przeczuciem poznała że to syn i wybiegła przeciw niemu. Ledwie drzwi się otworzyły już syn był w jej objęciu. Ona go pieściła jakby to była ma-lutka jeszcze dziecina; on całował jej ręce, a uśmiechem chciał skryć matczyneiną oku głęboki smutek; nie śmiał zapytać o nic, choć widział Bazyljana przybyłego z Owrucza. Matka zgadła ten uśmiech musu; zgadła to milczenie.

— Mój Dominiku! Wojciech zdrów, Pan Tadeusz do was pisze — i podała mu list.

Dominik czytał i łzy mu stanęły w oczach:

— Dla czegoż Pan Tadeusz chce abyśmy z mamą siedzieli w domu; wtenczas kiedy obcy dopełniają to cobyśmy powinni byli dopełnić.

— Pan Tadeusz powiada jak widzisz, że nasza niespokojność obudziłyby silniejsze podejrzenie rządu, a nasze oddalenie się ztąd dałoby sposobność naszym nieprzyjaciołom do podma-wiania chłopów aby zeznawali Bóg wie co na Wojciecha.

— Mamo, ja pewny jestem i o chłopów i o szlachtę; oni kochają mego ojca, oni do nas przywiązani. Co do podejrzenia rządu, to będzie do każdego Polaka, u którego ci panowie będą czuli pieniądze; zresztą tu Mewesa osobista zemsta wszystko robi, taką to on monetą płaci ojcu za dobro-dziejstwa.

— Ależ mój drogi, Pan Tadeusz nasz przyjaciel, człowiek doświadczenia.

— Mamo, on nie syn.

— Patrz jednak, jak on ci wszystko tłómaczy, jak radzi.

— Ojciec by mi tego ani radził, ani kazał; ja pojadę.

— Masz i od ojca. —

Dała mu drugi list, ale tak niechętnie, iż po ramieniu widno że chciałaby go cofnąć w chwili kiedy on go brał.

Ten list był bardzo krótki zawierał tylko to słowa:

— Moja duszko! bądźcie spokojni, nie oddalajcie się z domu, mnie nic złego się nie stanie. Bóg nademną i nad nami czuwa. Ty czuwaj nad Dominikiem, to nasze jedyne dziecko, ale nie

przeszkadzaj mu robić jego powinności: on moim zastępcą. Jako ojciec, jako naczelnik mu rozkazuję, niech się o mnie nie troszczy, a robi to co mu poleciłem przy odjeźdźnem. Rady i rozkazy niech zasięga od Pana Tadeusza. Obowiązki dla rodziców są wielkie, ale są jeszcze nad nie większe. Jeżeli ich dopełni i Boskie i moje błogosławieństwo go nie odstąpi; jeżeli nie, biada jemu, biada nam. —

Dalej były słowa serdecznego a smutnego uczucia, i uściski dla matki i syna.

Matka niespokojnem, łzawem okiem patrzyła w twarz młodzieńca; u niego bladeść lica przerzuciła się na żywy rumieniec, i zapal wysuszył łzę z oka.

— Mamo! czemuś mi nie pokazała od razu tego listu.

— Ty taki młody.

— Ale ja twoje dziecko, dziecko Polski. —

Chwila była milczenia, a łzy wróciły do oczów obojga.

Potem Dominik długo rozmawiał z młodym Bazylianem: od niego dowiedział się że Rapsztyński pojechał gońcem do Kijowa, i że zapewne dziś będzie w Mozyrzu z powrotem; że Sędzia Wyhowski ruszył do Żytomierza do Gubernatora Komburleja.

Matka wiedziała co to wszystko znaczy. W swoim smutku o mężu, w swojej obawie o syna, nie zapomniała o kobiecej troskliwości; kazała dać jeść, bo Dominikowi po polowaniu trzeba było posilić się, i ojciec Bazylian nie odmówi mu swego towarzystwa; a widząc jak syn jadł ze smakiem, bez przymusu, po raz pierwszy od czasu porwania ojca, uśmiechnęła się.

— Widzisz że to polowanie dobrze ci zrobiło?

— Dobrze, dziękuję ci Mamo.

— Ja ci dziękuję żeś to zrobił o com prosiła. —

Po tym późnym obiedzie Bazylian wyjechał; tylko Panu Dominikowi wiadomo dokąd, a Baran wprosił się na wózek do Księdza żeby go trochę podwiózł. Barana ugoszczono uczciwie jak to zawsze bywało; Kawecki bardzo szacował jego znajomości łowieckie i w całej szczerocie powiadał.

— W całym owruckiem nie masz myśliwca jak Marko Baran a potem ja. —

Przed odjazem Baran miał naradę z Panem Dominikiem.

O wypadku w Bohdanówce Pani Podczaszyna dowiedziała się od Dymitra, któremu nadzwyczaj było markotno że się tak wszystko skończyło na sucho. Podczaszyna pochwaliła postępowanie Dominika, i wypytywała o Bohdanowiecką rodzinę. Dominik gadał o wszystkich dość, a o panie Benignie najmniej; ale skoro wyszedł na dziedziniec, począł głąskać ogary co były na polowaniu, szczególnie zaś białoszyjego Za-

graja, bo on najbardziej się łaśli koło Panny z Bohdanówki i jemu też najczęstsze głaskanie dostawało się.

Dmytro na to patrząc rzecze:

— Taż też Śpiewak to prym, Pan go zawsze najlepiej lubił; a teraz łaska na tego bałamuta; prawdę to ludzie mówią, że łaska pańska na pstryim koniu jeździ.

Tak to sobie mrucał, żeby do reszty rozpedzić niechęć, że w Bohdanówce nie było żadnej bójki, bo co do swojego przywiązania i za starego pana i za młodego panicza, i za imość dałby się zabić, na kawałki porąbać.

To polowanie wróciło ruch życia Podezaszycowi, bo jeszcze przed wieczorem kazał sobie konia osiodłać, i jak powiadał, pojechał do Sewruckiego folwarku. Jasny kasztanek białonogi po pęciny, z białą strzałką na czole, podsadzał, wyskakiwał, i sobą i jeźdźcem się czwanił, a jeździec wprawny do konia jak dzieckiem nim kierował. Matka z ganku patrzyła na syna Polaka, i do serca matki Polki, tęskne i lube przecucia wciskały się zarazem; zarazem i cieszyła się i smuciła.



III.

Wielu snem śmierci upadło,
Co się wczoraj spać pokładło;
My się jeszcze przebudzili,
Byśmy Cię Boże chwalili.

KARPIŃSKI

Dziwne to te Owruckie plemię! Wieki i wypadki przeszły po Polskiej ziemi, zamąciły po niej i tak wszystko przeobraziły, że gdyby zmartwychwstał człowiek Piastów i Jagiellonów, i przyszedł na ten tu Polski świat, nie poznałby gdzie jest; ale Owruccanie, ani chłop, ani szlachcic, na włos się nie zmienili; jakimi byli ich prapraojcowie, takimi oni są dziś, i ich praprawunkowie takimi będą. Gdyby Ostafi Daszkowicz, gdyby Jan Wyhowski, z nieba, z pomiędzy rycerzy Pańskich, zstąpili do swojej dawnej siedziby, na Owrucką ziemię, myśleliby że patrzą na swoje pułki, co broniły Czerkaskiego zamku, co hulały na Konotopskich polach; taka polskość w duszach i na ciele, w sercach taka krew kipiąca, i taki popęd do szabli, i takie ślepe posłuszeństwo starszym.

Ta szlachta Owrucka, u królów na klęczkach nie wypraszała o herby i uszlacheccenia; do Niemców i Hiszpanów nie jeździła po hrabiowskie korony, ale na polskiej ziemi w obronie Polski, przez szablę nabywała szlachectwa. I to dziwnym obyczajem.

Za Jagiellońskich czasów Zygmunt stary napisał do Ostafiego Daszkowicza podówczas Hetmana Kozaczyzny: — Bisurman Tatar grozi Rzeczypospolitej: broń Wasze granic Ukrainy. — I Daszkowicz w ósm tysięcy ludzi, z Czerkaskiego zamku zgniółł, zniweczył stotysięczne hordy Bisurmana; a kiedy go król chciał dostojenstwami i Starostwami obdarzyć, on odpowiedział: — Najmiłościwszy Panie! ziemię mam, za złoto i dostojenstwo dziękuję, a proszę byś mi pozwolił nagrodzić walecznych co za Ojczyznę się bili, moim herbem, i mojem szlachectwem. — Król rzekł: pozwalam, potwierdzam. — A Ostafi

wróciwszy między swoich, wszystkim tym co pozostali z krwawych bitew, a było ich jeszcze kilkanaście set, oznajmił: — Za pozwoleniem, i potwierdzeniem Króla Jegomości, Pana nam Miłościwego przyjmuję was do mojego herbu, i rodzimego miana, wszyscyśmy bracia, wszyscyśmy Daszkiewiczze. — I ztąd poszli Daszkiewiczze.

Tym sposobem uszlachcili się Bechwowie, Chodakowscy, Uszczapowscy, Mużarowscy, Czapowscy, Korkuszkowie, Baranowscy, Staszkievicze, Waćkowscy, Korczewscy, Kaleńscy, Mileniewscy, Kisiele, Kościuszkowie, Wyhowscy i inni, których jest niemało. Sam Jan Wyhowski po Konotopskiej bitwie cały pułk kozaczy, tysiąca ludzi dochodzący, przyjął za swoich braci, za Wyhowskich. Królowie Polscy potwierdzali to szlachcenie się, z warunkiem, aby ta szlachta chodziła na straż Czarnobyłskiej dzielnicy, bronić granic Polski od Moskwy i Tatarów.

Szlachta w kontuszach, w żupanach, z Matką Najświętszą na piersiach, z karabelą przy boku, z rusznicą na plecach; jedna noga w bucie, druga w postole, na znak, że gotowa i zdolna do konnej i pieszej służby; chodziła na powinność jak Król Jegomość kazał. I dziś ani stroju, ani obyczaju nie zmieniły, mają praojcowskie rusznice, i karabele, i takie same serca jak ich praojcowie, czekają tylko głosu królewskiego: — Na straż, do Czarnobyłskiej dzielnicy!

Wnet razem jak jeden człowiek by się tam kopnęli.

I chłopci między tą szlachtą liczną zeszlachcieli uczuciem, żenili się między sobą i z sobą się bratali. W niejednej wiosce, gdzie dziesięciu szlachty panów, przypada na jednego chłopca, chłop pożyczając swoim panom po grzywienice, po złotówce, w lepszy daleko dobytek urośnie jak jego panowie. W innych miejscach Pan by wydarł chłopowi, ale u drobnej szlachty Owruckiej tego nie masz; oni święcie się trzymają tej prawdy: **Komu Pan Bóg co dał, ten niech to dzierży.** W wiosce szlacheckiej najczęściej buszował żyd arędarz. Co kwartału jak przyszła wypłata raty, panowie szlachta schodzili się do karczmy; żyda czubili, łajali, przepili całą ratę, a potem, na drugi dzień kóleją szli do karczmy na stróżę, i arędarskie powinności, bo chłopci się opłacili, a w kontrakcie wyraźnie to było napisano, trzeba było samym spełniać. Ale to bynajmniej hardego ducha w nim nie pokorzyło, kontrakt dotrzymał, i znowu był taki jak przystało na szlachećca ze straży Czarnobyłskiej dzielnicy.

Z każdej takiej szlacheckiej wioski, kilka młodzieńców wspólną składką wysyłano do palestry, ci jak się prawnego rozumu wyuczili, a rozumem tym dorobili się grosza, bardzo byli poważani; a z nich najstarszy, najmajątniejszy, i najsprytniejszy, stawał się samowładnym wodzem wszystkiej szlachty,

noszącej toż samo rodzinne zwanie; i to samowładztwo spadało na syna i tak dalej, póki rodzina nie wymarła, albo nie wyniosła się z Owruckiego, albo nie zaparła się obyczajów i zwyczajów Owruckich. Szlachta ta była prawdziwym klanem Szkoockim, a ich starszy wodzem; on rozstrzygał spory i karał szlachtę, opiekował się młodemi, prowadził processa przeciw innej szlachcie, rozsądzał ich osobami i ich dobrem, a wszystko co on zrobił było dobrze. Sami religijni i cnotliwi, bynajmniej nie wdawali się w postępowanie starszego, choćby ono było najbardziej szatańskie; w każdym razie go bronili i w każdym razie go słuchali.

Nie był to koniec jeszcze tej hierachji; była szlachta zamożna rodzinna Owrucka, tak zwana pojedynkami, jako Niemiryce, Omiecińscy, Falkowscy, Pauszowie, Głęboccy, Trypolscy, Trzeciacy, Zielenieccy, Teleżyńscy, Załęscy, i inni; ci szczodrotą, gościnnością, przemożną opieką gromadzili koło siebie kilku starszych, szlacheckich rodów, i stawali się ich naczelnikami z prawem dziedzictwa i spadku nawet na gałąź pokrewną, byle w Owrukiem osiadła, i święcie zachowujących Owruckie obyczaje i zwyczaje.

Ślady tego szczeblowania hierachji wszędzie były jawne i dobitne, i na sejmikach wyborowych, i w powiecie na kadencjach. Marszałek powiatowy, jeżeli tylko nie był maniakiem postawionym ot tak sobie na zakrycie kogo drugiego, był rodzimym naczelnikiem całej szlachty, a przynajmniej większej jej części. Mimo sporów i processów jakich niemało istniało w powiecie, jego głos, w razie potrzeby mógł trafić do wszystkich naczelników, a przez nich do starszych a przez tamtych do całej szlachty i chłopów. Takie to szczeblowane skojarzenie, zasiane na Owruckiej ziemi przez prapraojców, przetrwało wieki, trwało do dziś dnia, z nadzieją że przetrwa jeszcze wieki.

W Chrystonówce jakby zajazd jaki, z ośmdziesięciu Hoszowieckiej szlachty pałamaruje we dworze, na folwarku, na toku i w siole, a wszystko Hoszowce. Na nich kontusze, tarataty, i opończe rozmaitej barwy, ale tak popłowiałe że tej barwy i djabeł by nie rozeznał, ale u każdego była kaleta i jedna noga w bucie, a druga w postole, i u każdego Matka Najświętsza na piersiach. Poprzyjeżdżali konno, wózkami, a najwięcej poprzychodziło pieszo; były tam kobiety, poprzystrajane w pstrawe przyjaciółki, w kontusiki które kiedyś musiały być sine, i to były Hoszowianki. Pan Nestor, starszy nad Hoszowcami został tymczasowym administratorem Chrystonowieckiego klucza, i szlachta zbiegła się do posług jego.

Pan Nestor i Pan Feliks także z Hoszowców w komnacie

palili fajki i rozmawiali. Pan Feliks był deputatem Sądu Głównego Wołyńskiego i to drugiego departamentu; dostatni obywatel, poczciwy człowiek, nawet jak w Owruckim powiecie zwali go nauczny. Pan Nestor wcale z innego był drzewa, ale że pochodził z dziedzicznej rodziny, a zatem był starszy, i były Sędzia powiatowy, zwierzczył Deputatowi sądu głównego.

— Panie Nestorze na co ci było się wdawać w te administracje? ludzie będą krzyczeć.

— Niech krzyczą, to się i przekrzyczą; cóż to Mospanku myślisz, że ja taki fryc, żebym wpuszczał kogo innego do ogrodu, kiedy sam mogę pozrywać owoce na utrzymanie znaczenia naszego rodu.

— Ależ trzeba było przynajmniej wziąć na uwagę, za jaką rzecz nieszczęście spadło na pana Podczaszego?

— To wcale inna kategorja; widzisz Mospanku tak: Jak Pan Wojski Owrucki każe, to Hoszowce staną razem z Prószyńskimi, z Trzeciakami i tak dalej. Waćpan wiesz że ja z Bachtyńcem jemy się jak psy, i sprocesuję go na gnile jabłko, a przynajmniej tak podskubię że przez długie lata nie porośnie; a jednak Bachtyńca siostra Waćpana rodzi, i Waćpana synowie spadek po nim biorą. Bachtyńca synowica z Prószyńskiej urodzona poszła za Trzeciaka, a co gorzej Pana Wojskiego córka za Bachtyńca bratem. Wszystko to powiązane, i w rzeczy publicznej, jak żydzi między sobą powinniśmy się trzymać, a w rzeczach prywatnych Mospanku to co innego.

— Jednak dobra zgoda robi jedność, a przy jedności silniej można służyć rzeczy publicznej.

— Mospanku co ci się roi po głowie? [cóż to, gdyby Polska daj Boże była jak dawniej, dla tego Polacy nie mieliby się procesować, i skubnąć jeden drugiego, kiedy się gratka zdarzy? Ja zawsze do mojego wracam; [trzymajmy się jak żydzi, i drzymy się jak żydzi.]

Feliks chciał mówić, kiedy Nestor posłyszał w drugim pokoju hałasy.

— Cyt! cyt! już na sprawy idą. —

Pan Feliks powstał z miejsca, na okazanie przed ludźmi uszanowania jakie ma dla starszego. Nestor rozparł się w krześle, a drzwi się otworzyły i weszło dwóch młodych szlachty.

— Co tam! co tam!

— Panie Nestorze, Mikołaj mi dał w pysk.

— Za co? za co?

— Panie Nestorze, Władysław na mnie powiedział że ja gamoń.

— Osły, osły! — wstał z miejsca. — No teraz Mikołaj powiedz jemu tylko głośno: gamoń jesteś. —

Mikołaj ma całe gardło wrzasnął.

— A ty Władysław daj mu w pysk. —

Władysław z całej siły zamalował dłonią w Mikołajową twarz.

Pan Nestor wziął ich obudwóch za ramiona.

— Teraz zgoda — ruszaj, ruszaj. — I za drzwi wyprosił.

Ale inni znówu się wcisnęli, było to pięć kobiet.

Panie Nestorze, Łukaszowa powiedziała że ja taka owaka.

— Nieprawda, niech Pan Nestor nie wierzy, to ona na mnie gadała.

— Ja słyszałem jak Tomaszowa wykrzykiwała, jak przepupka Owrucka.

— I ja słyszałem, to nie Tomaszowa, ale Łukaszowa.

— Panie Nestorze i Łukaszowa i Tomaszowa obiedwie wygadywały.

— Panie Nestorze sprawiedliwości!

— Cicho, cicho. Cóż ona powiedziała?

— Że ja taka, że ja owaka.

— Łukaszowa cóż tam nagadałaś?

— [Nieprawda, ja nic nie gadałam. Panie Nestorze ona zmyśla.

— Tomaszowa, cóż tam na Waćpanią nagadano?

— Kiedy ja się wstydzę powiedzieć.

Nie wstyż się a mów.

— Kiedy bo. —

— Ale mów Waćpani. —

Zakryła oczy dłonią.

— Że moja przyjaciółka z samej łataniny?

— Ja tego nie widziałam, to mi Janek mówił.

— Janek — Janek — tu go zaraz. A kiedy wszedł, nie dał mu i słowa powiedzieć. Janek pod stół, jak pies naszczekałeś, jak pies z pod ławy odszczekaj. —

Janek włożył pod stół i patrzył ztamtąd.

— Panie Nestorze, a jak mam szczekać, czy guho, czy cienko.

— Szczekaj waść tak: zełgałem, zełgałem, zełgałem: u Pani Tomaszowej przyjaciółka nie z łataniny. —

— Janek dobitnie powtórzył.

— No teraz pocałujcie się. I jedną szlachciankę spychał na drugą, a one się całowały. — Zgoda, zgoda — ruszaj, ruszaj. — A Waść Janku na drugi raz, nie gadaj o tem czegoś nie widział, a milcz o tem coś widział.

W tem zrobił się ogromny krzyk na dziedzińcu Pan Nestor wypadł.

— Co tam takiego. —

Ze wszech stron wołano.

— Antek takiego stusaka palnął staremu Jędrzejowi, że aż go kolki sparły.

Pan Nestor sam własną ręką porwał za łeb Antka, i wciągnął go na ganek.

— Hej dywana! Stanisławie choć Waś, weź kańczuk! Waś taki szlacheć jak on Hoszowiec. — Przyniesiono dywanik. — Antek, kładnij się, zarzuć opończę. Stanisławie, urzńij mu dziesięć, a dobrych. Wstyć, brzydko smarkaczowi porywać się na starszego, on by mógł być Waściami ojcem — pal. —

I Stanisław wyliczył karę nie broniącemu się Antkowi.

— A teraz przeprosić się, pocałujcie się. — I Antek ucałował się ze starym Jędrzejem. Pan Nestor zaś rzekł do Pana Feliksa.

— Tak trzeba koniecznie, popuścić nie można, bo by nie słuchali, a w końcu i mnieby wybili. —

Niedługo potem dano śniadanie przykryte na ogromnych stołach; były tam i bigos hultajski i kielbasy i słonina i czosnek: marynata z ryby i szynka, wódka szumówka i dosyć chleba. Cała szlachta i wszystkie szlachcianki wwały się do jadalnej komnaty. Pan Nestor wypił wódkę w ręce Pana Jędrzeja, jako najstarszego wiekiem, i kieliszek kolejką przechodził. Pan Nestor uściskał Antka, w głowę ucałował Mikołaja, i najlepsza zgoda panowała; zachęcał do jadła i do napoju.

— Pożywajmy dar Boży, kiedy go nam Pan Bóg dał. —

Po śniadaniu Pan Nestor z Panem Feliksem poszli obchodzić zabudowania i gospodarstwo; jako dobry administrator chciał postępować zgodnie z ową gadką: Pańskie oko konia tuczy.

W jednym z pokojów zobaczył Nestor ośm pak poobwiązywanych sznurami i opieczętowanych; obejrzał się do idących za sobą kilku ze szlachty.

— A to srebro Pana Podczaszego; mówiłem żeby te sześć pak zabrać i zawieść do Narodysz; tu na tem miejscu postawić te sześć z porcelaną i z fajansem. Dziś jeszcze odwieziesz Tomaszu to wszystko do Owrucza Isprawnikowi i Strabczemu; powiedzą że to oni zrabowali, a mówić że ośm pak było; rozumiesz.

— Rozumiem Panie Nestorze.

— A ty Antku te sześć do Narodycz odwieziesz, tylko zaraz, a schować w piwnicę, lepiej w ziemię zakopać, rozumiesz? tylko zaraz.

— Dobrze Panie Nestorze. —

Kiedy trochę odeszli, Feliks z cicha przemówił.

— Panie Nestorze będą ludzie krzyczeć.

— To i cóż z tego? Mospanku, i na wilka krzyczą, a wilk owce dusi. —

W kaplicy znaleźli obraz wyobrażający Ukrzyżowanie Chrystusa Pana; Pan Podczaszy w miejscu Faryzeuszów kazał pomalować moskiewskich żołnierzy, w mundurach dragońskich i grenadjerskich, i podpisał swoją własną ręką: Moskale zamordowali Jezusa Chrystusa.

Nestor jak to zobaczył, natychmiast krzyknął na szlachtę:

— Wziąć to, a tak schować żeby nikt nie widział; ani mru, mru o tym nikomu, nawet przed spowiednikiem i przed żonką; rozumiecie.

— Rozumiemy. —

I obraz był zdjęty i schowany tak szybko że ledwie najbystrzejsze oko mogłoby to spostrzedz. Pan Nestor obrócił się do Pana Feliksa.

— Mospanku nie trzeba żeby taka rzecz gubiła Pana Podczaszego. Polak Polaka powinien ratować. —

Feliks ruszył ramionami.

— Widzisz Waćpan w rzeczy publicznej jeden drugiego powinien podpierać. —

Tylko co wyszli z dziedzińca, zdybali stadninę, którą pędzono do wodopaju z pola. Pan Nestor widział kłaczę dobrego rodu, i rażne źrebaki, wnet obrócił się do szlachty.

— Słyszycie, przeliczyć wiele jest źrebaków i jakiej maści, zaraz dmuchnąć do Hoszowa, między waszemi źrebakami wyszukać taką liczbę i takiej maści, tu przypędzić, a tutejsze odpędzić do Narodysz. Za każdego źrebaka Waściowie dostaniecie po trzy karbowance, po korcu pszenicy i garcu jagieł, i puzderko z Cudnowskiej huty.

— Dobrze Panie Nestorze. —

Feliks znowu się zbliżył.

— Panie Nestorze to niesprawiedliwość.

— Jak ja nie zabiorę, to Moskale zabiorą, a zdaję się że Polakowi powinien być miłszy Polak jak Moskal. —

— Na toku Pan Nestor z magazynów rozdawał zboże Hoszowcom, i furami kazał odwozić do Narodycz, powiadając:

— Bierzmy dar Boży, kiedy go nam Bóg daje. —

Na odpowiedź wiernym sługom Pana Podczaszego, szlachta Hoszowiecka kułakami im zatykała gęby, a na wszystkie gadania Pana Feliksa, Pan Nestor odpowiadał:

— Mospanku, drzeć łyka, póki się drą. —

Powracając do domu, zobaczyli tam zajeżdżającą bryczkę: był to Isprawnik Mewes z powiatowym Istrapczym; na koźle zaś obok woźnicy siedział Poleszuk rudo-włosy. Mewesa oczy

kocią radością błyskały, i zaledwie się przywitał, wziął na stronę Pana Nestora.

— No teraz tego huncwota mam w ręku; doniosłem o tem Jenerałowi Ertelowi; ale nie dość mi na tem, muszę cały ród zgubić, i synek tam pójdzie gdzie ojciec, a Chrystonowiecki klucz nam się dostanie, i Dawidki i Sewruki.

— Dobra by to rzecz była, ale jakże to wszystko zrobić?

— Ot ja ci powiem, że przypadek rozumniejszym mnie zrobił, jakem ja to sobie myślał.

— Już to ci na rozumie nie brakuje, jak ty czego nie zrobisz to i diabeł tego nie robi.

— [Przymawia kociół garnkowi, a obadwa smolne;] ale dajmy pokój temu, a mówmy o rzeczy. Pobereźnik Dawidkowski Chwedjo Łykawy, bojąc się aby jego to nie spotkało co spotkało ludzi co z Wojtuniem lubką jeździli na wyprawę Łuhińską, wszystko mi opowiedział.

— Co takiego?

— Że to wszystko czego ja domyślałem się tylko, jest największą prawdą.

— Zkądże znowu mógłby te rzeczy wiedzieć?

— Zkąd wiedział to wiedział, ale dosyć że mnie wszystko od nitki do nitki opowiedział i ja temu wierzę.

— Jabym nie bardzo wierzył.

— No już ja śledztwa z tych rzeczy nie będę robił; ale złapałem kłębek na młodego.

— A toż jak?

— Chwedjo opowiadał przed Baranem, tym psem co to wszystkim panom służy, i spostrzegł się że on ma jakieś konszachty z Panem Dominikiem; posłałem już złapać tego hycla Barana, i wszystkiego dojdę.

— Ja myślę że ten Chwedjo to łgarz, a zresztą i bez tego Chrystonowiecki klucz można capnąć; wszak Podczaszy wypuścił synowi Dawidki i Sewruki z Rudnią — zostawić mu to.

— O nie!

— Wszak to krewny twojej żony? —

Na tę wzmiankę Mewes poczerwieniał, jakby mu krew miała trysnąć z całej twarzy.

— Krewny, krewny, o tak! trzeba do ostatniej kropli wytoczyć krew z Prószyńskich, żeby zatrzeć ich pokrewieństwo z Moszyńskimi. O ja to zrobię, żeby mnie djabli mieli wziąć to zrobię. —

Nestor przypatrywał się gniewnemu Mewesowi w milczeniu, jakby chciał z jego twarzy wydobyć słów do rozmowy, ale to trwało jakiś czas tylko, bo wziął Isprawnika przyjaźnie za rękę.

— Twoja prawda, [kiedy gubić złe to z korzeniem, bo z korzenia może złe odrosnąć.] Ty mnie znasz, wiesz że co zechcesz to ja wszystko zrobię; broń Boże żebym w tem miał mój interes na widoku, ale jedynie przez przyjaźń dla ciebie.

— Dziękuję ci, ja to wiedziałem, że ja na ciebie, a ty na mnie rachować powinniśmy. Słuchaj, ja ci przysięgam, że co tylko mnie się okroi, to tem z tobą po połowie się podzielę.

— Tylko nie tem co by nam Pan Wojciech dał.

— O już co on to nie zmartwychwstanie.

— Jakto?

— Takem go uczciwie opisał Jenerałowi Ertelowi, iż spodziewam się że go zaraz każe albo powiesić, albo rozstrzelać.

— Mniejsza o to. —

Pan Nestor odwrócił twarz, w chustkę nosa utarł, i znowu patrzył na Mewesa. — A cóż myślisz robić, i na co ja ci mogę być przydatnym.

— Dziś w nocy wpadnę na Dawidki, zabiorę młodego i wszystko co znajduję; ale trzeba żebyś mi dał swoich Hoszowców, i sam z nimi był, a przynajmniej dobrze rozkazał, bo w terażniejszym czasie innym ludziom zawierzyć trudno, byłoby nieroztropnie.

— O to bądź spokojny, i ja i moi Hoszowce zrobimy co zechcesz, ale z tym Chwedjem trzebaby jakoś zrobić, żeby kto nie dowiedział się że on z tobą przyjechał, bo by dał znać do Dawidek i wszystko popsuł.

— Dobrze mówisz, trzebaby go gdzieś schować.

— Spuść się na mnie, ja go oddam w dobrą opiekę.

— A Istrapczego spojemy, i on wszystko zrobi co nam się podoba. Wojtuś lubka musiał zostawić i wino dobre, i arak; on to lubił przyjmować gości, teraz może go już djabli przyjmują. —

Rozeszli się obadwa sprzymierzeńcy.

Obiad był suty, na wielkich stołach przykryty, gdyż całą szlachtę do niego przypuszczono, srebro stołowe tylko było położonem przed Isprawnikiem, Istrapczym, Panem Feliksem i Nestorem, reszta jadła ołowianemi i cynowemi łyżkami, a nożyk każdy miał swój. Nim siedli do stołu, Pan Nestor w głos odmówił krótką modlitwę do Boga, dziękując za dary które na nich zsyła. Szlachta pobożnie zęgnęła się krzyżem świętym, i pożywała dar Boży. Choć Pan Nestor nie żałował bynajmniej cudzego wina, szlachta w nim nie smakowała, znajdując że węgryzn jeszcze miał podobieństwo z kwasem,

krzywiła usta i wołała: miód, a jeszcze bardziej wiśniak wódczany. Istrapczy z Isprawnikiem łykali winko, nie za zdrowie prawdziwego gospodarza, ale na pohybel jemu. Po skończonym obiedzie, znowu Pan Nestor modlitwą dziękczynił Bogu za pożyty dar, i szlachta dziękczyniła. Bez tego obrzędu nigdy się nie obeszło, ile razy starszy obiadował ze swoim klanem.

Później Pan Nestor chcąc pokazać swoją gorliwość, wyprowadził Mewesa, pokazał mu trzydziestu Hoszowców gotowych na jego rozkazy, a biorąc sztof wódki z szafy sam z Isprawnikiem zaniósł ją do alkierza, gdzie był rudy Chwedjo; tam już było zastawionem dla niego jadło, bo Pan Nestor wprzód kazał żeby nie zapomniano o żadnej wygodzie dla niego.

— Mospanku pij, jedz; ty dobry człowiek, nic się nie bój.

— Tu ja pod opieką Jaśnie Wielmożnych Panów nic się nie boję.

— O tak, jeszcze dostaniesz nagrodę, będziesz bogatym i ty i twoje dzieci. — Mewes to mówiąc uderzył go po ramieniu, a Nestor dodał:

— Pij panie swacie, ot zaraz przy nas, za nasze zdrowie. —

Nalał wódki w szklankę, aż po brzegach się polało. Chwedjo splunął.

— Za zdrowie Jaśnie Wielmożnych Panów! —

Wypił, skrzywił się trochę jak to chłopski zwyczaj, i otarł usta dłonią.

— Pij synu, to dobre, lekko zrobi na sercu.

Kiedy Chwedjo został sam, rozmyślał sobie: Ot tak mnie przyjmują jakby jakiego pana, ale jak mnie tak będą trzymać w chacie, dziękuję im za ich państwo, wolałbym ja mandrować po puszczy; a to człowiek odwyknie od strzelania. Potem rozrachowywał się z sumieniem. Biedny paniel, on dobry pan, mnie jego żał, żał i Barana, ale cóż robić, mnie by się nie chciało umierać jak Charytonowi i Harasymowi, albo jak Podhorelcowi; ja mam malutkie dziatki, cóżby one robiły sierotami na tym tu świecie. A jakby przyjechał stary, toby mnie tak było, bo co Baran to pewnieby tego w sobie nie zatrzymał co ja powiedziałem; język zrobił raz głupstwo, a djabeł pochnął do złęgo: gorzka moja dola. —

Nalał znowu wódki i pił, smucił się, żałował, nalewał i pił, w sztofie szukał zabałamucenia, i w głowie się moczyło.

I w komnacie pili ciepły pończyk: to ulubiony Owrucki przysmak. Pan Podczaszy zawsze przez Czarnobyl albo przez

Stołpce sprowadzał arak i rum z Gdańska. U niego nigdy nie bywało owej wódki przepędzonej przez brzozy węgiel, którą żydzi zwali arakiem, albo dodawszy rodzyneków i innych ingredjencji rumem, i za taki przedawali pocziwym obywatelom. Pan Podczaszy jak tylko powąchał taki trunek natychmiast poznał, żyda strzepnął za pejsy. — Pójdź precz psie, to z Kroszni albo z Sokołowej Góry, a nie z Gdańska. — I dla tego w jego piwnicy fałszowanego trunku nie było. Po administracji może się znajdzie, bo Pan Nestor w piwnicy gotów tak zrobić jak w stadninie; Moskalowi w butelkach prawdy nie zostawi, tylko fałsz.

I Istrapczy i Mewes aż się oblizywali.

— Za Wojtusia lubki nie byłoby tak bezpiecznie pończyk w Chrystonówce spijać.

— No teraz Értel da mu pończyku. — Zatarł ręce Istrapczy. — A Pan Nestor do tych rzeczy się nie wdaje, jemu nie w głowie Francuzy, Napoleon i Mości Dobrodzieju?

— [Moja chata z kraju, ja o niczem nie wiem,] wierny jestem Najjaśniejszemu Cesarzowi, i słucham co rząd każe. —

Mewes już sobie trochę podpił.

— Nestor to nasz, on wszystko lubi co nasze, co moskiewskie.

— Niekoniecznie wszystko; naprzykład niedoimki?

— I spłat rekrutski?

— Zapewnie.

— Ale za to są rzeczy dobre u nas, naprzykład administracje!

— To niezłe. —

Ciszej rzekł. — A pigtaki?

— To ładny pieniądz.

— Miedź dobra.

— Nie wiem. Ale ot [pij, nie bałakaj; wiesz że ja nie raz to słyszałem, żeby w zgodzie żyć, najlepiej mało mówić, wiele pić.]

Istrapczy tak sobie podochocił, iż barynię i byczka tańcował, a potem z Mewesem i z Panem Nestorem zaprosiwszy do tańca Panią Łukaszową, Panią Tomaszową i Panią Janową nosili się kozaka; w końcu wszystką szlachtę do pohulanki przypuszczono; [tańcowali jak to mówią aż do wykręcenia koszuli,] tak się mordowali, a każdy tańiec popijali pończykiem; i skrzypek i dudka się znalazła; skakała szlachta jak na żydowskiem weselu. Szlachta na ręku nosiła Pana Nestora, wrzeszcząc:

— To nam Pan, to nam Król! Niech żyje Pan Nestor! —

Nestor wrywał się z uścisków braci szlachty, a Mewesowi dolewał to rumu, to araku. W czasie pohulanki żadnej zwady

nie było między szlachtą; Władysław z Mikołajem ściskali się jak najserdeczniejsi bracia. Antek całem uchem słuchał Jędrzejowego prandyczenia, a Pani Tomaszowa z uśmiechem groziła palcem Jankowi, i zwała go pustakiem. Tak Pan Nestor prostem rozsądzeniem spraw, na które nie trzeba było Salomonowej głowy, umiał między swoich powracać dobrą zgodę.

Kiedy już Istrapczy z Isprawnikiem [językami bełkotali jak w Babilońskiej wieży potomkowie Noego,] i szukali miejsc gdzieby mogli się położyć, Nestor który był pijany jak i oni, a może i więcej, nagle się otrzeźwił, obudwóch gości kazał rozebrać, położyć i zamknąć, a sam wziął do osobnego pokoju Pana Feliksa.

Pan Feliks jak mógł wykręcał się od pohulanki, a że miał mocną głowę, zwyczajnie szlachcic Owrucki, więc nie było na nim znać najmniejszego oszołomienia.

— No, teraz Panie Feliksie, trzeba żebyś jechał co tchu do Dawidek; powiedz że Isprawnik o wszystkim wie od tego hycła Chwedja, że chce dzisiaj w nocy wpaść na jego dom, spodziewam się że tego nie zrobi; ale gdyby cudownym sposobem się otrzeźwił, i pojechał, to i włos z głowy nie spadnie Panu Dominikowi od moich Hoszowców. Jutro niech wszystko uprzątnie co podejrzanego, a sam wyjedzie na polowanie. Pani Podczaszyna niech się nie lęka, ja to wszystko zaspokoję, uchodzę, albo oszwabię Mewesa. Powiedz Waćpan że w rzeczy publicznej Polak Polaka ani zdradzi, ani odstąpi.

— A z tymże Chwedjem?

— To moja rzecz, już on więcej gadać nie będzie.

— Jakto? czy wyszlesz go gdzie Panie Nestorze?

— Wysłać gdzie w lasy, to nic nie warto, człowiek z jakiejby to nie było puszczy to powróci; a jak raz gadał, to i drugi raz będzie gadać.

— To go przechowasz.

— Przechowam go dobrze, nikt go nie zobaczy. —

Feliks patrzył w oczy Nestorowi.

— Panie Nestorze!

— Cóż tam takiego?

— Co Pan Bóg na to powie? co ludzie powiedzą?

— Ludzie nic nie powiedzą, bo kto raz pójdzie precz z tego świata, to nie zmartwychwstanie, żeby ludziom dawał powód do gadania.

— A Pan Bóg?

— Daj mi Waćpan czysty pokój, już to choć czytasz książki jak rabin jaki, ja od Waćpana rozumu nie pożyczę, żebym podług niego postępował. [Co się stało, to się odstać

nie może; darmo Waćpan nie gadaj a jedź, już kazałem, konie gotowe; tu idzie o rzecz publiczną, a Waćpan Polak, bądź zdrów. —

Panu Feliksowi słów brakło, milczeniem pożegnał Pana Nestora, a skoro odjechał, Pan Nestor wróciwszy do sypialnego pokoju, bo już była noc, w obałamuceniu swojego sumienia, ukląkł i modlił się, jak człowiek który przez cały dzień najnetliwiej postępował.

IV.

Wędrownik w drodze życia, mdłą stargawszy siłę,
Wkrótce rzucę co miłe, i co mi niemiłe;
Bez trwogi, nie bez żalu, widzę kres zbliżony,
Co mnie nagle przeniesie w nieznane mi strony.

EUZEBIUSZ SŁOWACKI.

W Mozyrzu, w tym poleskim grodzie, pobratymczym staro Owrucza i baguistego Pińska, takie mnóstwo Moskali jak komarów nad Pińskimi bagnami; i jezdni i piesi kłapią się po błotnistych ulicach, a oprócz nich nie widać tylko żydów. Horwatowie, Jeleńscy, Kniewiczze, i cała Mozyrska szlachta, ani chce zajrzeć do powiatowego grodu: tam czuć Moskala, a oni z za Pińska spodziewają się lepszych gości. Brzegi Prypeci nie słyszą poleskiego śpiewu; stare zamczysko się sierdzi, czemu ono, co niegdyś broniło Polskę od napadów Tatarzyna, teraz nie może.

Jenerał Ertel, ten zawołany niegdyś jenerał-policmejster Petersburga, posłany do zabranego kraju, z prawem miecza, założył główną siedzibę w Mozyrzu i tam przelewał krew wierną laskiej sprawie.

Było to właśnie jakieś święto urzędowe, czerwono w kalendarzu wydrukowane: jenerał Ertel ze swojego obowiązku wydawał wielki obiad dla wszystkich urzędników cywilnych i wojskowych; wszyscy ci dygnitarze, strojni w mundury, przy szpadach, z piersiami okrytymi wstążkami i krzyżami, zesłi się do mieszkania jenerała, i stali wyprostowani jak werstwowe słupy. I gdyby nie gadali, słuszaju, wasze przewoschoditelstwo, możnaby powiedzieć że to prawdziwe słupy. Ertel naburmuszony przechadzał się między nimi, kiedy kniaź Bielőzerski, pełniący w owej chwili służbę adjutanta przy Ertelu, przyniósł mu ogromny list, zwany służbowym terminem: bomagi.

Ertel rozpieczętował, przeczytał, jeszcze bardziej się rozduśał:

— Słyszysz, jak tylko tego buntownika, złodzieja, łajdaka, tego niewiarę Wojciecha Prószyńskiego przywiozą, tak zaraz go przyprowadzić! Słyszysz?

— Słyszę. —

Jak struna się wyciągnął, rękę do czoła przyłożył, na lewo w tył się zwrócił i odszedł. A Ertel chodził po pokoju i nogą tupał.

— Szelma, huncwot, buntownik! Zabiję, zabiję Polaka; diabłą duszę! powieszę, rozstrzelam! Ja im dam bunt! sucze syny! ja ich przeuczę! —

Oczy mu poczerwieniały od złości, a pjana z ust ciekła. Nikt nie śmiał ust otworzyć, odetchnąć nawet, tylko każdy bardziej a bardziej sztywniał. Po chwili stanął Ertel.

— Matwój Prokopowicz, napisz raport do Gosudara Imperatora, że tego buntownika Wojciecha Prószyńskiego już rozstrzelali; i przedstawienie sprawnika Owruckiego powiatu Mewesa do stopnia tytularnego sowietnika, i świętego Włodzimierza trzeciej klasy. To prawoworny, chwyt chłopiec; my z nim nauczymy tych Laszków, przetrzebimy jak kłokol z pszenicy, albo i wszystkich wydlawimy. Dam ja wam Napoleona, Polskę, Mości Dobrodzieju! Rostrzelać, wieszając, w Sybir, w katorżne roboty, ot dla was Mości Dobrodzieju. —

Ten gniew rozjuszony przerwany został daniem do stołu; Ertel ze złości widno jadł i pił, i już nic nie wygadywał, ale w tem dano znać że przywieziono Prószyńskiego; nie skończył zaczętego jadła.

— Tutaj zaraz maszennika przyprowadzić! —

Poruszył się w miejscu, oczami zaiskrzył, jak hyena nagłym ruchem rozprostowuje wstawy, kiedy ma zniecka wpaść na swój obłów.

Podczaszy Kijowski był dorodnego wzrostu, pięknej, pogodnej twarzy; w niebieskiem oku malowała się godność człowieka, a srebrny włos dodawał sędziwej powagi całej postaci. Jednak z rumieńca przerzucającego się po twarzy, i z tych widnych żył, znamienia dobrego rodu, widno że u niego i duch i krew jeszcze wartka, że ta spokojność męża jeszcze nie spożyła młodzieńczego zapachu.

Ertel porwał się z miejsca i skoczył ku niemu:

— Maszennik, suczy syn, buntownik, Polak! —

Podczaszy zmierzył Moskala od stóp do głowy, i pogardą milczenia odpowiedział na te wściekle wrzaski. Ertel milczenie to wziął za postrach, i ręką drżącą od złości poważyl się zamierzyć na twarz Polaka. Jak przelot wiatru, jak mig błyskawicy, Prószyński całą siłą ramienia uderzył Ertela w twarz.

— Podły! —

Ertel padł na stół i stół z sobą wywrócił; biesiadnicy na

bok odskoczyli, a żaden nie śmiał porwać się na więźnia Polaka, on stał i patrzył dumnie, spokojnie. Kiedy zwalony Moskal porwał się z ziemi, zawrzęszczał:

— W kajdany maszennika, na odwach! Polak, ja ciebie zaraz rozstrzelam! Suczy syn! —

A nie śmiał już się zbliżyć.

Żołnierze wywiedli z pokoju Podczaszego, a Ertel jeszcze wrzeszczał.

Jeszcze słońce jasnością wieczorną przyślącało światu, i kilka promieni gośmi wpadło do ciasnej izdebki odwachowego więźnia. W niem Podczaszy stał oparty o kratę, a przy drzwiach było dwóch żołnierzy z bronią; za drzwiami nic więcej nie było słyhać tylko szczęk broni; ani piosnki wojskowej, ani żołnierskiej gawędy, bo to moskiewscy żołnierze, smutni, posępni, jakby bezjęzyczni. Więzień patrzył w okno dające z góry światło, i nic nie widział tylko kawał nieba; tego nieba pod którym tam gdzieś oddycha żona i syn jego. Myśl o nich lubą mu była i gorzką zarazem; częstował nią serce, a serce łą częstowało oko. Marzył o Ojczyźnie, o swoich, a o sobie zapomniał. Nie słyszał poświstu wiatru, a możeby ucho jego bawiło się rozeznawaniem głosów swoich; a możeby szukało tych tłumnych okrzyków tak pożądanym polskiemu sercu, i toby mu było ulgą choć na chwilę.

Już po raz drugi straż się zmieniła, a jeszcze złowieszczy zwiastun nie przyszedł rzucić mu w duszę słowo: Śmierć. Prószyński nie ludził się bynajmniej nadzieją; wiedział dobrze co go czeka, i czekał na to nie myśląc ani razu o śmierci.

W tem jeden z żołnierzy straży, nogą szurknął, i krzyknął wyraźnie naumyślnie. Prószyński spojrzął i nagle na twarz jego zawitało podziwienie; ale żołnierz lewą rękę przyłożył do ust, a spuszczać ją w dół, z za sierakowego płaszcza wydobył, zwiniętą karteczkę, i trzymał ją w dłoni tak obróconą, iż jego towarzysz ani mógł tego widzieć. Podczaszy nie był w kajdanych, bo zbirom brakło serca na wykonanie rozkazu swojego naczelnika, zaczął przechadzać się po izdebce; i z niechcenia wziął karteczkę z rąk żołnierza; obrócił się do okna i czytał.

— Dobrze — dobrze — tak być powinno. — Śmierć jednego to nic, ale dobro wszystkich. — I wznosił oczy ku niebu. O jakże przez te ciasne okienko, błagalne myśli jego szeroko płynęły ku Bogu Ojcu. Kiedy spojrzął znowu na żołnierza, ten mu ręką pokazał jakby znak pchnięcia, potem wziął się za płaszcz wojskowy, i oczyma zwrócił ku drzwiom.

Podczaszy zrozumiał te znaki i głową pokręcił, na znak nieprzyzwolenia. Żołnierz westchnął i oczy obrócił ku okienku,

jakby chciał mówić; Tam, tam za więzieniem życie! i nawet z cicha dodał:

— Jeszcze czas — — dłoń ścisnął, i półobrotem zwracał się ku swojemu towarzyszowi, który stał nieruchomie jakby z drzewa wyrobiony; ale Podczaszy z taką pewnością poraz drugi wstrząsnął głową że nie chce, iż w żołnierza oczach błysnęła wyraźna nieradość, a może chęć stania się nieposłusznym.

Tu drzwi się otworzyły i wszedł oficer z nową strażą. — Prószyński nie patrzył na odchodzącego żołnierza, a on stuknięciem karabina okazał swoją złą wolę.

Niebawem potem przybył książę Bielozerski. Smutne było lice Ertelowskiego adjutanta; nie patrząc w oczy Podczaszemu oznajmił wolę swojego naczelnika, iż nazajutrz rano będzie rozstrzelanym, i dodał:

— Radbym dla Pana zrobić, co tylko jest w mojej mocy — i zatrzymał się.

— Dziękuję! Księdza, więcej nie.

— Postaram się.

— O! co o to, to proszę. Katolikiem jestem, i chcę umrzeć jak katolik.

— Jabyń chciał, ja wszystko zrobię. A od swojej rodziny nic pan nie chcesz. —

— Dziękuję, nie; oni będą wiedzieli za co i jak umarłem. —

Chwilkę milczeli, a Prószyński wziął za rękę księcia Bielozerskiego, a odprowadzając ku oknu, mówił cicho.

— Prosiłbym cię o jedną łaskę.

— Co Pan każesz?

— A zrobisz to Panie, o co będę prosił?

— Zrobię o ile tylko mogę.

— Możesz.

— To zrobię.

— Słowo twoje!

— Słowo.

— Wziąłem z sobą tysiąc dukatów, oto w tym trzosie — i szybko odpasał trzos — mój syn ma dosyć majątku, ja nie potrzebuję, weź je sobie, jako dar wdzięczności.

— Panie Podczaszy ja nie mogę.

— A słowo? —

Pomyślał. — Więc biorę. — Uścisnęli się za ręce, książę odszedł, a Prószyński został ze strażnikami, z myślami smutku i ze śmiercią przed oczyma. Nie sarkał, nie narzekał, tylko sam do siebie powtarzał: — Tak, tak, taki naczelnik być powinien! to otucha dla podwładnych, to nadzieja dla Polski. —

W lichej zajezdnej karczmie w Mozyrzcu, o jednej izbie i

alkierzu mającym okna na błotnisty zaułek, siedział żyd oparty łokciami o stół zabrudzony i załojony: palcami miał krucze pejsy, a twarz miał bladą jakby z niej krew precz uciekła, i przeciągniętą jakby jaka choroba wypychała życie z wewnątrz. Przed stołem stała żydówka młoda jeszcze, dość ładna nawet, ale przestrach i złość niemłą barwą ociągnęły twarz niewiasty.

— A ja mówiła, na co było się wdawać w te rzeczy.

— Aj waj! aj waj!

— Do czego to wszystko? żeby jeszcze co dał.

— Aj waj! aj waj!

— Chłop, muzyk, szelma, goim; co to jego obiecankom wierzyć? nu gadajże głupi. — I kulakiem tak szturchnęła żyda, że jeden łokieć zepchnął się ze stołu, ale żyd znowu się podparł.

— Aj waj! aj waj!

— Głupi; to widzisz [obiecanka, cacanka, a głupiemu radość]; a ja mówiła, a teraz co będzie?

— Nu ja nie wiem, ja nieszczęśliwy. Aj waj! może on przyjdzie jeszcze.

— Przyjdzie, przyjdzie; ciesz się głupi! jak jego złapią, to on wszystko wyśpiewa.

— Aj waj! aj waj! —

Tylko ich dwoje było w pierwszej izbie, ale w alkierzu na pierzynach spał jakiś człowiek rozebrany, a na skrzynce leżało całkowite ubranie poleszuka, i o ścianę była oparta rusznica janczarka, a na ziemi była siekierka mała. Człowiek śpiący chrapał jakby był w pierwszym śnie.

Żydówka popatrzyła na tego człowieka.

— A co my z tym goimem będziemy robili; ja mówiła na co to wszystko. Nu Icek mów! — I drugim szturchańcem go poczęstowała.

— Nu albo ja wiem co. Aj waj!

— Słuchaj głupi, ja ci powiem.

— Nu mów.

— Jakby jego zastrzelić?

— Aj waj zastrzelić! Aj waj! Rachel tego nie rób, aj waj!

I oczy zamknął.

— To ja sama jego zastrzełę.

— Aj waj Rachel! daj pokój; nie ruszaj strzelby, ona huknie. Aj waj — jeszcze bardziej zakrywał się.

Żydówka zatrzymała się.

— Huknie, prawda, huknie.

— Aj waj, czekaj Rachel, ja jego nożykiem zarżnę. Aj waj — wstał z miejsca.

— Ty zarżniesz? — Spojrzała mu w oczy z podziwieniem,

a potem rzuciła wzrokiem na ziemię i szybko podniosła leżącą siekierkę. — Teraz ja mam czem.

— Nu czekaj Rachel; co ty nie zabijesz, to ja dorżnę. Zobaczysz, aj waj. — Wziął nóż. — Tylko cicho żeby on nie słyszał. I na palcach pomalutku nogi podnosząc, skradał się do alkierza; Rachel już podniosła siekiere, kiedy nagle otworzyły się drzwi z sieni.

Oboje cofnęli się w kąt do ściany. Przychodny był to żołnierz z bronią w ręku, w całym służbowym przyborze, nawet w kaszkiecie. Spojrzał na żyda i żydówkę; nóż i siekiera były w ich rękach.

— Widzę do dobrego zabieraliście się Panie Rebe. Pani Arędarko dobrze.

— Aj waj, a to wy Marku, ja mówił że przyjdzie.

— A cóż to myślicie, że mnie od razu djabli wezmą?

— Nu, ja tego nie myślał, ale Rachel.

— I dla tego chcielibyście sprawić na tamten świat tego pijaka?

— Nu, ja nie, ale Rachel.

— I na cóżby się to zdało i karbowanica nikt by wam nie dał, piątaka nawet. —

Rachel położyła siekiere.

— Cóż tu innego było robić żeby zakryć, że to u nas się stało?

— Zapewnie, zapewnie; mniej jednym czortem nie zawadziłoby. —

Widać jakieś przypomnienie złą wolę rozlało po twarzy przybyłego Marka, bo milcząc zrzucił z siebie strój żołnierski, a przybierał odzienie poleszuka, a kiedy już zupełnie zakończył, wziął się za brodę.

— Szkoda brody, żebyż to było przynajmniej przydało się na co. Co jemu się stało?

— Nu, a widzicie. Marku jak ja jemu zadał, śpi jak zabity.

— Niech go tam didko porwie!

— Nu, ja dobrze się dowiedział że on ma iść na wartę, on mnie wszystko wygada zawsze, tylko kieliszek gorzałki. Ja wam mówił, że was nie poznają. A widzieliście — dodał ciszej.

— Chrystonowca. —

Marko mruknął i nic nie odpowiedział.

— Nu, ale wy pamiętacie Marku? Dwa rysie, sześć wyder, i kopę kun?

— Co Marko obiecał to i dotrzyma.

— Ja wiem, i tak sobie tylko to mówię; ale pamiętajcie żeby nie letnie, ale zimowe.

— Djabie żydzie, jakie dam takie weźmiesz.

— Nu, tylko się nie gniewajcie; ja wiem że wy poczerwy człowiek, mojej krzywdy nie zechcecie. —

Rachel się zbliżyła.

— Panie Marku, dla mnie porękawiczego dwie kuny.

— Dam za to, żeś siekierkę tak dobrze trzymała.

— Nu, co prawda to prawda. Icek taki głupi, on by kurczęcia nie zarżnął.

— A tyby moskala zabiła?

— Dla czego nie; jak potrzeba, to potrzeba.

— Sześć kun tobie dam. —

Znowu się drzwi otworzyły i wszedł człowiek przybrany w opończę; ciemno było na dworze, a w całej izbie tylko łuczywo się paliło, i to we wnętrzu dymnego komina, wznoszącego się nad karczemnym piecem. Przybyły był młody twarzą, ale bardzo smutny.

— Marku jedźmy.

— Marko przystąpił do niego i rozmawiali z sobą cicho, tak że Żydzi słyszeć nie mogli.

— Nie chciał.

— Ja wiem.

— Jakim sposobem?

— Byłem u Proboszcza kiedy zażądano księdza dla niego i ja poszedłem.

— Cóż to, czy zachorował?

— Nie.

— Na cóż Księdza.

— Jutro wszystkiemu będzie koniec. Rozstrzelają! —

Marko podrapał się w głowę.

— Psiawiary. Ale co jemu się stało?

— Tak było trzeba.

— Trzeba jego śmierci? — tego nie rozumiem!

— Tak kazano. Naczelnik! Ty wiesz Marku, że u nas tak być powinno.

— Szkoda gubić człowieka, i to takiego!

— Widzisz mój kochany, że u nas jednym ludziom pierwszeństwa nie dają nad drugimi; gdzie największe niebezpieczeństwo tam ich Panowie.

— To sprawiedliwie, ale zawsze szkoda jego; żeby można co zrobić?

— W Panu Bogu nadzieja, my nic nie zrobimy.

— Ha, szkoda Pana!

— Jedźmy Marku. —

I pojechali. Żyd na odjezdnem przypominał swoje skórki, a Marko nie chwalił się przed Bazyljanem, jak od Icka dowiedziawszy się że jego postojalec idzie na wartę do Podczaszego, spoił go wódką zaprawną jakimś djabełem przez Icka, ustrzygł brodę i trochę włosów, a przebrawszy się

w moskiewski mundur, udało mu się uchodzić za żołnierza; nie powiadał jak swego towarzysza chciał pchnąć nożem, Podczaszego przebrać w jego mundur, trupa zaś w suknie Podczaszego, i tym sposobem wyprowadzić więźnia. Był mniemania że to wszystko by się udało, bo już był szary wieczór, a wieczorem wszystkie koty szare. Nie przechwalał się z tem wszystkim przed Księdzem, chociaż to dowodziło że Marko Baran, [nie tak to łatwo da się zjeść w kaszy.] Ta przechwałka jest w naturze ukraińskiego poleszuka; ale Markowi smutek ścisnął serce, a język jakoś obracać się nie miał woli.

Chociaż u zastaw Mozyrskich stały mnogie straże i piesze i jezdne, z rozkazu ojca Bazyljana marko tak dzwonił, jakby z Panem Bogiem do umierającego jechał, Moskale się żegnali krzyżem świętym, a woźnica poganiał konie.

W karczmie dalej szła rozmowa:

— A ja mówił, że jemu nic się nie stanie? —

Rachel milczała.

— Ty taka głupia; niby to ja jego nie znam, on wszędzie wlezie i wylezie. Co to on po lesie nie chodzi! Ja mówił że tak będzie; co to mnie uczyć rozumu! Rachel! Rachel zobaczysz co my będziemy mieli! —

W tem w alkierzu obudził się moskal i wyskoczył z pierzyn.

— Bóg święty ze mną, święty Mikołaju, ja przepadł, będzie po mnie. Arędarzu, arędarko! —

Oboje wpadli na niego:

— Nu ty pijanica, czego ty wlażł w nasze łóżko. Poszedł precz, ja zaraz pójdę do kapitana.

— W Imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego. Amen. Co ze mną się stało? — Żegnał się krzyżem świętym i roztwierał oczy.

— Nu, milcz, pijanico; gałganie, tak się spijać?

— Panie arędarzu, Pani arędarko, darujcie.

— Nu to my i darujemy.

— Będzież mnie teraz!

— Nie bój się, nic nie będzie, nie gadaj nikomu co się stało; i my nikomu nie powiemy.

— Dziękuję wam, no ja pewnie nie powiem żeby licho na siebie sprowadzić. —

Biedny Moskal jak baranek spokorniał przed żydami.

Tymczasem w mieszkaniu Jenerała Ertela inne rzeczy się działy; rotmistrz gwardyjski Głazanap z kurjerem przyleciał z Kijowa od Jenerała von den Osten Sakena, z rozkazem do Ertela aby Prószyński natychmiast był oddany Głazanapowi, który go dostawi do Kijowa. Saken był starszym a Ertel jego

podwładnym. Głazanap stawił się przed Ertelem, miał rozmowę z Kniaziem Bielőzerskim, i w tej rozmowie widziano jak brał często za ręce Bielőzerskiego i za każdym razem swoje chował do kieszeni na chwilę.

Ertel zbudzony ze snu, bo to się działo nadedniem, kilka razy załajał po swojemu a przeczytawszy rozkaz zmarszczył czoła.

— Już rozstrzelany!

— Wasze Prewoschoditelstwo, ja wiem że on żyje, i ja muszę go dostawić.

— Milcz!

— Mnie mój Jenerał rozkazał, a on mój starszy.

— A twój.

— Mnie rozkazano; ja spełnić muszę rozkaz.

— Ja ciebie każę aresztować.

— Wasze Prewoschoditelstwo tego nie zrobisz.

— Rozstrzelać każę.

— Wasza wola, ja muszę robić co mi kazano.

— Zrobisz co każę. Wyjdź teraz.

— Słucham, ale Wasze Prewoschoditelstwo każe mi oddać Prószyńskiego. —

Odszedł. Głazanap był to Inflanctzyk, potomek rycerzy mieczowych hardych i upartych; rosłej postaci, pleczysty, brunatno-rudych włosów i siwych oczów. W każdym jego ruchu, w każdym spojrzeniu widać było tę wolę, co to raz podstrojona rozkazem starszego, albo swoje robi, albo pęknie i zgubi człowieka co ją ma.

Ertel nie posiadał się ze złości i krzyknął:

— Bielőzerski.

Wszedł służbowy adjutant.

— Czy już dzień?

— Już zaczyna szarzyć.

— Każ żeby bataljon Staro-Ingiermołandzkiego pułku nactychmiast tego maszennika Polaka wyprowadził za miasto; ja tam zaraz pojedę. Wszystko przygotować do rozstrzelania tego suczego syna.

— Słucham.

— Hryszka dawaj ubierać się. — I ten człowiek chciwy lackiej krwi, tak szybko się ubierał jakby miał jechać na jakieś miłe gody. —

Tego dnia prędko rozjaśniały niebiosa, i słońce prędko wzniosło się do wierzchołka lasów: przez ich cień oko ludzkie snadniej mogło przyglądać się złotu Bożemu. W Mozyrze uderzono w tarabany, i główną ulicą po przedzie szła socina Baszkirów w różnobarwych strojach, na ramionach krzywe łuki i kołczany pełne strzał, u boku szable. I oni i ich konie szli, rzucając bezustannie wzrok na strony, jak zwierzę dziki a dra-

pieźny wpuszczony między ludzi z kagańcem na pysku. Uciekać sroma się, a wpaść nie może. Za temi Azyatyjcami szedł bataljon piechoty wymuszonym krokiem, twarze i oczy obrócone przed siebie, żadnego uczucia na nich wyczytać nie można było; uszy tylko i nogi zdawały się żyć czuciem na spełnienie rozkazującego głosu. W pośród tego bataljonu szedł Prószyński śmiało, spokojnie; jeżeli czasem chmurka smutku przewalała się po twarzy, to wnet ją zegnał pół-śmiejem dumy, jaki musiał się rodzić z duszy człowieka patrzącego na te tłumy; jeżeli czasem łezka cisnęła się do oka, to wnet ją suszył wzrok gniewnej niechęci ku ludziom którzy go otaczali. Za tym bataljonem szła sotnia dońców prawornych na prawornych koniach, zdało się że koń z człowiekiem jak bracia bliźnięta się rozumieli.

Za miastem nad Prypecią, rozwinęło się to wojsko. Prypec spokojnie do Dniepru płynie, i żorawie po nad lasem spokojnie w stronę starego Owrucza lecą. Prószyński spojrzął i myśl jego z niemi ku żonie, ku synowi leciała. Spojrzął na olbrzymie lasy, jak wzdłuż się czerniły a czerniły; spojrzął na słońce, już wybiegło nad lasy, i płynie czystem niebem; i na rosę jak się perli: żal mu tego wszystkiego. Wszystko takie piękne, takie czarowne, jakby przy pożegnaniu chciało czasem wabić duszę, co za chwilę, już z życiem tem nic nie będzie miało wspólnego. I zniósłby był to wszystko, ale między Dońcami zobaczył oficera młodego, z czarnym włosem, z siwem okiem, taki wzrost, taki wiek jak u jego syna, dłonią zasłonił oczy, i w dłoń popłakał gorzkiemi łzami.

W tem w tarabany zatarabanili, Prószyński odsłonił oczy, i ujrzał jadącego Ertla; nie krył łez, ale duma i pogarda przyszły im na towarzyszki.

Ertel dał jakieś rozkazy, i wnet więźnia postawiono nad wykopany dołem, chciano mu oczy wiązać, ale odepchnął rękę co zbliżała się do jego twarzy. Przywiązano go do słupa na to umyślnie wbitego; już dwudziestu najczelniejszych strzelców stanęło o piętnaście kroków i czekało tylko rozkazu, kiedy nagle Głazanap wpadł między nich i stanął przed Prószyńskim.

— Do mnie strzelajcie, ja spełniam mój rozkaz. —

Ertel nie śmiał kazać strzelać, ale na koniu przyskoczył.

— Odejdź, ja odpowiadam za wszystko.

— Wasze Prewoschoditelstwo, nie mogę. —

— Odejdź.

— Kaźcie mnie zabić, albo mi więźnia oddajcie żywego! Mnie kazano. —

Zatrzymał się Ertel, i chwila takiego była milczenia w tym tłumie, że koń nawet nie śmiał zadzwonić w wędzidło, a tylko było słycać świegotanie ptaków w nadbrzeżnych łożach i jednostajne pluskanie wody chlupiącej na prypeciańskie brzegi.

Widno zuchwała postać człowieka woli i ta chwilowa cisza, jakieś dziwne uczucie zrodziły w duszy Ertela, bo skręcił konia, i machnął ręką.

— Bierz jego, wieź! i ty taki maszennik jak on. —

Więcej słów słyhać nie było, skaczący koń ku miastu tętnieniem one głuszył.

Trójka pocztowych koni, zaprzężonych do lekkiej kibitki stała już przy drodze. Głazanap z Prószyńskim siedli do niej, woźnica, chwacki młodzieniec, poprawił czapkę na bakier, przeżegnał się krzyżem świętym, palcami przebrał po lejcach.

— Ach, wy kocięta ruszajcie się. —

Hołoblowy w kłus, w kłus, a przysiążne zawiedli w skoki, dzwonek zadzwonił.

— Nu, wy rozdujcie się złodzieje! —

W cwał pomknęli, i szlakiem się ponieśli.

I Podczaszy znowu widział świat życia. Żonie i synowi słał powitanie, ze światłem słońca, z cieniem lasów, z lotem żorawi.

Kirgizy, piechota i Dońce wracali do Mozyrza, i wszedłszy do miasta nikomu o tem nie gadali co się stało. Każdy mieszkaniec chrześcijańskiej wiary, odmawiał Anioł Panski, za duszę Prószyńskiego. Każdy żyd powtarzał: szkoda Pana; dobry był Pan, a żaden Moskal o nic nie pytał.

Ertel nie powrócił do miasta zaraz, cwałował do koła, na koniu złość spędzał, a kiedy powrócił, zastał w swoim mieszkaniu więcej sześćdziesięciu jenerałów, pułkowników i wysokich urzędników rządu. Wszyscy powitali go głębokiem uszanowaniem, i w milczeniu czekali na jego rozkazy. On ich ani ukłonem, ani spojrzeniem powitał, tylko moskiewskiem słowem.

— Precz! —

I wszyscy w duch się wynieśli, jakby ich wicher ztamtąd wygonił. A Ertel został sam.

V.

Czarne more drema tycho,
Nyma czajki z Kozakom;
Naszy zamki nad Dniprom,
Zwałyło jakby tycho.

PADURA.

Koguty piałły na północ, księżyc tylko co na niebo wszedł, srebrne światło na świat sieje, a тумanna mgła ponad ziemią się wila; dawnym Kijowskim szlakiem, dziś od ludu zwanym równik Narodycki, bo tam tak gładko, tak równo, że nigdzie ani garbka, ani rozdołu znaleźć nie można, kopie jeździec; na ramionach burka mu pływa, a pod nim koń białonogi zbiera kopytami.

Spojrzał w stronę, ponad szlakiem, jak góra wysoka mogiła: to Igorowa mogiła, syna Igora wielkiego, co w szale gniewu hełmem chciał Don do dna wypić, jednym machem szablą ściąć głowy tysięcznym pułkom Połowców Igora Ruskiego, którego cześć i sławę Bojan rozpiął po wszej Ruskiej ziemi; proch i koście jego spoczywają pod okiem starego Owrucza, a duch lata po nad grodem, i z mogiły, z krzyża drewnianego co mu wystawili ojcowie Ś. Bazylego, mnichy Rusi, na plemię Owruckie patrzy.

Jeździec wstrzymał konia, zdjął czapkę, żegnał się krzyżem świętym, i modlił o łaskę Bożą dla Igora Igorewicza, o łaskę Bożą dla ludu Owruckiego, o zmiłowanie Boże nad sobą. Trzykrotnie uderzył się w piersi: Boże odpuść, Boże pomiluj, Boże daj! i pojechał dalej.

W świetle księżycowem widno jedną stronę siedmiowzgórznego Owrucza. Na wzgórzu odbiela jaśni się kościół Dominikanów, i wieżycza ku niebu się piętrzy; niedawny to gmach ale pamięć jego ludzkim sercom luba. Sędzia Dubrowski, nieskazitelny Polak, z przeorem Mikulińskim, ostatnim swoim groszem tę świątynię wznieśli Bogu, na uproszenie miłosierdzia jego dla

Polski. Niedaleko kościoła jak minaret wschodni, strzela kopułą w obłoki cerkiew świętego Mikołaja.

Na drugim wzgórzu, olbrzymie pojezuickie zabudowania, jak olbrzymia karność i wytrwałość tego duchownego żołnierstwa, Piotrowych następców. Przed laty mieszkańcy Owruckiego kraju nieміdło spojierali na te gmachy, bo ztamtąd pod chorągwią prawej wiary kościoła jedyne, leciały zabory, pożogi i rzezie na Ruską ziemię. Ztamtąd rozdmuchiwała się nie-nawiść i zemsta braci przeciw braciom, pod którą runęła Polska; ale kiedy w chwili już ostatniego konania Polski, uczniowie Lojoli wyszli z kraju, nie zostawując żalu po sobie, a Ojcowie świętego Bazylego wnieśli się do tych gmachów; lud Rusi do braci Lachów bieżał, serdeczną łzą ich witał, serdeczną dłonią ich ściszał, a wołał! Zgoda: Zgoda! Wszyscyśmy bracia, wszyscyśmy dzieci Polski! O czemu tak wcześniej nie było! ale tak zawsze będzie. I te mury klasztoru otrząsnęły się z groźnej postaci, i te trzy wieżycy kościoła nie przestraszyły, ale wiarę, nadzieję i miłość leją w serca ludu Bożego. I z wysokiej dzwonnicy dzwony nie jęczą podzwonnem bratniej wojny, ale podzwonnem bratania się Chrześcijańskiego.

Dalej znowu na innym wzgórzu, cerkiew świętego Bazylego, po Kijowskiej druga na Rusi; jeszcze Polska pogańskim bałwanom cześć oddawała, kiedy w bratniej Rusi brzmiały Chrześcijańskie pienia, na szczęście ludu, na chwałę Bożą. Kopuły dawnej już niewidno, ale jeszcze stoją stare mury, i jakby w ujęciu trzymają drewnianą cerkiew. Trzykroć razy drzewo pruchniało, i trzykroć razy nowe na jego miejscu się wzniosło, a mur starożytny choć się porysował, ale się nie rozpadł; zdaje się że duch dawnej wiary powstrzymuje i krzepi dzisiejsze zwątpienie.

Więść dawna niesie, że pieczary z Kijowa dochodziły aż do Owrucza pod samo wzgórze Świętego Bazylego. Jeźdźcowi zdaje się, że całe to wzgórze pokryte rycerstwem jakimś jasnym, jakby zwianem z promieni księżycowych; przypatruje się, poznaje po hełmach, po zbrojach, po chorągwiach; to dawni Kijowianie i Rusini z nad wszego Dniepru. Koło nich kozackie pułki z przed i z za Dniepru, i kurenie Zaporozża: liczy buńczuki, liczy hetmanów i zliczyć nie może, taka ich tam siła. A wszyscy lewą ręką Polskę wabią ku sobie, a prawą szablicę, wyteżyli ku północnemu-wschodowi. Przytulił ucho do wiatru, i zda mu się że słyszy wyraźnie: bratajmy się, bratajmy! Na Suzdala, na Suzdala!

Koń biało-nogi zarżał, i serce jeźdźcy zakipiało, i dłoń zakipiała, a w głos wołał: bratajmy się, bratajmy! Na Suzdala, na Suzdala!

I już nie spojrzął na Spaskie wzgórze, gdzie się bielila kaplica Zbawiciela, jak na to żeby się pomodlił do syna Bożego.

Oby to było przy świetle słońca, co on teraz widzi przy księżycowym blasku.

Wjechał w przedmieście Owrucza, ale nim koń dobiegł do Warszawskiej bramy, zwrócił i wyjechał w pola na Cichą drogę: tak dawni ludzie zwali szlak co prowadził do granic Litwy; cicho trzeba było nim kroczyć, żeby podejść Litwina, i Litwin tamtędy cicho się nosił, na najazdy, na Ruś.

W prawo i w lewo po nad szlakiem, jak na niebie gwiazd, takie krocie mogił na tem Owruckiem polu. O! choć to cicho, bez wrzasku po tej drodze chodzili, ale krwi ludzkiej tam nie żalowali. Dzielni to wówczas byli ludzie! skąpi na słowa, a rozrzutni na machy szabli; trupami znaczyli miejsca swoich spotkań się, a ku wiecznej pamięci potomnych, na cześć rycerskiemu plemieniu popisali: — Mogiłami.

O! jakże dusza jeźdca panoszała; między tym limanem mogił, między tym tłumem prapraojcówskich duchów! On sam jeden tylko żywy Rusin, sam jeden! Zahulał myślą, konia w skoki wypuścił; biało-nogi rżał, parskął, obadwa hulali, a księżyc był już na samym środku niebiosów, patrzył na nich, i i ryczałtem srebrne światło sypał.

Koń i jeździec pobratali się, i tak hulali przez to pole praojcowskich pamiętek aż pod same Możary. Tu jeździec zwolnił biegu koniowi i sam odetchnął.

W lichych chałupach śpią potomkowie Kniaziów Możajskich. Masalski, dumny prałat Litwy znąkał ich, w ostatniej nędzy pogrążył, a car Paweł oddając sprawiedliwość, rzekł: Choć wasi praojcowie byli kniaziami, dla tego żeście byli w chłopskiej nędzy, nie możecie być tylko Możarowskimi, drobną szlachtą. I oni w ubóstwie zostali, ale serca ich i ramiona, takie dzielne jak były u Możajskich kniaziów.

Jak wjeżdżał do sioła, psy korowodem szczeptały na powitanie jeźdca; on stępą zjechał w ciasny zaułek, przed wrotami jednej chaty zszedł z konia, otworzył wrota; psy wyskoczyły na przeciw niemu ujadając, ale skoro się zbliżył poczęły się doń łaścić. Postawił konia przed chałupą, a sam wszedł do niej.

U potomka kniaziów Możajskich nie było ani rygla, ani zamku; prosta drewniana zawierka, którą każdy otworzył kiedy chciał, i wszedł do chaty. W całym Owruckiem tak się dzieje, tam złodzieja i rozbójnika się nie boją, bo ich nie masz, a od Suzdała zapora na nic się nie przyda.

Niedługo jeździec bawił się w chacie, niebawem wyszedł, a z nim człowiek już dobrze sędziwego wieku: niósł na rękę siodło, uzdeczkę, a przez plecy przewieszoną miał rusznicę. Wyprowadził z szopy konia, i przy pomocy jeźdca osiodłał go. Przez ten czas coś po cichu z sobą mówili, a potem wsiedli na koń i ruszyli na drogę.

Jechali wzdłuż sioła.

— Panie Szymonie, i jakże, pewni jesteście?

— Panie Podczaszycu, tak pewnie, jak to jest pewno, że teraz księżyc świeci nad nami. Niech tylko Pan Tadeusz piśnie; a natychmiast trzystu zbrojnych jeźdźców jak rybie oko przyprowadzę, a samych Możarowskich.

— Czemuż nie kniaziów Możajskich?

— Ha Panie, jak my Polskę postawimy, a Polska wróci nam co nasze — i westchnął tak ciężko, jak gdyby to westchnienie z głębi serca wyrwał. —

Młodzieńcowi przykro się zrobiło, ścisnął starca za rękę.

— Panie Szymonie, wiesz, że my ciebie i twoich uważamy za kniaziów Możajskich.

— Ja wiem, że ty Panie Dominiku, i twój Ojciec, i Pan Tadeusz i inni z poczcuiwych rodów mają nas za to czem jesteśmy, ale są tacy co to z parchów żydów powstałi, i ci uszlachceni neofici, nas zowią chamami, muzykami. —

Właśnie w tej chwili wyjeżdżali z sioła, znowu w pola zarzucone mogiłami. Stary Szymon spojrział do koła.

— Patrz Panie Dominiku, to wszystko, jak daleko księżyc oświeca, za Sławeczną, za Horodec, za Kozaczą Górę, wszystko było nasze, kniaziów Możajskich. Pod temi mogiłami spoczywają koście kniaziów Możajskich, poległych w obronie Rusi od Litwy. A ten pies Litwin, niech Pan Bóg mu nie pamięta, wszystko nam zagrabił, w poddaństwo zapisał, nas kniaziów Możajskich. — I dłoń w kułak zacisnął, i zębami zgrzytnął.

— Panie Szymonie, poczekaj, przyjdzie czas, sprawiedliwość pomści każdego.

— O, dla nas tu na tej ziemi, i nadziei, i pomsty nie masz.

— Dla czego?

— Prałat, Jezuita, nie zostawił potomka. Zaciął się w mowie, i po chwili, jakby przez siłę wyrzucił słowa: — I nad kim że się pomścimy? —

Milczenie było czas jakiś, a księżyc zwolna spuszczał się po niebie ku dołowi.

— O tak, tak Panie Dominiku; ja nie dzisiejszy człowiek. Cztery lata temu jak ośm krzyżyków wieku mojego policzyłem; mam siedmiu synów, i cztery córki żywe, pomarłych nie liczę, mam dwadzieścia i dwoje wnucząt, a ośm prawnucząt. Pamiętam jak dziś, jakeśmy się borukali z tym psem Litwinem: Niemirycz, Trypolscy, Pauszowie, Głęboccy, Trzeciacy, ludzi nam dosyłali. Mordowaliśmy żołdactwo nieczestnego prałata, rękoma naszymi armaty mu braliśmy, i gdyby nie Moskwa, bylibyśmy zdławili, rozćwiertowali na kawałki, i infuła biskupia by go nie uratowała. Ale inaczej Pan Bóg chciał: pokarał prałata szubienicą za zdradę ojczyzny, i nas za nasze winy i za winy naszych przodków; i tak jak mnie Pan tu widzisz, ja kniaź Możajski, byłem poddanym Massalskiego, Litwina; a teraz

jestem szlachetka Możarowski. Nie pozwolono mi praocjowskiego imienia nosić, dla tego że gwałt na mnie wykonano. O tak, tak; tamto był gwałt Litewski; a to Moskiewska sprawiedliwość. —

Dominikowi łzy w oczach stanęły, wziął starca za rękę, przyłożył do ust swoich, pocałował, i na tę ośmdziesięcioletnią rękę łzy młodzieńca spadły.

— Ojczy mój! kniazium Możajski! Bóg nas nawiedzi, prośmy o Polskę, pracujmy dla Polski. —

Starzec zbliżył konia, uściskał młodzieńca, w czoło go ucałował.

— Synu, błogosławieństwo Boże na ciebie! Ty szanujesz starca, ty rozumiesz bolesć serca. O tak, służmy ojczyźnie, a może Bóg i nas nawiedzi. —

Dojeżdżali do siedziby kniazium Możajskich, do Sławeczny grodu; księżyc jeszcze świecił, przy jego świetle zamkowa góra, w oczach na olbrzyma rosła, i zwaliska zamku na niej ogromem szarzały. Stary Szymon ręką wskazał.

— Tam był zamek kniazium Możajskich. Zamek w zwaliskach, i kniazium Możajscy w zwaliskach.

— ~~Polska to odda.~~ —

Obadwa milczeli, a konie ich kroczyły przez miasteczko, liche postawą, ale chlubne wspomnieniami dawności.

Pod samą górą zamkową płynie rzeka Sławeczna; woda jej czysta jak łza, a spokojna jak oblicze dziewicy, co to nie zna ani troski, ani namiętności; ledwo widno w twarzy że życie po niej przepływa. Zdaje się że przez Bożą wolę ta woda czystym spokojem znęciła i Litwę i Ruś, i pobratała je z sobą. Dawniej, dawniej to była granica między dwoma ziemiami; z tej strony zamek Możajskich stał na straźnicy Rusi, z tamtej jeszcze piętrzą się mnogie ściany Litewskiej twierdzy.

W Sławecznej rozstali się starzec z młodzieńcem; młodzieńiec chciał z nim jechać razem.

— Nie można synu, rzekł starzec, nie trzeba żeby tam widziało ciebie, ja tam być muszę sam. Przed południem się zobaczmy. Panie Dominiku, niech cię Pan Bóg błogosławi. — I ruszył w lewo.

Młodzieńiec żegnał go serdecznem uczuciem, i to mieszanie w nazwaniach: Synu, Panie Dominiku, przyniosło mu dobro do serca.

W prawo porzucił Horodec i wjechał w puszcze Krotynickie, zkąd kiedyś za Chmielnickiego już, kozacze pułki, pod wodzą Krzywonosy i Michneńka, zagonami puściły się po Litwie, aż za Słuck; gdzie stał obozem Zolotareńko matkobójca, i dokąd przyjeżdżał sam Chmielnicki niewiara.

Ciemno w puszczy; ani obłoków, ani nic nie widać, a białonogi pewnym chodem stapał. Czasem ukoupał kopytem korzeń wijący się przez drogę, czasem iskry z kamienia podkowa

skrzesał, czasem w brodzie chlupał wodę, a najczęściej po suchym piasku, jak po puchu cicho kroczył, chrapał, zwalniał chodu jakby próbował ziemię przed sobą, ale ani razu się nie zuchnął. Jeździec dumał o ojcu, dumał o dawnych i teraźniejszych czasach.

Świt zdybał go w lesie, a wschód słońca koło Jezierańskiej Rudni.

Słońce wypłynęło nad las; jezioro błyszczyc się jak szyby szkła, a oko ludzkie wzdłuż drugiego brzegu nie dojrzy. W lewo, w dali, z pomiędzy sosnowej zarośli jeszcze bardziej ciemni lasem puszcza kozaczego Ostrowu. Po nad jeziorem kiciaste sosny przezierają się w przeźroczu wody, i zdaje się że las położył się w głębi jeziora, i ztamtąd go widno. Przed jeźdźcem Jezierany sióło: brzegiem on jedzie, a po nad wodą jaskółki się wywijają i świegoczą, w wodzie lasy i wzgórze przed nim uciekają i za nim w ślad płyną. Jeszcze stukot młotów go nie pożegnał, a już on witał Jezierany, i wysoki kurhan na którym kiedyś stał mały zamek.

Rybak mknął czółenką po jeziorze zbierać wieńczerze zastawione na noc; srebrzy się ścieżka za czółnem, a on wiosłuje i pobożną pieśń śpiewa. Pastuch pędził rude krowy w bór na paszę, i podymał w dudę; młodyce zbierały płótno z blechu, z rosy; dziewice szły z sitami na łąki po mannę, po jagody, i dzieci jedno postępowały za nimi z garnkami, drugie gnały gęsi i kaczki na jezioro. Myśliwy ze strzelbą, i balarz z siekierą, i tracz z piłą już dawno wyszli w las. W Poleskiem siole, póki śnieg ziemię nie zaściele, ze wschodem słońca pustka; chaty otworem stoją, tylko psy i kury strzegą mieszkania ludzkiego.

Jeździec przejechał sióło, i znowu jedzie ponad jeziorem, i okiem po jeziorze goni, a tam w wodzie odbite słońce, jak na niebie świeci, i dumanie młodzieńca po wodzie się puściło, i wszystko barwiło w różane barwy, jak wschodzące słońce w różaność barwi i świat martwy i świat żyjący. Widział i ojca i matkę osypanych szczęściem; widział dziewicę witającą go w powrocie z łowów, głaskała psy i jak czaromoca uśmiechała się do niego. Widział ojczyznę w potędze i sławie, i tak dojechał do Topyły.

Było to zwanie nowej slobody, od kilku lat wybudowanej nad jeziorem. Ledwie w niej dopiero dziesięć chałup i dworek; wśród głębokiego Polesia, te chaty miały zupełnie postać Ukraińską, białą gliną wylepione, i dachy pokryte kaleniczoną osoką.

Jak tylko jeździec zajechał na dziedziniec dworku, na którym ledwie wóz parokonnny mógł obrócić, wyszedł przeciw niemu człowiek miernego wzrostu, suchy, z białym wąsem, bez brody, z głową goloną, nie mającą tylko seledec, w który wplą-

*szedł na
konie
po sióło
Jezierany*

*o cz on
mógł u
las*

tała się czerwona wstążka. Kontusz siny kusy, z niezarzuconemi wylotami, szarawary krucze, i pasem czerwonym podpasane. Wziął konia za cugle.

— Zdrów bądź Paniczu.

— Jak się macie Podkołoty? Nie zatrzymuj konia proszę, ja zlezę i bez tego.

— Opanas weź konia, a pamiętaj o nim. —

Młody chłopak wziął białonogiego, a Podkołoty zaprosił Podczaszyca do izby.

Izba była obszerna z sosnową podłogą. Przy drzwiach woda święcona i kropidło. Podkołoty umoczył kropidło i dał gościowi, a ten na izbę pokopił; była to wielka część ze strony gospodarza. Na ścianach wisiały obrazy święte złocone, srebrzone, w złocistych i srebrzystych ramach, wprost z Kijowa przywieszone; kilka nahajek, uzdeczek, burka kozacka. W alkierzu było łoże przykryte skórą końską niewyprawną z włosieniem; w kącie rusznice i krzywa szabla; tam była bednia i szafka zamknięta.

Dominik powtórzył raz drugi.

— Jak się macie Podkołoty?

// — Jak groch przy drodze: każdy skubnie, ale jeszcze nie wyskubali. A ze starym co się dzieje? —

Młodzieniec zasmucił się.

— Jeszcze nie wolny.

— Nie trąpcie się Paniczu, jak Bóg nie dopuści, to nie mu się nie stanie. Nie każdego to wilk zjada co w las idzie.]

— Dały to Pan Bóg.

— A myż kiedy pójdziemy w las; mnie już tęskno, tak zbierać się jak na tamten świat.

— Jabyłem chciał jak najprzedzej; ale kiedy naczelnik!

— Naczelnik, to prawda; [skacz wraże jak pan każe,] bo bez naczelnika to wodę warz i woda będzie.]

— Przyjechałem żeby się dowiedzieć co tu u ciebie słyhać od naczelnika.

— O już to ma się rozumieć, wy nie z takiego rodu, żeby za takimi rzeczami przez ciekawość jeździć, a rodem kurki czubate. Mam teraz już pułtory kopy a tęgich molodców, takich Ukraińców jak ja.

— A gdzież oni?

— Tam het, po całym lesie. Najlepiej Paniczu o tem mówić, co się na swoje oczy widziało. Ot i my tak zróbmy, pojedziemy do nich.

Zastawiono śniadanie z lemieszczanych pirogów z serem i ze śmietaną, i z kurczaków. Podkołoty jadł za sześciu, a po śniadaniu wzięwszy rusznice siedli do jedno-konnego wózka i pojechali w las. Podkołoty powoził, i za każdym stuknięciem o korzeń, albo pniak, za każdą kałużą, kłął w djabła, na czem

świat stoi przekłete Polesie, i opowiadał jak to on po stepie jeździł, kiedy jeszcze był starszym dworskich kozaków u Oleckiego Niemiryca, pana i dziedzica stu miast i trzystu wiosek.

— Pan darował Słobodę, ale przysięgam Bogu, że mogę powiedzieć: nie miała baba kłopotu, tak kupiła sobie prosię. Wolałbym ja po stepie kozakować, jak tu w waszych lasach panować. Chciałem być się ożenić, bo tak samemu jednemu na starość to nudno, ale myślę sobie: zawiozę żonę w taką pustynię, to lepiej w grób, i nie ożeniłem się. —

Dominik słuchał, czy nie słuchał, ale nic nie odpowiadał. Wjechali w czarny las, między takie łomy, że pewnie tam noga ludzka nie odważyłaby się iść lada po co.

— Otóż to wasz kraj! gadzinom i djabłom tu żyć, sto djabłów by tego piekło, kto wymyślił żeby tu ludzi wodzić.

— Ależ przecie to Kozaczy Ostrów, wasza Ukraińska twierdza.

— No śliczna mi twierdza, ani palanki, ani reduty, to tak jakby tę hidkę koniakę, nazwać kozaczym koniem.

— Przecież ta szkapą dobrze wozí, i do najlepszej twierdzy łatwiejby się dostać, jak do tego Ostrowiu.

— Prawda, prawda; czort wie dla czego to się dzieje. —

Tu skończyła się drożyna, a przed nimi łom i bagno. Zleźli z wózka, Podkołoty gwizdnął trzy razy, i nieprędko pokazał się człowiek z rusznicą, a potem drugi i trzeci. Podkołoty kiwnął na nich ręką, i wskazał na wózek, oni żywo skoczyli, i zabrali barylkę i wory z chlebem. Podkołoty cicho powiedział Dominikowi:

— To trzech, tu wszystko u nas na migach. — — Wskazał ręką i jeden szedł naprzód, a oni wszyscy za nim gęsiego; szli przez kłody i pokładzone jak widno umyślnie polana, i pułapy drzewa; po bokach, takie bagno, takie strumienie i łomy, że strach na nie patrzeć, a cóż dopiero stąpić. Przewodnik gwizdał jak młody cietrzew, kiedy się wabi, i po bokach odzywali się takie cietrzewie, i pokazywali się z łomu z rusznicami gotowemi do strzału: Podczaszycy dwunastu ich naliczył. Przez potoki skakali, albo przechodzili po drzewach wygiętych w kabłąk, i takim sposobem doszli między tysiączne strumienia Horynia, Sławecznej i Żerewa, do Kozaczego Ostrowiu, dawnej Kazagskiej góry. —

Sam Ostrów był na wyższym miejscu, i trochę przestroniej było między drzewami; były tam pieczary w skałach i ziemi; za potrójnym pogwidzem wabiącego cietrzewia, sześćdziesięciu z rusznicami się pokazało, i rzecz szczególna wszyscy byli w płaszczach moskiewskich szaraczkowych z poucinanemi polami, wszyscy witali Podkołotego i Dominika.

— A czy już będziemy się bili?

— Niezabawem i to będzie. — Zbliżył się do Dominika.

— To wszystko rekruci zbiegli, piętnastu na Horodeckiej ścieżce, tamtędy jeszcze trudniej przejść. —

Dominik rozdał między nich pieniądze, oni dziękowali, ale ciągle śpiewali swoją dumkę.

— Panie prowadźcie nas prędzej bić się, bo dalibóg srom tak siedzieć i darmo chleb jeść.

W powrocie Dominik mówił Podkołotemu:

— A cóż czy nielepsza to twierdza, jak te wszystkie murem obwodzone i wałami okopane.

— Co prawda to nie grzech; zje djabła że tam się dostanie, a żyć można: woda jest, i zwierzyna i ryby, i grzyby i jagody. A jacy to oni rozumni! Każdego dnia unowią się na inny głos; dziś jak cietrzewie się wabili, jutro będą krzyżeć jak warchlaki, po jutrze jak sarny, i tak bezustannie zmieniają, niechże tu kto ich zgadnie. A taki Ostrów w Polesiu niejeden, tu możnaby Bóg wie co robić. —

Już późno nad wieczor przyjechali do Słobody i tam zastali Szymona z dwoma młodemi Poleszukami: jeden był czarnowłósy i czarnooki, drugi jasnowłósy, miernego wzrostu, lecz dobrze zbudowany.

*Wojna polska do
1815 r.*

VI.

Myslałem wchodząc w te strony,
Że młodość moja upłynie,
Jak ten kwieciami ubarwiony,
Spokojny strumyk w dolinie.

SZYMON KONOPACKI.

Do Dawidek powrócił Pan Dominik, ale nie sam, tylko z jakimś nieznajomym człowiekiem; o tem jednak oprócz dworskich ludzi nikt nie wiedział, ani wiedzieć nie będzie. U Pana Podczaszego to był obyczaj, że słudzy widzieli, słyszeli a nie nie gadali, a co ojciec staropolskim rygorem wkorzenił, to syn utrzymywał dobrem słowem i sprawiedliwością.

Tylko półtóry doby młodego Pana nie było w domu, a ileż to tam rzeczy się stało! Pan Feliks Baranowski przyjechał z ostrzeżeniem, i matka całą noc oka nie zmrużyła: czuwała dla Polski, dla syna. Rankiem przyjechał Isprawnik Mewes i Istrapczy, a za nim kupa Hoszowców na koniach — i Nestor był tam.

Isprawnik łąjał na pijaństwo, a Nestor zacierał ręce.

— Dosyć, dosyć; żeby kózka nie skakała, toby nóżki nie złamała.

— Chwedjo nam nie dopisał. Słuchaj Nestorze, gdyby tam był ten lubka Wojtuś, myślałbym że to niesamowicie się stało.

— Otóż widzisz, sami siebie posądzać nie możemy, bo żaden z nas własną ręką by sobie nosa nie urznął; jak ma być, to i bez niego będzie. —

Szukali, przewracali wszystko w domu i nic nie znaleźli. Nestor był najgorętszy i najgorliwszy, radził żeby po całym lesie szukać.

— Moi Hoszowce jak gończaki i pod ziemią wyszukają. Mewes nie był tego zdania.

— I djabła tam, szukać wiatra w polu. —

Mewes i Strapczy od Pani Podczaszynej wzięli w garść kilka

bomażek; Nestor z Hoszowcami podskubali trochę spiżarnią i piwnicę Dawidkowską, bo tu już nie chodziło o rzecz publiczną ale prywatną. A kiedy w karczemce na rozjezdnym pili przyzwoicie, Nestor powtarzał.

— Tak, tak, klin klinem wybijając to najlepiej. —

Po odprawie tych niepożądanych gości, przybył ksiądz Sierociński z Markiem Baranem. Młody Bazyljan mówił o poddaniu się woli Bożej, o tem że kogo pan Bóg próbując na tym świecie, najcięższymi zgrzyzotami nawiedza, a on to znosi z pokorą i wytrwaniem chrześcijańskim, tego na tamtym świecie nagrodą oсыpie. To mówiąc nie patrzył na Podczasynę, a kiedy ona go pytała o męża, odpowiadał.

— Jak dobry chrześcijanin, jak dobry Polak, wszystko znosi i na wszystko gotów. —

Potem wyszła pytać Marka, i ten takż od podłogi oczów nie odrywał.

— Widziałem Pana, i zrobiłem co kazano. —

Ta niepewność, to przygotowywanie do nieszczęścia darły jej sercem. Ale w tem przybiegł goniec od Jeleńskiego, Marszałka Mozyrskiego powiatu z doniesieniem o wszystkim; łzy radości płynęły z jej oczów, witała świat jakby z łoża śmierci wstała. I kiedy Dominik przyjechał, wybiegła przeciw niemu.

— Synu dziękujmy Bogu, jutro rano pojedziemy do Metyjek na nabożeństwo.

Przyszedł ranek. Dominik od świtu był na nogach, rozporządzenia robił, sarkał na najazd Hoszowców, nawet chwilę myślał o odwecie; chociaż w jego serce matka pobożność i dobro wlała. Odzywała się tam czasami krewka żartkość ojca; ale przybiegł białoszyi Zagraj, i on go głaskał, o odwecie zapominał, a obraz Bohdanowieckiej dziewicy zjawił się przed oczy jego myśli, jak promyk słońca przedzierający się przez słotne niebo, i już mu lepiej było. Usłyszał dzwon pogrobowy w cerkwi i zapytał stojącego obok siebie Marka: co to jest? Marko Baran głowę poruszył.

— Po prawdzie mówiąc mnie teraz lżej na sercu.

— Dla czego?

— Rudego Chwedja chowają. —

Dominik o postępowaniu Chwedja wiedział od matki, ale jego śmierci nie domyślał się wcale.

— Jakto albo on umarł?

— Mówią ludzie że się zapił w Chrystonówce.

— Przecież on nigdy nie pijał — głośniejsz zawołał: — Kawecki! —

Przybiegł Kawecki.

— Słucham Jaśnie Wielmożnego Pana.

— Pójdź do Chwedjowej żony i dzieci, zobacz czy im na czem nie brakuje; wszystko dać co potrzeba, powiedz że ja będę ich opiekunem. Marko się pokłonił.

— Niech Bóg paniczowi zdrowie taj szczęście daje. Co się stało, to się stało, ale szkoda człowieka: on był najlepszy strzelec po Kaweckim. —

Kawecki podkręcił wasa.

— A ja po tobie Marku. Niech Jaśnie Wielmożny Pan będzie spokojny, będę pamiętał o nich jak o własnych dzieciach. — Odchodząc jeszcze sobie powtarzał. — Ja strzelam najlepiej po Marku; a Chwedjo pó mnie. Wieleż to my razy polowali z tym biednym Chwedjem; trzeba pamiętać o jego żonie i dzieciach. I młody Pan tak kazał. —

W Metyjkach był obraz cudowny matki Najświętszej. Pan Podczaszy Kijowski wystawił tam kaplicę i utrzymywał swoim kosztem kapelana z zakonu ojców Świętego Bazylego. W święto Matki Dziewicy całe sąsiedztwo zjeżdżało się na nabożeństwo. Lud Owrucki pobożny: Wielkanocnej spowiedzi, i mszy niedzielnej; odpustów, nawiedzin cudownych obrazów, nigdy nie zaniedbuje. I teraz przed Metyjecką kaplicą pełno wózków parokonnych i jednokonnych a nawet kilka bryczek krytych, i dwie czy trzy na resorach; wzdłuż częstokołu powiązane jezdne konie szlachty, jakby tam na egzekucję przyjechała. Z dalekich byli okolic, bo niektórzy o ośm i dziesięć mil, a poleskie mile choć krótsze od Ukraińskich, ale djable długiego czasu trzeba, żeby one przejechać.

W kaplicy już było pełno Bożego ludu: wszyscy i starzy i młodzi na kłęczkach, a Ksiądz Sławiańską mową mszę odprawił. Po prawicy ołtarza kłęczała niewiasta w jasne barwy przybrana, a przy niej dziewica w bieli; po lewicy niewiasta w czerni a przy niej młodzieniec przyodziany w ciemne barwy: modlili się do jednej Matki dziewicy razem.

Już i msza się skończyła, i lud Boży z kaplicy wychodził, a obie niewiasty, i dziewica i młodzieniec jeszcze się modlili.

Przed kaplicą Jan Potocki i Sebestjan Uszczapowski witali się z Nestorem.

— No i cóż tam Panie Janie, napaliłeś dużo potażu? a ty Sebestjanie zapomniałeś o mnie!

— Chwała Bogu tego roku i z gałęzi dębowych można ciągnąć potaż. —

Uszczapowski się kłaniał.

— Byłem zatrudniony.

— Co tu gadać, czem bańki mydlane puszczałeś.

— Pan Sędzia widzę zawsze ze wszystkiego drwinkuje. Porównywałem prawo Magdeburskie i korekturę pruską ze statutem Litewskim.

— Głupstwo, na co to się przyda? Ot widzisz i Pan Deputat i ja, nie znamy ani tych wszystkich statutów ani konstytucji, a jednak byliśmy sędziami i sądziliśmy; bo czy to święci garnki lepią. O tak jego to oddaj, a twoje to weź.

— Ale jak kto przemocą grabi i nie chce oddać?

— To już na to ani konstytucja, ani statut nie pomoże; kto silniejszy to i tego prawda.

— Prawo lex jest na to żeby przemoc zdusić, a sprawiedliwość na górze postawić.

— Śmieję się z tego. — Szepnął mu na ucho. — A moskale, zabrali nas, gorzej jak prawem kaduka, i trzymają; a cóż na to twój statut i konstytucje pomogą?

— To bezprawie, przeciwko temu też są manifesta, protestacje.

— Śmieją się oni z tego, wróbla słowem nie zabijesz; ale porzućmy o tem gadać. Ot i cóż tobie przyszło z twojego lexu. Rejent jesteś i Rejentem umrzesz; lepiej jak mamy bałakac panowie sąsiedzi, ja was proszę do siebie do Chrystonówki na obiad.

— Do domu Pana Podczaszego Kijowskiego.

— Już to gdzie ja jestem, to tam wszystko moje; a jak mnie nie stanie to niech sobie robią co chcą.

— Czy opieka Marszałkowska i sąd powiatowy Pana Sędziego przeznaczyli na administratora?

— A djabeł że ich wie! Mewes przyjechał, i powiedział: Nestorze, Chrystonowieckim kluczem będziesz administrował. Ja sobie dwa razy nie dałem powtarzać, a kazać się długo prosić to nieładnie.

— Panie Sędzio możesz mieć proces, do kalkulacji ciebie pozwą, ubytki przysądzą.

— Ja po łacinie nie umiem, ale mnie ojciec nauczył jednej gadki, którą ja dobrze pamiętam: beatus qui tenet, rozumiesz to Panie Rejencie?

— Rozumiem, ale to nieprawne, contra legem.

— Słuchaj Sebestjanie, co z Chrystonówki uzbieram to moje, a co jemu z lexu przyjdzie, to ja tobie daruję.

— Dziękuję.

— Podziękujesz jak będziesz miał za co, a teraz Panie Janie jedziesz do mnie, to facjendę utniemy na twój potaż; dam co zechcesz, i cztery puzderka z Cudnowskiej huty poręczawicznego.

— Ależ moja żona i córka?

— Jabym ich zaprosił, ale bo to przy niewiastach nie wszystko można — pochylił się, jakby jemu samemu tylko

chciał powiedzieć: — W Chrystonówce jest dobre wino, i arak taki że to aż ha, czepki. —

Pan Deputat trącił Regenta, i rzekł mu ciszej.

— Pójdź powiedz Imości, że mam bardzo ważny i korzystny interes z Panem Nestorem, niech sama wraca z Benigną. —

Uszczapowski zacierał ręce.

— Tranzakcję albo komplancję napiszemy. — I wszedł do kaplicy. —

Nestor za nim się uśmiechnął.

— Komplancje! a to na co? tylko z żydami kontrakty robią, a my Panie Janie zwyczajnie jak dobrzy obywatele, z ręki do ręki; a jednemu będzie krzywda, to nie będzie drugiego winą; kto skorzysta temu niech będzie na zdrowie, nieprawda?

— Prawda Panie Nestorze. — Deputat, już zawczasu ślinkę łykał do Chrystonowieckiego winka. —

Nestor na chwilę rzucił się między szlachtę, witał, ścisnął, całował, a wszystko to żywo robił, a każdemu jedną i też samą piosnkę śpiewał.

— Przyjedź do Chrystonówki, mam puzderka z Cudnowskiej huty; zobaczysz jakie dobre, kupisz. —

A zobaczywszy Szymona Możarowskiego zaraz do niego podbiegł.

— A Waćpan Dobrodziej co tu robisz?

— Moja prawnuka chłopca mi urodziła wczoraj; przyjechałam podziękować Matce Najświętszej, iż prapradziadem zostałam.

— Winszuję, winszuję, ale ot jedź Waćpan ze mną do Chrystonówki.

— Kiedyś ja tam jeździłem, a teraz nie pojadę.

— Jedź; dalibóg daruję ci puzderko jakie sobie wybierzesz.

— Dziękuję, komu drogą, temu czas; bądź zdrów Panie Nestorze — i odszedł.

— Dziwny człowiek! gadajże z nim! już to ten to nie spanieje, z poczciwości umrze; ale bądź co bądź trzeba go szanować. —

Kiedy wracał szukać Deputata, zdybał we drzwiach kaplicy Deputatowę z Podczaszyną. Podczaszyna powiedziała.

— Dziękuję Panu. —

On cicho wymówił.

— Za tego łyka, dalibóg nie ma za co, to dla rzeczy publicznej. —

Deputowa skłoniła się.

— Pan Sędzia mi męża zabierasz.

— Mościa Dobrodziejko, przyjedzie on przyjedzie, co złego to nie zginie. Upadam do nóg, ściele się pod stopy. —

Pani Deputowa z Panią Podczaszną przypomniały sobie dawną znajomość, rozmawiały jak najlepsze sąsiadki, i kiedy Pani Podczaszna ośmieliła się zaprosić Deputatową na obiad do Chrystonówki, ta przyjęła zaprosiny od razu. Było to na przekorę mężowi; aczkolwiek Deputatowa była wysmienitą żoną, jeszcze przy ślubnym ołtarzu nie wymówiła słowa: posłuszeństwo; co innego na to miejsce wyszemrała, i ile razy mogła to okazywała, że nie mężowską wolą, ale swoją się powoduje. Teraz zaś mąż był tego przyczyną; nie naradził się z żoną, tylko ruszył wykrętem i Pana Rejenta wysłał z obwieściami, że jedzie do Pana Nestora. Pomyślała sobie: kiedy jemu wolno to i mnie wolno. Pamiętam już temu dawno, miałam spór z Panią Sędziną o pieczenie bab wielkanocnych, a on do jej męża jedzie; to też i ja jadę do Podczaszynej, chociaż brat mego męża miał spór z Panem Wojciechem o szklankę ponczu. Zobaczemy kto wygra, kto na swoim postawi. Tak rozmyślając siadła do bryczki z Podczaszną; międzysobą umieściły Pannę Benignę, a Dominik siadł na przodzie.

Pan Deputat z ustroonia widział, jak żona jechała z Panią Podczaszną, ale udawał że nie widzi. Nestor wziął go za ramię.

— Już to widzę że teraz żony zaczynają w czapkach chodzić. Pani Janowa pojechała bez opowiedzenia się. —

Zarumienił się Bohdanowiecki dziedzic, i z zająkaniem wymówił.

— Ja to kazałem. My z Podczaszym mamy na pieńku; żonk nasze dawno się znają, po chrześcijańsku należy się pociecha strapienemu.

— No, kiedy tak, to po katolicku, to i dobrze chwala Bogu. —

Uszczapowski poglądził się w łysinę.

— Może w miejscu pozwu przyjdzie się pisać intercyzę. —

To słowo musiało poruszyć krew Potockiego, bo po rusku zagadał.

— Co z tego to nic nie będzie; pierwaj tutaj do koła będą stępy jak pod Biało-Cerkwią, niż taka zgoda nastąpi między Potockimi a Prószyńskimi. —

Pan Nestor się zgarbił.

— Nie mów tak Panie swacie; jak ty zaczniesz gadać strzyżone, a żonka golone, to taki tak będzie jak żonka zechce; my to już nie raz widzieli.

— Mnie moja żona rozkazywać? — o co z tego to nic nie będzie. Oho, jeszcze w spodnicy nie chodzę.

— Ot, co mamy krzyzczyć; siadajmy taj jedźmy. —

W drodze Deputat rzucał się na Podczaszego, a Baranowskiego uspakajał.

— Ja byłem przy tem jak całe zło się zrobiło; ot tak, przyjechaliśmy do Pana Ignacego do Wielebniak, było nas szesnastu, wszyscy sąsiedzi i dobrzy ludzie; był tam i Pan Podczaszy: to ja wtenczas nie wiedział dla czego oni tak na siebie z ukosa patrzyli; dopiero potem dowiedziałem się od Czapowskiego, że w Hołubjowiczach u Feliejana Głębockiego, na pohulance, i Pan Ignacy i Pan Wojciech, ot tak sobie na pusto zalecali się do Mewesowej żonki. Mewesowa wołała Wojciecha, bo taki on harniejszy, a zresztą to jakiś jej wujaszek od wujeczno rodzonych. Ignacy wziął to tak na prawdę, że już od tego czasu miał na zębie Wojciecha. My sobie w Wielebniakach pili pióńczyk, sam Pan Ignacy pilnował żeby był mocny, i był mocny tak iż ciężko było zdziawić gębę. My cmokali, dobry, a Wojciech wszystko krzywił się; przyszedł do Czapowskiego. — Coś to sama woda, gęsiom i kaczkom pić wodę, a nie dobrym ludziom. — Czapowski skosztował — prawda że woda, on ciebie ma za gęś, a ty wiesz co o gęsi mówią. — Tego tylko i trzeba było Wojciechowi, zrobił się czerwony jak burak, i całą szklanką gorącej wody lunął w oczy Ignacemu; Ignacy do niego, ale Wojciech jak niedźwiedź go uchwycił i wylupił, wylupił i sługę pańskiego; co silniejszy, to silniejszy, jego prawda. My od tego ręce umywaliśmy, ale chłopom nie dali się mięszać. Bo już to tak, jak szlachta się bije, to niech się bije, chłopom wara tam wtykać nosa.

— Prawo lex powinno to było rozsądzić.

— O już z twoim leksem, i pozabijaliby się, żeby przyszło czekać na niego. —

To opowiadanie jeszcze bardziej rozsierdziło Potockiego.

— No, ja nauczę Pana Wojciecha; dam i mojej żonie, czego tam pojechała?

— A tyś sam pozwolił!

— Prawda, zapomniałem.

— Ja tobie jak przyjaciel radzę, nie zapominaj żyć dobrze w zgodzie z żonką, bo to czy poradzić się, to co dwie głowy to nie jedna, czy posłuchać nawet to nie źle.

— Ja radzić się, słuchać żony? — o co tego, to nigdy nie będzie! —

Kilka razy przez drogę Pan Deputat to powtórzył, a w Chrystonówce po dobrem podjedzeniu, kiedy już w głowach trochę się zamoroczyło, Pan Nestor oprowadzał sąsiada po spichlerzach i facjendował z Panem Janem szyfunty jego potażu na wódkę i zboże Chrystonowieckie. Kiedy Uszczapowski, nie mogąc uprosić przynajmniej o prosty kontrakt, rzecze z cicha.

— Możeby to odłożyć do porady z Panią Deputatową? —

Deputat machnął ręką.

— Ja radzić się, słuchać żony? — o co tego to nigdy nie będzie! —

I zamiana tak się wykonała, jak Pan Nestor zobie życzył.

W Dawidkach we dworze był wielki ruch. Podczaszyc ledwie wysiadł z powozu i poprowadził gości i matkę do pokojów, całą dwornię rozkazami zasypał, takby chciał aby wszystko było dobrze tego dnia. Do pokoju sprowadził sześć podżarych ogarów, bo Panna Benigna o nich jak o dawnych znajomych pytała, i znowu białoszyi Zagraj tak się umiał podlizać, że najwięcej głaskań dostał. Po cichej naradzie z matką, Dominik wprowadził i przedstawił Pani Deputatowej i Pannie Benignie owego gościa który z nim przyjechał z Topyły Słobody; był to ów jasno-włosy mężczyzna, a Dominik zwał go Panem Kazimierzem.

Ledwie miał trzydzieści lat, był w samej sile wieku, oko miał niebieskie niewielkie, ale ładne i pogodne; często bez przyczyny namarszczał brew, żeby sobie marsowatości dodać; ale ten ruch zmuszony szedł na wspak z twarzą białorumianną, pełną, więcej skłonną do dobrodusznego uśmiechu, niż do gry namiętności. Piersi miał wystawne i dobrze był zbudowany, ale na otyłość zakrawał, i choć u młodego brzuch już trochę naprzód wyrastał. Spojrzenia jego nierzutkie, a poważny, partesowy chód cechowały człowieka więcej pysznego jak dumnego.

— Była to prawdziwa odrośl tej szlachty Polskiej, co to walecznie biła się w boju, a ze zwycięstw korzystać nie umiała; w czasie pokoju ujadła się o starszeństwo, a przyszedłszy do niego ani węz. Tego szlacheckiego szczepu był prawdziwym wyobrazicielem Jan Sobieski, tak jak drugiego szczepu szlachty Polskiej, szczepu Lackiego był wyobrazicielem Jan Zamojski. Sniady, suchy, rzutkiego oka, a rzutniejszej myśli, co to uśmiechem i pogodą chce obrzucić war namiętności; co to nie dba o to żeby mu ludzie się kłaniali, ale chce aby go słuchali. Kanclerz w radzie, Hetman na polu bitwy, umiał słuchać, ale i rozkazywać umiał.

Kazimierz był rodem z Kujaw; od lat trzynastu jak wyszedł z kraju do legionów; tam służył pod jenerałem Dombrowskim i pod wodzą jenerała Kniaziewicza był w bitwie pod Hohenslinden, tam gdzie ten bohater szablicą Polską rozstrzygnął zwycięstwo Gallów nad Giermanami. Młody Kujawianin, z najezdami Napoleona trzy razy zwycięzko hasał po Giermańskich ziemiach. W Iberji zawodził wojenny taniec z dzikim Hiszpanem, i z samolubnym Anglikiem. Dwa razy już toczył krew Moskiewską, i teraz po raz trzeci przyszedł wyganiać wroga z bratniej Litwy, kiedy pod Bobrujskiem odcięty od swoich

z jednym towarzyszem, równie jak on oficerem ze sztabu jenerała Dombrowskiego, musiał się rzucić w puszcę. W Łubińskich lasach pojmani przez carskich ludzi, odbitymi zostali przez Podczaszego Kijowskiego. Miał kilka ran widocznych, i krzyże zdobyte na polu sławy. Wszystko to mówiło do serca Polek, i wszystkie trzy go przyjmowały ze czcią i z serdecznością należną bohaterowi Polakowi.

Opowiadał o krajach Zahodu, a Nadsekwańskim grodzie, który Cesarska wola naznaczyła na stolicę świata; on tam wszędzie był, wszystko na własne oczy widział, i w jego mowie widno było że nie powtarza czytanych rzeczy, albo też słyszanych. Wszyscy słuchali, a z oczów Panny Benigny widać że ani jedno słówka z tego gadania nie straciła.

Dominik słuchał i patrzył na dziewczę. O! jakże ona była piękną dla niego, z temi ustami co chciała a bała się półuśmiechem umilić, z tą szyją pochyloną żeby być bliżej słów opowiadającego, z tym rumieńcem mieniącym się na trochę ogorzałym licu, co zdradzał każde czucie życia. Po raz pierwszy wtenczas gorzko narzekał: a ja nigdzie nie byłem; a ja nic nie widziałem. Na śniadą twarz nie wystąpił rumieniec, i oko choć na dziewczę patrzyło, odbijało smutek duszy; był nieśmiały, mało mówił, jakby słów mu brakło, a jednak po żywej grze na twarzy widno że chciałby mówić.

Dziewica to zgadła choć mało znała młodzieńca. O! w takich razach serce dziewczęce wieszco widzi. Sama poczęła przeglądać książki których było pełno, i mówiła o nich; jakże on był wdzięcznym, mógł mówić o tych książkach i mówić do niej.

Obiedwie matki słuchały opowiadań Pana Kazimierza, ale od czasu do czasu spozierały na swoje dzieci, i uśmiech dobra przewijał się im po twarzy.

Czekano z obiadem na Szymona Możarowskiego, kiedy wbiegł Dmytro.

— Paniczul psy gonią kabana pod ogrodem. —

Na tę wieść i Dominik i Kazimierz żywo skoczyli po strzelby i pobiegli w las, a kobiety poszły także, jeżeli nie zobaczyć to przynajmniej posłuchać przez częstokół co tam się dzieje. Pani Podczaszyna modliła się żeby się nie stało co złego, gdyż to był dzień Matki Najświętszej, a w takie dni nie godzi się polować.

Polowania tego rodzaju niespodziewane, często bardzo się zdarzają na Polesiu; tam puszcza przypiera pod same chaty, i po całej wiosce przerzucają się gęste łozy, sterczą rozsochate dęby i ściekle sosny. Nie w jednym ogrodzie walają się spróchniałe łomy, a co krok sterczą pieńki i połamane drzewa. Zwierz płowy pod siołem lubi zalegać, a nierzadko tam podchodzi czarna zwierzyzna.

Marko Baran z Kaweckim markotni, pędzić dzień świąteczny w nieczynności, zabrali co starsze i leniwsze gończaki, i zapuścili za wioską na zająca albo na sarnę. Niedaleko nad ługiem psy od razu wsiadły na zwierza; z naszczekiwania w miejscu, poleszuków ucho wnet poznało że to gruba sztuka. Na ten głos jakby czarem jakim każda chałupa jeżeli nie kilku, to przynajmniej jednego strzelca wyrzuciła, i gonowi psów już wtórowały pukanie rusznicy.

Wszystkie trzy kobiety stanęły koło częstokoła przez którego szpary widać było w las. Między dwoma ługami ciągnęła się smuga sianożęci daleko aż w dąbrowę. Na smudze z rzadka rozrzucone sterczały stare dęby z kędzierzawymi wierzchami; w ługach tak się gęsto plecie łożyna, że oko się zbałamuci, a kroku jednego w głąb nie przejrzy. Nad łożyną bujają olchy i osiki, i wznoszą się kraśne wianki iwy, i gałęzie chyrlawych wierzb. Między te ciemnie gdzieniegdzie tylko przejrzeć można ściekę wydeptaną przez bydło.

W lewym ługu psy ujadają i skomlą, i czasem któryś zajęczy nagle, i nagle utnie; wzdłuż smugi widać jak strzelce czają się do dębów. Benigna niedaleko częstokoła spostrzegła Pana Kazimierza; stoi pod spruchniałym dębem, i patrzy w ług, musiał spostrzedz dziewicę, bo postać swoją junacko nastroił. Dominika ani słyhać, on zazwyczaj jak sarna sadzi po lesie, a zna wszystkie przesmyki.

Kilko strzałów stłumionym rozgłosem rozbiło się po ługu, a ujadanie psów coraz wrzawniej a wrzawniej brzmiało, ług trzaskiem łomotał się, i po każdym strzale słyhać było krzyk:

— Pilnuj, odyniec farbuje, na pieńki! na pieńki! —

I każdy Poleszuk mignął okiem po za siebie, żeby sobie obrac pieńek, albo gałęź na ratunek po strzale. Kolbę do ramienia podniósł, palcem dotykał cyngla i był gotów. Kazimierz uśmiechnął się z tej przezorności, i postąpił kilka kroków naprzód, na zupełnie czyste miejsce.

Słyhać łamot ługu, wrzask psów, wprost kierują się ku częstokołowi. któryś ze strzelców krzyknął:

— Panie, za dąb. —

I Benigna krzyknęła.

— Panie Kazimierzu! —

Aż tu z tyłu szorstki pogwizd odyńca zaszumiał w ługu. Kazimierz stał w miejscu. Już widać jak się ług rozdaje i pogwizd głuzy ujadanie psów. Przymierzył się Kazimierz; ognik i dym błysnął, strzał huknął, odyniec z ługu wyskoczył, i w skoku kłami klasnął, i pomknął pogwizdem. Drugi strzał huknął. Bliski strzelec zawołał: na ziemię! i Kazimierz upadł na ziemię, a odyniec już był na nim i zgraja psów wyskoczyła z ługu.

Iskry sypią się z krwią zasłych oczów odyńca, racicami

depce, klamsa zębami i furka. Zgraja psów wyskakuje z ługu, i obcesem skacze ku dzikowi, chwytą za smolną szczecinę; myśliwcy krzyczą huź! huź! i biegną, a drzew się trzymają. Odyniec się odcina, psy kłęb jak brzytwę kiereszują, a z miejsca się nie rusza. Pieni się, kark chyli, a kłęb do ziemi dostać nie może.

Kobiety wołają: ratunku! ratunku! Widzą jak kupa ruchoma psów wre i podrzuca się, jak war ukropowy w kotle; coraz z niej na bok odskakuje pies bez nogi, albo bez wnętrzości, i skomli jękiem, a reszta wre wrzawą naszczekiwania, tak iż głosu podszczekujących ludzi już nie słyszą.

Dwa razy Marko Baran przyłożył się do rusznicy, i dwa razy kolbę odjął od szczęki; Kawecki kordelas dobyty trzymał, a nie śmiał się rzucić, a gończaki nie umiały osadzić odyńca. W tem Dominik z ługu susami sadzi, i woła na strzelców.

— Na bok! na bok! —

O kilkanaście kroków się zatrzymał, przymierzył się, i strzelił z dubeltówki jakby dwa orzechy zgryzł raz po raz. Dzik przysadził, zatoczył i upadł. Psy z większą wściekłością jeszcze się rzuciły, a Dominik podnosił Kazimierza.

Dzik ani ziewnął, śmiercią zastygł, a Pan Kazimierz racicami zdeptany, szczęściem ani jednej rany nie miał.

Kiedy kobiety wyszły z za częstokoła z troskliwością pytały o zdrowie nieszczęsnego łowca, on postawą pokrywał ból: przypuściłem go jak zająca, ale kula go się nie wzięła, taki smolny. Mnie nic nie jest, to fraszki. — Ledwie mógł się rozprostować i dodał: Byłby pewno się zwałił bo ja go tego ranilem.

Dominik stał jak gdyby to nie on strzelał, ani słowa o tem nie mówił, tylko pytał Panny Benigny czy się ona nie bardzo ulękała.

Dziewica spojrzała na niego tem okiem, co to staje za wszystkie pochwały, za wszystkie podziękowania.

Myśliwi jedni opatrywali dzika, drudzy ranne i konające psy. Marko Baran kiwał głową.

— Panie Kawecki, no już teraz nam za paniczem strzelbę nosić; w sam łys trafił i kulę na kulę wsadził.

— Ta już to że strzela dobrze to nie nowina.

— Już to ja nie od dziś poluję, przyznam się wam że tego bym nigdy nie zrobił. A jakby djabeł kulą pokierował, i w miejscu kabana zabił człowieka?

— Widzisz Marku, choć jaki zdaje się spokojny, niech tylko wypadek jaki się zdarzy to zaraz znajdzie radę, i już o nic nie pyta. To ojcowiska dziecina.

— Prawda że rodem kurki czubate; ale co gracko, to gracko, to nie ma co mówić. —

Szymon Możarowski który jadąc z Metyjkowskiej kaplicy zasłyszał głos psów i strzały, przybiegł tam, zsiadł żywo z konia, a po pierwszych powitaniach zbliżył się do Pana Kazimierza:

— Mości Dobrodzieju z dziękem to nie przylepki. Pamiętam świętej pamięci dziad mój Książ Jeremiasz Możajski zawsze do mnie mawiał: Szymonie, jak idziesz na niedźwiedzia to gotuj łoże; jak idziesz na dziką to gotuj trumnę. — To prawda, niedźwiedź poklepie trochę, pobawi się, ale nie zadławi; a dzik jak czerknie to i po wszystkim. Ja też ile razy stoję w kniei na kabana a na odyńca, to zawsze w myśli ze wszystkich grzechów spowiadam się Panu Bogu. — I dodał ciszej: — Wolałbym do stu Moskali strzelać, jak do jednego odyńca, kiedy nie stoję koło dobrego pieńka. —

Pan Kazimierz wysilił się na uśmiech i wszyscy powracali do domu. Renigna przed odejściem między psami szukała Zagraja, a znalazłszy iż miał trochę szyję przekiereszowaną, i zakrwawioną białą sierć, pogłaskała psa, i swoją chustką związała mu ranę. Dominik słowa nie rzekłszy, pocałował ją w rękę, i oboje się zarumienili, jak jagody maliny.

Przy obiedzie Pan Kazimierz zawsze przez chęć okazania zuchwałości, mimo że Pani Podczaszyna nalegała aby spoczął, siadł do stołu. Szymon choć ośmdziesiąt cztery lat w Owruckiem przeżył i wielkiego świata nie widział, był jednak szczwany niczego, tak dobrze znał ludzi, jak znał dobre Owruckie bory. Zaraz skmetował czego trzeba było Kujawiakowi, począł wychwalać jego zuchwałość, odwagę i hart, nawet posunął rzecz do tego.

— Żeby nie Pan Kazimierz to dalibóg że tego odyńca byśmy nie mieli, on go zatrzymał. A co piękna sztuka to nie ma co mówić, przyznam się że takich w życiu tylko kilka widziałem, i Panu Steckiemu w Chabeńszczyźnie nieczęsto się zdarzy upolować taką bestję.

Deputatowa i Podczaszyna łączyły do pochwał Pana Szymona swoje pochwały, Kazimierz rósł jak na drożdżach, niebardzo się odmawiał, i całą dobrodusnością przyjmował na siebie zwycięstwo. Pan Szymon nie zapomniał jednak o swoim kochanym Dominiku, nietyle chwalił celność strzałów ile śmiałość strzelca.

— Już to tak, Owruczanina na jakimkolwiek uczynku złap, to nie opuści rąk. Na klin zaraz znajdzie. —

I Kazimierz i obiedwie matki oddawały sprawiedliwość Dominikowi, a Panna Benigna z cicha wymówiła:

— Ja to lubię. —

Dominik musiał zasłyszeć, bo siedział tuż koło niej, i łzy szczęścia stanęły mu w oczach.

Dominik odprowadzał sąsiadki aż pod samą Bohdanówkę, i w drodze Panna Benigna bawiąc się jak dziecię, kilka razy dotknęła drobną rączką kasztanowatego konia. I ten koń w łasce pańskiej stanął w parze z Zagrajem. Młodzieniec sam sobie nie umiał zdać rachunku ze swojego uczucia. Miłość ani razu mu przez głowę nie przeszła. Ot tak sobie myślał o Pannie Benignie, i ot tak sobie bawił się z chustką, którą ona obwiązała ranę Zagrajowi, a którą on zaraz zdjął i schował dla siebie.

Powróciwszy zastał Kazimierza w łóżku; rozmawiali z sobą i nie wiedzieć dla czego, o czym zaczęli rozmowę, kończyli ją zawsze na Pannie Benignie. I z matką i z Panem Szymonem toż samo było, a nawet z Baranem i Kaweckim, bo im powiedział:

— Tego dzika dzisiejszej nocy kazać zawieść do Bohdanówki dla Pani Deputatowej i Panny Deputatówny. —

To nie przeszkadzało bynajmniej aby się zajmował innemi rzeczami, bo wziął na stronę starego Możarowskiego.

— Panie Szymonie, o świcie pojedę, i jeżeli będziecie mogli jutro wieczorem z Panem Kazimierzem wyjechać, to uproszę Pana Tadeusza, aby mógł po was przyjechać do Korczówki. U Pana Wincentego bezpiecznie zdaje mi się.

— U każdego Owruczanina bezpiecznie; las pod nosem, a oczy Poleszuka i daleko i na wszystkie strony widzą. Nas nie podejda jak zająca w kotlinie na upatrzonego, a raz w lesie zje djabła że nas wytropi. Panie Dominiku, ja stary mówię, zaczynajmy jak najprędzej, a lasów się trzymajmy, to oni nam nie nie zrobią, a my swoje zrobimy; jakem kniaź Możajski.

— I ja bym chciał zaraz, ale naczelnik?

— Prawda, naczelnik. O, trzeba słuchać, choćby i czekać, bo gdzie nie ma ładu, tam wszystko djabeł bierze. Gdybyśmy się byli kupy trzymali, i słuchali starszego, toby ten huncwot Litwin nic nam nie zrobił, i nie bylibyśmy tem czem dziś jesteśmy. Zadumał się na chwilę — to wszystko co żyje w Możarach, co pochodzi z Kniaziów Możajskich na koń wskoczy, a bez mojej wiedzy nic. Tak trzeba żebyśmy wszyscy robili. —

Potem mówił z Baranem.

— Marku znasz Pana Jaroszewicza.

— Ojca Atamana jakże nie znam? Ktoby jego w Owrukiem nie znał!

— Otóż trzeba żebyś zawiózł do niego Pana Adama.

— Tego czarnobrewca, co to ma przyjechać w nocy z Podkołotym.

— Tego samego; tylko powiedz Atamanowi żeby zaraz zrobił to co on zechce, a nie zapomnij powiedzieć że tak kazał Pan Tadeusz.

— Bądźcie spokojni Panie, choćby przyszło głową nałożyć to Marko wszystko zrobi co panowie każą. —

Kaweckiemu kazał żeby Stefan przygotował do bryczki czwórkę siwoszów na jutro o świcie, a Dmytrowi żeby zabrał rzeczy na kilka dni, nawet parokonnym wózkiem Maksym miał jechać z kuchnią. Dokąd? tego nikt nie wiedział bo to było zwyczajem i ojca i syna nie mówić sługom aż wyjechawszy za wioskę. Matce oddał dobranoc; długo z sobą mówili i poszedł spać, ale jakby świętość jaką od czarów, położył pod poduszkę chustkę panny Benigny.

VII.

Dalej, dalej w kolo!
Tańcujmy wesolo.

PIOSNKA GMINNA.

W Owruczu wielki zjazd obywateli. Pan Wicenty Trypolski Chorąży powiatowy umarł, kandydaci powychodzili do Księztwa Warszawskiego służyć Cesarzowi Napoleonowi, trzeba było tedy wybrać nowego Chorążego. Jakkolwiekby nie była wojna, zawsze Moskwa osadzała zbrojną załogą Owrucz; nie dla tego aby się tam spodziewała wejścia nieprzyjaciela, ale że się obawiała Owruckiej szlachty, której liczone z górą czterdzieści tysięcy samych męskich głów, ma się rozumieć z temi co ich odcięto do Radomyńskiego i Żytomirskiego powiatów. Szlachta drwiła z załogi powiadając: — Bagien nam nie wysuszą, lasów nie wytrzebią, a w grodzie niech sobie siedzą; jak przyjdzie czas, to ich ztamtąd wykurzymy jak lisów, i jak lisów pomordujemy. — Już orły cesarskie wichrem przegnały przez Litewskie ziemie, i poniosły wojnę w rodzimy kraj białego Cara. Dąbrowski z garstką męźnych Polaków za pinskiemi bagnami tłukł Moskali, a Niemiec wszedłszy nad granice Wołynia stał jak malowany. Na starej Rusi jedni mówili: czekajmy na rozkazy Cesarza Napoleona, co on zechce to zrobimy; drudzy utrzymywali: trzymajmy się Cara Aleksandra, on Polskę postawi na nogi. Jedni tylko Owruczanie przebąkiwali: nie zważajmy ani na jednego, ani na drugiego, powstańmy i bijmy się na swoje, za swoje. Ich była prawda, a byłaby najsukuteczniejsza, gdyby w miejscu jak jedni z nich braci czepiali się Cara Moskwy, drudzy Cesarza Francuzów, oni byli znaleźli Króla Jegomości dla Polski; inaczej wszystko by szło, ale bądź co bądź, Moskale bali się Owruczanów.

W grodzie stał pułk piechoty zawsze pod bronią, za grodem pod wzgórzem Świętego Bazylego pułk dońców dzień i

noc na koniach, i drugi takież pułk za Noryniem, od Żyto-mirskiego szlaku. W koło grodu było sześć armat tak usta-wionych po wzgórzach, że mogły grzmieć i w pole i do miasta. Mimo jednak tę przezorność wojenną, nie wzbraniano szlachcie nosić karabeli, i zbierać się na kadencje, a teraz na wybory.

Podówczas dwa były zakony w Starym Owruclu: Ojców Bazylianów i Ojców Dominikanów. Ojcowie Bazylijanie mieli mnogie włości i dwa monastera, jeden Pojezuicki, drugi tak zwany Zaruczajski, że był na wzgórzu za małym ruczajem. U nich były szkoły powiatowe, i cała szlachta zamożna, pose-sionaty, i starsi szlacheckich wiosek koło nich się gromadzili. Ksiądz Strojnowski opat Bazylianów, z pańskiego rodu, do pańskich obyczajów nawykły, z otwartą gościnnością przy-jmował braci szlachtę. W monasterach mieli mieszkania huk; co czwartku, co niedzieli i każdego święta były wielkie uczty. Ksiądz opat miał samej muzyki sześćdziesięciu, cugi przepyszne, powozy złociste, dwornia liczna ugalonowana jak u największego magnata. Komnaty bogato w starożytne zbytki przybrane, piwnica zasobna i wysmienita; kuchmistrz co się nazywa mistrz, a przy tem staropolska szczerłość i hojność. Grosza jednego z dochodów nie chował, ani do kalety krewnych nie odsyłał, i oni też nie powtarzali: błogosławieństwo tym którzy księdza mają w rodzie. Wszystko szło na życie z bracią szla-chtą i na szkoły. Stu ubogich uczniów Ojcowie swoim kosztem utrzymywali. Wszystkich młodych księży sposobiących się na nauczycieli, Ksiądz Opat wysyłał do uniwersytetów za granicę kosztem zakonu; książek naukowych, narzędzi, mnogie zasoby gromadził, i Owruckie szkoły były sławne na całą Ruś. Nietylko zaś opieka Bazylianów dla młodzieży była w szkołach, ale i za szkołami. Zawsze kilkunastu Bazylianów rozesłanych było na szlacheckie wioski uczyć szlachtę, bojaźni Boga, mi-łości ludzi; czytać, pisać i rachunków. Ksiądz Opat, mło-dzieży jadącej do palestry, albo do wojska, byle do polskiego, jak nie była zamożna, z zakonnej szkatuły na drogę i utrzy-manie dawał pieniądze. Dla tego to Bazylijanie byli dobro-dziejami Owruckiego plemienia, i szlachta pod ich skrzydła, jak pod skrzydła rodzimych Ojców bieгла.

Ojcowie Dominikanie ubodzy, ale także poczciwi ludzie i dobrzy Polacy, kupili do siebie palestrę i drobniejszą szlachtę. Ksiądz Kwiryn Przeor Dominikański dzielił się z niemi skromnym kawałkiem chleba, a Ksiądz Bazyli lektor zakonu zasiliał ich bogobojnym i polskim duchem. Ojcowie Dominikanie żyli w braterskiej zgodzie i w najlepszem zacho-waniu z Ojcami Bazylijanami. Znano to dobrze, że Ksiądz

Przeor nic nie robił bez wiedzy Opata, szczególnie w rzeczach polskich.

W tymże Owruczu były dwa opaczne miejsca schadzek szlachty. Na zamkowym wzgórzu, gdzie jeszcze po nad ziemią leżą zwałiska zamku Igora Igorewicza; starodawnym przywilejem Isor starozakonny, pamiętający jeszcze przedrozbiorowe czasy, wystawił dom i w nim szynkował wino, wódkę i inne trunki. Cała palestra i drobna szlachta, jak tylko w Owruczu, musiała Isora odwiedzić; bo Isor i dobre rzeczy o Polsce gadał, i dobre miał wino, i poborgował, jeżeli nie było czem zapłacić, i tam można było się dowiedzieć, kto jest a kogo nie ma w grodzie.

Isor zaś, zwyczajnie żyd, przy wszystkich swoich przymiotach, wystawił na rynku dom ogromny zajezdny, i tam osadził swoją córkę Chincię: tam miał mieszkanie Pan Józef Pausza Marszałek powiatowy, tam zajeżdżali Trypolscy, Trzeciacy, Prószyński, Głębocki, Niemirydz i cała możniejsza szlachta owrucka; tam były schadzki, bo Chincia trzymała wino, porter, gdańskie wódki, śledzie, minogi, marynaty, i umiała przyrządzać szczupaka z pieprzem po żydowsku.

Dzień już dobrze jaśniał, stary Isor odprawił boruchy i żydowskie bogi popakował w torbę, kiedy po prymarji z Dominikańskiego kościoła weszło do szynkowej izby czterech gości; dwóch przyszło razem, a trzeci i czwarty osobno, jeden po drugim. Wszyscy byli w kontuszach zwyczajnie Owruczanie, a jeden był przy szabli.

Isor wszystkich witał pokornie, ale trochę poufale.

Stary Porucznik Jakowicki z swoim zięciem Maciejem Didkowskim, adwokatem sądu ziemskiego, siedli przy stole.

— Isorku wina, dwie butelki, a tego Czarnobylskiego co to Waść wiesz.

— Wiesz, tego co to my pijali za czasów Pana Kościuszki.

— Tego, tego; dobre to były czasy!

— Nu, i teraz takie mogą być. — I spojrzął się na strony.

— Ale my już nie tacy! — Westchnął Porucznik. Isor poszedł stawiać dwom innym gościom wino, a Jakowicki mówił dalej do zięcia:

— Ot wiesz Macieju może co i będzie; żyd to pies, wszystko naprzód przewącha. Ja dąlibóg już ledwie z domu na prymarję, a z prymarji tu się przywlokę, ale Waść w samej sile chłop; weź moją szablę, odchędoż, pendentą ponawiaj, to się zda.

— Ależ tatk, kiedy to furdymenta strasznie zardzewiało.

— Co Waść pleciesz, jakiś jurystowski wyraz, w całej kawalerji narodowej zwailiśmy pendentą, a nie furdymenta, suplementa, dokumenta, i czort wie jakie tam wasze białuki.

— Niech tatko dobrodziej daruje, bo na Boga się klnę że ja w tem wszystkim nieświadomy.

— To źle i bardzo źle; jeżeli przyjdzie do czego, to Polska będzie potrzebowała nie szerekaczów ale rębaczów, a ja nie na to Waćpana, moje dziecko, dalem, żebyś darmo chleb zjadał, a Ojczyźnie nie służył.

— Tatku ja i chcę i będę służył.

— Kiedy nie umiesz, jesteś nequam stupidus.

— Nauczę się, wszak nie święci garnki lepia.

— Prawda że chcącemu nie masz nic trudnego; ot wiesz co, poprosimy księdza Kwiryna, żeby pozwolił klasztornego stróża Ostapka; on kiedyś był u mnie luzakiem, nauczy Waćpana czyścić i urządzać broń, i chlastać szablą. Ja będę na to patrzył, a zobaczysz za trzy dni będziesz gotów. —

Porucznik popatrzył na strony; jeden z gości małego wzrostu popijał wino, i coś gryzmolił na arkuszu papieru, ale tyle mazał, co i pisał; drugi zaś słuszniejszy, chudy, i jak mruk cicho siedział i pił, był już przy końcu drugiej butelki.

Isor zbliżył się do teścia i zięcia.

— Isorku, cóż to tam Pan Kudelski szabluje piórem?

— No on pozew pisze na Moskalów, a cóś mu ciężko idzie.

— Bo (też to jurystowski koncept, piórem wyganiać wroga z naszej ziemi.) Tu szablą trzeba, inaczej ani weź. Ot przynajmniej Pan Suryn przyszedł z Rzeczycy z szablą.

— No, niech Pan z niego nie naśmiewa, on zuch, co on tu dokazywał!

— Kiedy? co?

— No, za Pana Kościuszki. — Siadł Isor; na rozkaz Jakowickiego najmyczka podała szklanke, a on nalał wina.

— Isorku, żeby ci gardło nie zaschło opowiadając, pij.

— Choć te może tref, mniejsza o to, niech panowie słuchają.

— Jak tylko Pan Kościuszko tam pod Raclawicami do Moskalów się wziął. —

— Pamiętam, ja tam byłem. Macieju, tam moją szablą dokazywałem. Mów Isorku.

— No, to Moskale zaraz szli do Owrucza, a tu był tylko Pan Porucznik Baranowski z kompanią komputowej piechoty; on chciał się bronić przeciw Moskalom, ale wszyscy nawet Pan Dubrawski powiedzieli: jak to można, tu ich idzie kilka, kilkanaście tysięcy, a Waś masz tylko sto piechurów; to on poszedł w lasy, i dragonja Dubrawskiego i Pauszy kozacy wszystko poszło w lasy, a Moskale byli pod miastem. Jak dziś pamiętam, Pan Suryn był u mnie, kiedy dali znać; oni idą. Pan Suryn wybiegł, a ja ze drzwiów patrzył. Po samym przodzie szli dragoni Moskale i Pan Falkenhagen, ten co tu jest, niemi komenderował: on maszerował przed wszystkimi. Pan Suryn

po swojemu z takim podskokiem grzecznym krzyknął: Hola rada! a potem kłaniając się uprzejmie, jak to jego zwyczaj, zagadał: Pieszczona Filis fantazję straciła. I dobył szabli, i tak się wtenczas nastuburczył jakby on był wojak. Zkąd? dokąd? Falkenhagen jemu, do grodu. A on jemu. A szelmy, gałgany, hola rada, łby poucinam: i szablą wymalował krzyż w powietrzu. Falkenhagen zawrócił swoje wojsko i szedł nazad, a Suryń jeszcze za nim krzychał! Ty idziesz po nowe pułki, i ja idę po swoich, hola rada. — Wrócił do mnie, w kieszeń wziął dwie butelki wina, i ruszył do Rzeczycy do swego futoru, a Moskale nieprędko weszli do miasta, takiego na nich strachu puścił.

— To chwacko, nie ma co powiedzieć. —

Choć Isor dość głośno mówił, Suryń nie musiał tego słyszeć, bo ani razu się nie obejrzał, swoje robił, już z trzeciej butelki pił.

— No niech panowie jeszcze słuchają, co on drugiego zrobił. Już Moskale tu się byli rozgościli jak u siebie, kiedy dali znać że idzie Pan Kopeć z wojskiem polskim. Moskale wyszli za miasto i stanęli obozem nade drogą do Rzeczycy, było ich bardzo dużo; Pan Suryń wziął odemnie dwie butelki wina i poszedł. Panowie wiedzą tę gruszę kędzierzawą nade drogą, otóż on tam wlażył, pił wino, a jak noc się zrobiła, wyciągnął pistolet i wystrzelił. Moskale w strach, dawaj szukać i nikogo nie mogli znaleźć; nasz wojak jak jemioła siedział na gruszy. Moskale całą noc nie spali, byli pod bronią; aż dopiero nadedniem układali się spocząć, a Pan Suryń z drugiego pistoletu wystrzelił. Wielki rejwach, szukali i znowu nie znaleźli. Aż tu chwała Bogu, szli ludzie z Rzeszycy na targ do Owrucza, i Pan Suryń spuścił się z gruszy i z niemi wszedł do miasta, i do mnie się jawił i wszystko opowiedział, a ja jemu: niech Pan więcej tego nie robi, bo Moskale zabijają; a szkoda, lepiej Moskala zabić; nie prawdaż?

— Zapewnie, ale cóż Waćpan myślisz Isorze?

— Ja myślę sobie, żeby tu był Pan Wojciech z Chrystonówki, to jużby się coś zaczęło.

— A Pan Tadeusz?

— No to ten, to bardzo rozumny, on wszystko na rozum bierze, a tamten to wszystko brał na kułak. —

W tem Kudelski zawołał.

— Panie Isorze, daj no mnie szpagatu, papieru listowego, laku i zapaloną świecę.

— Panie Mateuszu, cóż to? czy myślisz wszystkich Moskalów opieczętować, jak pozostałe remanenta. —

Kudelski wstał z miejsca, zbliżył się, i podrapał się w tył głowy.

— Ot ja wam powiem co zrobiłem; porobię ze szpagatur stryczki do szubienicy, i poszlę Horodniczemu, Istrapczemu, Doktorowi, Aptekarzowi i Mewesowi, z temi wierszami com tu skomponował. — Napuszył się jak indyk do bełkotania.

Wielka będzie scena:

Jak przyjdzie Masena.

— Wyśmienicie, co główka to główka, nie dla formy. — Isor białe pejsy poskrobał.

— Pan Mateusz nie będzie się gniewał, a ja coś powiem.

— Mów.

— Młody Panicz Pungowski takby nie marudził, papieru by tyle nie namazał, a wierszy napisałby huk, a takich że jak on gada, to aż mnie żydkowi dobrze się robi. Bo to wiedzą panowie tak, Pan Bóg jednemu dał rozum, żeby był piwowarem, drugiemu żeby był pisarzem. —

Kudelski już otwierał usta do odpowiedzi, kiedy Suryń porwał się z miejsca.

— Hola rada! — Dobył szabli, i posuwiście jakby do tańca zapraszał, szedł do okna. Kiedy pieszczona Filis fantazję straciła. Krzyżową sztuką po oknie czach, czach i szyby brzębrzęknęły; obrócił się do drugiego okna, po szybach czach, czach i powybił. — Otóż masz, za mną do Księdza Kwiryna, na Moskali. — I wyszedł.

— No on tak zawsze, ale on zapłaci. —

Natomiast wszedł Pan Sebestjan Uszczapowski, a ujrawszy porucznika, skłonił się i ucałował go w ramię.

— Jaka szczęśliwa alternatywa zaniosła mnie w to fortunne miejsce, gdzie mogę moją submisję i wernerację oświadczyć ojcowi naszego obywatelstwa.

— Dostyc tego, jak się masz Panie Sebestjanie, we dwóch słowach ci powiem: Jak Moskala skieriesz, to Róża twoja, a inaczej to próżne gadanie.

— I lex pozwala, i justicia nakazuje, żebym rąbał i wojował wroga mojej patrii. A zatem wszelką mam nadzieję że amor mój zostanie ukoronowanym.

— Daj Boże. A cóż tam słyhać?

— Obywatelstwo zjechało się do Owrucza, nawet Pan Deputat z Panią Deputatową i z rodzeństwem tu zjechali.

— To jeszcze nie na wiele się zda, a Wojciech z Chrystonówki?

— Do Kijowa został powiezionym, ale Pan Dominik zapewne tu musi być.

— Młody, z panami obywatelami rady sobie nie da. Zresztą ja najlepszy przyjaciel całej rodziny, a jednak nie poszedłbym pod rozkazy młokosa.

— Któż tu o tem mówi Panie Poraczniku; bynajmniej

lex successionis nie ustanawiam dla Pana Dominika, tylko powiadam że to co ojciec ludzi i zasobów mógł dostarczyć, on dostarczy.

— Mospanie, są ludzie o których można powiedzieć: ucieknie albo schowa się, bierz go djabeł, byle dał ludzi i pieniądze; ale Pan Wojciech to co innego, on sam swoją osobą, sto razy więcej wart, jak to co może dać. On ma ten ~~szuk~~ co to nie do pustego gadania, ale do czegoś lepszego prowadzi.

— Może kto się znajdzie co go zastąpi; chodźmy do księdza Kwiryra, tam naradzimy się nad salutem patriae.

— Już ja dziś byłem na prymarji, ale kiedy idzie rzecz jak Waćpan mówisz o salus patriae, to mnie tam zaniesiecie. Isorku wina jeszcze, i chodźmy.

Pan Józef Pausza marszałkował podówczas w starym Owru-czu; zamożny w ród i dostatki, nie miał jednak hartu swojego przodka, owego Sędziego Pauszy, co to przyjeżdżał na kadencje w poczcie sotni Czernichowskich kozaków. i ażeby utrzymać palestrę i strony w rygorze i uszanowaniu dla prawa i jurysdykcji, mawiał: Sza Pausza! durniu jakiś chodzisz, nie brój, bo zobaczysz prędko Tróję Świętą; co miało się znaczyć podwyższenie na szubienicę, i to co mawiał, to dotrzymywał. Dzisiejszy marszałek miał wiele sumiennej poczciwości, a przytem chęci serdecznej służenia ojczystej sprawie, i dla tego oddał się zupełnie pod zarząd Tadeusza Teleżyńskiego i Wojciecha Prószyńskiego.

Tadeusz Teleżyński czterdziestówkę lat już przeliczył. Polak doskonały i człowiek niepokalanej cnoty; choć ubogi bo ledwie miał kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich, obranym został Przesem sądu głównego drugiego departamentu gubernji Wołyńskiej, i przy tej wysokiej godności nie wstydził się trudnić interesami Czarnobyłskiego Chodkiewicza; u niego duma szlachecka na tem nie cierpiała, a szlachta poznawszy prawdę, tem bardziej go czciała. On był wyraźnym naczelnikiem Owruckiego powiatu, na jego głowie wszystko spoczywało.

Nim się obywatele zgromadzili w magistrackiej sali do wyborowania, było wielkie śniadanie u Marszałka mieszkającego w domu Chinci. W tymże samym domu mieszkał Dominik Prószyński; dość było przejść przez stajnię, aby poznać że on tam był; koń wierzchowy omunsztuczony i osiodłany, nawet popręgi podpięte, łańcużek od munsztuka założony, stał gotów na każde zawołanie. I u starego i u młodego było to we zwyczaju wszędzie i zawsze. Był on u Marszałka na śniadaniu. Już to nie ten tkliwy syn przy matce, nieśmiały

młodzieniec przy dziewicy, ani roznamiętniony Rusin przy starym Kniaziu Możajskim; ale grzeczny, uprzejmy, śmiały, w postawie mający wiele hardego, a w twarzy trochę dumy nawet. Starsi ludzie ściskali go z poważaniem, a młodzi witali serdecznie, ale bez tego lekceważącego bratania się.

Po zawieszistych zrazach i obwarzanej kaszy, po jesiotrznynie, szynkach, rozmaitych wędlinach i marynatach, kiełbasach, kiskach, kapuście; po sarnim czombrze i kapłonach z serdelami; po głowie dziczej, i łosiej pieczeni, wino i porter i ojczyste miody dobrze się piły, a przy nich dobrze się radziło.

Pan Czapowski Sędzia Radomyślski, a przytem wotujący obywatel w Owruczu, znany z owego znalezienia się z Jenerałem Kutuzowem: kiedy Kutuzów objeżdżał dobra zabrane Dubrawskiemu, a jemu darowane przez Cesarzową Katrzynę, w jednej z wiosek zdybał Czapowskiego, którego znał był dawniej; pokazywał mu swoje gospodarstwo, a przyszedłszy do trzody chlewnej, zobaczył że jedna świnia przyklekła. Moskal ruszył dowieciem.

— Ot ta to katoliczka, kłęczy. —

Czapowski poprawił czapkę. — Moja lubo, moja mamó, prawda, to aż dziwo, dotąd co ja widział świn, to wszystkie były błahocestywe; przysięgam Bogu to nie ich przywyczka kłękać. — Moskal przyciął język zębami, i na tem się skończyło.

Otóż to ten Pan Czapowski mówił do Rapsztyńskiego.

— Moja lubo, moja mamó, kogóż my na Chorążego wybierzemy?

— Mnieby się zdawało Pana Dominika Prószyńskiego.

— Moja lubo, on tegi chłopiec; ale moja mamó coś jemu z oczów lepiej patrzy na Owruckiego Watażkę, jak na Chorążego: widzisz, Chorążego trzeba żeby trochę był, jak to ludzie zowią lizus, on Moskalów czubić to dobry, ale im baki świecić to nie. —

W tem nadszedł Pan Antoni zapyrzony.

— Dominik uparł się i nie chce, i teraz obiorą jakiego gapia.

— Moja lubo, moja mamó, kiedy gapiów obierają, to idź i ty podawaj się; teraz kolej i na ciebie, bo jak przejdzie to wszystko przepadnie. Idź, idź. —

I Pan Antoni poszedł.

Pan Dominik napastowany przez wszystkich ohywateli, dziękował za zaufanie jakie w nim pokładają, ale wyraźnie oświadczył że nie może przyjąć urzędowania, na swoim miejscu przedstawiając Franciszka Załęskiego. Teleżyński poparł syna swojego przyjaciela, i na tem się skończyło, że poszli do magistrackiej sali, i tam jedno-zgodnie wybrali Chorążym Za-

łęskiego, a kandydatami Bajkowskiego i Wyhowskiego, życząc aby Chorążemu nie stało się to co jego poprzednikowi, a kandydaci żeby poszli w ślady swoich poprzedników, tylko z warunkiem żeby się bili na Owruckiej ziemi.

Po wyborach szlachta hulala, jadła na całą gębę, piła na całe gardło, a że to był czwartek, więc gotowano się jeszcze na wielką ucztę do księdza Opata Strojnowskiego.

W dworku Trzeciakowskim stał podówczas Pan Ignacy Potocki sędzia powiatowy Owrucki; do niego przyjechał Pan Jan z żoną i rodzeństwem, i Sebestjanem Uszczapowskim. Ignacy był bezzennym i nie myślał nigdy się żenić, powiadając: zdrowej głowy nie chcę kłaść pod Ewangielię, i za każdym takowem powiedzeniem całował bratową w rękę. Działwę brata uważał jak swoje własne dzieci i bardzo ich lubił, a szczególnie Pannę Benignę. Był tedy bardzo rad z ich przyjazdu; kiedy mu brat opowiadał o zabraniu psów Dominika i o swoim zuchostwie, on machał ręką.

— O takie głupstwa się procesować! to nie warto. —

Uszczapowski pogładził się w łysinę.

— Prawo, lex, było za nami, wyraźnie w Statucie jest o liszce.

— Dałbyś tam pokój Statutowi, sąsiad z sąsiadem nie powinien wadzić się o takie rzeczy. —

Uszczapowski mrucał: lex, Statut — a Pani Deputatowa ośmielona tem gadaniem, zaczęła mówić o Dominiku i o swojej bytności w Dawidkach, nawet o przysłanym dziku. Pan Ignacy marszczył czoło.

— To nie dobrze; między Potockimi a Prószyńskimi wieczny rozbrat. —

Wszyscy umilkli, a Panna Benigna znikła z pokoju. Obejrzał się.

— Gdzie Benisia?

— Zapewnie poszła przygotować ubranie na ucztę do Księdza Opata.

— Proszę bratowej żeby była ładnie ubraną. — Otworzył kantorek, i wydobyl jaszczurowe pudełko, w którym były kółczyki w kształcie wrzosowego kwiatu; w każdym z trzech brylantów wielkości małego grochu wychodziły trzy gałązki osypane brylancikami i rubinami, oprawne w złoto emaliowane zielonym kolorem. — To jeszcze nieboszczki babki; powiadali mi że to pochodzi od Hetmana Wyhowskiego, z którym jesteśmy spokrewnieni; niech to będzie pamiątka dla Benisi, tylko z warunkiem żeby się dziś w nie ubrała. —

Deputatowa podziękowała i wyszła, a niebawem wracała

z Benigną, mającą a uszów kółczyki, w chwili kiedy Pan Ignacy mówił do brata.

— Siedemnasty rok, trzebaby pomyśleć o mężu dla niej. —

Benigna dziękowała stryjowi za dar, ale w oczach miała łzy, a na twarzy niezwykłą bladłość. Stryj na to nie uważał, gładził ją po licu.

— Dalibóg że głowy pozawraca, a będzie tam chłopców nie mało i to tęgich. —

Zwyczaj to od dawien dawna przyjęty i jak najświęciej zachowywany przez wszystkich Opatów Owruckich zakonu świętego Bazylego, że ucztę u nich bywały z tańcami. Bogobojni ojcowie, nie lękali się przypatrywać tej światowej zabawie, a tym sposobem garnęli ku sobie całe obywatelstwo, bez różnicy płci, wieku i stanów, i wywierali na nie wpływ zabawienny dla Wiary i dla Polski.

W ogromnej komnacie na tę ucztę przeznaczoną, do koła na ścianach były tureckie makaty; na karmazynie złożyły się i srebrzyły półksiężycy i gwiazdy. W miejscu żyrandolów, co dwa kroki były rycerskie węzły z puklerzów, zbroi, misiurek, hełmów, buńczuków i mieczów rozmaitego kształtu; nad każdym takim węzłem był krzyż pański z czystego srebra, na znak że to wszystko bronie ludzi krzyża, albo zdobycze wojenne ludzi krzyża. U okien franki sute z karmazynowego adamaszku srebrem lamowane, zawieszane na srebrnej strzale, opartej na dwóch starożytnych hełmach. Na makatach szesnaście zwierciadeł, formy elipsy, oprawnych w srebro złoczone; weneckie to zwierciadła i światło po nich pływa, jak po wałach morskich; dwa kaflowe piece z Ksawerowskiej fabryki, jak rodzime srebro błyszczą, i u wierzchu wiążą się w figlasowe postumenty. Na posadce perskie kobierce harwią się kwieciami wschodu.

Po prawicy wezgłowie i krzesła wybite złotogłowem dla niewiast; po lewej, dla mężczyzn ławki i krzesła obite szkarłatem; między temi ostatnimi było jedno krzesło wyższe, a u wszystkich krzesel poręcz i nogi snycersko wyżłobiane, złoczone i srebrzone. Po rogach stały stoły z porfirowymi blatami, na podnożach miedzianych złoczonych. Drzwi także były pozakrywane adamaszkowymi oponami, obrzucanemi lamą; nad każdymi drzwiami krzyż. I gzymsy i słońce u środka sufitu wyrabiane w figlasy, były złoczone. Ze środka tego słońca, na złotych łańcuchach wisiał świecznik złocisty, pajakiem zwany, bo jak pajak sto dwadzieścia nóg rozczepił, i wygiął do środka, a w każdej była jarząca pochodnia i każda była obwieszona gęsto kryształowemi żółędziami. Ten jeden świecznik oświetlał całą komnatę ale tak, że i słońce by się przy nim sromało. W drugiej komnacie za oponą było miejsce na muzykę. Wszystkie te przybory były da-

rem Jana Wyhowskiego, Atamana wszej Kozaczyzny, zrobionym ojcom Bazyljanom, jeszcze za panowania Jana Kazimierza.

Światło płonęło, śpilki by można zbierać; aż miło patrzeć do koła siebie. Gości już było pełno. Po prawicy siedzieli: Pauszyna, Trypolskie, Hołowińska, Trzeciakowe, Omiecińska, Głębocka, Potocka, Teleżyńska, Załęska, Niemiryczowa, Falkowska, Rapsztyńska, Wyhowska, i inne Owruckie matrony, i kraśne dziewice.

Po prawicy Książd Opat i wszyscy starsi wszystkich szlacheckich wiosek, a między nimi obywatele tak zwani pojedynkami. Tam obok magnata marszałka, siedział dawny Książd Możajski, nie posiadający nad kilkanaście morgów ziemi i wolny wręb do wspólnego lasu. Waśkowski szlachcic rozmawiał z Załęskim za Panie bracie, a Korkuszek mówił ty i Felicjanowi Głębockiemu, i Trypolskim i Trzeciakom. Nestor Hoszowiec z Czerniakowskim się kumał; zaś szef Rzewuski wiersze jakieś recytował Czapkowskiemu, a ten mu nawzajem.

— Moja lubo, moja mamó, coś ty szef do wierszy i do szklanki, a nie do konia i szabli. —

Między młodzieżą był widnym Dominik Prószyński; uśmiech był daleko od jego twarzy, ale okiem uprzejmie spoglądał. W tem wszedł Teleżyński z jakimś mężczyzną, którego Opatowi przestawił za swojego krewnego; wszyscy powstawali przed Panem Tadeuszem, a Dominik witał Pana Kazimierza bo to on był tym nowo przybyłym. Wtenczas zbliżył się stary Możajski.

— Panie Dominiku mnie się zdaje że to nieostrożnie.

— Naczelnik lepiej wie jak my, Panie Szymonie.

— On chce go ze wszystkimi poznać, żeby mu powierzyć dowództwo wojskowe.

— Mnie się zdaje że w naszym gronie nie masz zdrajcy.

— Bóg to święty wie, zaręczyć za wszystkich nie można. —

Muzyka zabrzmiała polskiego i Pan Tadeusz w pierwszą parę posunął z Panią Pauszyną. Kazimierz szedł w parze z Deputatową, a nowy Chorąży wziął do tańca Pannę Benignę. Dominik nie tańczył, stał obok Książd Możajskiego i patrzył jak dziewica w bieli z niebieską przepaską, z wiankiem bławatków we włosach, muskała nogą kobierce i skromnym okiem ku kobiercom patrzyła. Jemu źle na sercu, w barwę żalu przybrany: kiedy ojciec w nieszczęściu, tańczyć z nią nie mógł.

Po polskim nastąpił i drugi i trzeci i dalej, a nim Pan Tadeusz ze wszystkimi matronami przetańczył, już stoły rogowe pokryły się rozmaitem winem. Służba bogato przy-

brana na srebrnych tacach roznosiła cukry, słodycze i napoje cukrowe.

Było tam i kilku moskiewskich oficerów, których umyślnie na to zaproszono, żeby zakryć się od posądzenia. Urzędnika rządu ani jednego, bo taki był zwyczaj ojców Bazylianów.

Nestor przypatrywał się tym wszystkim sprzętom.

— To ładne, nie ma co mówić. —

A Czapowski przystąpił.

— Moja lubo, moja mamó, żeby ciebie zrobili tu administratorem.

— Ba!

— Tobys tak tutaj gospodarował, jak wilk w oborze między owieczkami.

— Czemu nie, czemu nie.

— Moja mamó, powiedz prawdę, to by ty tu wszystko brał.

— Jakby mieli ludzie pobrać, to lepszy ja. —

Przystąpił szef Rzewuski.

Ruszajmy, dla lepszej weny,
Napijmy się hypokreny.)

— To i chodźmy, zapijmy sprawę. — Nestor zgarbił się i nalewał wino.

Pan Tadeusz rozmawiał z Księdzem Opatem, a muzyka zagrzmiała skoczny mazurem. Stały pary: Panna Bigna tańcowała z Panem Kazimierzem; Kujawianin zapominał o swoim szwanku z dzikiem, wycinał hołubce, postuki, oczyma gwiazdy po suficie liczył, a tak się czwaniał że to aż ha.

Kobierce ściągnięto, po posadzce gładkiej, gładko dziewczęta płąsały; muzyka brzmi, taka hulanka aż lubo. Ksiądz Opat się raduje, ze starszemi się naradza; szlachta z kieliszkiem ma do roboty, ale w miarę, a moskalów na w pół pozapajali. Dominik zawsze stał pod ścianą ze starym Szymonem.

— Panie Dominiku, ani jednego tańca?

— Nogi nie chcą skakać kiedy serce nie wesołe.

— Prawda, prawda — skinął głową, a okiem takim jakim patrzy ojciec na lubego syna, spojrział na Dominika.

W tem wleciał służący.

— Mewes z żołnierzami. —

Głos ten złowieszczy przeleciał po wszystkich komnatach; strwożenie we wszystkich oczach, a sami nie wiedzą co robić. Słychać szcęk broni, krzyki żołdactwa. Jeden tylko Dominik

się nie zmieształ, spokojnie jak by to szło o rzecz najmniejszej wagi, chwycił za rękojeść karabeli Kniazia Możajskiego, do- był nagi miecz i postąpił na środek, właśnie w chwili, kiedy odwinęła się opona drzwi, i błysło lice Isprawnika, jak Me- fistofelesa, przychodzącego burzyć gody wesela, kiedy Do- minik jednym cięciem karabeli przeciął łańcuchy świecznika; świecznik runął i sam sobą światła dławił. Krzyk, wrzask: Isprawnik uciekł, moskale uciekają. Ogromna wrzawa i zgiełk; a po godzinie w pojezuickich gmachach było tak cicho jak za- zwyczajaj.

nie
zdebra
do koncepcji
czyż

VIII.

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola:
Ledwo karczmy nie rozwałą.
Cha, cha, chi chi, hejże, hola!

ADAM MICKIEWICZ.

Nazajutrz dzień zrana, w obszernej żydowskiej izbie, niedaleko zajezdnego domu Chinci, siedział przy stoliku Nestor Hoszowiec i nalewał herbatę, a Mewes chodził po izbie i gryzł piórko od cybucha.

- I ty Nestorze przeciwko mnie?
— Co tobie jest, Panie Swacie? ja za tobą i w piekło pójde.
— A nie chcesz powiedzieć czy tam był jaki człowiek?
— Taż też żeby tam był, to tybys jego nie dojrzał? Ho ho!
— Widziałeś co się stało?
— Pustota, zwyczajnie młody zażartował z ciebie.
— Ha! młody! żebym ja mógł po ich grobie chodzić; o wtenczas! — Zatrzymał się. — Nestorze, ja ci na honor przysięgam.
— Dobrze.
— Na moje sumienie.
— Jeszcze lepiej.
— Że nikomu ani chcę, ani zrobię zła, tylko jemu i jego rodowi.
— To bierz sobie ich, i rób co zechcesz; mnie wszystko jedno, ale co prawda, to nie grzech; tam między nami nikogo nie było tylko wszystko swoi. —
— Mewes przeszedł się, stanął i patrzył oko w oko Nestorowi.
— Powiedz prawdę, a będzie administracja całego opactwa. —

Hoszowiec oczów nie spuścił, głową pokręcił.

— Dobra to rzecz administracja, zabierz wszystkich Bazyljanów, to podzielimy się jak bracia: to twoje, a to moje; ale zełgać to nie sztuka, prawda jak oliwa wyjdzie na wierzch.

O tak, wierz mi, że nikogo cudzego między nami nie było, oprócz ośmiu, czy dziesięciu moskalów.

— No, a ja jak na pewne tam gonił. — Nogą stuknął. — Bądź co bądź żywa dusza z Owrucza nie wyjdzie, cały Owrucz do góry nogami przerzucę, a zobaczymy czy nie znajde.

— Szukaj, a jak znajdziesz to będzie administracja. —

Czapowski jakby na czatach przechadzał się po rynku, kiedy Hoszowiec wychodził od Mewesa.

— Moja lubo, moja mamó, a co? będzie administracja?

— Dałby to Bóg, zdałoby się.

— To już ty wszystko wypaplał, moja mamó?

— O czym?

— A o wczorajszym.

— Porzuc, to rzecz publiczna. Ot idź powiedz młodemu niechaj siedzi cicho i nie wyjeżdża z Owrucza, a ja tamtego przewiozę.

— Moja lubo, a po prawdzie ty mówisz?

— Słuchaj Czapowski! łup, drzyj choćby rodzonego ojca w rzeczy prywatnej, a w rzeczy publicznej to wara.

— Moja mamó niechaj tobie djabeł szczęści.

— No idź, idź a rób, nie wiele gadaj, bo przysięgam Bogu, to nie dobrze. —

Pan Tadeusz Teleżyński z Księdzem Opatem od samego rana coś z sobą radzili. Marszałek zwątpił, i już chciał w lasy się wynosić.

— Tam powstanę! w lasach to co innego, ale w mieście, co u licha robić? obrócić się nie ma gdzie, a wszędzie pełno Moskali, jakby ich nasiał. —

Dominik Prószyński chodził z odwiedzinami do wszystkich pań i przepraszał za wczorajszą psotę. Kiedy przyjechał do Ignacego, ten uprzedził bratową i synowicę.

— Przyjuncie go grzecznie, bo się gracko znalazł wczoraj; lubię taki concept. — Wziął brata za rękę. — Ale my ztąd wyjdźmy, między Potockimi a Prószyńskimi, ani widywania się być nie powinno. —

Szlachta jakby umówiona jedni po drugich chodzili do Mewesa. Czapowski go ściszał.

— Moja lubo, moja mamó; to to ty biednemu Wojciechowi narobił; jeżeli przyjedzie kiedy, w Chrystonówce pustkę zastanie, bo Nestorcio da temu radę. A u syna zajączka znajdzie w głowie. Ta to on tak wczoraj popisał się jak Bartek Hulewicz. —

A Rapsztyński dodał.

— A teraz tnie drugiego zajączka; jeździ od jednej do

drugiej Pani, i pyta się czy to dobra była sztuczka? Szymon Możarowski pokręcał węża.

— Wielmożny Kapitanie Isprawniku, i to moją starą szablą; szablą Książąt Możajskich takie dzieciństwa robić. Kto to widział! —

Mewes zaprzytał usta aż do krwi.

— No już ja jemu wypędzę zająca.

— Moja mamó, wypędź, to wszyscy podziękujemy, może będzie obywatel. A tak czort wie co takiego. Moja luba, ni to warjat, ni to człowiek; pół barana, pół kozy, niedowiarek Boży. —

Mewes wkładał szpadę i zabierał się wychodzić:

— Przepraszam panów, muszę wychodzić.

— Moja mamó, ty Pan w swoim domu, rób co zechcesz; a jak nam co każesz to i my zrobimy. My tu wszyscy jak nas widzisz wierni poddani Gosudara Imperatora; moja luba, moja mamó my wszyscy jemu przysięgali na wierność. —

Mewes tylko zębami zgrzytał a nie nie odpowiadał. Właśnie w tej chwili, kilku możniejszych obywateli udało się z uszanowaniem do moskiewskich pułkowników i starszych oficerów, i do Horódniczego Falkenhagena, bardzo zacnego człowieka, chociaż był w służbie Moskiewskiej. O Panu Kazimierzu ani słyhać było, tak gdzieś go zachowano; to przechowywanie się nie musiało być w smak Kujawianinowi, bo zapewnie nie mógł tam swojej pychy wyzwierciadlać na wystawę przed ludźmi, i bolesnie mu to być musiało, że może kiedyś ktoś będzie mógł mu powiedzieć: schowałeś się, albo schowano ciebie. Tak jednak być musiało, bo Czapowski mówił staremu Możarowskiemu.

— Moja lubo, moja Mamó, widzisz, on Kujawiak, nie Kijowiak, czy jak zechcesz, Kujawianin nie Kijowianin, u nich inna natura. Rusin niczego się nie sroma byle swoje zrobił; jak wojował, to wojował, byle zamku dostał; a u nich to na tem rzecz, żeby się przed ludźmi pokazać, i mniejsza oto że po wszystkim będą mogli gadać ludzie, porwał się jak lew, a zginął jak mucha.

U Ojców Dominikanów odbywały się także narady. Książd Kwiryn chociaż dla swojego zwanía psa Bożego, powinien był tylko słowem oświecać i tępić nieprzyjaciół jedyne-go Kościoła, utrzymywał że słowo wcielone w czyn, to dopiero prawdziwe życie, i to utrzymywał jako kapłan katolicki, i jako syn Polski; a Książd lektor Bazyli, choć rozumniejszemi słowami, ale najwięcej ognistym i cnotliwym uczuciem wspierał swojego Przeora.

Uszczapowski bardzo się zaprzytał.

— Lex podeptany, ocepili miasto jakby to dzuma była; nas obywatelów, szlachtę osiadłą, nie puszczają bez wizji policyjnej. Pytam się czy to jest w statucie, w konstytucjach, a nawet w uczerzędzeniach; niech mnie pokażą na której karcie, to powiem że Sebestjanus Uszczapowski nie prawnik utriusquae juris cywilnego i kryminalnego, ale hebes nad hebesami i dependentem u dependenta nie wart być. A że więc ponieważ tak nie jest; oni lex depcą, i my depemy lex; bez protestacji i manifestu bierzmy się do korda.

— Będzie miał Rózię — ozwał się Jakowicki. —

A Maciej Didkowski zatarł ręce i strzepnął palcami jakby się miał brać do pióra.

— Tatku, Książd Seweryn pozwala Ostapka, każe zaraz czyścić furdymenta.

— Pendentą mówiłem raz. —

Kudelski brał się do pisania wierszy, kiedy wszedł Horodniczy Falkenhagen. Oddał list odpieczętowany Książdowi Kwirynowi.

— Książd Przeorze, czyż się to godziło mnie takie posyłki robić?

— Co Waćpan chcesz?

— Czyż ja przed tobą się spowiadałem Książd Przeorze, że-
hyś wiedział co i jak myślę.

— Ale to nie ja, zaręczam Waćpana. —

Uszczapowski przystąpił.

— Gwałt na leksie, i na nas obywatelach wyrządzony. Czyż na darmo będziemy wołać o justycję? chcecież nas zmusić do odwetu. Za starganie leksu i przywileju krew naszą przelejemy. —

Jakowicki aż się podniósł, i chwiejącą się ręką w miejscu pokręcić węża tar gwałt go.

— Dziś jeszcze Książd Przeor da ci ślub z Rózią. —

Horodniczy wziął go za rękę.

— Panie Rejencie, dalibóg że ja wam nie wróg, bo na cóż by mi się zdało nadarmo wam kłopot robić. Ja jak dobry przyjaciel wam radzę, nie piszcze wierszy, bo wierszami nic nie zrobicie, ot temi sznureczkami nas nie wywieszacie — pokazał kawałek szpagatu — i krzyk na nic się nie przyda. Wasze przysłowie mówi: [krowa co wiele ryczy, mało mleka daje.] —

Tu Suryń porwał się z krzesła.

— Hola rada, gwałt na gwałt, ja ich nauczę, [pieszczona Filis fantazją straciła.] — Brał się do rękoności i wybiegł za drzwi.

— Bądźcie zdrowi Panowie, muszę iść za tym szaleńcem, a was przestrzegam i proszę posłuchajcie mnie, a miejcie się na baczności; bo oto zaraz przyjdą tu żołnierze szukać jakiegoś podejrzanego człowieka. —

Przeor odprowadził Falkenhagena aż do drzwi klasztoru, a kiedy powrócił, zastał Kudelskiego w szale wymowy.

— Spuścił z tonu, boją się nas; jakoś nieznacznie odkrywa swoje uczucie, podszywa się pod naszą opiekę, to nam jasno pokazuje co możemy robić. Jeszcze takich wierszy ze dwa, i ze dwa stryczki, a zaprą się swojej służby i ogłoszą się Polakami.

— Daj Waćpan pokój, przerwał mu Przeor, ja znam Pana Falkenhagena; nie ze strachu to robi, ale przez życzliwość ku nam; tu ożenił się, z nami żyje, nie wie co będzie, nie chce sobie zatruwać życia zwadami. Mnie się widzi że jego rady słuchajmy, a swoje róbmy.

— I ja tak mówię, potakiwał Jakowicki, dobrych rad nie odrzucać, a dla tego swoje robić. —

Maciej Didkowski patrzył w okno.

— A cóż Panie Macieju, gdzie się Suryn powrócił.

— Jak w dym poszedł do Isora.

— No, to i chwała Bogu; ze dwie butelczyny wysuszy, dwie szyby wytłucze, i na tem basta. —

Przed domem Panna Ignacego Potockiego stał powóz wypakowany i zaprzężony; woźnica z biczem w rękę poprawiał półsorki na jasno-gniadych mierzynach, służący umocowywał tłumok sznurami do antaby, stała także bryka niekryta, trzema końmi założona, na niej było pełno króbek i pudeł. Koło tych powozów dwóch dońców w siwych oponczach, na koniach, na ramieniu długie spisy, przy boku szable, za pasem pistolety, a do siodła uwiązane janczarki; baranie czapki z ponsowemi wierzchami nałożyły im na oczy; konie wychudłe jak haki, zdawały się drzemać, tak opuszczały głowy, a dońce poprzykładali się do kuli, jakby na spoczynek.

Już woźnice siedli na kozły, i Państwo Deputatostwo z rodzeństwem wyszli na ganek: Pan Ignacy i kilku obywateli ich wyprowadzało, kiedy nadszedł Mewes z żołnierzami, a przeprosiwszy Pana Sędziego, i Pana Deputata, przezierał powozy i ludzi. Nikt się o to nie gniewał, ale u wszystkich igrał uśmiech na ustach.

— Moja Mamo, moja luba, rób swoje, przynajmniej nie będziesz sobie miał nic do wyrzucenia.

— Bardzo przepraszam, ale taka moja powinność.

— A cóż Panie Mewesie, czy możemy już siadać — rzekła z uśmiechem Pani Deputatowa. — Może Pan zechcesz w tłumoku i w walizach szukać.

— Niech Pani daruje. — Mewesa oczy były czerwone od złości.

— Niech się Pan kłania Pani Kapitanowej.

— Bardzo dziękuje. —

Deputat go wziął za ramię.

— Panie Kapitanie, widzisz że nie wiozę żadnej kontrabandy, uprosiłem u Pułkownika Jefremowa dwóch dońców na przewoźników.

— Widzę, ale to mój obowiązek.

— Moja luba, dajcie jemu pokój; wiele ten robi co musi, Ja wiem moja Mamo że Mewes gorzko płacze, kiedy mu przychodzi spełniać takie ceremonje.

— Zapewnie.

— Moja Mamo ty taki pocziwy, pocziwszy od tego co się dziś narodził. — *Amiay*

Któryś z boku tak mruknął że wszyscy słyszeli.

— Taki pocziwy jak Włodzimirski Fafius. —

Pani Deputatowa siadła, a za nią Benigna. Emilkę wzięła na rękę, druga wcisnęła się w środek, nianka i jeden panicz siedli na przedzie, a na kolana nianka dano ogromne pudło z czepkami lmości. Grzegorz usadowił się na tłómoku jak na kopicy siana, i ledwie zostawił miejsce dla dziewczyny Jewdochy. Koziółek był jak jaskółcze gniazdo, ledwie się tam woźnica umieścił. Pan Deputat i panicze pomiędzy pudła i króbkki się powsuwali jak w czahary jakie. Maciej kuchta siadł obok woźnicy, a żuczek, czarny kundysik wiercił się koło koni i podziawkiwał żeby prędzej ruszano.

— Dobrze się zrobiło, ozwał się Pan Ignacy, że Pana Rejenta koperczaki zatrzymały, bo byście nie miały gdzie go pomieścić; tak u was ciasno że i szpilki nie byłoby gdzie wetknąć. Benisiu, a pamiętaj tam o czernicach dla mnie.

— Będę pamiętała Stryjaszku. — I szukała czegoś okiem do koła, ale widać nie znalazła; spuściła je na malutką siostrzyczkę. —

Mewes zapisywał na karteczce ilość osób.

— Moja Mamo, a nie zapomnij czarnego żuka. —

Z napisaną karteczką dwóch żołnierzy przyczepiło się do powozu; dońce z kopyta rześko naprzód poskoczyli, i ruszyły powozy, i było tylko słyhać: upadam do nóg, do widzenia się, bądźcie zdrowi.

— Moja luba, bogatemu djabeł dziecinę kołysz; nie dość dwóch dońców, jeszcze Mewes dodał dwóch sztackich.

— Tak mi kazano.

— Nie ma nic złego moja Mamo; od przybytku głowa nie boli. —

Następnie Sędzia zapraszał Isprawnika do przepatrzenia domu, i wołał:

— Janie, otwórz piwnicę, tylko wina nie dawaj.

— Panie Sędzio, ja wierzę Pańskiemu słowu.

domy

— Nie wierz, lepiej swojemi oczami zobacz, ja za nic nie ręczę.

— Moja Mamo patrzaj, żebyś mógł powiedzieć: na moje oczy widziałem, na moje uszy słyszałem.

— [Szukaj a znajdziesz.]

— Chcącemu nie ma nic trudnego, Panie Kapitanie.

— Nie takie to rzeczy trafiały się Panu, a jednakże wszystko jak z płatka się wywijało.

— Moja lubo nie wstydź się, my wiemy że to z musu robisz, za to kuku w rękę nie będzie. —

Tak jeden drugiemu podawał, a Mewes słuchał jak to mówią położywszy uszy po sobie, i ani słówka nie pisał; ale się pocieszał: dam ja wam, dam.

Przed zajezdnym domem Chinci stał Dominik i kilku z Owruckiej młodzieży; kiedy przejeżdżali Państwo Deputatostwo, ledwie mogli pokłonem czapek powitać i schwycić rzut oka Panny Benigny, tak szybko przeleciały powozy. Dońce dziarskiego kłusa wyciągali, woźnice musieli tego nasмагаć biczem żeby za nimi zdążyć, a sztaccy żołnierze ledwie mogli się utrzymać jeden na półdrabku bryczki, a drugi na stopniu przed łómkami.

Jeszcze Dominik gonił wzrokiem powozy, kiedy Czerniakowski mówił do Franciszka Wyhowskiego:

— Już to nie ma co mówić że Panna Benigna śliczna Panna, warto do niej cholewki palić.

— Ale ani tobie, ani mnie.

— A to dla czego?

— Bo byśmy dostali albo harbuza, albo gęś z szarym sosem.

— Zkądże te wnioski?

— Bo Pan Jgnacy nakartował już dla niej męża.

— Kogóż?

— Zgadnij. —

Czerniakowski wskazał okiem na Dominika. Wyhowski głową pokręcił.

— No to dalibóg nie wiem za kogo.

— Jakież ciębie niedomyślny. A nowy nasz chorąży?

— Kto, Franciszek Załęski?

— On sam.

— No kiedy tak, to możemy z nim konkurować; a jeszcze na dwoje babka wróżyła, komu się dostanie Panna a komu harbuza.

— Poprobuuj.

— Ale zkądże ty o tem słyszał?

— Od samego Pana Ignacego, jak mówił Panu Pawłowi, memu stryjaszkowi.

— To zatargowana Panna, da się to widzieć. —

W tem Marszałek Pausza zawołał z okna prosząc Dominika, a on obrócił się twarzą ku rozmawiającym; twarz jego była blada, a oczy nie bardzo wesołe.

Wyhowski potrząsł głową.

— Wierz Czerniakowski że mnie serce boli, kiedy patrzę, jak często na twarz Dominika po rumieńcu występuje okropna bledność.

— Ja pewny jestem, że to wszystko jego wola robi.

— Wytłómacz mnie co to ma znaczyć?

— Widzisz, on jest taki popędliwy, a może i popędliwszy od ojca; a jednak nikt go nie widział w uniesieniu się, tak umie swoją wolą powstrzymywać każdy wybuch namiętności.

— Tęgi to będzie człowiek.

— Już jest; ja ci powiadam że w całym Owruckiem nie masz dzielniejszego człowieka jak on. W niebezpieczeństwie spokojny, a w gwałtownym wypadku zawsze sobie i to natychmiast poradzi.

— Prawda. Wczorajsze cięcie to był gracki czyn.

— On taki zawsze od najmniejszego dziecka, jak zapamiętam. Kiedyśmy się bawili raz w Chrystonówce, że pies ogromny zwał dziecko na ziemię i warczał, porwał za siekiereg od cieśli i psa w sam łeb uderzył z całej siły; a kiedy mu ojciec mówił, że mógł skaleczyć dziecko, on odpowiedział: a pies by go zadusił.

— A jaki uprzejmy, grzeczny, jak się dobrze obchodzi z ubogą szlachtą!

— Wszystko to on winien matce; to nieoszacowana kobieta.

— Zapewne, żeby taki był ojciec.

— Słuchajno Franciszku: gadają na ojca niestworzone rzeczy, ale czy to wszystko prawda co gadają? Podłego, niskiego czynu nikt mu nie śmie zarzucić, ale jakieś dziwne zbrodnie; a ja ci powiadam, że jak jego tu nie będzie, to ze wszystkich naszych zachodów nie będzie nic; a gdyby on tu był, to byśmy już do tej pory w Owruczu nie siedzieli. —

|| Sute śniadanie było u nowego Chorążego, na podziękowanie obywatelskim sercom za okazaną przychylność. Wszyscy obywatele tam się zbrali, i Ojcowie Bazyłjanie z Księdzem Opatem, i Ojcowie Dominikanie z Księdzem Przeorem, a nawet Isprawnik, Istrapczy i Horodniczy, cała palestra, i magistrat. Pan Franciszek Załęski w uprzejmości nie rachował na jakąś miarę, wszystkich częstował serdecznie. Pani Podkomorzyna dopomagała synowi, a Panna Katarzyna, wówczas jaśniejąca wdziękiem i krasą, umilała niemi gościnność brata. Pan Dominik znajdował się na tem śniadaniu, ale był bardzo smutny,

i nie silił się nawet przybrać pogody na twarz, jak to często zwykł robić; wszyscy to zwalali na znajdowanie się Mewesa, ale niepodobna było uniknąć tego zła. Pan Tadeusz odebrał pisma od przyjaciół z Kijowa, i w nich najlepsze się znajdowały wieści o Panu Wojciechu. Jenerał Saken wziął go pod swoją szczególną opiekę, wysłał na jakiś czas do Charkowa, z obietnicą prędkiego uwolnienia. Czarowne słówka Panny Katarzyny nie zyskały tylko grzeczne skinienie głowy i ten pół-uśmiech, co to się odbijał na licu, jak promień wiosny na całunie żałoby, zwyczajnie jak uśmiech gwałtem wydarty cierpiącej duszy. Po kilku słowach powiedzianych na stronie Księdzu Opatowi i Prezesowi Teleżyńskiemu, ten smutek coraz bardziej się zwiększał, nareszcie oznajmił Czerniakowskiemu:

— Jutro, albo i dziś jeszcze ztąd wyjadę. —

Wszystka szlachta się dziwiła, nie widząc Hoszowca na śniadaniu; on to takich rzeczy nie zwykł opuszczać; wiedziano że do powiatowego miasta nigdy z kucharzem nie przyjeżdżał, tylko chyba wtenczas kiedy miał ważną sprawę. Zawsze z rana wysyłał swojego luzaka, żeby się dowiadywał, gdzie będzie lepszy obiad; czy u Bazyljanów, czy u Dominikanów, albo sam rozpatrywał z którego domu w kominie najponętniej się kurzy, i tam się zaraz wpraszał. Uszczapowski pierwszy tę uwagę zrobił.

— Jakieś kondamnaty musi łąpać Pan Nestor, że go tu nie masz. —

Falkowski oderwał usta od pieczonego jarząbka, przyrumienionego jak pomarańcza.

— Ktoś go w pole wyprowadził.

— Nie taka to łatwa rzecz. — Ozwał się Felicjan Głębocki, łapiąc widelcem z pół-miska kawał zajęczego uda.

— Nestorcio to hołubczyk, ma nos i oczy, i uszy.

— Jechał go kot. — Palnął się w łeb Marszałek Omieciński. — Jak Pan Bóg dopuści, to i Pan Nestor tak podrwi sprawę, jak drugi.

— Moja mamó, już to on Humański człowiek, z cudzego wozu bierze na swój kładzie. —

Tu wszedł Assesor Wisłocki w mundurze, przy szpadzie po służbie, szepnął coś na ucho Mewesowi. Dosłyszano słowo. — Złapali. — Mewes powtórzył — złapali — i prędko wybiegł nie pożegnawszy nikogo.

Wszystkim jakoś nie dobrze się zrobiło. Dominik przystąpił do Marszałka i Prezesa, i rzekł zeicha!

— Teraz nie ma co odkładać.

— Zapewnie. Ja jadę w lasy zaraz, tam powstanę.

— Ależ bo to wszystko popsuje się; wyskoczmy przed czasem.

— Ja ręczę Panu Prezesowi, że utrzymamy się do czasu.
 — Trudno to ręczyć za takie rzeczy; ale już nie ma co robić. — Podnosił się, chciał przemawiać do obywateli, kiedy wrócił Czapowski, który wyszedł za Sprawnikiem, a śmiał się na całą gębę.

— Moja mamó, to to Mewesowi się udało, jak tej Pannie, co to w miejscu kanarka, dudka złowidła.

— Cóż się stało?

— Złapali, a wiecie kogo moja lubo?

— Kogóż?

— Ot, już on sam tu idzie i krzeczy.

— Hola rada! — Otworzyły się drzwi, i wleciał Suryń bez szabli, a kontusz i cały strój w wielkim nieporządku. — Mościpanowie! Rzeczpospolita w największym niebezpieczeństwie, rozbrojono szlachcica; Mościpanowie już teraz Moskwa nie nasza protektorka, ale gorzej jak bisurman Tatar postępuje. Filis wypieszczona. — — I nie domówił dalej, bo się łapnął do lewego boku i tam rękojeści nie nadybał. —

Szlachta ostąpiła biednego Suryńa, a Czapowski rozpowiadał to czego się był dowiedział.

— Moja mamó, Suryń jak sobie przypomniał u Isora dawne czasy i swoją Filis, tak prosto pobiegł za zastawę, i z dobytą szablą skoczył na Dońców; szczęściem że Mewes przykazał żeby koniecznie żywcem złapali jakiegoś djabła co on szuka. Suryń, moja lubo, jak zaczął krzyżować w prawo, w lewo po Dońcach, jak po Isorowych szybach, tak i Dońce już potracili fantazję, ale przybiegli sztackie śledzie, i złapali Filis; jak odebrali szablę, tak i on stracił fantazję, ale gadał i krzyczał już po swoim rozumie, jak to bywało za Pana Kościuszki, kiedy Suryńowi nie przewróciło się jeszcze w głowie. Moja mamó, Mewes to tak jak zmyty, ja jemu mówiłem: chodź na śniadanie, wróć się, a on: daj mnie czysty pokój, to mnie djabeł opętał, dońce tu się pozbiegali, a ten panicz gotów uciec. Mewes moja lubo, na Boga ty Suryńa tniesz. Poblądł jak glina: z wami to pewnie Suryńem zostanę — i pobiegł: idź, ruszaj, goń wiatr po polu, a jak ty go złapiesz to i Falkenhagen dogoni niepostrzelonego zająca, i wysmyknie mu omyk. —

Falkenhagen był krzywy na jedną nogę, postrzelony w Suwarowskich bitwach.

Suryń jakoś się pocieszył, bo mu Książdz Opat darował szablę, prawdziwą augustówkę, z bogatym pendentem: chociaż dobrze podjadł i podpił, jednak prosto ztamtąd poszedł do Isora, pochwalić się i zagadać: Filis wypieszczona straciła fantazję. Nałóg drugą naturą, już on nie mógł składniej wybijać inne jak Isorowe szyby.

Szlachta była bardzo pocieszona, a tem bardziej jeszcze, że

Pan Marszałek zaprosił do siebie na wieczerzę; kiedy hulać to hulać.

Na Dominika twarzy tylko nie było widno tej radości, on ciągle rozmawiał to z Prezesem, to z Księdzem Opatem.

— W obronie leksu i patrii, ja gotów do korda. — Zawołał Uszczapowski zbliżając się do Jakowickiego.

— A moja Różia gotowa do ołtarza. —

I Rejent ucałował oba ramiona Porucznikowi, a Porucznik w łysinę go emoknął.

Wieczorem u Pana Marszałka było bardzo wesoło; sam Marszałek już nie myślał uciekać w lasy, a przynajmniej o tem nie mówił. Z kielichem w rękę, obcasami postukiwał, lewą ręką czerwoną czapeczkę poprawiał.

— Basam terem tetem, basam mazania. —

I śpiewał.

Węgier, Polak, dwa bratanki,

I do szabli i do szklanki;

Oba zuchy, oba żwawi,

Niech ich Pan Bóg błogosławi.

Wypił duszkiem, i w starym Owruczu pili za braterstwo Węgrów z Polakami.

Na wieczerzy zjawił się Hoszowiec, odjadął za śniadanie, i nic nie mówił póki się dobrze nie nażarł. Jak już skończył i pas kontusza trochę rozpuścił, odetchnął. Wtenczas dopiero na ucho powiedział Czapowskiemu:

— Niechaj teraz i głowę o mur rozbije, to nie znajdzie.

— Moja mamó, chwyt z ciebie Nestorku.

— Ja tak zawsze, jak idzie o rzecz publiczną. —

Właśnie w tej chwili kilka obywateli, wysłanych na to umyślnie, wprowadziło Mewesa żeby go pocieszać. To sprządzenie wyszło z myśli Czapowskiego, który utrzymywał:

— Moja mamó, Pana Boga się bój, a djabła nie obrażaj.

Skoro wszedł, śpiewano mu:

Na frasunek,

Dobry trunek.

A Kudelski dodał czwórkę swoich wierszy:

Panie Mewesie,

Djabiel już w lesie;

W zgodzie my żyjmy,

Jedźmy i pijmy.

Mewes rad nie rad uśmiechał się.

— Cóż robić z panami, trzeba w zgodzie żyć. — A zobaczywszy Nestora, jak tylko mógł się wydobyć z obywatelskich uścisków, przystąpił do niego.

— Gdzieżeś ty był Nestorze przez cały czas?

— Tak mi było żal ciebie, że i śniadania mi się odechciało.

— A ja ciebie szukałem.

— I nie znalazłeś? —

Jak paroksyzm, na chwilę wróciło zgrzytnięcie zębów Mewesowi.

— O! żebym ja wiedział.

— Żebym ja wiedział, tobyś i ty wiedział, i była by administracja. —

Hulano całą noc, i Mewesa rozdobruchało wino: przeproszał szlachtę, że ją posądział i turbował, a w końcu za namową Czapowskiego chciał przeproszać Dominika Prószyńskiego, ale Dominika już tam nie było.

Wszędzie
zapisać
20 w

IX.

Jest u mene i rodyna.
I chudoba i chatyna.

PIEŚŃ GMINNA.

[Już jaskółka rzuciła lepione gniazdo, i po dziedzińcu chyb-
kim lotem wywija się w prawo, w lewo, a świegocze; szare
wróble skaczą po strzesze i ćwirkają, gawędzą z sobą o tem co
się na świecie dzieje; tuż koło stodoły, na kole położonem na
wierzchu nadłamaney brzozy, powstał biały bocian, w dziób
klekocze: on tak zawsze co ranka modli się do Boga; na śmie-
tniku koguty kukuriku pieją, i kury kudkudaczą; kaczki plu-
skają się w kałuży i kwaczą; gęśior szyję zadarł do góry, gęga
i gąsienia w tabun zapędza; pod płotem indyki bełkoczą, a
skrzydłami ziemię strychują; i psy strażnicy pod przyzbą się
pokładły, a tak się moszczą żeby schwycić pierwsze promienia
słońca na siebie.]

Z chaty już wyszła dziewczica z sitem w ręku, głosem śpiewu
woła: ciur! ciur! Gromada skrzydlata do niej bieży, podlatuje,
a ona hojna dawczyni, matka opiekunka, z drobnej garści sypie
poślad, a tak że każdej gromadce się dostaje. Igrała jak dziecko
z dziećmi, a promienie słońca igrały z jej licem. Niby szafir
błyszczą niebieskie oczy, w warkoczach lśkną się czarne włosy,
i brew czarna mszy się nad okiem; na ustach barwi się malina,
i malina się barwi na mlecznem licu; kiedy się uśmiechnie,
wdzięk się łamie po twarzy, i migną zęby jak perły jednakie,
białe jak śnieg ponowy; i szyja łabędzia mili się nad zgrzebną
koszulą czerwonom mereżoną, i zapustka i letnik kształtnie
spływają po tej polotnej kibici, i kraśna zaścieżka i obrazek
Matki Dziewicy u śpięcia koszuli drażnią się z ciekawemi pro-
mieniami słońca; a nóżka drobniotka i ładniotka jak u księ-
żniczki jakiej: bo też to krew Kniaziów Możajskich, prawnuka
starego Szymona. Po tem jasnem czole, po tym nosku ledwie

zadartym, po tych wargach o trochę nieprzystających do siebie, widać i dobroć i uśmiech Kniaziowskiej dziewicy.

W całej okolicy, od Horodca aż do Owrucza i za Owrucza, Praksesta była znaną za najkрасniejszą dziewicę; już nie jeden młodzieniec z kołaczem i czarną kurką posyłał do niej w swaty, ale ani jednego młodzieńca swatowie ręczników nie przynieśli. Zawsze mówiła: ja dziadka mojego nie chcę opuszczać, a kiedy który oświadczał się że pójdzie do dziadkowej chaty w pryjmy, to i na to odpowiadała: i dziadka pielęgnować, i męża pielęgnować, to za wiele na mnie, jeszcze ja za młoda. Pradziadek na wszystko przystawał, powtarzał: dobrze, dobrze, i pieścił prawnukę. On w niej widział obraz i wnuki i córki, przypominał sobie lepsze, młodsze lata. O, i czegoż pradziadek nie zrobi dla prawnuki dziewicy!

Stary Szymon wczorajszego dnia powrócił z Owrucza, i do późnej nocy opowiadał o tem wszystkim co tam się stało, ale o tem tylko co wszystkim wolno było wiedzieć. Dziewica pilnie słuchała, i noc całą w myśli przedła dziwne mary, a teraz choć stoi przed progiem lichej chaty, i żywi skrzydlatą dziatwę, jej się roją po głowie i rycerze i rumaki, i kniaziowskie zamki. Stary pradziadek nieraz jej o tem gadał, dziś krew rodzimā sama zagadała; zdaje się że ona córa owego Włodzimirza na Sławecznej, co Gedyminową Litwę chrzczył mieczem i w Uborti nurzał na topielców; i dla tego go zwano Książ Chrzciel Możajski. Choć posład rzuca dla drobiu, jednak temu drobiowi, jak rycerstwu jakiemu, przyspiewuje dawną pieśń.

Płynie, płynie Litwa do nas,
Płynie, płynie Litwa na Rus.

Na koń, na koń Chrzciel woła;
Pod nim rumak, krzyż w lewicy.

A w prawicy szabla goła,
Za nim w poskok straż z dzielnicy.

Dalej w pola, hej, z lasu w las,
Nuż chrzcij Litwę, bij, morduj, duś.

Słońce świeci krwawo jak krew,
Wicher szumi jak djabli ryk.

Widno, widno Litwy zbroje.
— Litwa! — Chrzciel gromko wrzasnął.

— Dalej po niej, dzieci moje! —
Ziemia stękla, a las klasnął.

Kopje Rusi, prą jak las drzew —
Gromki, straszny Rusinów krzyk.

I Horodec widno het tam!
Ukort woda, kipi jak war.

Chrzecieli szablą chrzci w leb Litwę,
I Ruś wpadła, kole, dławi;

Giedymina całą bitwę,
Z Ruskiej ziemi w rzekę pławi.

Poszła Litwa z wodą bez tram,
Poszła Litwa w kołbań bez mar.

Kończyła swój śpiew dziewica, kiedy ją z tyłu w ramię dotknęła jakaś ręka; obejrzała się, to pradziadek, a w oczach miał łzy.

— Tak to kiedyś śpiewano o Kniazjach Mozajskich. —

Ona go całowała w rękę i łasiła się jak młoda kotka, i on ją pieścił szorstką dłonią i powtarzał:

— Moja doniu! moja doniu! —

W tem ludzie zaczęli się pokazywać na dziedzińcu, dziewica ryczałtem wysypała resztę pośladu, i wbiegła do chaty, warzyć maślankę na śniadanie dla pradziadka.

Stary Szymon ruszył ku studni, gdzie chudobę spędzono przed koryto do wodopoju. I konie i było rogate wszystko było razem zmieszane; parobczaki całowali w rękę Szymona, bo to byli jego wnuczkowie i prawnuczkowie, żadnego obcego między nimi. A on pomagał im zaczepiać wiadro do sznura, i schylać kruk do studni. I to skrzypanie kruka, to chlupanie wody i to chleptanie chudoby, bawiło starca i jego pokolenie. Ztamtąd poszedł do stodoły, i tam synowie i wnukowie młócili, on im pomagał zrzucać snopy z zastronka, i związywać okłotę w kule; wziął dołbeszkę i przybijał częstokoliny ogrodzenia. Opatrywał pługi odchodzące orać, i wozy na których były naładowane worki ze zbożem do młyna. A tak troskliwie koło tego wszystkiego chodził, jak gdyby te sprzęty były jego dziećmi, i rozumiały jego troskliwość.

Po dwóch godzinach takowego chodzenia, stary Szymon wrócił do chaty, i tam już zastał przykryty połudenek, czyli śniadanie; nim siadł do stołu wszedł do piekarni, i przy nim robiono dział w bliźniaki, dla tych którzy pracowali w polu, i którym tam miano zaraz zanieść. Na stole było skromne jadło; chleb razowy z jęczmienia i z żyta mieszany, i to z ościami, barszcz ze schabem i z czernią ze zwierzyny, kwaszone ogórki i kasza jagłana z maślanką; za napój kwas z jabłek i z brusznic. Do stołu przyszło kilkanaście osób, a wszystko jego dzieci. Szymon stanął, przeżegnał się krzyżem świętym.

— Boże pobłogosław dar twojej łaski, który pożywać mamy. —

I wszyscy bogobojnie się żegnali, i bogobojnie słowo w słowo za nim powtarzali krótką modlitwę. Potem zasiedli i pożywali dar Boży, a jeżeli któremu dostał się kęsek smaczniejszy

w dziale, natychmiast podawał go staremu Szymonowi, błagając jak o największą łaskę żeby wziął choć trochę tego kąska.

Ze łzą radości w oku uśmiechał się Szymon.

— Moje dziatki wy mnie zakarmicie. —

Ale żadnemu nie odmawiał skosztować podanego kąska.

Przez małe szyby okien, promienie słońca wciskały się do izby, a nabrawszy jeszcze jaśniejszego blasku od srebrzystych i złocistych obrazów świętych pańskich, któremi były obwieszone ściany, wszystkie razem spływały na białą głowę Szymona, jakby na znak błogosławieństwa Bożego, a łaski świętych pańskich.

— Włodzimirzu, a jakże się tam orze na karczowisku?

— Ojcie jako tako, już wiele korzeni nadgniło, ale są jeszcze zdrowe, i trzeba dobrze sochą wyrabiać żeby nie złać lemieszka.

— Ale to będzie dobre pole jak pognój.

— Takiego w całej okolicy nie ma, tam i proso len się uda, a na zaprzyszły rok będzie pszenica ozima. Daj Boże tylko żebyśmy dla siebie i dla swoich sieli i zbierali.

— Daj Boże; prosimy a Bóg da. A ty Małgorzato jakie twoje płutno?

— Nie tak jakbym ja chciała, nie masz rosy od kilku dni i tępo blech idzie; ale może Bóg da że się wyblechuje w czas dla naszych, oni tam nieboracy muszą być bez koszul.

— Ale moja synowo, z tych twoich pięciu półsetków to nie wiele się pożywią. —

Sześć młodych niewiast i dziewcząt odzywały się jedna przed drugą.

— Mój półsetek już na warstacie u Grzegorza.

— A mój już zdjęty, tylko się szlichtuje.

— I mój także.

— Ja jutro mój przyniosę do blechu.

— Ja mam już przedzy na połowę drugiego.

— A ja dziś zaniosę Protazemu całe powicie na drugi półsetek.

— Dobrze moje dzieci, kto pracuje tego Pan Bóg lubi, i ludzie lubią; a ty leniwko z czem się pochwalisz? — Spojrzał na Praksedę.

— Z niczem dziaduniu. —

Jedna z niewiast podchwyciła.

— Ona im napiecze kurczaków i indyków; my ich odziejemy, ona nakarmi; wszak nie trzeba żeby byli głodni nieboracy. —

Włodzimierz najmłodszy z wnuków pomuskał wąsik.

- I zaśpiewa im tak, jak dziś dziaduniowi śpiewała.
 — A tyś słyszał?
 — Dziwno że słyszał? ja zawsze słucham jak ona śpiewa, i za każdym razem taka mnie chęćka bierze, żeby wojować.
 — Cóż ty umiesz?
 — Co ja umiem? potrafię tak jeździć na koniu jak Pan Dominik z Dawidek. A szablą — — i zaciął się w mowie.
 — Cóżbyś z nią robił?
 — Takbym machał jak Książ Chrzyciel, wszak i on był Włodzimierz, i ja Włodzimierz. —
 Uśmiechnął się Szymon.
 — I zkąd to wszystko do głowy lezie?
 — Prakseda nam zawsze i śpiewa i gada o Kniaziu Chrzycielu, i o tem że my nie Możarowscy, ale Kniaziowie Możajscy. —
 Stary pogroził palcem.
 — Dam ja tobie, dam bałamutko, przewracasz w głowie chłopcom, oni w miejscu o roli, myślą o wojaczce; a wiesz że tego trzeba pilnować, z czego się chleb je? —
 Zarumieniła się dziewica.
 — Alboż to nieprawda o Kniaziu Chrzycielu, alboż to nieprawda że my Kniaziowie Możajscy. —
 Jakoś tak hardo rzuciła głową, jakby ona była Kniaziówna wszechmocna, jak córka Chrzyciela.
 — Prawda, prawda doniu. — Zchmurzył zgrzybiałe czoło, zaszemrał przez zęby: — Prałat Litwin. — Car Moskal. — Chwilkę milczał, i wszyscy milczeli; skinął głową, powstał, przeżegnał się krzyżem świętym.
 — Boże, dziękujemy za te dary które pożywaliśmy z twojej łaski. — I dodał jakby dla siebie. — I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. — I staremu znowu rozpogodziło się czoło. —
 Po tej krótkiej modlitwie, wszyscy poszli do roboty.

Stary Szymon usiadł przed chatą na przyzbie, jak to był jego zwyczaj; u nóg położyły się dwa gończaki rude, grzbiety już przyszronione siwizną; po obwisłych mordach po zapłakanych oczach, widno że i im nie pierwsze pole; wydobyl hubkę i krzesiwo, ognia skrzesal i zapalił fajkę: to już przywyczka Poleszuka, żeby i około rozpalonego pieca w piekarni nie żarem zapalać, ale udawać się do krzesiwka. Z tytoniowym dymkiem poszły na wędrownkę myśli starca, tak dobrze jak i młodej Praksey marzenia o Kniaziach Możajskich.

Nie długo mu dano marzyć, bo coraz to ten to ów przyszedł; byli to goście, a wszyscy Możarowscy, jednego szczepu; jedni

przychodzili z uszanowaniem, drudzy za potrzebą, lub ze sprawą, a inni tak sobie przez ciekawość; ten przyniósł parę jarząbków, albo czernie, tamten cietrzewia, ten zająca — a każdy z datkiem. Szymon każdemu z nich mówił.

— Dziękuję Waści, powieś to w sieniach na kołku. Zanieś Małgorzacie, albo mojej Praksedzie. Odeszłę to na kuchnię dla Marszałka, wszak to nasz naczelnik, nas szlachty. Trzeba też co posłać Isprawnikowi, Istrapczemu, i tym wszystkim wydrwigroszom, bo kto smaruje to i jedzie; trzeba jak można ich jednać, póki nie będzie lepiej. —

Kilku się na raz zapytało.

— A kiedyż Panie Szymonie będzie lepiej?

— Będzie, będzie moje dzieci. Pan Bóg wielki, miłosierny. —

Jeden podrapał się w głowę.

— Ależ bo to Panie Szymonie, Pan Bóg wysoko a Francuz daleko; jeszczę za pińskimi bagnami, a tymczasem Moskal nas dusi.

— Trochę cierpliwości, może i na Francuza nie będziemy czekali.

— Żeby to Pan Bóg dał, a Pan Szymon kazał! —

Przyjazd jakiegoś człowieka jednokonnym wózkiem przerwał rozmowę. Był to kozak Podkołoty z nad Jeziorańskiej slobody. Zaledwie się przywitał, spojrzał w sień i zobaczył pomiędzy kilką strzelbami tam wiszącymi, mnóstwo zwierzyny na kołkach.

— Coś to widzę Pan Szymon poluje i dobrze poluje.

— To nie ja, to oni — i pokazał ręką na szlachtę.

— Dobry strzelcy, nie ma co mówić.

— Że tego strzelają, to tego.

— Ale szkoda takich strzelców na zająca, taj na jarząbki.

— Dajże im co innego.

— Dla czego nie, ot ja do was Panie Szymonie przyjechał po to; w Horodeckich puszczech nad Ubortią mówią że naszło niedźwiedzi.

— A wiele ich jest, ze dwa, ze trzy?

— Już tego nie wiem, ale są; ot Panie Szymonie ja chciałbym z wami coś pogadać sam na sam.

— Dobrze. —

Szlachta się odezwała.

— My zaczekamy, a niech Pan Szymon pamięta że my i na niedźwiedzia gotowi. —

Szymon z Podkołotym weszli do izby, a szlachta gadała.

— Woleliby my na Moskala, jak na niedźwiedzia. //

— Ależ Pan Szymon wyraźnie powiedział, że przyjdzie czas.

— Tazęż powiedział, ale to czas, to wszystko trzeba czekać.

— Jaki ty gorący.

— A ty niby to nie taki.

— Nie ma co mówić, i mnie chce się bić Moskala, ale czekam póki Pan Szymon nie każe.

— Jaki ty rozumny, a jaż co innego zrobię?

— Wyszedł Podkołoty z Szymonem, i zaraz ten ostatni kazał Praksedzie wołać młodego Włodzimirza, a skoro ten się zjawił, odszedł z nim trochę na stronę.

— No mój Kniaziu Chrzycielu, siadaj wasze na myszatego i czmychaj do Dawidek; samemu Panu Dominikowi powiedz że Podkołoty dał znać, iż są niedźwiedze w Horodeckiej puszczy nad samą Ubertią; powiedz że ja go tu czekam dziś z wieczerzą, a nikomu o tem ani słowa nie gadaj jakbyś nie miał języka w gębie; rozumiesz Włodzimirzu, a duchem się spraw.

— Rozumiem dziatku, duchem. — I skoczył na pastewnik po konia. —

Stary patrzył za nim. — Może to będzie i Chrzyciel, Boża wola wielka, a losy ludzkie nieodgadnięte. —

Dziewica czarnobrewa wszystko to słyszała i takóž gdzieś prędko w sad pobiegła.

Czasu by nie było do zmówienia dwóch litanji do Matki Najświętszej, jak Włodzimirz na myszatom z wrót wyjechał, i szlakiem przez sioło skakał na złamanie szyi, a stary Szymon z bracią szlachtą rozmawiał; na tych co się z sobą powadzili wcale nie fukał, ale łagodnemi słowy im przekładał.

— Ludzką rzeczą przewinić, ale powinnością ludzką przebaczać. Moje dzieci, wiek i serce dają mi prawo do tego nazwania, bo was kocham jak własne moje dzieci; wiezcie o tem że jednością i zgodą wszystko stoi i trwa, a kłótnią wszystko ginie; zbroić każdemu z nas się zdarzy, ale też starajmy się poprawić, nie bądźmy upartymi, niech o nas nie mówią: cudze za lasem, a swego nie widzi pod nosem. —

Już więc nie potrzebował mówić, bo Joachim tak ścisnął Łukasza jakby się chcieli podusić.

† Daruj bracie.

† Daruj bracie.

— Dobrze mówi Pan Szymon.

— Żyjmy w zgodzie, po co mamy z sobą się kłócić. —

Innym dawał znowu rady.

— Wasze Panie Karolu, wydaj córkę za Stefana; choć on ubogi ale statek, pracowity chłopiec, a przytem kochają się z sobą. Bóg im pobłogosławi i poszczęści, bo wierz mnie że Pan Bóg bogatszy i szcudrzejszy od ludzi. Ja jak wiecie nie wiele mam, ale na pierwsze gospodarstwo dam Stefanowi parę byczków i jałówkę. —

Młody Stefan aż za kolano go ułapił i w rękę pocałował. I Karol postąpił.

— Już tak będzie jak Szymon każe, ale ja nic nie wezmę dla Stefana; ja mam wszystko co potrzeba, będzie i dla niego i dla mojej córki, wszak on już mój syn od dziś, a Pan Szymon ma tyle dzieci i wnucząt i prawnucząt, wszystko nam daje, a nie od nas wziąć nie chce.

— Moje dziecko, Pan Bóg mnie daje, a ja wam; jak mnie będzie czego brakowało, to wprost przyjdę do was i powiem: dajcie mnie.

— Bogdaj by to tak było.

— Zobaczycie że tak będzie. O twoim synie Adamie mówiłem z Panem Prezesem; przyjmuje go pod swoją opiekę, a my złożymy się na jego utrzymanie. Niech się uczy; nie daj Boże ażebyśmy mieli procesa z kim by to nie było, ale na wszelki przypadek, niech będzie jeden z naszych w palestrze; strzeżonego Pan Bóg strzeże! a ostrożność nie zawadzi.

— Dziękuję Panu Szymonowi, ja uzbierałem dla niego sto złotych na pierwszy początek.

— Ksiądz Opat bardzo rad z twojego brata Zacharjaszu; na przyszły rok będzie wyświęcony, i zostanie professorem arytmetyki taki w samym Owruczu.

— Wszystko to on robi dla Pana Szymona.

— O nie, bądź wasze pewny, że i stary Szymon by nie pomógł, żeby u Józefa nie było cnoty i zdolności; a twój synowiec Teodorze wysmienicie się uczy. Ksiądz Prefekt radzi żeby go posłać do Wilna na doktora.

— Panie Szymonie, a na co nam doktor, kiedy Jędrzejowa lepiej kuruje jak oni.

— Jędrzejowa kuruje dobrze, zapewnie, niech jej Pan Bóg za to nagradza; ale kto wie co być może jak nam jej nie stanie, a doktor nam potrzebniejszy jak jurysta.

— To i dobrze Panie Szymonie; kiedy tak, to niech jedzie do Wilna, choć to na Litwę.

— Teraz Litwa a my to wszystko jedno. — Wymawiając te słowa poczerwieniał stary Szymon.

— Niech i tak będzie. Zenon jedynak, a nieboszczyk brat zostawił dwadzieścia tysięcy złotych polskich na szóstym procencie u Pana Podśędka Samplowskiego.

— To pewne pieniądze.

— Będzie miał o czem wyuczyć się; to ja przyniosę skrypt.

— Dobrze, ja się tem wszystkim zajmę. —

Jeszcze czas jakiś trwała ta rozmowa, w końcu szlachta zabierała się do odchodu, kiedy Szymon pokręcił biały wąs.

— Panowie bracia, a bądźcie w pogotowiu, może i pojedziemy na te niedźwiedzie; niech też ludzie nie gadają że

Możajscy zapomnieli polować na grubego zwierza, a strzelają tylko zające i jarzabki.

— My gotowi choćby i zaraz, nie tylko na niedźwiedzia, ale nawet i na Moskala żeby to do tego przyszło.

— Każdy niech wyczyści dobrze rusznicę, a kulką albo rubanicami nabić.

— A sztofem można?

— Można, a przytem wziąć z sobą kilkanaście nabojów prochu i kul, bo to tam są i dziki i łosie; nie zapomnieć też i o żywności, jak przyjdzie z parę dni zabawić, podstrzelonego zwierza szkoda opuszczać.

— Wszystko tak będzie jak Pan Szymon każe.

— Tylko nie o tem w domu nie gadać, że się na niedźwiedzia idzie, bo to kobiety zaczną się lękać, żeby bartnik któremu nie podrapał pleców, i będzie więcej zachodu jak miodu. Jak będziecie mieli wychodzić, wtenczas dopiero powiedzieć, i to niech nikomu o tem nie gadają, bo to będzie się polowało w cudzych lasach może; jak zwierz granicę przejdzie, to my czekając na kopcach nie zwabiemy go do siebie.

— Zapewnie, dobrze Panie Szymonie, wszystko tak będzie jak Pan Szymon chce. —

Szlachta porozchodziła się, a Podkołoty wziął Szymona za rękę.

— Panie Szymonie, można nie być Kniazem, a być więcej jak Kniazem, ojcem swoich. —

Kniaz Możajski łzawem okiem popatrzył na druha kozaka, a potem wznosił je ku niebu, i biały włos zajaśniał nad licem starca, jak wieniec nieba nad błogosławionym pańskim.

Za sadem w ruczaju dwie młode niewiasty prały chusty, za kolana w wodzie, z podkasanemi letnikami, wyżywały z wody zmoczoną bieliznę, to pokładzły ją na kładce były w takt praczami; ta jednak robota nie pozabawiała przerywanej rozmowy.

— Coś tu nowego u nas będzie.

— Cóż takiego?

— Jakieś wielkie święto, jacyś wielcy goście.

— Zkądże to ty wiesz?

— Ja wiem, zgadnij.

— Jakże ja zgadnę, ot powiedz lepiej.

— Praksesta prosiła Jana żeby jej zabił szesnaście kurcząt.

— I cóż z tego?

— Ale to jakich kurcząt, z pod czubatej gałaganki.

— Jeszcze nie rozumiem.

— Jakaż z ciebie? pamiętasz kiedyśmy w niedzielę jechały na targ do Owrucza z babką, a tyś złapała dwoje z tych kurcząt, jakiego wrzasku narobiła Praksesta, mówiąc że ona te kurczęta przeznaczyła na pieczyste, jak przyjdą Polaki.

- Prawda, prawda, ale ona mogła zapomnieć.
- O ona nic nie zapomina, ona taka rozumna.
- Ja ci mówię że Polaki nie przyjdą dziś jeszcze.
- Zkądże znowu o tem wiesz?
- Mój mąż mnie mówił, że w tę niedzielę, a dziś mamy środę, oni byli za Mozyrem o trzydzieści mil; jakżeby tyle drogi zrobili.
- A mój mnie powiadał, że oni na koniach, i prędzej jak losie biegają.
- A trzebaż tyle Moskali pobić żeby się dostać.
- Jak tylko machną szablą, to Moskale zaraz uciekają, a zresztą czyż to lasem nie można ich ominąć.
- Tybyś chciała żeby oni tu prędko przyszli.
- O zapewnie żebym chciała.
- Pana Feliksa zobaczyć, prawda? a cóżby na to powiedział Jakób.
- Daj mi pokój, już ja o Panu Feliksie ani myślę.
- Ale myślałaś kiedyś, nieprawdaż Tekluniu?
- Cóż z tego że myślałam, ale ~~co~~ było a nie jest, tego nie pisać w rejestrze. — Poczerwieniła i praczem mocniej bić poczęła.
- Pamiętasz Tekluniu jak on ostatnią razę przyjechał na pożegnanie, i przywiózł tobie z Kijowa jedwabną chustkę w podarunku.
- Dziwo że go pamiętam. — I westchnęła.
- Jaks ty wtenczas płakała i przysięgała, że nigdy a nigdy nie pójdziesz za Jakóba, a jednak?
- Daj mi pokój.
- Prawda że Pan Feliks, był to wielki Panicz dla nas, ale kto to wie.
- Magdusiu, ale dajże mi pokój!
- Gdybyś była czekała, a on przyszedł: jak Prakseda powiada że zostaniemy Kniaziównami, jak tylko Polaki się zjawią, ot byłabyś Panią Korczówki, a teraz wszystko przepadło.
- Jak nie przestanieś Magdusiu, to ja pójde. — I chciała odchodzić.
- Poczekaj, już ani słowa nie powiem. — W samej rzeczy chwilkę milczała, ale znowu przerwała milczenie.
- Jakem była u Pani Didkowskiej w Owruczu, Panna Róża mówiła że Pan Feliks w huzarach; że bardzo piękny mundur nosi, cały od srebra. —
- Tekla niby nie słuchała, a jednak z cicha przebąknęła.
- Zkądże ona o tem wie?
- Pan Józef Trypolski przez Owrucz przejeżdżał i wszystko to opowiadał; mówił że Panu Feliksowi bardzo pięknie po huzarsku; ja temu wierzę, bo też i wąsiki ładne, i mina całkiem wojacka. —

*Praksa
dziwne
- przyjeżdża*

*ambicja
Czyż*

Tekla głowy nawet nie podniosła, tak myła bieliznę pilnie, ale tak cichutko żeby i jednego słówka nie stracić z Magdusinej mowy, a kiedy ta skończyła, podniosła głowę.

— A o Panu Mikołaju nic nie mówiła?

— O krzywonodze? a jakże nie; jest z Panem Feliksem w tychże samych huzarach, ale co ten to musi ładnie wyglądać.

— Teraz na niego Bóg wie co wydziwiasz, a pamiętasz jakieś się stroiła kiedy miał przyjechać?

— To na żart.

— Żartem, żartem, a potem i do prawdy przyjdzie, tak to zawsze bywa; zapomniałaś jak się Onufry na to dąsał?

— Onufry wtenczas był wielki cap, jak mu co się ubrało w głowie, to ani rady było wybić; teraz to inaczej.

— Zapewnie, to też się wszyscy śmieją z Onufrego, że on w spodnicy chodzi.

— Co mi szkodzi że ludzie się śmieją, byłem ja nie płakała.

— Dobrze ty mi nauki dajesz, Jakób by ci podziękował, żeby to wszystko słyszał.

— Podziękuje on lepiej tobie, jak tu Pan Feliks przyjedzie.

— Dajże ty mnie czysty pokój Magdusiu, bo dalibóg będę się gniewała.

— Prawda w oczy kole. —

Tu rozmowa przerwana była niedalekim śpiewem.

Snieżna ziemia, krasne gile,
Nad Sławeczną, na mogile,
Stoi dziewczę w ręce pleszcze,
A miłego nie masz jeszcze.

Lód na wodzie, kiśc na sosnie,
Na mogile, dziewczę rośnie;
Nie pleszcz dziewczę w białe dłonie,
Bo twój miły gdzieś w pogonie.

Słonko świeci, świeci ładnie,
Lód się stopi, kiśc opadnie,
A ja będę tutaj stała
I miłego wyglądała.

— Słuchaj jak nasza kniaziówna wyśpiewuje do miłego.

— Ciekawa jestem gdzie jej miły i jaki?

— Musi ona mieć swojego.

— Jabym się założyła, że to jakiś niewidomy duch; ty wiesz jakie ona piękne bajki gada, jakie piosnki śpiewa, a wszystko o nieboszczykach Książkach Możajskich: pewno któregoś z nich pokochała.

— Nie wiedzieć co ty pleciesz.

— Posłuchaj starej Jędrzejowej: ona powiada, że nasza Prakseda to zaczarowana księżniczka.

— Dałabyś pokój, otóż i ona idzie. —

Jak rusałka wietrznica, lekko, polotnie przesuwiała się dziewica po łące; w lewej ręce niosła wianek z jesiennego kwiatu, w prawej kobiałkę z jagodami kalenicami. Pół-uśmiech igrał na jej ustach, pół-radość błyszczała w jej oku, i szła nućąc. Obiedwie niewiasty zawołały do niej.

— Praksedo!

— Czego chcecie moje stryjenki?

— Ty wiesz, tobie dziadek musiał mówić, czy Polaki idą?

— O idą, idą i przyjdą! — Uśmiechnęła się pustym śmiechem, i prędko, szybko przez sad pobiegła do chaty. —

Słońce zaszło; wieczór szarym zmierzchem szarzał, i ludzie i bydło z pola, z pracy powracali do domu. Kury już powzlatywały na kotuchy spać, gęsi, kaczki w kojec pozaganiano; indyki w sadzie poobsiadały drzewa, i szary wróbel w strzechę się zaszył, i jaskółka świegotuszka do gniazda lepianki się wsunęła, a psy strażnicy już koło wrót biegają. Stary Szymon siadł na przyzbie z Podkołotym, a całe pokolenie jego do niego się schodziło. Wszystkie niewiasty były przybrane jakoś strojnziej jak zawsze; Magdusia dorzuciła kilka sznurów koralu na szyję, Tekla miała na głowie jedwabną chustkę, a u Praksedy były kwiaty w kruczych włosach, i koszula cieniutka, drobnym ścięciem mereżona.

W izbie był duży stół, białym obrusem nakryty, i zastawiony jakby na jaką uroczystość. Sama stara Małgorzata pilnowała w piekarni warzenia jada.

Już zmrok coraz bardziej się nasuwał, kiedy psy zaszczekały i zasłyszano tentent kopyt końskich. Praksesta klasnęła w dłonie.

— Jadą, jadą!

— Polaki jadą! — kilka głosów się odezwało. —

Stary Szymon potrząsł głową. — To Włodzimierz.

— Dziaduniu ja słyszę wyraźnie że nie jeden koń. —

Szybko pobiegły ku wrotom, i jeszcze szybciej wracały.

— Pan Dominik jedzie! Pan Dominik jedzie! —

I razem prawie z ich słowami dwóch jeźdźców w skokach wpadło na dziedziniec.

X.

Bitym szlakiem z za boru
Goście jadą do dworu.

PIOSENKA.

W Dawidkach wchodził na dziedziniec Kawecki; zielona kurtka na nim i szarawary płócienne aż za kolana rude od błota; koło borsuczej torby wiązankami wisiały kszyki, kuliki, cyranki, a nawet ze trzy pary dubeltów, rzecz nie bardzo zwyczajna na Polesiu. Za każdym krokiem myśliwca trupy dziobami o dzioby chrupotały; za nim wyżeł zbłocony szedł przy nogach, uszami kłapał, jak żyd pejsami, a ogon miał w dół zwieszony. Kawecki miał minę tęgą; to wąs, to strzelbę poglaskiwał. Koło bramy zdybał się z Dmytrem.

— A cóż Kawecki, dużo pudłów było? —

Kawecki jak żołnierz zrobił pół obrotu w prawo, trochę podniósł przykrywą torby.

— Patrz, kopa, dwie pary i jedna sztuka. Samych dubeltów pięć par, a takie żerne, jakby słoniną obłożone. — Zgiął się, jednego dubelta podniósł i dmuchnął pod pierzę:

— Widzisz jaki biały aż pierze odstaje; a zważ no go! —

Dmytro zważył bekasa na rękę.

— Ciężki jak ołów; no gracko popisał się Pan Kawecki.

— U nas tak zawsze, ot szkoda żem już wszedł w bramę, bobyśmy poszli do Moszka napić się pogrzebowego.

— Wielka rzecz wrócić, żeby to karczma stała o milę to nie mówię, ale to ot pod nosem.

— To i wróćmy się; a Panicz?

— Pojechał, ot tylko co.

— I na zwierzynę nie czekał, a ja dalibóg czasu nie straciłem.

— Cóż robić kiedy mu pilno było, ale zwierzyna nie przedpadnie. Imość tam za godzinę jedzie.

— Imość do Bohdanówki?

— A do Bohdanówki, już konie ubierają. —

Weszli do karczmy i zasiedli za stołem.

— Moszku, kwartę a mocnej, tylko nie chrzczonej! —

Moszko duchem się zwinął. Kawecki kosztował.

— No trochę śmierdzi kotłem a mocna — cmoknął. — No to aż dziwo, Imość do Bohdanówki? —

Dmytro popił. — Ja tobie mówiłem że z tego coś będzie. Panna niczego, i naszemu Paniczowi nie brakuje na niczem.

— Jegomość na to nigdy nie pozwoli. Wachta tu do nogi leżeć. — I wyźlica położyła się u nóg Kaweckiego. — Już jak ona dziś się popisowała to cudo: tak do miary stawała, a ani razu nie spłoszyła, ani przeszła mimo.

— Ta my wiemy o tem, że ona dobra suczka, ale co to będzie, jak będziemy mieli młodą Panię.

— Kiedyś my będziemy mieli młodą Panię, ale nie z Bohdanówki; żebyś ty wiedział Dmytro, czego mnie się nigdy nie zdarzało, dwa dubelty od jednego strzału zabiłem. Ot tak, Wachta zaczęła zakładać, koło łozy strychować, a potem tyc i stanęła. Ja strzelbę do siebie, pójdź dalej, do miary, a ona stoi; podchodzę, pyf! pyf! ona stoi, aż nogą musiałem trącić. Pyf! pyf! skoszyła, a tu z pod łozy prrr prrr — dwa dubelty. Strzelam paf! i nic nie widzę za dymem. Szukam czy nie leci, nie leci; wołam: aport, daj tu! i ona przyniosła mi jednego a potem i drugiego.

— No to się trafia czasem; ale dla czegoż Panna z Bohdanówki nie może być naszą Panią, czy dla tego że Jegomość pobił Pana Ignacego.

— I to coś znaczy, ale — podniósł jednego kszyka — tego huncwota w samym młynku zastrzeliłem.

— No, ale. — Ludzie kłócą się i godzą się, wszak to bywa na świecie. Nasz Pan nie ma za co się gniewać na Wielebnickiego Pana.

— Ja ci mówię jednym słowem, że z tego nic nie będzie, ani Panicz, ani Imość nie tu nie poradzą.

— Cóż to takiego?

— Jest sęk o który się wszystko rozbić musi, ja ci powiadam.

— Ja tobie wierzę, ty starszy sługa odemnie, ale mnie Panicza żal.

— I mnie żal, ale my na to nic nie poradzimy. —

Dmytro pokręcał głową, a obadwa pili.

— Dmytro, jabym tobie powiedział, ale żeby się dowiedział Jegomość, byłoby mnie licho, zła by godzina przyszła.

— Ja ciebie nie siłuję żebyś mówił. No napijmy się jeszcze. — I nalewał w byczki.

— Ty wiesz, że jak mnie kto co powie, to tak jakby rzucił słowo w studnię.

— Ja to wiem, słuchaj Dmytro. —

Tu drzwi się otworzyły; wszedł kredensowy chłopiec.

— Panie Dmytro do Imości.

— Idź, ja zaraz idę.

— Imość mówiła zaraz.

— No to idę.

— Panna kazała żebym razem z wami przyszedł.

— Idę. No Kawecki, to na potem.

— Dobrze. —

Obadwa wyszli z karczmy, ale chłopiec szedł krok w krok za nimi w parze z wyźlicą, i oni milczeli.

Pani Podczaszyna była mocno strapiona; ledwie syn powrócił z Owrucza, nie miał czasu rozgościć się w domu; i znowu gdzieś jechał, nie mówiąc matce dokąd i jak długo zabawi. Ona go nie pytała, bo kiedy on nie mówił, bała się narażać na zmyśloną odpowiedź; widziała zaś to dobrze, że mu to milczenie ciążyło na sercu, bo tak czule ją całował w ręce i prosił: — Moja mamó, niech mama pojedzie do Bohdanówki i dowie się co tam się dzieje? Ja zdrow i prędko powrócę. — Ona go ucałowała. — Powracaj mój synu, a szanuj twoje zdrowie; ja pojedę i wszystko zrobię co zechcesz, bądź spokojny. — Jednak tą radą spokojności, nie przywołała spokojności dla siebie; ona chciała ją całkiem oddać synowi, a sama gotowa była frasować się, martwić, się i boleć za niego. Spieszyła się w drogę, bo ją syn o to prosił.

Już było koło piątej godziny wieczorem, kiedy Pani Podczaszyna przyjechała do Bohdanówki. Właśnie w bawialnej komnacie dawano na stół herbatę i kawę ze śmietanką doskonałą w kamiennych garnuszkach, z sutemi kożuszkami i z sucharkami domowej roboty, osypanemi cukrem i cynamonem. Pan Deputat wyszedł aż na ganek i bardzo uprzejmie witał nadzwyczajnego gościa, a Pani Deputatowa i dygała, i serdecznie ścisnęła przyjaciółkę lat dziecinnych. Panna Benigna żywym rumieńcem okrasila swe lice, ale po przywitaniu Podczaszyny, szukała jeszcze kogoś okiem, a nie znalazwszy, trochę się nadaśala, jak to często zdarza się młodym Panienkom, kiedy nie tak się stanie jak one sobie pomyślały.

Wkrótce potem ukazał się i Pan Kazimierz. Zdrow i rumiany jak zawsze, i jak zawsze nieco pyszałek. Przywitał Panią Proszyńską, i wszyscy zasiedli do herbaty; Panna Benigna nalewała i rozdawała herbatę, bo lokaj stał pod ścianą jak dla formy, jakby malowany. Widno było ile niecierpliwily biedną dziewczynę, owe krzyki braciszków i siostrzyczek.

— A mnie Benisiu.

— Benisiu tyś mnie niepełno nalala.

— Emilka ma większy sucharek jak ja.

— Daj mnie kożuszką choć trochę.

— I mnie.

— I mnie.

— Jemu dała dwa kawałki, a mnie tylko jeden.

— Mamo! ona umyślnie mnie dała brzydką filiżankę.

— Ja tej nie chcę.

— Widzisz Benisiu ja grzeczny, nie nie mówię; dajże mnie jeszcze kawałeczek cukru. Ot taki — i pokazał koniuszek ma-
lutkiego palca. —

Właśnie Pan Kazimierz pytał wtenczas o Pana Dominika, i Benigna nie mogła schwycić uchem, tylko to słowa: że po-
jechał, ale nie dosłyszała dokąd, czy w sąsiedztwo, czy na po-
lowanie, bo znowu dzieci zakrzyczały.

— Benisiu, ty nigdy taka nie była!

— Mnie nałala bez cukru, dalibóg że, niech tatko sko-
sztuje.

— A mnie dała sucharka złamanego, niech mama patrzy. —

Byłaby rady sobie nie dała, gdyby ojciec nie wstał z miej-
sca, i nie wziął klepaczki do ręki.

— Cicho tam, jak w żydowskiej szkole, taki wrzask; które
mi piśnie, to klepaczką dostanie. —

Dziatwa ucichła, ale jeszcze niektóre jak niedźwiadki po-
mrukiwały, a inne z podełba marsem patrzyły to na Benignę,
to na ojca.

Benigna zbliżyła się do stołu, ale już nie mówiono o Do-
miniku, tylko tak sobie o rzeczach obojętnych, jako to o po-
godzie i o złej drodze; to gadanie było na wspak ukraińskiemu
gadaniu, gdzie najczęściej mówią o dobrej drodze, ależ to dla
tego jak Pan Deputat mawiał, że co Polesie to nie Ukraina: tu
lasy, a tam stepy, i z tą wiadomością już zawnioskowauą pra-
wie zawsze się popisywał, i dzieci tego uczył.

Kiedy zebrano ze stołu, i lokaj odszedł, Pan Kazimierz za-
czął opowiadać Pani Podczaszynie jakim sposobem w Owruczu
wywinał się ze szponów moskiewskich.

— Kiedy Pan Dominik zrobił ze światła ciemność, prze-
dzierałem się przez tłum żeby wprost na Moskali wlecieć;
niechby się byli popróbowali ze mną; ale ledwiem wybiegł do
przedpokoju, Pan Nestor schwycił mnie za kołnierz. — A to
dokąd? — Ja mu mówię, na Moskali. — A z czem? po co? —
Ja się wyrwam; a tu Pan Czapowski schwycił mnie w pól, i
zaraz wystąpił z swoim: — Moja luba, moja mamó, prawdziwy
kujawiak, jak ćma leci na świecę, na co to się zdało, zduszą
ciebie jak kurkę, i kostek nie zostawią. *ot Nestorciu weź go*
z sobą i uratuj; teraz najlepiej póki Moskale otropieni. —
Wrzucili na mnie czyjąś oponcę, i czapkę rogatą nadziali na
głowę, i tak mnie wyprowadzili. Moskale jak owce biegali po
ulicach, Pan Nestor za półkarbowanego wziął dwóch, żeby nas

*Kryk
dzieci -
klepaczek*

*Szaleme
Dziwne
umiesziali*

zaprowadzili do mieszkania, a mieszkanie Pana Nestora było w tym samym domu, gdzie stał Isprawnik Mewes; ściana tylko nas przedzielała. Był tam ogromny kaflowy piec z grubą od izby. Pan Nestor koniecznie żebym ja w grubę lał; ja nie chciałem, upierałem się, ale jak zaczął mnie męczyć, tak musiałem wleźć, i siedziałem w grubie jak piskorek jaki w norze, jak żebym to ja był Łęczyczanin. Słyszałem i głos Mewesa, i brzękanie broni moskiewskiej; jak na szpilkach tam siedziałem, do czuba już mi gorąco szło, chciałem wyskoczyć i pogruchotać tych bestjów, ale dałem słowo że będę siedział cicho, a u Kujawiaka: *verbum nobile, debet esse stabile*; bądź co bądź siedziałem. Dopiero na drugi dzień wyprowadził mnie z tego więzienia Pan Nestor, i to jeszcze jak? Kazał mi się przebrać po chłopsku w siermięgę którą z sobą przyniósł, nawet węglem mnie twarz usmarował; włożył mi ogromny wór ze zgoninami na plecy, i tak szedłem za nim. Tak przyszliśmy do jakiegoś dworku nad Norynią, Pan Nestor obejrzał się do koła, na podwórzu nikogo nie było, wyjął klucz, otworzył małą stajenkę nad samą rzeką; tam zastaliśmy dwa konie osiodłane; natychmiast sam się rozebrał, i mnie powiedział rozbierać się, i przebraliśmy się za Dońców; zalecił mi żebym zgarbiony trzymał się na siodle, a od ludzi odwracał twarz, i spisą i czapką ją zakrywał; a jadąc żebym klusował co duszy w koniu, a dobrze trzymał w cuglach żeby czasem się koń nie przewrócił. Siedliśmy na koni, i tak jako Dońce przeprowadzaliśmy Państwo Deputatostwo; o milę od Bohdanówki w karczmie Somienie zrabowaliśmy Żyda; przebrałem się w zrabowany kożuch i w siwą czapkę, i tak zajechaliśmy aż pod Bohdanówkę. Pan Nestor wskazał mi drogę, pożegnał. A z końmi, i ze wszystkim gdzie się podział tego nie wiem.

— Już to prawda że Pan Nestor płodny we wszystkie takie wynalazki.

— Ja przyznam się Pani Dobrodziejce że na całych Kujawach nikt by takim konceptem nie ruszył. —

Deputat klepaczką machnął, muchę chciał z buta zgonić.

— To też Czapowski dla tego zawsze powiada, że co Kujawianin to nie Kijowianin; a chociaż to bardzo podobne jedno do drugiego. —

Najstarszy synek którego już przypuszczano do powiernictwa i do słuchania rozmów starszych, a którego Pan Rejent Uszczepowski już dobrze poduczył, powstał z miejsca jak student, kiedy ma wydawać lekcję.

— Tatku, podobny jak pięść do nosa, Kujawy część Polski, w Księztwie Warszawskiem nad Wisłą, a Kijów miasto wielkie nad Dnieprem, nie daleko Owrucza. Niegdyś stolica Rusi, miasto gdzie najpierwej przyjęto wiarę chrześcijańską u nas. — Prędko mówił, jak by pytłował językiem. De-

putat ledwie mógł zatamować mowę, bijąc klepaczką po łapach.

— Milcz ośle.

— Tatku, tak mnie Pan Uszczapowski uczył. —

Deputatowa wstała i wzięła męża za rękę.

— Mój Janie, daj mu pokój, on nie dobrze zaczął, ale dobrze mówił. —

Synek widząc że ma obronę znowu się wysforował.

— Tatko tak zawsze, jak ja się wyrwę z jeografią zaraz mnie w łeb, żeby pomroki zabić.

— Widzisz co gada.

— Zostaw go, on poprawi. — Wzięła synka na stronę — nie trzeba takich słów używać, to nie ładnie.

— Mamo ja temu nic nie winienem, to Klimowski mnie nauczył.

— Od Klimowskiego nie trzeba się uczyć.

— A mama mówiła żeby ze wszystkimi być grzecznie.

— To co innego być grzecznym a uczyć się.

— Już ja mam więcej tego nie zrobię.

— Idź przeproś ojca. — I syn z całą pokorą posłuszeństwa przeproszał. —

W czasie tego matczynego napomnienia, Panna Benigna przysunęła się do Pani Podczaszyny, i zaczęła rozmowę, ale bardzo nieśmiało.

— Proszę Pani Podczaszyny, czy Pan Dominik często poluje.

— Dość często; ja znajduję że ta rozrywka bardzo przyzwoita dla młodego człowieka?

— Czy i dziś Pan Dominik poluje.

— Nie, wyjechał w sąsiedztwo, i dla tego nie mógł ze mną przyjechać i złożyć uszanowania Państwu Deputatostwu. —

Benigna spuściła oczy i już była w kłopotcie jak tu rozmowę podsyć, kiedy jej przyszedł na ratunek Pan Kazimierz.

— Zapewnie, tu polowanie jest nie odbitą potrzebą, ale u nas, gdzie jest Warszawa, to o polowaniu nikt ani myśli; tam nie potrzeba polowania na zabicie nudów.

— Czy Pan myślisz że my w naszych wsiach nie mamy się czem zająć oprócz polowania? A gospodarstwo, a czytanie?

— To wszystko praca.

— Mamy i my towarzystwa, i zabawy.

— Widziałem Pani, i z całą pokorą wyznać muszę, że u nas na Kujawach, a nawet w Warszawie, nie chciano by wierzyć gdybym im mówił o Owruczu.

— Tam nas mają za jakiś dziki naród, nie za Polaków.

— To prawda, że [nigdzie] mniej nie zajmują się poznaniem Polski jak w Warszawie.

Panna Benigna się uśmiechnęła.

— Dla modnego świata stolicy, Polska nie przechodzi za Pragę, Powązki i Mokotów.

— Gdyby tam wiedziano o Polkach jakie ja tu widzę, natchmiasz by wołano: moja wina, moja wina; poprawiono by się. —

I Deputatowa wzięła udział w rozmowie.

— Może to jedno z największych nieszczęść Polski że Polacy Polaków nie znają, a nawet znać nie chcą.

— Przecież kiedyś to złe ustanie; Polacy muszą się poznać z sobą.

— Może to będzie już za późno.

— Mnie się zdaje, że my w tej winie jak najmniej mamy udziału; największy zaś ciężar spada na Warszawę. My wiemy i wierzymy że nad Wisłą, nad Wartą i nad Dźwiną jest Polska i dobra Polska, wtenczas kiedy w Warszawie ani chcą o tem wiedzieć, że są Polacy nad Dnieprem, nad Dniestrem, albo nad Dźwiną.

— Panie są za surowe dla naszej Warszawy.

— O nie Panie, my ją lubiemy jako wspólną naszą stolicę.

— A jednak Panie lepiej lubią swój Owrucz?

— Nic dziwnego! myśmy się tu porodziły i wzrosły, ale dla tego że lubiemy naszą rodzinną ziemię, to i lubiemy Polskę, bo ten tylko może kochać naród, i ludzkość, kto umie kochać swoją rodzinę.

— Słyszałem jednak nieraz ludzi, których słowa za powagę uważano, że provincjonalizm tak zwany, jest zgubą narodowości.

— Jabym wcale nie była tego zdania; mnie się widzi że niewiadomość Warszawy jest gorszą zgubą naszej narodowości, niż nasz provincjonalizm; wszak ani Ukrainiec, ani Wołyńnianin, ani Podolanin nie powiada iż nie jest Polakiem; choć nas za takich nad Wisłą nie mają.

— I mnie się zdaje, powiedziała Pani Deputatowa, że to zamiłowanie rodzinnej ziemi, żadnego niedobra Ojczyźnie nie przynosi. Jest współbieganie się, które coraz więcej ofiar znosi na ołtarz Ojczyzny, a tem samem dodaje siły i potęgi narodowi.

— Na wszystko jednak powinien być pewien kres.

— Zapewnie; zamiłowanie to nie powinno przechodzić na zbytnią zarozumiałość, na niepotrzebne przechwałki, ale powinno służyć do utrzymania godności człowieka i ziemi do której on należy.

— Zresztą widzi Pan, tego nikt nie przerobi, żeby Ukrainiec nie miał lubić swojego stepu, a Litwin swoich puszczy; żeby im weselej było w Warszawie. To przywiązanie, które Pan Bóg wlał w duch człowieka, rozum i wola ludzka nie przeinaczą.

Byle wszyscy między sobą się znali i Polskę kochali to i prowincjonalizm nie by nie szkodził.

— Na dziś to tego powinniśmy życzyć, a z czasem może by i prowincjonalizm się zatarł. —

Deputat słuchał, słuchał, a nareszcie zaczął i drzemać, kiedy na jego obudzenie przyjechał Pan Nestor z Rejentem Uszczapowskim.

Po powitaniach, Nestor trochę się skulił.

— No Panie Janie przywożem tobie zgubę. Rejent nie zabawem zwinie ci kominka, żona nie będzie tak często puszczała od siebie. —

Wszyscy wieszowali Rejentowi nowego stanu, a on kłaniał się, i po lysinie poglądał.

— Bardzo dziękuję Jaśnie Wielmożnym paniom i panom. Pan Bóg na mnie zesłał fortunny los, amor mój fides po długim oczekiwaniu nareszcie ukoronanemi zostaną sakramentem kościelnym, stosownie do justicii i lex ludzkiego. —

Starszy synek państwa Deputatostwa słuchał pilnie mowy Rejenta i powtarzał sobie: amor, justicii lex, i na palcach zaginał do pamięci.

Drugi synek wpadł w tej chwili do pokoju.

— Mamo, Tatku, Pani Podczaszyna przywozła tyle ptaszków zabitych, a wszystkie z długimi nosami, czasami Klimowski takie przynosi, ale to mu nie zawsze się udaje. —

Dowiedziano się o darze Pani Podczaszyny i dziękowano za niego, a potem pytano o nowiny.

— Jak to mówią z wielkiej chmury mały deszcz. Mewes rozporął się jak baba: było wiele stuku, puku, ludziom śmiechu a jemu srom. Pan Prezes i Pan Marszałek pojechali do Żytomierza, a obywatele ten w prawo, ten w lewo, porozjeżdżali się, a ci co zostali, spokojnie sobie jedzą i piją to u Bazyljanów to u Dominikanów. Stary Jakowicki tylko buszuje, dobrał sobie za zięciów takich wojaków jak Pan Rejent, co z lexem i statutem idą w tylnej straży; i starego taka chandza napadła, że już nie po polsku, ale po łacinie gada: Sic deus adjuvet, ut sum sodalis Marjanus Moskala pobije. A Suryn zawsze swoje robi co dzień. Pieszczona Filis fantazję straciła, i tłucze szyby Isorowi. Ot i tyle tylko nowego w Owruczu. —

Potem wziął Deputata do drugiego pokoju.

— Słuchaj Panie Janie, posyłaj prędko do Chrystonówki po zboże, bo ot nie widno lada dzień lada godzina Chrystonowiec przyjedzie; wszystko twoje przepadnie, a mnie Judko mówił że twój potaż już zabrał.

— Jakto? przecie ja z tobą pomieniałem na zboże i na wódkę, to oddasz z Narodycz, albo z Bołotnicy, to mi jedno.

— Ba, ba, ba, tędy grasz; ja z tobą przy świadkach mie-

niałem na Chrystonowieckie zboże i wódkę, a nie na Bołotnickie, albo Narodyckie; bierz póki czas.

— Ale ty mi pomożesz, dasz kilkadziesiąt podwód, wszak prawda Panie Nestorze?

— Daremna rzecz, co nie można, to nie można — i mnie się trzeba wyprowadzać do Korczówki.

— A tamże po co?

— Widzisz tak, [kto rano wstaje temu Pan Bóg daje;] jak zaczął ja Mewesa pozawczoraj rano tarmosić, a do Morszalka chodzić, tak i wyrobiłem sobie administrację Korczówki; prawda że to nie taki łakomy kasek jak Chrystonówka, ale lepszy rydz jak nie. Z resztą trzeba i jemu trochę pogospodarować, to dobry człowiek ten Feliks Trzeciak; jak twój Rejent powiada: za patnię gdzieś tam na Moskiewszczyźnie; i my go nieco podczubimy, ale tak żeby i nam było i jemu się zostało.

— To widzę tobie pieczone gołąbki same lecą do gabki.]

— Posłuchaj mnie Deputacie, ruszaj i ty na wojaczkę, a już ja postaram się żeby Bohdanówka mnie dostała się w administrację; zobaczysz jakich ja ci tu gołąbków napiekę, takich że ci i ślina po gębie po nich nie popłynie.

— Bynajmniej, tego nie chcę, ale powiedz Panie Nestorze czy ten — ten Chrystonowiec doprawdy powraca?

— Mówiłem ci że powraca.

— I jakże, to jego puszcza?

— Słyszałeś jak starzy ludzie mówili: pokorne ciełe dwie matki ssie: prośbą i mury przebijesz. W Moskwie nie tak; w niej złotem mury przebijesz i kajdany pokruszysz; za złoto będziesz i dziesięć administracji ssal; za złoto z czarnego jak węgiel zrobią ciebie białym jak śnieg. Otóż i z Panem Wojciechem tak się stało.

— No skórka na buty, a ja myślał że on ztamtąd nie wylezie, że tam zgnije.

— Panie bracie, tak nie gadaj; on cierpiał, a może cierpi jeszcze za rzecz publiczną, a ty Polak. Na Polaka nie trzeba powstawać, ale owszem gdzie można i jak można to bronić, kiedy służy rzeczy publicznej. —

I pocziwiec Potocki Bogu duszę winien, zarumienił się przed publiczną cnotą Hoszowca.

— Masz prawdę Panie Nestorze, ale czemuż my takiej dobrej wieści nie powiemy Pani Podczaszynie. —

Nestor złapał go za rękę.

— Poczekaj człowiecze, co ty dobrego myślisz zrobić? niech ciebie Bóg od tego broni; to ty nie wiesz że Pani Podczaszyna z radościby zachorowała, a kto wie czyby nie umarła? Na co to wszystko się zdało; już o tem mówiłem i Rejentowi; trzeba ją wprzódę uprzedzić, przygotować, to zwyczajnie wielka pani.

— Ja dobrze ją znam.

— Powiem żonie.

— Nie mów, już ja to wszystko na siebie biorę. —

Kiedy wrócili do bawialnego pokoju, zastali rozmowę dość żywą, a podsycaną argumentami prawnymi Pana Rejenta, ale przy nich się zakończyła, i Panna Benigna siadła do fortepianu i poczęła grać polskiego marsza.

Marsz, marsz Dąbrowski
Z ziemi Włoskiej do Polskiej;
Za twoim przewodem,
Złączym się z Narodem.

A z takim czuciem serca to grała, że Pan Kazimierz honorem się przeklinał, że żadnej Warszawianki nie słyszał tak grającej. Po polonezie śpiewała nie włoskie tra la la la, ale owrucką piosnkę prostego ludu, i głos jej słodko dźwięczał, jak śpiew nieba, tak często marzony duszą; i nieraz spozierała w oczy matce Dominika, jakby chciała w nią wlać swój śpiew, i z nią gdzieś posłać.

Deputatowa pokazywała obrazy zrobione przez córkę. Była tam wieczerza Pańska olejno malowana, i śmierć Alcesty umierającej za męża Admeta; i rysunek i koloryt, i harmonia na licach i postawach osób, wszystko nosiło na sobie cechę uczucia i łatwości. Chwalono Pannę Benignę, a ona rumieniła się od pochwał, a widno z oczów że najbardziej te pochwały płynęły jej do serca, które wychodziły z ust Pani Podczaszyny.

— To ładne, toby się przedało. — Zrobił tę uwagę Pan Nestor. — Dalibóg że ja widział w Romanowie u Senatora Ilińskiego nie lepsze bohomyzy; mnie mówili że jeden kosztował kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich; to za tego choćby połowę wziąć.

— Ależ to pamiątka po mojej córce, za nic bym nie oddał.

— Panna Benigna jeszcze młoda, dwieście takich wymaluje, a to dalibóg nie żarty. —

Mimo usilne prośby gospodarstwa, Pani Podczaszyna postanowiła wracać do siebie, a Pan Nestor oświadczył się że odprowadzi ją aż do samych Dawidek.

Kazimirz przyszedł do Pana Nestora.

— A cóż się stało z naszymi końmi?

— Teraz może już w Lewartowie je przedali. Rzeczycka szlachta to chwaty, jakem im odstąpił te koniaki, tak ich poczupurzyli, że i sam djabeł by nie poznał. Powiedziałem im że to moskiewskie, inaczejby nie wzięli; to uczciwi ludzie jakich trzeba dziś ze świecą szukać. —

Pan Kazimierz jeszcze raz dziękował Panu Nestorowi za swoje uratowanie. Nestor na wszystko jedno odpowiadał.

— Nie ma za co, to rzecz publiczna, każdy to powinien zrobić, a ktoby nie zrobił, to nie wart być Polakiem. —

W tem wszedł Dmytro i dał znać że konie już zaprzężone.

Pan Deputat udobruchany pochwałami Podczaszyny dla swojej Benisi, przystąpił.

— Już od dawna słyszę polującego Pana Podczaszycę.

— Mój syn poluje najczęściej blisko Dawidek, albo koło Serwuków.

— Tu w Bohdanowieckich lasach jest mnóstwo zwierzyny, a nikt nawet jej nie płoszy; niech trochę i tu popoluje.

— Bardzo Panu dziękuję, ale wiem że Dominik prawie nigdy nie poluje w cudzych lasach.

— Ja proszę, niech w moich poluje, bo już mi i dziki zaczynają wielkie szkody robić. —

Deputatowa dodała.

— To by może sprowadziło Pana Dominika.

— O on jak tylko będzie mógł, natychmiast będzie służył Państwu Dobrodziejstwu. —

Benigna zarumieniwszy się, takż swoje słówko dorzuciła.

— I Pan Kazimierz, polując z Panem Dominikiem choć trochę nudów by zabił. —

Kazimierz skłonił się.

— Radbym widział Pana Dominika, ale polowanie w Bohdanówce byłoby dla mnie nudą. — I spojrział na dziewicę, ustawivszy się partesowie. —

Pojechała Pani Podczaszyna i Pan Sędzia, a Uszczapowski rzekł do Deputata.

— Winszuję zgody *concordia parvae res crescunt, discordia maximae dilabuntur, vel* zgodą rosna małe rzeczy, niezgodą największe upadają. —

— Daj mi Waćpan pokój; będzie tu mnie jak Pan Ignacy się dowie: to wszystko moja żona.

— Pani Deputatowa podług wszelkiej justicii postąpiła.

— Słuchaj Waćpan Panie Sebestjanie, jeżeli chcesz mieć choć na krztę swojej woli, to zotań z lexem i justicią, a nigdy się nie żeń. —

XI.

Nechody Hryciu,
Na wieczernyciu;
Bo na wieczernyci
Wsi czatownyci

PIEŚŃ GMINNA.

Po borze wiatr na północ powiewa; w siole kury na północ pieją. Z chaty starego Szymona światło złości się przez szyby; nikt tam nie spał oprócz dzieci małych; mężczyźni ze starym wyszli na lowy, a niewiasty i dziewice wszystkie zebrały się razem na doświtki. W gromadce bezesnem i pracą, śpiewem i bajką najlepiej i strach i smutne myśli odpędzać, a jak przyjdzie świt biały, to jakoś rzeźwiej, weselej i nie tak straszno sam na sam z sobą zostać. Na doświtkach choć się która zdrzemie, to i sen jej jaśniejszy; ani upiór, ani bezpięty nie przyjdzie go zmącić, bo ludzie do koła niej czuwają.

I na ławkach i na stołkach w wielkie koło zasiadły, dny-szcze wzięły pod siebie, na kądzielach umocowały przedziwo, palcami nić smyczą, a wrzeczona puszczają w furkoty po podłodze. W piecu skalniki bujnem światłem płoną, pod progiem świerszcz świrka, a za piecem kot murkocze. I stara Małgorzata przędzie, i Prakседа także wzięła wrzeczono, siadła przy Magdalenie, i z nią razem z jednej kądzili smycze.

— Nasi już muszą być daleko.

— O pewnie już za Sławeczną, a może i pod Horodcem. Zaraz wyszli jak tylko zmierzch się robił, a teraz północ.

— I Pan Dominik piechotą poszedł.

— Dla czegoż by nie miał? on taki młody i czepki, kiedy nasz dziadunio idzie. —

Małgorzata przypomniała sobie.

— Ale to żeby czasem koń Pana Dominika nie zrobił sobie czego złego.

— Ja poprawiłam mu posłanie, odpuściłam powód, i obrok zasypałam, i siano założyłam na noc, jak Włodzimierz mi przykazał. —

Magdalena się zaśmiała.

— Lepiejbyś to robiła Prakseda niż Włodzimierz; [musiał kur zapać kiedyś ty się rodziła, w miejscu chłopca przysłaś na świat dziewczyną.]

— Cóż to, czy moja Prakseda taka dorodna jak chłopiec? —
Odezwała się Dorota, matka Praksedy.

— O co nie to nie, ona taka szczuplutka jak Kniaziówna, ale zawsze gada o koniach i rycerzach, a nigdy o kądzieli. —

Tu dał się słyszeć krzyk dziecięcia w drugiej izbie. Magdalena wstała i wyszła, założyła nogę na sznur i huśtała kołyskę (zawieszoną sznurami na belce.

— Lu lu, mój maleńki, śpij mój Jasieńku, lu lu. —

Prakseda z Teklą zapaliwszy latarnię poszły do stajni; ale niebawem ta ostatnia obcesem wpadła do izby, tak że przestraszyła wszystkich.

— Gdzie Prakseda? —

Dalej mówić nie mogła, tak była zadyszana. Wszystkie rzuciły się z miejsc, ale żadna progę nie śmiała przestąpić. Dorota tylko wybiegła, i we drzwiach spotkała Praksedę zachodzącą się z pustego śmiechu.

— Moja Doniu co ci jest?

— Mnie nic, ciotka przestraszyła się puszczyka. —

Tekla już odetchnęła.

— Ba puszczyk, śliczny puszczyk.

— Cóż takiego?

— Puszczyk moja babko, zleciał ze stajni, a teraz puhaćce na stodole.

— Chodźmy zobaczyć. —

Wszystkie jak stado owiec runęły ku drzwiom, i u progę się zatrzymały; jedna Prakseda wyszła za drzwi.

— Ot słuchajcie, wyraźnie puszczyk puhaćce. —

Już ze trzy weszło do sieni, a jedna nawet wystawiła głowę na dwór, kiedy gdzieś w siole pies zawył, w nogi więc wszystkie, i jak kuropatwy na dnyszczach poprzysiadaly. Prakseda powróciła, a strach jeszcze nie przeminał; było cicho w izbie, że wyraźnie słyhać było dalekie: puhu! puszczyka, i powyk psa. Dreszcz strachu po za skórą przechodził, a palce nieraźno len snuły.

Małgorzata pierwsza przerwała milczenie.

— Doniu moja Praksedo, powiedz nam jaką bajkę.

— Moja babko i jakąż ja powiem?

— Jaką zechcesz, ty tyle ich umiesz.

— Dalibóg teraz sobie jakoś żadnej przypomnieć nie mogę.

— Powiedz nam o upiorze Chrzyciela, ty tak dobrze to opowiadasz.

— Niechno pomyślę trochę. — I myślała trochę, a paluszkami po czole gładziła:

— Już Książ Włodzimierz, tak zwany Chrzyciel, od trzech lat był pomarł, i zostawił panią na zamku w Sławecznie, swoją wdowę Księżnę Praksedę, wnucę sławnego Raszka, jednego z pięciu Owruckich braci; i sześciu synów: Szymona, Igora, Olega, Michała, Stanisława i Świętopelka, i wiele wnucząt, a między nimi najstarszy miał lat jedynaście, i nazywał się Włodzimierz, tak jak dziadek Chrzyciel. Jednego dnia wszyscy sześciu braci i mały Włodzimierz pojechali na łowy: sto sfór ogarów na raz puszczone w knieję, i wszystkie napadły na brodatego żubra, żubra znanego od lat dziesięciu w całej okolicy, a którego nikt nie mógł upolować, nawet sam Książ Chrzyciel, chociaż od niego nie było sławniejszego łowca na wszej Rusi, i na całej Litwie. Dwadzieścia i cztery strzałów do żubra dano, i żubr wyparł się z kniei i poniósł się ku zakłętemu jezioru, a ogary za nim. Kniazio wie wskoczyli na konie i także tam poczwałowali. Jezioro zakłete było wówczas bardzo sławne; nikt do niego jawnie zbliżyć się nie śmiał, a jeżeli kto się podkradł ukradkiem, to widział jak po nim pływały i szuhaleje i bajdaki wielkie jak domy, a na nich były rusalki czaromocce. Kiedy księżyc zasrebrzył się na niebie, one płasły po wodzie jak po ziemi, i pluskały się w przeźroczu jak rybki krasnoskrzele, i śpiewały jak słowki, kochanki puszczy, a żadna nie śmiała na brzeg stąpić, a widno że im się tego chciało, bo wciąż płasami ku brzegowi kołowały. Po nad brzegami chodzili starcowie z białymi i żółtymi brodami, a w rękach nosili wielkie kostury, a kiedy przypadkiem który z białobrodych starców o brodę się trącił, to sypały się na ziemię srebrne pieniądze; a kiedy przypadkiem który z żółtobrodych starców kosturem o brodę trącił, to się sypały na ziemię złote pieniądze; i nikt tych pieniędzy brać nie śmiał. A kiedy słońce załocilo na niebie, to nie było widać ani rusalek, ani starców, tylko po jeziorze pływały kawały drzewa jakby rozbitki szuhalei i bajdaków; a nad jeziorem stał kurzeń z drzewa zestawiony, ziemią obłożony, w którym mieszkał stary pustelnik; nikt do niego nie wchodził, ani on nie chodził do nikogo. —

Powiadali ludzie, że nieboszczyk Książ Chrzyciel często tam dojeżdżał, i częste rozhowory z pustelnikiem miewał; ale to tylko powiadali, bo nikt tego na swoje oczy nie widział, na swoje uszy nie słyszał. Psy kniazio wie biegły wiankiem do koła jeziora, i ujadły za żubrem, a żubra widać nie było. Nie zanurzył się w jeziorze, bo by głowę widać było, a na jeziorze tak czysto że nigdzie nie masz ani krzaku, ani sitowia. Nie pobiegł w bór, bo by psy za nim pobiegły. Ludzie siedmiu Kniaziów zatrzymali konie zdala od jeziora, a wszyscy siedmiu Kniazio wie, konie ścisnęli nogami, i wprost ku jezioru poskoczyli. Stary pustelnik wyszedł z kurenia, a wszystkie psy do niego się rzuciły. On nie mógł się obronić, o ratunek wołał.

Sześciu starsi Kniaziowie gniewni, wołali: — Niech psy psaczarownika poszarpią, gdzie nasz żubr? — Jeden tylko mały Książ Włodzimierz, mimo krzyki ojca rzucił się na obronę starca i psy rozgonił.

Starzec szedł po wodzie i cały był na wierzchu, psy ku niemu skakały i jedne po drugich topiły się w jeziorze. Kniaziowie mocno się sierdzili, i chcieli końmi rzucić się w pław w jezioro, ale mały Włodzimierz z płaczem błagał aby tego nie czynili; konie nie chciały iść w wodę, a oni pływać nie umieli. Kiedy już wszystkie psy wytopiły się co do jednego, starzec w ręce plasnął trzy razy, i trzy razy gwizdnął, a żubr wyhulknął z wody i płynął do niego. Starzec gładził go po brodzie, i bał się z tępemi rogami. Kniaziowie, ale zawsze sześciu starsi, w złości kurzeń starca rozrzucili, i powrócili do domu bez żubra. Kniahini Prakseda dowiedziawszy się o wszystkim, mocno synów połajała, a potem się zasmuciła, powtarzając: będzie nieszczęście, będzie nieszczęście; bo kiedy starzec się zagniewał, przyjdzie na nas zła dola. — Synowie matkę przepraszali, ale śmieli się w duchu z matczynego przeczucia. — — —

Jeszcze na dzień się nie zbierało, kiedy ruski rycerz wpadł do zamku: — Litwa nad Ubortią! — Książ Szymon zawołał. — Na mnie kolej, ja najstarszy, sto konnych za mną na zwiady! — I przybrał się w złotą zbroję, i miecz złocisty do boku przypasał, wskoczył na cisowego konia, i stu ruskich jeźdźców na koń wskoczyło. Stępą wyszli z bramy, przez rzekę w pław przepłynęli, i poszli ku Ubortiowi. — — —

Dawno już słońce weszło, stara Kniahini i Kniaziowie wyszli na wały, patrzą okiem a Kniazia Szymona nie widać; słuchają uchem a Kniazia Szymona nie słyszą. Nareszcie ujrzeli jednego rycerza, konia parł czwałem, a coś wioził przed sobą, a coś złotego, bo złotem się błyszczy. W rzekę się rzucił, płynął, przepłynął, wpadł przez most w otwartą bramę: to najwierniejszy giermek Kniazia Szymona! Koń stanął, a trup Kniazia Szymona całkiem w złotą zbroję odziany zsunął się na ziemię, a razem z nim prawa ręka giermka po łokieć odcięta. Giermek był blady, chwiał się na koniu, i chwiejącym głosem wymówił: — Wszyscy co do nogi zginęli. Litwa minęła Horodec, tu ciągnie. — Zadrżał, sam zsunął się z konia, i on już był trup obok trupa Pana. — — —

Kniahini żona szlocha, ręce łamie. Kniahini matka płacze, syna trupa podnosi. I mały Włodzimierz za ojcem w głos żaluje, a Igor woła. — Na mnie kolej, ja po Szymonie; dwiestu konnych za mną dalej na Litwę! — Przywdział srebrną zbroję, dosiadł jak mleko białego rumaka i pojechał: dwiestu konnych za nim. — — —

Nie długo na wieść o nich czekano. Białą koń Kniazia,

krwią obryzany, przybiegł sam bez jeźdca, i nikt za nim z ruskich rycerzy nie powrócił. Książ Oleg nadział hełm ozdobny wiewiórczą skórą, dosiadł gniadego rumaka i trzystu konnych z zamku wyprowadził na Litwę. — — —

Tą razą nie prędko, nie prędko ukazał się jeździec, nie jeden był na koniu ale dwóch razem ich siedziało, przedni zadniemu rękoma uczeplił się za szyję. Zadni był to jeden z rycerzy ruskich, obiedwie ręce miał obcięte po ramiona, a przedni to Książ Oleg, ranny zaczepił się mu na szyję, i tak śmiercią zastygł.

Książ Michał rysią skórę przez zbroję na plecy zarzucił, i na koniu pstrokatym jak sroka, wyprowadził czterystu konnych na Litwę. Z wałów zamkowych słuchali i słyszeli krzyki wojny; patrzali i widzieli tuman kurzu, ale nikt nie uciekał, tylko koń z jeźdzcem bez głowy. Poznali! to pstrokaty koń Książa Michała; to tułub Książa Michała. — I Książ Stanisław ubrany w żelazną zbroję, siadł na szpakowatego źrebca, a za nim pięciuset konnych wyskoczyło w pomoc swoim. — — —

Jeszcze rzeka nie zagładziła prądów poprutych przeprawą koni, a już widać było Litwę, jak prze ruskie rycerstwo. Widać było jak szpakowaty źrebiec Książa Stanisława spierał się na zadzie, a Książ Stanisław ciął po karkach nacierając Litwę. W oczach matki piąty syn utonął z koniem w rzece. W oczach Książini wdowy po Książu Chrzycielu, wyginęło tyle rycerstwa ruskiego. Już Książ Świętopelk brał się do konia, kiedy Książini Prakseda zawołała: — Tyś najmłodszy, nie wychodź w pole, broń zamku, ja każę. — — —

I tak się stało, jak ona kazała; ale nim most zwiedziono i bramę zamknięto, wyjechała Książini Prakseda ze starym i wiernym giermkim nieboszczyka Książa Chrzyciela. Dokąd? tego w zamku nikt nie wiedział. — — —

Wyjechała i jechała przez lasy, przez bory; przez polanki, przez brody, aż do zakłętego jeziora. Stary giermek po swojemu huknął, i ukazał się starzec pustelnik. Książini do nóg mu chciała upaść, ale on ją podniósł.

— Co się stało, to się odstać nie może. Matko nie masz już synów, ale wnuk ci został, i Litwa na zgubne imię przepadnie. Chodź za mną! — i szli długo, szli daleko, nie wiedzieć jaką drogą, i zaszli aż na mogiłę Książa Chrzyciela.

Pustelnik urwał trzy paprocie i trzy grzyby syroiszki, zdjął trzy szyszki borowe, i wszystko to włożył w garnek; nałożył ognia i warzył aż się wszystko rozwarzyło; potem tam kamień wrzucił, i jak się rozgrzał, garnek rozbił i nogą zgruchotał. Wziął kamień do ręki, i trzy razy nim w kamień grobowej mogiły stukał, i trzy kroć razy zawołał: Książu Chrzycielu! na Litwę, na Litwę! I ucho Książini, i ucho Giermka, wyraźnie

się słyszeć zdało, we wnętrzu mogiły brzęk i szczepek, i wołanie: Na Litwę, na Litwę! idę idę!

Pustelnik wziął Kniahinię za rękę. — Chodźmy ztąd. Co się stało, nie odstanie; ale się już więcej nie stanie nic złego. I Kniahini nie obejrzała jak prędko przyszła do zamku z giermkiem; pustelnik u samej bramy zniknął.

Tam w zamku był wielki strach, i wielki płacz. Książ Świętopelk na wałach zginął od Litewskiej strzały, a mały Włodzimierz ku podziwu wszystkich, misiurkę nadział na głowę, wilczą skórę pod szyją zapiął, wziął miecz do ręki, i jak stary rozkazy dawał.

Za rzeką, za Sławeczną Litwa wyła jak wilcy; jak zgłodnieli wilcy zębami, tak ona postukiwała bronią, a było ciemno na niebie; bo księżyc jeszcze nie wszedł, a gwiazdy pochowały się przed Litwinami; ale kiedy pokazał się księżyc, za hurmami Litwy, nie było widać, ani brzegów, ani pola, tylko jakby las ruchomy. Siadali na koń i brali się do przepławu rzeki. W tejże samej chwili w zamku, przed zwodzonym mostem ozwał się róg, trzykrotnie. I giermek stary i starzy rycerze w omamieniu: tak niegdyś pogrywał Książ Chrzciiciel. A Kniahini Praksesta kazała bramę otworzyć, most spuścić. I mały Książ Włodzimierz wybiegł do bramy. — — —

Przodem wjechał rycerz w czarnej zbroi i na wronym koniu, za nim dwiestu i dwóch rycerzy, także w czarnych zbrojach i na wronych koniach. U przedniego rycerza był krzyż w lewicy, a szablica w prawicy. Między rycerzami zamku poszmer biegł: Książ Chrzciiciel! Książ Chrzciiciel z tamtego świata! A ów rycerz spojrział na małego Włodzimierza, i wskazał mu krzyżem za rzekę: — Litwa! Książu Możajski na koń! Owruczanie na koń! — Wszyscy duchem siedli na koń; czarny rycerz z wzniesioną szablą, w rzekę ich prowadził, a mały Włodzimierz przy nim wyskakiwał na koniu.

Zaburczała, zakipiała woda w rzece; za rzeką zawiła Litwa, i gradem strzał sypnęła. Ruś odpowiedziała głosem: Chrzcej Litwo! I wnet szablami po Litewskich łbach zadzwoniła. —

Wichrem Ruś poparła, a Litwa z końmi wali się jak drzewa boru z korzeniami; reszta uciekała jak gałęzie i wierzchy gnane burzą, bez pamięci, het precz. —

Więszą połowę nieba księżyc obiegił, kiedy zwycięzka Ruś wracała do zamku. Kniahini Praksesta i Kniahini wdowa po Książu Szymonie stały obie u bramy. Czarny rycerz jechał po przodzie a mały książ Włodzimierz obok niego. Obadwa donieśli że żaden z Litwy nie uciekł, żeby obwieścił swoim o klęsce; poczem czarny rycerz gromko zawał: — Kniahini Praksesto, Książu Możajski, stary giermku Iwanie za mną! — I wszyscy troje za nim się udali a za nimi dwiestu i dwóch jego rycerzy. Niebawem stanęli nad mogiłą Kniazia Chrzc-

ciela; czarny rycerz machnął, i dwiestu i jeden rycerzy zwróciło się, zniknęło w lesie, a tylko jeden z nim pozostał; kamieniem trzy razy stuknął o kamień grobowej mogiły; we wnętrzu jękła mogiła i na dwoje się rozpadła, konia obrócił ku rozpadlinie, a twarz zakrytą przyłbicą ku Kniahini i Kniaziowi: — Kniahini chowaj wnuka w poszanowaniu starości. Kniaziu, gdzie spotkasz starość tam ją poszanuj. Jam Książ Chrzciciel! bądźcie zdrowi! idźcie za nim! — Koniem wskoczył w rozpadlinę; wielkim trzaskiem mogiła się zrosła, i śladu rozpadliny nie było tam widać. —

Babka i wnuk i giermek poszli za pozostałym rycerzem: on ich prowadził przez lasy, przez bory; przez polanki, przez brody; aż do zakłętego jeziora. Tam Rusalki wietrznice jak słowiki śpiewają, jak promyki nieba wiotkie po jeziorze skaczą, a takie milutkie jak barwy tęczy. Po nad brzegami starzy siwo-brodzi i żółto-brodzi chodzą, a w dali stoi czarne rycerstwo, co z nieboszczykiem Chrzcicielem ocaliło zamek Książów Możajskich. I Kniahini, Książ i Giermek wszystko to widzą, wszystko to słyszą. Rycerz przewodnik po swojemu huknął, a starce się mu kłaniali i tręcali kosturami po brodach, srebrne i złote pieniądze z brzękiem padały po brzegach jeziora. W tem gdzieś daleko kur zapiał, rycerz przewodnik gwizdnął i śpiew Rusalek ustał, i płąsy ustały, i one same zniknęły, a na wodzie nie było widać ani bajdaka, ani szuhalei. Zapiał kur po raz drugi, i starce siwo-brodzi i żółto-brodzi z nad brzegu zniknęli. Zapiał kur po raz trzeci i dziw wielki, ów rycerz przewodnik przemienił się w starca pustelnika, a z owego czarnego rycerstwa zrobiło się sto sfór ogarów i żubr brodaty. Żubr pobiegł w puszcę, a psy łasiły się koło Książa Włodzimirza. Giermek z rozkazu starca zabierał złote i srebrne pieniądze w wielkie wory i juczyl niemi konie, a Pustelnik przy pożegnaniu wyrzekł te słowa: — Kniaziu Możajski, szanuj starość a będziesz bogatym i potężnym. —

Kniahini Prakseda długo jeszcze potem płakała swoich sześciu synów. Książ Włodzimierz był sławnym Książem, żubr swoją śmiercią pomarł w Owruckiej puszczy, ogary Książa Włodzimirza sławne były na wszę Ruś i na całą Litwę, a ludzie mówią, że czasami jeszcze widują sarca Pustelnika nad zakłętem jeziorom, ale to czasami tylko. —

Skończyła Prakseda i czas jakiś wszystkie milczały; pies był daleko, puszczyk pubaczył; ozierały się po za siebie, czy gdzie pod ścianą nie stoi Książ Chrzciciel, albo pustelnik z nad zakłętego jeziora; słuchały czy czasem Litwa nie wpadła na dziedziniec, i mimowolnie każda żegnała się krzyżem świętym, i mówiła Anioł Pański, za dusze sześciu synów Chrzcicielowych,

a potem znowu przędły i milczały. Smutno było, nawet jak na złość nie zakwiliło żadne dziecko. Mołgarzata kilka razy głową skinęła.

— Teraz śpiewajcie która, bo jakoś weselej kiedy się słyszy głos ludzki, a tak to i strach, i nudno siedzieć jak mruki. —

Tekla posłuszna wezwaniu nucić zaczęła:

Ne chody, ne nudy, ne zaliciajsia;
Ne pijdu za tebe, ne spodiwajsia.
Ne chody, ne nudy, ne traty hroszy,
Ne pijdu za tebe, boj ne horoszy.
Oj maty neznaty, czy rada tomu,
Może tia zaszlubyt, komu inuomu.
Zachoczet bohactwa, i mnoho hroszy,
Może tia ukrotyt twojej roskoszy.

— A dalej?

— Jużem skończyła.

— No to ja tobie zaśpiewam — rzekła Magdusia przyśmiejając się — zobaczysz że będziesz rada.

Po pid hajem, hajem zeleneńkim,
Orała diwczyną, wolykom czorneńkim;
Orała, taj neumila hukaty,
Naniała husareńka w skrypku hraty.
Hraje huzar hraje,
Taj wusami murhaje;
Oj ne na woły, nie na korowy,
Ale na bile lyczko, na czorne browy.

— Dajże ty mnie pokój, lepiej śpiewajmy:

Ej posijaw kozak hreczku,
Na duboczku, na werszczuku;
Hdeś sia wzięła szura. bura,
Kozakowi hreczku zdula.

— A ja ci odpowiem:

Handziu! Handziu! traścia mamu,
Czerez tebe wpaw ja w jamu;
Czerez tebe mołoduju,
Wpaw ja w hlubokuju.

— Ja bo takich nie chcę. Dorotko, zaśpiewaj no ty mnie o dwóch gołębiach.

Odna hora wysokaja, a druhaja nyska,
Odna myła dalekaja, a druhaja blyska,
O ja tuju blyzenkoju, ludziom podaruju,
A do mojej dalekoi piszki pomandruju.
Dwa hołuby wodu pyły, a dwa kołotyły,
Bodaj tyje wik konały szczo nas rozłuczłyły.

— Ja mówię że u niej więcej nie siedzi w głowie tylko konie i rycerze.

— Dobrze, czyż to ona nie Kniaziówna Możajska, i czyż nie nosi imię Prakseda, jak żona Kniazia Chrzyciciela?

— Niech mama o Kniaziu nie gada bo mnie strach.

— To zaśpiewaj kiedy ci strach.

— Już wolę śpiewać.

A wże susid żyto sije,

A w susida zełenije;

A u mene, ni orano,

Ani żato, ni sijano.

U susida chata bila,

U susida żynka myła;

A u mene ni chatynki,

Nyma szczastja, nyma żynki.

Za susidom mołodyci,

Za susidom i wdowyci.

I diwczata spohladajut,

I wsi susida kochajut.

Ej pijdu w stepy, bory,

W nezawodnyi zawory,

Tam buda szczastja szukaty,

Na nedolu narekaty.

— O, tę piosneckę to lubię; pamiętam że ją śpiewał nieboszczyk Ignacy, jak mu tylko się co nie powiodło; chociaż on o sobie nie mógł powiedzieć tego, co ten biedny chłopiec mówił. Jak go jaka dziewczyna zobaczyła to i pokochała. — Mówiąc te słowa, stara Małgorzata zdawała się odmładniać. — A kiedy wasz ojciec powracał z lasu, albo z polowania, a podochocił sobie trochę, po drodze nim wrócił do domu zawsze śpiewał.

Bortnyk bortnyezki prosyw,

Do nej ruczeńki wznosyw,

Szczob jemu ne boronyło,

Szezo jeho serce chotiło.

— Oj Pan Ignacy to był dziwnej woli: czasem chciał żebym ja skakała, i ja musiałam skakać; czasem żebym ja płakała i ja płakałam, a wszystko to trzeba było robić co on chciał. O! on nie taki był jak wasi mężowie, i jak huknął, a stuknął, taka moja wola, to inaczej nie było. Ja takich dwóch ludzi tylko znałam, nieboszczyka męża, i ojca Pana Dominika.

— Jakto i ojciec Pana Dominika taki?

— O taki! pamiętam kiedyś przeszłego roku bawiła cztery dni w Chrystonówce, po odpuście w Metykach, to może nie trzydzieści razy słyszałam jak wołał: — Elzbieto, tak chcę i tak być musi. — A Pani Podczaszyna i słowa nie rzekła a wszystko robiła co mąż kazał.

— Biedna Pani.

— Co za biedna? to szczęście kobiety, kiedy ma takiego męża; lepszy on od owego gamonia, co to nic innego nie umie powiedzieć, tylko: jak ty chcesz kochanko, jak ty każesz.

— Ależ mamu, lepszy ten co łagodnie mówi, jak ten co rozkazuje.

— Co ty wiesz, ten co ma wolę, to rozkazuje; a że ma wolę to jak przyjdzie niebezpieczeństwo, to obroni, sobą zasłoni; a ten co się spuszcza na wolę żony, to jak przyjdzie zło, to pewnie tam się schowa, gdzie i pieprz nie rośnie.

— Jednak mamu powiadają, że trzeba żeby w małżeństwie jedno drugiego się radziło, jedno drugiemu ustępowało.

— Tężeż to teraz już i między nami tak mówią; za naszych czasów tego nie bywało, i było lepiej. I żony były lepsze i dzieci lepsze. Ot patrzcie czy jest w całym Owrukiem lepsza żona jak Pani Podczaszyna, a jednak Pan Wojciech postępuje jak dawniejszy mąż, nie jak dzisiejszy.

— I bez tego byłaby taką.

— Taką, albo nie taką, to jeszcze na dwoje babka wróżyła. A Pan Dominik nie chwacki chłopiec? —

Prakseda wtenczas chustką się otarła, bo jej musiało być gorąco od przedzenia.

— Zapewnie że chwacki — dodała Tekla — ale cóż to ma do tego?

— Ta że i jego wychowywano w dawniejszym rygorze; dla tego on nie boi się ani chłodu, ani głodu, ani pracy, ani trudu. Z wielkimi Panami, wielki Pan, z drobną szlachtą, drobny szlachcic; do każdego umie się zastosować, i wszyscy go kochają i szanują, choć taki młody już; takiego drugiego nie ma w całym Owrukiem.

— Praksedo co tobie jest?

— Gorąco mi.

— Wstań i przejdź się.

— O nie, to i tak przejdzie.

— Ot mamu i kury pieją na dzień, zaśpiewajmy kogutom — i wszystkie razem śpiewały.

Bodaj sia kohut znudyw,
Szczo mene z rana zbudyw;
Małaja nyczka, mała,
Szczem sia ja ne wyspała.

Pryspodob Boże noczy
 Na moi czorny oczy;
 Tobym sia ja wyspała,
 Szczob maty ne poznała.

Czy w domu pry porozi,
 Czy w lisi pry dorozii;
 Zawsze mołodoho znaju,
 Bo czornyje browy maju.

Bodaj sia kohut znudyw,
 Szczu mene z rana zbudyw;
 Małaja nyczka mała,
 Szczem sia ja ne wyspała.

Potem każda wetknęła wrzeciono w przędzywo, kądziel zaniosła na swoje miejsce, a w chacie nastalo cicho i ogień zagaś.

XII.

Zatrepetaw oreł strachu
I dywitsia z hory laso
Postij, postij myły ptachu
Budesz isty skwerne miaso.

PIEŚŃ JAZDY WOŁYŃSKIEJ.

Wiesć gminna niesie że duchy strzelców Owruczanów, których serca litością nigdy nie zagadały dla zwierza, którzy nie wzdragali się dać strzału do kotnej zajęczycy, ani do matki sarny pielęgnującej małe dziatki; co miary nigdy nie mieli w zabijaniu zwierzyny; za karę, skoro tylko zmierzch nasunie, czepiają się skrzydeł nocnicy lelaka, i z nim wciąż oblatują Owruckie bory. Widzą jak wilcy kagańcami z latarni świecą; jak zając po drodze kica, słupka staje, zaskakuje, a dla igraszki na polance położy się po sobie i jak przed chartami koci. Widzą jak po dąbrowie buchtuje czarna trzoda, jak po wzgórzu kozioł kołkuje, i łoś nad bagnem kłusa sadi i rogami szeleszcze. Słyszą trąbienie basiurów, to pojedyncze, to korowodne, i skomlenia lisa, i pogwizd odyńca, i mlaskanie maciory i kwiki warchlaków. Wszystko to widzą, wszystko to słyszą, tylko chwilkę jak na oskome, i dalej lecieć muszą; bo kiedy za życia nie znali miary w niczem, to po śmierci nie masz dla nich pola.

Każdy zaś myśliwy statek, i po śmierci ma łowy na ostrowach puszczy; dla niego borówka po borze dzwoni, i nieboszczyki ogary grają, i kazioł rogacz hyca, i palba strzelby huka; dla niego co noc, żywsza ochota, czy widne, czy ślepe pole.

Starzy myśliwi a jeszcze nie nieboszczyki, powiadają: że takich nocnych łowów najwięcej nad Czerwonką, rzeczką w dawnej w Horodeckiej puszczy, i że ta rzeczka nawet od dziczej posoki Czerwonką się zowie; a puszcza tam taka podszyta że za wierzchami drzew, za splotem gałęzi, ani księżyc, ani słońce zobaczyć nic na ziemi nie może; i ze szlaku co bieży

z Owruca przez Horodec, Kostyniec do Oleska, rzutem choćby lisiego, choćby sokolego oka, o krok jeden przejrzyć nie podobna.

Nad taką to puszczą, po szystych niebiosach zwolna płynął księżyc: srebrne jego czołno, i jak na morzu tuż za okrętem znaczny ślad jego, tak i na niebie zdaje się, że srebrem popruszył się szlak księżycowego przepływu; po nad borem gwiazdki błyszczą, a tak odstają od nieba, jakby chciały spaść na bór, a tam ciemno, i wilczego kagańca nie widać, ale słychać chrupotanie gałęzi, szelest liści; może to łowce nieboszczyki ciągną nad Czerwonkę.

Idą, idą, ale borówka nie podyma; ale żaden ogar na doławianie nie buchnął basem, ani gończaki latawce nie zacukrowały wyprawą, ani przełajowy pokurcz ucinanym głosem nie pogonił. Jak gęsim sznurem przewinęli przez szlak, z jednego boku boru na drugi; widne były w rękach rusznice, a przez plecy torby, a jednak po szlaku, przechadzał się samotnik odyniec, od starości pióra mu wyleniały, a nie miał siły posmolić boki o sosnę; podnosił gwizd do góry, prosił o kulkę, a żaden do niego nie puknął. I cap siedmiolatek powoli po szlaku drzał, wysłuchiwał, serwetą błyskał, i nie było słychać strzału; ryś tarzał się w piasku, i jaźwiec dla igraszki po szlaku pełzał; dwie kuny po werstwowym słupie lażyły, a żaden myśliwy nabojem do nich nie zagadał, a szli tak blisko że o mało się o nich nie otarli.

Nagle i szelest liści, i chrupotanie gałęzi ustało, i było cicho, tak iż żołądź spadły, zeschły liść głośnym pocałunkiem cmoknął. Czy strzelce w ziemię się zapadli, czy zaczaili się nad szlakiem? Księżyc oświeca po szlaku, i nie widno żeby się misio kudłacz tamtędy telepał, nie słychać żeby łopata łamał gałęzie, albo porykiem głosił po puszczy że idzie; ale natomiast słychać dalekie skrzypanie wozów, i pohukiwanie poganiaczy: sob, sob. Widać jak szlakiem, od Horodca ciągnie szereg wozów, jak łańcuch maż Ukrainskich walących z nad Perekopu z solą. Woły napinają się, pracują a leniwo stąpają; poganiacze idą koło wozów a batogami machają, ale idą tam i inni ludzie zbrojni.

Ciągną szlakiem i spłoszyli zwierza ze szlaku w bór; już nadciągnęli do miejsca gdzie się myśliwce zapadli, kiedy dał się słyszeć gwizd, taki jak odyńca kiedy gotuje się do obcinania kundłów szablami, a za tym gwizdem zagrała palba strzelby; jakby rannego zwierza na pałec przepuszczali i prawie dwie części zbrojnych ludzi padło na ziemię i bronie brzękły, a reszta pod wozy się chowała. Woły skrzyły w bok, a z boru wypadli łowcy z siekierami; był wrzask i jęk i szcęk, ale to

krótką chwilę tylko. Jakby czarem jakim, i wozy i woły, i trupy i żyjący ludzie wszystko zniknęło ze szlaku; wszystko to, czy w ziemię się zapadło, czy w bór się polało. Po chwili, kilku wyszło z grabiami i grabiło piasek po szlaku, i liść po brzegach boru; potem jeden popatrzył na niebo i wszyscy ze szlaku zniknęli.

Księżyc sphywał na dół, a bure chmury wysuwały się do góry, wiatr powiał od zachodu, i trzepał kiściastymi gałęziami sosen, a szum leciał daleko, rozgłośnie na lasy; poczał deszcz mroczyć, i gwiazdy jedne po drugich gasły. W tartaku kury na dzień piały, a nad Czerwonką nie słyhać nic było, tylko kapanie deszczu, tylko poświst wiatru.

Do lichej karczemki w Tartaku zajechał jakiś poleszuc konno; bułana koniaka bokami robiła, a opar nad nią się wilał, jak się wila rankiem nad gnilem bagnem. Dobre gony musiał jej sprawić poleszuc, bo i sam był zmęczony, markotny. Wszedł do izby, nie spojrział kto tam jest, tylko chustkę odwijał od zamka rusznicy i patrzył czy proch na panewce nie zamokł. Inny człowiek już siedział za stołem, pomalutku pił siwuchę, a ręką pogłaskiwał jak len żółtawą brodę, a skoro spostrzegł wchodzącego poleszuka przemówił, do niego:

— Jak się macie Marku, cóż tak rano was przyniosło.

— Sława Bogu, dobrze Matwieju, włóczę się zwyczajnie po swojemu, ale cóż tu u was słyhać?

— Słyhać, nic nowego, wszystko po staremu, nad Czerwonką była dziś wielka palba.

— Jak to?

— Tak jak zawsze. Nieboszczyki, Boże daj wieczny odpoczynek ich duszom, zabawiali się sobie; ale ta razą musieli kudłacza zastać w łomie, bo nie słyhać było grania psów, tylko palbę; jakby sześciernia w młynie zaterkotała i wszystko ustało. —

Marko Baran kiwnął głową.

— A wyż Matwieju gdzie byliście w ten czas?

— A jużciż nie gdzie indziej tylko w borze; jak kuna wsunąłem się w dupło starego dęba, i tam cicho siedziałem; ta już to z nieboszczykami nam się nie wdawać.

— Zapewnie że nie, ale czy czasem który was nie spostrzegł?

— Któż to wie? Nieboszczyk jeden, a djabeł drugi, to tak człowieka podpatrzy, że człowiek ani się spodzieje; ale ja ani razu na nich nie chciałem patrzeć.

— To nic nie znaczy, dla tego mogli ci oczarować rusznicę.

— Ja też na wszelki wypadek zaradziłem temu.

— A jak? —

Matwiy mu pokazał łożę, rusznicę z zamkiem bez lufy. — Zakopałem tam pod progiem; żydzi przechodząc zabiorą czar na siebie, a niech djabli biorą te parszywe plugastwo, mniejsza o nich.

— Dobry to sposób, nie ma co mówić, ale jest inny lepszy.

— A jaki?

— Złap gadzinę, włóż do lufy i wystrzel, a żaden czar nigdy nie przystanie.

— Ja to wiem, ale może i bez tego sie obejdzie.

— Wy Matwieju nie dzisiejszy człowiek, to pewnie wszystkie sposoby znacie.

— Pewnie że niedzisiejszy, zapytaj Kaweckiego.

— On też o was często gada.

— To nie dziwota, nie jeden korzec soli z sobą zjedliśmy; ja byłem kotłowym u starego Kasztelana w Łowkowie, a on chłopcem kredensowym; chodziliśmy razem z sobą z rozjazdem; potem razem służyliśmy u Pana Podczaszego z Chrystonówki, ja dojeżdżaczem a on strzelcem. Oj, [znamy się z sobą jak rude psy, albo jak łyse konie] — I starzec brodę pomuskał.

— Ale co to was Matwieju z Chrystonówki wyprowadziło; tamtejszy Pan nie ma zwyczaju ze starymi sługami jak z psami się obchodzić: co to póki dobry do pola, to karmią, a jak zejdzie z pola, to go na jatki odwożą.

— Ja tego nie mówię, niech mu Pan Bóg da zdrowie i szczęście; ale długo by to było o tem gadać, a nie warto słuchać.

— Mnie Kaweki nie raz mówił jak Chrystonowiecki Pan was lubił.

— Co prawda to nie grzech; lubił, i u niego pewnie łaska pańska nie pojechała by na pstrym koniu, żeby nie ten bestja koń bułany.

— Coż wam zrobił bułany koń?

— Co? — Ot słuchaj Marku. Już temu dwadzieścia i jeden lat mój Pan był kawalerem, i strasznie się kochał w Pannie Teleżyńskiej.

— W której? tej co była za Bohdanowieckim Panem?

— W tej samej. Nie wiem dla czego całe rodzeństwo Pana nie chciało tego małżeństwa; jak się uwzięli, tak okazali swego że Pan zaczął dojeżdżać w zaloty do innych panien, i jak to mówią na dobre się bałamucić. Wszystko to dochodziło uszów Panny Teleżyńskiej. Ona mojego Pana bardzo kochała, ale jej zrobiło się żal że tak z niej żartuje, a dalibóg była ładna panienka co się nazywa, i na kawalerach jej nie brakło.

Mówią ludzie, że rozdrażnić osy, to bieda wielka, ale stokroć większa bieda rozdrażnić kobietę; choćby najlepsza, choćby była jak sam anioł. Panna widząc co mój Pan wyrabia, powiedziała: kiedy on mnie nie chce, to ja jego prosić nie będę,

i przyrzekła Bohdanowieckiemu Panu. Mój Pan się śmiał, ale dobrze to mówią, że po śmiechu najczęściej się zdarza płacz. Jak dziś pamiętam Pan przyjechał po północy z Krzemieńca z zapust, zastał jakieś listy i bardzo się tem zmartwił. Siadł, napisał i mnie zawołał: — Słuchaj Matwieju, siadaj na jakiego zechcesz konia i ruszaj do Owruca co tchu, tak żebyś tam był koniecznie przed dziesiątą, i oddaj ten list Pannie Teleżyńskiej do rąk własnych. Oni mieszkają w Trzeciakovym dworku; tylko rozumiesz, ruszaj. Mój Matwiju spraw się dobrze, a będziesz szczęśliwy ty i twoi. — Wziąłem Pańskiego wierzchowca bułanego, był to najtęższy koń w całej okolicy. Z początku tak śmigał, że nóg w strzemionach nie mogłem utrzymać, musiałem coraz chwytąć się za grzywę; ale w pół drogi związał się i upadł. Ogromnie hrymnąłem; podnoszę się i podnoszę konia, a w nim już ani pary nie ma. Zastał się bestja i nie wytrzymał biegu. Co tu robić? rozpacz, choć się powiesić. Wracać? daleko; nigdzie blisko ani karczemki ani budy. Ruszam piechotą przez las, jak najkrótszą ścieżką, na moje лихо może, dostałem koniakę w Korogowieckiej budzie, telepię się na niej, aż tu koło samej Igorowej mogiły zdybuję dwóch jeźdźców z Owruca. Pędzą — przypatruję się, poznaję to mój Pan i Kaweki. Przeleciał koło mnie i nie poznał, ale ja krzyknąłem: — Panie! — Zatrzymał konia, zwrócił się. — Ha to ty psie! — i z pistoleta huknął do mnie. Ja z konia na ziemię, a on poleciał w swoją drogę, nawet Kaweki się nie zatrzymał bo Pan krzyknął: — Zostaw go do diabła. — Wstałem, strzepnąłem się, kulka mnie się nie czepiła. Do Owruca już nie jechałem, bo myślę sobie, kiedy Pan już tam był, to mnie nie ma po co; ale zdało mi się że tak się rozgniewał za bułanego, bo to był dzielny koń, i on go najwięcej lubił. Wracam do Chrystonówki. Wywołałem do karczmy Kawekię, a on mi mówi: Matwieju nie pokazuj się ani na oczy Panu bo cię zabije. Pytam się, co to wszystko znaczy? a on mi odpowiada: że we cztery godziny po moim odjeździe, Pan się zniecierpliwiał, siadł na koń i pojechał do Owruca, ale było już po wszystkim, Panna poszła za mąż za Bohdanowieckiego Pana, a gdybym ja był przyjechał w czas, może by tego wszystkiego nie było. Żal mi było Pana, ale dalebóg że nie moja w tem wina. Powiedziałem sobie: nie tyle światła co w oknie, zaszedłem tu i już dwudziesty rok jak jestem pobereźnikiem.

— To małżeństwo nie poszło na rękę ani Pannie, ani Bohdanowieckiemu Panu.

— Nie dziwo. [Kto na złość sercu zrobi, to niech się nie spodziewa szczęścia.] Biedna Pani kilku lat nie przeżyła, umarła.

— Jednakże mówią ludzie, że Bohdanowiecki Pan bardzo kochał swoją pierwszą żonę.

— Kochał to prawda, ale — Kawecki mi mówił. —

Tu zaklapały po błocie kopyta końskie, obadwa spojrzeli w okno, było to kilkunastu dońców.

Wszedł uradnik a za nim czternastu dorodnych chłopów z szablami przy boku, z pistoletami na smyczy, a z janczarkami w ręku.

— Hej żyd wódki! —

I żyd duchem postawił garniec i dał byczki.

— Żydówka dawaj jeść! —

Wyszła żydowica klapiąc pantoflami.

— Nu ja nic nie mam, co ja dam?

— To gotuj kiedy nie masz.

— Co ja będę gotowała, kiedy tu nic nie mam; to nie siolo tylko tak sobie tartak, my sami jeść czego nie mamy.

— Ha, to ty nic nie masz, to dobrze; nastaw wodę będziesz gotowała trzaskę. —

Żydówka rozdmuchała ogień, postawiła dwa wielkie garnki z wodą, i mówiła po cichu do męża:

— Nu ja ciekawa, jak oni te trzaski będą gotować i jeść. —

Marko z Matwiejem spozierali po sobie, pili i nic nie mówili. Uradnik skinął na dońców i tych dwie części wyszło z izby do koni, sam wziął dwie trzaski, obmył i wrzucił w wodę już ocieploną, zdjął z pleców nahaj i położył go na stole.

— Ot u mnie gosudar, gospodarz, kucharz, dobrodziej i wszystko. — Spojrzał na dwóch chłopów. — A wy z kąd?

— Z niedaleka Panie Starszy.

— To dobrze, zobaczycie jak my umiemy trzaski gotować, i będziecie jeść z nami.

— Wasza wola — skrzywili usta.

— Nie krzywcie się, zobaczycie że dobre. Żydówka łyżki. —

Podala żydówka łyżkę, pokosztował.

— Soli! — Dano mu soli, rzucił po wielkiej szczypcie i w jeden i w drugi garnek.

— Pieprzu. — Żydówka się ociągała, podniósł nahaj i dano mu pieprzu.

— Cybuli, pietruszki, zaraz proszę. — I nahajem groził. Wszystkiego mu żydówka dostarczyła.

— Proszę kur.

— Nu czego wy chcecie Panie Starszy, u mnie nie ma kur.

— Proszę. — Wziął nahaj do ręki.

— Nu z kąd ja wezmę, kiedy ja nie mam. —

Sprażył ją nahajem. — Zaraz kur proszę.

— Aj waj gwałtu, Icku, on zabija. Zabił, aj waj!

Uradnik i Icka nahajem i Sarę po raz drugi. — Kur zaraz, kiedy ja proszę. — Nahaja nie puszczał z ręki.

— Aj waj, nasze kury wszystkie w lesie, pouciekały.

— Archory, żydówka prosi, duchem połapać kury. —

Jeden z pozostałych dońców wyszedł, ale i jednego Zdro-waś Marja nie wymówił, jak wrócił z swojemi towarzyszami niosącymi dziesięć kur pobitych.

— Aj waj, moje kury, a ja nieszczęśliwa, aj waj Icku! —

Icko milczał, Uradnik poglądał ją pod brodę.

— Tyś sama prosiła, teraz skub i patrosz. I ty żydzie rób, to nie żołnierska rzecz z niemi się parać. Wywijał nahajem pod sam nos żydowi, a na ten treściwy znak i żyd i żydówka wzięli się do skubania i do patroszenia. — Bohdanko i ty Zachar wyjedźcie szlakiem z pięć werstw, a duchem wracać, bo juszka z trzaski czeka. — Dońce ruszyli. —

Już nad kurami wpakowanemi w garnki zaczęła kipiaczka obiegać, kiedy Uradnik zawołał.

— Krup proszę. — Nie czekając odpowiedzi nahajem ściągnął żyda przez plecy. Krupy w duch się zjawily i juszke zasypiano. —

Wrócili dwaj dońce powiadając:

— Nic nie widno, żywej duszy na trakcie nie masz.

— To dziwno, a mieli być tu jeszcze w nocy. Ludzie, czy nie ma tu innej drogi z Horodca oprócz pocztowego szlaku?

— Jest Panie Starszy, ale taka że jednokonnym wózkiem ciężko przejechać; konno można.

— A wy pobereźnicy?

— Ja pobereźnik tutejszy.

— A nie widział ty gdzie, albo czy nie słyszał, o wozach z amunicją z komendą żołnierzy?

— Nic nie widział, ani słyszał.

— To dziwo!

— Może w Horodcu na noc się zatrzymały, a teraz droga zła.

— No jedzmy trochę, a potem pójdziemy do Horodca. —

Rude brwi Marka Barana trochę się przymarszczyły, jakby coś myślał i wnioskował; ale milczał, o nic nie pytał.

Jedli kury i doskonałą juskę z chlebem, który także za pomocą nahaja znalazł się u żyda. Uradnik sam obiedwie trzaski wynalazł, położył na talerzach i ofiarował żydówce i żydowi.

— Skosztujcie to nie tref ale koszer: spróbujcie, to dobre. —

Kiedy już się porządnie najedli i zabierali się do odjazdu, Żydówka zawsze śmielsza od żyda przebaknęła:

— Panie starszy, a zapłata?

— Za co? ty powinna mnie dać ognia i wody, a trzaska to z tego drzewa co miała iść na ogień.

— A moje kury, a moje krupy, aj wej!

— Ja tobie nie kazał tego dawać; ja prosił, ty dała — ja dziękuję.

— Aj gwałt! rozbój! —

Żyd odważył się swoje słowo takż wmięszać.

— A wódka?

— Po połowie z wodą.

— A zapłata?

— Ot tobie zapłata. — Krzyżową sztuką żyda i żydówkę wysmagał. Siedli dońce na koń i poszli w pochód. —

Żydzi krzyczeli jakby ze skóry ich darto.

— Aj waj! aj waj! gwałtu! rozbój! Kto to widział; porozbijali, pozabijali. Aj waj! aj waj! —

Matwiy wydobył swoją lufkę, założył w łożę, a kiedy wychodził z karczmy z Markiem po zapłaceniu żydowi, każdy sobie mówił z cicha:

— Nie ma co powiedzieć że moskiewska sztuczka.

— Ugotowali trzaskę Ickowi, popamięta on.

— Dobrze, dobrze, niech Moskal daje się wszystkim we znaki, żeby go wszyscy lubili.

Kwaszanica na niebie; tak się zamazało, że nigdzie ani dojrzeć nie można czystego obłoku; deszczyk gęsty a drobniutki kropi a kropi; poobmakały kiściaste gałęzie sosen, a liść z czarnego drzewa do reszty spadał, tylko na dębach jeszcze kędzierzawieją gałęzie, ale już barwy płowej zieloności. Ptaństwo i zwierze gdzieś w łomy się pochowało, tylko wrona kracze i kruk kracze, a gdzieś po nad ługami sroki skrzekoczą. —

Nie daleko tartaka, dwaj Poleszuki rozstawali się z sobą.

— Szkoda Marku że taki brzydki czas, nie możemy zapolować z sobą.

Już to że nie można, to nie można; bo widzicie Matwiju tak: [Strzelec mokry, a rybak suchy, to djabła wart.]

— Prawda, to na drugi raz. Bądź zdrów.

— Bądźcie zdrowi. —

Matwiy poszedł w lewo, a Marko jechał szlakiem, jechał i rozważał sobie:

— Pana w Dawidkach nie ma. Możary wyszli na niedźwiedzia, i stary Książ z nimi. Podkofotego od dwóch dni nie ma. Poszli w Horodeckie puszcze. Matwiy nic o tem nie wie. Coś to jest? a ta palba? to przysięgam Bogu nie samowita; oj to nie nieboszczyki! Ale za wymówieniem tego słowa, coś go we środku ruszyło, bo przeżegnał się krzyżem świętym, a wciąż okiem zerkał, to na drogę, to na boki. Kaptur od świty nasunął na czapkę, a choć dobrze obwiązał

chustką zamek, i zamek i lufkę w dół obrócił, i połą od świty narzucił. —

Nagle stanął, popatrzył na drogę, zszedł z konia i w bór popatrzył, znowu siadł na koń, skręcił w lewo, wązką ścieżką darł się przez gęstwie, jechał borem, koń kopytem z choiny rosę otrzępywał, wpadł na dąbrowę, a wszystko brał się na przelaj; nie na ziemię patrzył, ale po lesie jakiejś przykromy okiem szukał. Znalazł, bo ze ścieżki zwrócił, i zakołował po nad ługiem, tam stał dąb kilka razy przepruty piorunem, od pnia zesmolony pożarem; nie jeden wiek przeliczył, i jeszcze trzeba nie jednego wieku żeby się zwałił, bez pomocy ludzkiej, albo bez gniewu Bożego. Marko popatrzył, choć deszcz zalał połamane ziele, poznał ślady, kiwnął głową.

— Oho, ja to znam. — I pojechał dalej za ług. —

Tu, jak ogar kiedy zawietrzył dalekiego zwierza, zepnie się na nogi, nozdrze rozsadi i wietrzy, tak i on wznosił się na siodle, chwytając wiatr, konia przywiązał do łożyny, sam wlaź w ług i darł się do haławy. Dym i pożar słyhać, choć dymu już za deszczem nie widać; kilka kup pogorzelniny nogą przerzucił, popiół z siana, dalej spalone drzewo i jakieś szmaty.

— Jaki ojciec, taki syn. —

Ruszył dalej aż ku rzeczce Czerwonce; tam puszcza coraz większa, nakoty za nakotami, za wypłocami wypłocze; a tak tam ciemno, że kiedy na niebiosach biały dzień, w puszczy wilcze oczy jak w najciemniejszą noc by świeciły; mruczą ruczaje i las mruży, a deszcz i jednym i drugiemu na wtór szemrze.

Nad Czerwonką zgniła para się wila, a korytem leniwo woda płynie do Ubortia, z nim pędzi do Prypeci: co trzy piątki rzek połączony, taszczy się do kozaczego Dniepru. Tędy nieraz nurkowała Litwa, żeby lasami wyhulknąć gdzieś tam, na ruską ziemię, aż pod Sławaczną. Tu za syna gnuśnego Zygmunta, z Chmielnickiego kozactwem koczował szwagier Złototarenko, nim zapuścił zagony po bratniej Litwie; tu chroń winowajcze lby przed zwyciężkami pułkami Księcia Jeremiasza. Z latami uleciały i te czasy, a teraz puszcza pustką.

Marko przyjechał nad rzeczkę do znanego brodu; popatrzył na wodę.

— Oj tu nieboszczyki! — Krzyżem świętym się żegnał i Anioł Pański zmówił za dusze zmarłych. Przejechał na drugą stronę rzeczki i wzdłuż ługami się puścił, na powrót na przeciw biegowi rzeki. Widział tartak, ale już z drugiej strony, zdało mu się że zajrzał na szlaku do Kortynia Dońców, tych co widział

w tartakowej karczynie: sami wracali, ale nie było za nimi ani wozów, ani pieszych. —

Znowu minął szlak i puszcza jechał. Coraz to śladu jakiegoś po ścieżkach szukał, a deszcz ciągle mroczył, jakby niósł pomoc jaką mrocznym myślom Poleszuka. W prawo przez dąbrowę widział jezioro Jeziorany; jak szyba chropawego szkła, tak się woda marszczyła od deszczowych kropel; a od tego pluskania dziwna muzyka głosiła się po lesie, i choć deszcz, jaskółki latały nad jeziorem, a tak nisko jak gdyby skrzydłami chciały umuskać wodę, a tak ich mnóstwo, że aż czernieje. Widno rusalki latawice chciały się już zanurzać na zimę w topieli jeziora. Marko nie jechał do Podkołotego Słobody, ale rznął się wprost do Kozaczego Ostrowu.

Tam cicho, głucho, jak zawsze w dzień. Baran basiurową pieśnią zatrąbił i nic mu nie odpowiedziano; on nie szedł na Ostrów tylko stał opodal, koło stogu siana konia uwiązał, rozkiełznał i wysmykał mu trochę siana. Znowu potrąbił i jeszcze cicho, nareszcie z przeciwnej strony Ostrowa, posłyszał kłapanie silniejsze jak kłapanie deszczu; między drzewami popatrzył i ujrzał Podkołotego. Stary kozak także zakapturzony, szedł pomalutku, a rusznicę niósł gotową jak do strzału.

Co dzień Podkołoty zmieniał pogwizd hasła, i o tej zmianie on sam tylko wiedział. Każdy zaś druh, jeżeli nie z nim przychodził do Kozaczego Ostrowa, powinien był oznajmić się basiurowym trąbieniem. Wtenczas sam Podkołoty, a jeźliby go tam nie było, jeden ze starszych wychodził z Ostrowu przeciwną stroną, i szedł na spotkanie przybyłego gościa, z przyjaznem słowem, albo z kulką, w miarę jaka zapłata należała się družbie, albo zdradzie.

Podkołoty spojrział.

— A to wy Marku, jak się macie?

— Ja się dobrze mam, ale wy podobno lepiej.

— A to czemu?

— Boście pobiesiadowali trochę na szlaku pod tartakiem. —

Podkołoty oczy wytrzeszczył.

— Kto to gadał?

— Nie strachajcie się Panie kumie, nikt mi nie gadał, ale ja widział na moje własne oczy. —

Kozak milczał ale sumował. Marko oka z niego nie spuszczał.

— Koło szlaku była pohulanka, w Bisowym ługu gotowaliście jeść, w Czerwonce pozbyliście się ciężaru, a dalibóg niepotrzebnego, niech płynie do Kijowa. A ztamtąd aż tu przyszlście, a zawsze tropem, za stadem łośi; muszą być żyrne bo racice głęboko pakują w ziemię.

— To ty tam był?

— Na Boga wam się klnę, że nie byłem przy was, ale po was.

— To są tam znaki?

— Nie dla każdego oka. Nie bójcie się, deszcz do reszty wszystko zakwasi.

— Ba, żeby tak było.

— Śpijcie spokojnie. Jak nikt nie wie teraz, to jutro już i sam djabeł sprawy nie dojdzie; choć zębów jeszcze nie zjadłem na przyznakach, ale dobrze się na nich znam.

— Ba, co było, to było; a co będzie, to będzie.

— Opowiedźcież mnie jak to się stało.

— Ot tak po prostu: Dowiedział się ja że mają iść do Oleska, pomyślał sobie czego mają chodzić po naszej ziemi, poszedł na naradę do Kniazia. Kniaź nie wiele myśląc, posłał po Panicza, ja zabrał swoich, on swoich, i stała się robota.

— Szkoda że mnie tam nie było.

— Szkoda, ale cóż robić? jakoś tą razą i bez ciebie się obeszło, na drugi raz się zachowaj.

— Nie ma co mówić, gracko-ście się znaleźli.

— A co, nie prawda? po naszymu, a co panicz to chwata.

— Komuż do głowy przychodziły wszystkie te sprawy.

— A już-ci Paniczowi; jak tylko my weszli w las, to on zrobił się taki wielki jakby Hetman z brodą; nie było narady, on kazał, a my robili.

— I dobrzeście porobili, nie ma co mówić.

— Żebyś ty widział, to aż lubo patrzeć, jak u niego wszystko gładko bez marudy idzie.

— A gdzie on?

— Bóg że jego święty wie; swoje zrobił taj poszedł.

— A Kniaziewie?

— Takoż poszli; w takich razach nie ma co długo jednego miejsca zagrzewać. Była tu chwata Bogu łszyca i dwa warchlaki, zabrali z sobą na znak że polowali, /żeby tam która z bab się nie śmiała, mówiąc: Waszą zwierzynę upiekę na palcu.

— A twoiż Pankowie?

— Jedzą, piją i hulają; praworne bestje, mówią że lepiej tu, jak pod moskiewskim karabinem stać, i moskiewskimi pałkami w plecy brać. Chodźmy do nich. —

Podkołoty skumłał jak lis i skumlenie w ługu mu odpowiadało, szli ścieżką na której było widać tylko trochę więcej tarasu jak zazwyczaj i ślady racie.

Na wzgórzu koło ognisk rozpalonych, dziarscy młodce jedzą, piją, baraszkują i pieśnią brzmią:

Oj, dla Polski naszej maty,
 Neżal Boże pohulaty,
 Lach molody stane z nami,
 Stane z nami molodcami.

Pijdem w luchy, pijdem w bory,
 I na szlaki i na dwory;
 Wże sia Moskal traset w strachu,
 Oj wedy nas, Pane Lachu!

Zaspywajem jak bisowi,
 Na pochorom Moskalowi;
 Neżal Boże pohulaty,
 Taj dla Polski, naszej maty

XIII.

U nas inaczej, u nas inaczej.

BOHDAN ZALESKI.

Po dżdżystej nocy słońeczko wejrzało z niebiosów, choć to słońeczko jesieni, ale jeszcze ładne; i ziemia się mili do niego, i ludzie mu radzi. W Możarach i niewiasty i dziewice wyszły na podwórze witać słońce, i wyglądać swoich myśliwych.

Prakseda jakże się strojno przybrała, i spodnica z jaskrawej kałamajki, i fartuszek bielutki srebrzystą folgą obrzucany; gorsecik zielony tak się obcisłał że aż miło, i koszula od śniegu bielsza, rękawy mereżone, pod szyją sznury koralu i paciorek, a na każdym obrazek świętego albo świętej, a wszystkie z Kijowa. Włosy umuskane, splecione w jedną kosę na tył, a kruczy warkocz przewity czerwoną żyżką aż na spodnicę spadał, i pończochy białe i trzewiki z kozłowej skórki, a na palcach pełno pierścieni.

— Takeś się przybrała, jakbyś jechała na odpust, albo na prażnik jaki. — Odezwała się Tekla patrząc na nią zazdrośnem okiem.

— Dziś pradziadka urodziny.

— Prawda, ale też sami tylko będziemy, zapewne nikt nie przyjedzie.

— Ja też do nikogo się nie ubieram, tylko do pradziaka.

— Oj Praksedo strzeż się, bo to co być nie może, to czasem być może. —

Prakseda ruszyła ramionami, ale nic nie rzekła i odeszła.

— To lubię — rzecze Magdalena — mądra swoim doświadczeniem, nauczasz naszą Kniaziównę.

— Dajże ty mnie pokój.

— Idź do izby, a będziesz miała i pokój, choć nie taki jak u Pana Feliksa w Korczówce.

— Ty mnie chcesz zamęczyć tem twojem prześladowaniem.

— O nie zamęczy ono ciebie, kiedy nie zamęczyło; umiałś sobie poradzić, tak samo i Prakseda sobie poradzi. Zobaczysz. —

W tem małeńki chłopaczek takż Możarowski, wpadł na dziedziniec.

— Goście jadą, ja poznałem, to z Rzeczycy! —

Wjechało trzy wozy pełne ludzi; byli to Surynowie, jeden ów niezmienny przyjaciel Isorka, a drugi były Sędzia Owruckiego powiatu, człowiek bardzo uczony w prawnictwie, tak iż równego mu nie było na całej Rusi. Miał jednak swoje ale; trzy rzeczy bardzo pokochał, tytuły urzędników szlacheckich, muzykę i wódeczkę; żeby zabijać nudy wiejskie, bo jakoś mu prawnictwo wybiło z głowy i polowanie i gospodarstwo, zebrał sobie dwunastu chłopów na towarzyszków, i tych nazywał, Pan Marszałek, Pan Chorąży, Pan Podkomorzy i tak dalej, aż do Komornika ziemskiego i Pana Woźnego. Na stole stawiał butel z wódką, popijał z urzędnikami swojej roboty, grał na skrzypcach, a oni mu na wtór przyspiewywali. Jak tego sobie podochocił, po rusku gadał, z chłopami się bratał i tańcował prysiudy. Z temi to śpiewakami jeździł do sąsiadów na imieniny i urodziny, i na wszelką uroczystość, czy to ślubowiny, czy stypa.

Prawie zaraz po Surynach przybyli myśliwi; były i powitania i powinszowania.

Stary Szymon szczerem sercem zapraszał gości.

— Czmem bogat, tem rad. Małgorzato (dla Panów gości) anleba, soli, a co najbardziej dobrej woli. Włodzimirzu, nie zamykać wrota, niech otworem stoją. Moje dzieci i bawcie gości, bo wiecie że jak gość do domu zajedzie, to i Pan Bóg z nim do domu przybywa; tak robili nasi ojcowie, tak i my robmy.]

Temi słowy potomek Kniazów Możajskich opowiedział swoją wolę. I gości raczono, a nowych gości coraz więcej się zjeżdżało. Prawie wszyscy starsi szlacheckich gromad zbiegli się do Możarów, i wielu z możniejszych obywateli, obchodzić urodziny Pana Szymona, i każdy przywiózł jakiś dar na wiązanie urodzeńcowi.

Dominik został na cały dzień w Możarach; ze szlachtą jak z równą bracią biesiadował, a aniby poznać można było, że on między niemi Pan, chociaż wszyscy Możarowscy okazywali mu nadzwyczajną cześć.

Najsamprzód na jakimś starożytnym kobiercu złożono dary wiązania; tam obok borsuczej torby, lskniła się dźwirowka strzelba, obok myśliwskiego rogu był pas lity jeszcze słuckiej roboty; i puhar bez nogi, co z nóg tych zwała którzy z niego piją, i marcepan upieczony przez samą żonkę Jegomości dawcy; były tam czapki rogate z gdańskiej sajety, i

krymki z wyporków; [wszystko było, tylko nie było: ani noża, ani szabli, ani ostrogi, bo takie rzeczy rozcinają i najdawniejszą przyjaźń] a z Panem Szymonem nikt by jej rozcinać nie chciał. Na śniadanie zastawiono stoły nie superfinowem jadłem, ale staropolskiem, hojnie zaprawnem korzeniami; a półmiski były pełne. Przed jedzeniem na zaprawę smaku łyknięto dubeltowej wódeczki, a po jedzeniu wzięto się do beznogiego kiełicha, łało się węń dobre wino ze Stółpców i duszkiem się piło: za zdrowie Urodzeńca, na pomysłność jemu, i na długie życie.

Jak się trochę rozdobruchał Pan Sędzia Suryn, porwał za skrzypce, kołki podślinał, podkręcał i po stronach próbował, drum, drum. Potem smyczek kalafonją pociągał, aż włosień piszczał, i po strunach przemykał i znowu kołkami podstrajał; a oczy to przymruża, to owiera na wtór podstrajaniu; i nogą to posuwa, to postukuje, jakby chciał zmusić skrzypce do czystego grania; nareszcie jak koń wierzchowiec na zadzie trochę przysadził się na lewej nodze, prawą wysunął naprzód, zgiął w kolanie i stuknął.

— Hej podolanke! Pani Małgorzato ze mną! Panowie urzędnicy na korowod. —

Stara Małgorzata uśmiechnęła się i nogami zatupotała, a śpiewacy Pana Sędziego ławą stanęli. Sędzia smyczkiem od ucha pociągnął, po stronach zarypał i na wtór prześpiewywał.

Pustyż mene, pustyż mene
Podolanko na piecz:

Małgorzata usznurowała usta i przypomniała sobie dawne lata.

Oj ne puszczu, oj ne puszczu,
Ne kosačka to rycz.

Suryn jeszcze lepiej przysiadł, i mocniej stuknął, aż o ucho smyczkiem zaczepił.

Pustyż mene, pustyż mene
Na czasynoczku;
Szczob pohryty
Hołowoczku.

Przegrał trele pokornej prośby, cieniutko kończył jakby skrzypce konały, kiedy korowodem zagrzmieili śpiewacy.

Hej czem bosa chodysz;
Czem czobit ne zarobysz?

Znowu skrzypce żałobne symfonie wycinały, a Małgorzata prześpiewywała.

Jak ja maju zarobyty.
Koly muzyk bude byty.

Śpiewacy zastukali obcasami, i korowodem odpowiedzieli.

Hej czem bosa chodysz.
Czem czobit niezarobysz.

Smyczek jak djabeł uwijał się po stronach; to w przeciągi symfonji, to w rwane trele, aż pot sędziemu ciekł z czoła, tak rzempolił; nareszcie raz, drugi i trzeci pociągnął jakby strony chciał poprzerzynać, i uciał.

— Hej wina! za zdrowie Podolanki. —

I pili zdrowie Małgorzaty: każdy szlachcic przyklękał, a który miał szablę to dłonią w nią stuknął, a który miał wąż to musnął po nim palcami.

— Teraz pohulaj sobie młodzieży, ja wam zagram dęba; to nasz rodzimy Owrucki taniec. —

Postawiono na środku izby Praksedę jako najmłodszą, a wszystkie młode niewiasty i dziewice, i żonaci i kawalerowie, pobrali się za ręce. Suryn rzempolił podwójnym skokiem jak kozaczka; koło tancezników wirem się kręciło, a wystukiwali to hołubca, to trapaka. Ucichły skrzypce i koło stanęło. Prakseda kraśna jak jutrzeńka zaśpiewała.

Ej pijdu ja w lis po openki,
Aż tam stoit dub mołodeńki.

Skrzypce zarzempoliły, całe koło trapaka ucięło i zawiodło korowodem.

Stoit, stoit, dub mołodeńki.
A na nym lyst zeleneńki.

I znowu kręcili kołem w postukach, w hołubcach; Prakseda ręką chwyciła Pana Dominika, koło stanęło. Dominik przyklękał na jednym kolanie, w rękę pocałował dziewczę, okręcił się z nią, postawił między kołujących, i sam został w kole; kręgiem się obracali a on śpiewał.

Aż tam stoit dub zeleneńki
Pid nym chłopiec mołodeńki.

Tanecznicy hukali, i tanecznicie śpiewały.

Stoit, stoit dub mołodeńki
A na nym lyst zeleneńki.

On przyklękał przed Magdaleną, pocałował w rękę, okręcił się, sam poszedł w krąg, ją zostawił w kole i tak dalej szedł taniec póki wszystkich kolej nie obeszła.

Raźno było i ochoczo. Stary Szymon, jak to po rusku mówią prynuką, a co wychodzi po polsku na: proszonym muszem

zaprawiał gościnność; jednak jak naczelnik ostrożny, polecił swojej gromadzie częstować gości, a samym się nie uczęstować. Strach było Panu Szymonowi tej treściwej gadki: że co u trzeźwego w głowie, to u pjanego w mowie. Choć to wszyscy goście byli Owruczanie, i dobrzy, nie koniecznien jednak była im potrzebna, szczególnie zaraz, wiadomość o owem polowaniu, co się tak udało; a na dobre to wyszło bo pod wieczór nieproszony ni niedziękowany zjawił się Isprawnik Mewes, a z nim nieodstępny jego Achates Nestorcio. Jechali wprost z Korczówki wioski dziedzicznej Feliksa Trzeciaka, zasekwestrowanej przez rząd, a której administrację objął Nestor. Zacierał ręce i jak to mówią był w dobrym stosie, kiedy szlachta odciągała go na stronę i pytała.

— A co tam słyhać?

Odpowiadał chrząkając.

— Hum, wszystko dobrze. Francuzy już muszą być w Moskwie, a Dąbrowski pod Bobrujskiem.

— To ruszajmy się.

— Cóż to? czy żonka wypęda z domu.

— To i przyjdą, doczekamy się ich, a co ma być to i będzie.

— Jabym jednak rad tam pojechał, rzekł młody Włodzimierz.

— Ej obejdzcie się cygańskie wesele bez marcypanów; jak tu co się zrobi, to wtenczas hulaj, a jak tam pojedziesz to i co z tego komu przyjdzie. —

Stary Włodzimierz, który dobrze znał Nestorcia pokręcił węża.

— Zapewnie nie zostawi nic do administracji.

— O, to dobrze mówisz, i ja tak myślał. Gdyby Pan Dominik, albo Pan Franciszek Załęski wyjechał, to nie mówię:

— Najgorzej by zrobili, z nas każdemu wolno by machnąć, chociaż lepiej tu być; ale im to wara.

— Waszeć wszystko ciągniesz do pożytku patriji, a ja o pożytku ludzkim myślę.

— A nadewszystko o swoim.

— O tak ante omnia trzeba dbać o siebie, bo ktoś drugi tego za nas nie zrobi. Widzisz, w szkołach uczą: chleba powszedniego chciej, a o pirogu nie zapominaj; co ma znać, że chleb powszedni, to Ojczyzna, a piróg to swoje dobro.

Mewes jak niemowa jaki, słuchał, a rozpatrywał, ledwie kilka słów odpowiadał na zapytania. Wiedział on o tem że wyprawione wozy do Oleska z amunicją, pod strażą dwudziestu kilku żołnierzy pieszych, nie pokazały się w Kostynicach, chociaż je widziano w Horodcu, ale to przypisywał prostemu wypadkowi, iż chłopci chcąc prędzej zbyć się ciężaru, ominęli Kostyniec; i nie było nic dziwnego. Owrucka puszcza ma tyle

dróg i drożynek że sam djabeł tylko, a poleszuk drugi, potrafią niemi brodzić, i wybrnąć tam dokąd im potrzeba, i z tej strony, szczywany moskiewski najemnik podejrzenia nie miał na szlachtę; lecz wiedział że w potomkach Kniaziów Możajskich płynie gorąca krew dla Polski. Jemu gwoździem siedziało w głowie to bratanie się młodego Podczaszyca z drobną szlachtą, a że przysiągł nienawiść całemu rodowi Prószyńskiego, urodziny Szymona były mu na rękę. Myślał sobie, ludzie mówią: pijąc na dnie kielicha zobaczyć można prawdę; może z tej prawdy i do mojego ucha co doleci.

Pan Nestor powiernik Mewesa, choć ze starym Szymonem nie bardzo byli brat za brat, przyjechał niby w pomoc Mewesowi; struchlał trochę zastyszawszy pohulańkę, i już myślał jak tu przyjaciela Isprawnika zbić z pantafyku, otumanić; ale skoro się przekonał, że biesiadnicy jeszcze dobrze na nogach stoją, i języki unieją trzymać za zębami, nabrał otuchy, Isprawnika puścił samopas, i sam baraszkował, bo rzecz publiczna była w bezpieczeństwie.

Pan Dominik żeby ani na włos nie uchybić szlachcie, bardzo grzecznie się zahawiał z kobietami i młodzieżą. Młody Włodzimierz, o którym dziadek mawiał: Ten młokos od błaznka drzał do szabli i do konia, a ani go piernikiem było zmamić do gęsi i do bydła; pustaka z niego nie będzie, ale byłby wojak, i będzie dla Polski, nie dla Moskala, ani Niemca; zaprowadził Dominika do komory, i tam z za bedni wyciągnął karabełę starego Szymona. Była ona w pokrowcu zszytym z sukiennych krajek. Stary więcej o nią dbał jak o oko w głowie, nie przypasywał jej do boku tylko na chrzciny, na ślubowiny, i na pogrzeb każdego potomka Możajskich; tem żelazem dotykał narodzińca i zaślubionych błogosławił, i martwcowi krzyż święty na drogę pisał; i gadał: do boku go przypaszę, jak będziemy się bili jawnie za Matkę Polskę.

Miecz ten spoczywał w jaszczurowej pochwie, a obręcze, kółka na pochwie i rekojeść były ze stali zczernionej wiekami, ale niezardzewiałej. Sama płacha była długa, szeroka, obojeczna, tak jak prapraojcowskie miecze za żelaznego wieku Bolesławów. Cała była zapisana rżnięciami dziwnymi, a widno że z różnych czasów. Obok smoka zięjącego ogniem, mogiła; a na niej zamek, dalej krzyż Pański, po nim ścięta głowa Tantara; święty Michał z wzniesionym mieczem deptający nogami szatana, i napis cerkiewnem pismem: Kto z Bohom, to i Boh z nym. Po drugiej stronie dwie bisurmańskie głowy w zawojach przeszyte jednym mieczem, a pod nimi dwa półksiężycy przyciśnięte krzyżem. Napis: pro patria, lege et rege; dalej gwiazda, a pod nią wielbłąd objuczony. Dalej napisy: nie ten kiej co nie pobije, ale ten kiej co się da pobić. Cześć tobie Boże; w końcu próżne miejsce zostawione na jakiś nowy napis.

Dominik z ciekawością, ze czcią nawet mu się przypatrywał, a Włodzimierz zawołał na Praksedę:

— Praksedo opowiedz Panu Dominikowi kto ten miecz nosił, bo już to dalibóg, żeby dziadek pozwolił, potrafiłbym nim machać ale gadać o nim ani weź. —

Podczaszyc prosił, rumieniec okraślił dziewicze lice, oczyma na miecz patrzyła, a słodkiu głosem ptaka wiosny, co to prosto w strony serca trąca, zaszczebotała.

— Książ Mścisław na Możajsku, ten miecz nosił; on z Igo-rem Igozewiczem przybył do Owruca, i pierwszy rozprowadzał nad Sławeczną czaty ruskie od Litwy. Syn Mścisława książ Stanisław tym mieczem był zbrojny, kiedy nad Sławeczną pogromił Litwę, na Litewskich trupach usypał mogiłę, i na niej wznosił Sławeczauński zamek. Książ Chrzyciel tak chrzccił pogańską Litwę. Wnuk księcia Chrzyciela Włodzimierz, zwany Scinacz, z tym mieczem u boku składał hołd poddaństwa Władysławowi Jagielle królowi Polskiemu, i z wielkim Księciem Witołdem chodził na Moskwę i na Tatarą. Długo później za króla Zygmunta starego, książ Michał strażnik Czernobylskiej dzielnicy, pogromił Moskwę naprowadzoną na Owrucką ziemię przez zdrajcę Glińskiego; a to pismo w Kijowie napisano Szymonowi Możajskiemu kiedy wychodził na Moskiewską wyprawę z królem Stefanem. Syn jego Włodzimierz zwany Czarnoduńcem, bo zawsze był smutnej myśli a dzikiej postawy, po powrocie z Chocimskiej wojny, przydał w ozdobie te bisurmańskie głowy, jak bliźniaki na miecz przenizane, i te dwa półksiężycy przyłoczone krzyżem Pańskim. Pod królem Janem Kazimierzem, Michał Możajski przezwany Cymbalistą, tem żelazem po Moskiewskich karkach grał jak po cymbałach, i z ich piersi wydierał cymbałowe dźwięki. Syn jego Stanisław tym mieczem pod Wiedniem zdobył wiele bogactw i na wielbłądzie aż do Owruca je przyprowadził; gorzko on żałował że nasz Jan Sobieski chodził krwią polską odkupywać Niemca Szwabą z bisurmańskiej niewoli. Włodzimierz ojciec mego pradziadka, ranny śmiertelnie przez zbirów Biskupa Massalskiego, oddając miecz synowi, swoją własną ręką wyróżnął przedostatnie słowa, a ostatnie nasz pradziadek kiedy nam przecie pozwolono być szlachtą. Pradziadek mówi, że to próżne miejsce będzie zapisanem, jak będzie Polska. —

Skończyła dziewica; była ładna zapałem, a jeszcze bardziej ładniała pod okiem patrzącego na nią młodzieńca. Młody Włodzimierz słowa nie rzekł, przypatrywał się wizerunkom swoich przodków, tej historii całego swojego rodu zamkniętej w jednym kawale żelaza, i gładził ręką niezapisane miejsce miecza, a z oczów wyraźnie można było czytać słowa duszy i serca: Ja tu napiszę.

Jak długa, jak szeroka Staro-Kijowska ziemia, tak na niej

każda gromada jedno-imiennej szlachty, ma taki pomnik; z jednej rusznicy, z jednego miecza; nie piśmienna, zna dzieje swojego rodu, zna dzieje Polski, i nie zapomni nigdy czem być powinna.

Przez ten czas, sędzia Suryn wygrywał na skrzypczkach, urzędnicy śpiewacy wyśpiewywali rozmaite piosnki; drugi Suryn na dziedzińcu krzyżową sztuką siekł powietrze i wykrzykiwał:

— Hola rada! pieszczona Filis, fantazję straciła. —

Szlachta bawiła się, co się zowie ucziwie.

I Isprawnika oczy czegoś się rozweseliły, wziął na stronę Nestora, zacierał ręce.

— Rad jestem.

— To i dobrze Panie Swacie.

— Widzę Panicz na się do tej czarnobrewej dziewczyny.

— Kiedy się ma, to ani tobie, ani mnie nic z tego nie przybędzie.

— Ale Panu Wojciechowi przybędzie — i zębami zgrzytnął.

— Cóż takiego?

— Synowa.

— Ba, ba, ba! Szeroko o tem Dawid pisał.

— Ale trzeba to zrobić.

— Na co?

— Żeby stary djabeł ze złości zdechł.

— Czegóż on ma zdychać? Iadna dziewczyna. Zresztą nie on się z nią żeni tylko syn.

— Syn Pana Podczaszego Kijowskiego z szlachcianeczką.

— Ależ ona z kniaziewskiego rodu.

— Byli oni i poddańczukami.

— Kiedy ci się podoba, to rób; ale ja wiem że z tego nie będzie.

— A to czemu?

— Bo Eźłowiekowi i do sta dziewcząt można ciąć koperczaki a przecież tylko z jedną się żeni.

— Niechże ona dla niego będzie tą jedną. —

Ruszył ramionami Nestor.

— Ty tego nie rozumiesz, ale ja wiem co to będzie, zobaczysz.

— O tak, tak jak okulbaczymy, to i zobaczymy.

— Zostań zdrow.

— Jak tu nie żartować kiedy się słyszy że człowiek, i to na całą gębę człowiek, plecie koszalki opalki, jak Piekarski na mękach.

— No, no, niech i tak będzie. —

Odszedł od Nestora, i zaczął rozmowę z kobietami, szcze-

gólną zaś grzeczność okazywał matce Praksedy. Hoszowiec sam do siebie przebąknął.

— Idź do sióła durzyć nie w mieście. Myśli że baby za język pociągnie. I takż wdał się do rozmowy, ale tak kluczył słowami, że Mewes o jednej rzeczy i trzy razy nie mógł powiedzieć, tak go marudził aż do samego wyjazdu. Mewes siadając na wózek jeszcze przez zęby cedził:

— Nie można po Ojcu, to po Synie. —

Hoszowiec za odjeżdżającym kiwnął ręką.

— Jedź z djablem! dobry i ty, ale dobry i ja. —

Potem wrócił do szlachty, a widząc jak kobiety grzecznościami osypywały Pana Dominika, że on aż rady sobie dać nie mógł, zmrużył jedno oko na czarnobrewą dziewczę, tak wesołą, jak gdyby w jej serce wionęło samo czyste szczęście, a ona szciodra, udzielała go ludziom uśmiechem i lica i oka. Zgarbił się jak Mefistofel, którego nic tak gorzko nie gniece jak widok cudzego szczęścia.

— Panie Dominiku, żebyś wiedział jak to teraz w Bohdanówce śpiewają i tańczą. —

Dominikowi żywy rumieniec wystąpił na lice, a Nestor mu szepnął.

— Twój kujawiak to majster, zabierze nam Owruczanę —

Dominik nic nie odpowiedział, ale po rumieńcu taka bladeść wstąpiła na twarz, jak gdyby rumieniec ztamtąd uciekając wszystką krew z sobą zabrał; chciał coś powiedzieć i słowa mu z ust nie mogły się wypłatać.

Nikt tego nie uważał oprócz dwóch osób. Czarnobrewa dziewczica pobladała, ledwie westchnienia mogła zatrzymać w piersiach, ledwie lżę utulić w oku. Odeszła. Nestor i brwi przymrużył i uśmiechnął się.

— Dziś ma się uczyć grać nowego mazurka, i tańczyć jakicheś tam skoków jak w Warszawie Panny się noszą.

— Dziś — krótko powiedział Dominik.

— Dziś, ja tam wczoraj byłem; chciałem pojechać i dziś, ale Panna Benigna powiedziała: jak się nauczę to wtenczas niech Pan zobaczy, a teraz trzeba żebym miała czas uczyć się. —

Jeszcze raz cicho mruknął Dominik — dziś — i gdzieś zniknął, tylko Dorota spojrzała gdzie poszedł.

Niebawem wrócił; zęgnął starego Szymona, i wszystkich. Nestor przy pożegnaniu szepnął mu:

— Zapewnie Pan Podczaszyc wstąpi do Bohdanówki, to nie bardzo daleko z drogi. —

A stary Szymon na to:

— (Kędy Rzym, kędy Krym, a kędy Nastyne karczmy) X

— Nie wiem. — To jedno słowo było odpowiedzią Dominika na wszystko. —

Przez ten czas Dorota wyszukała córkę i przyprowadziła; Praksesta miała zapłakane oczy, ale skoro Dominik ją żegnał, na chwilkę pół-rumieńcem oblekły się lica, pół-uśmiechem umiliły się usta; to były kwiaty smutku! Ludzkiemu oku niby ładnie błyszczą, ale na własne serce goryczą padają.

Z kopyta podskoczył kasztanowaty, poniósł jeźdca; czarna burka jak skrzydło krucze ulatywała nad jeźdzcem; koń szparko migał białemi nogami, podrzucał biel do żałoby burki, i wszystko to w oczy dziewczynie. Ona łzów wstrzymać nie mogła i znowu znikła.

Matka to widzi, ale jej się zdaje że po prostu zmęczyła się nieboga, że ją główka boli.

Stary Szymon wąsa podkręca:

— Chciało się tańczyć jeszcze, ale wszystkiemu musi być koniec. —

Tylko Tekla z Małgorzatą powtarzały sobie: biedna dziewczyna! biedna dziewczyna!

Już szarym zmrokiem wszyscy goście się porozjeżdżali, a swoi wzięli się do gospodarstwa. Praksesta wyszła do sadu, siadła nad strumieniem, dłońmi twarz otuliła, łokcie sparała na kolanach, i tak dumiała, a jej dumanie smutne, niemiłe, a lube jednak takie jak obudzenie się ze snu, po którym płątały się i miłość i szczęście. Smutek na jawie, a jednak w myśli pozostało trochę tej sennej lubości; tak się jej uluda wila między posępną prawdą, jak odbłask słonecznego promyka, na słotnych obłokach.

I strumień szemrał smutnie, i wiatr jesieni smutnie powiewał; liść szelestem wtórował wianiu wiatru, szmerowi strumienia. Na całym niebie jedna tylko gwiazdka wieczorna weszła, srebrna dziewica nieba patrzyła na swą siostrę ziemiankę, ale ta ani spojrzeć na nią nie chciała.

Po sadzie między drzewami przechadzała się Dorota, i córce dumania nie przerywała, tylko powtarzała sama sobie.

— Niech sobie pod niebem trochę odpocznie, to przejdzie. —

I stary Szymon przechadzał się po sadzie, wieczorne pacierze odmawiał, a ciągle poglądał na prawnuczkę, i dawał jej pokój, tak jakby tego nie widział.

Ocknęła się dziewica, spojrziała na niebo, na gwiazdkę, a gdy piosnka jest lekarstwem na cierpienia duszy, więc po chwili dumania, cicho jak szemranie strumyka zanuciła:

Gwiazdka nie świeć nikomu,
Tylko jemu do domu;
Tylko jemu jednemu,
Tylko jemu miłemu.

Wiej wietrzyku dla niego,
Dla mojego miłego;
Wiej lubo, wiej mu błogo,
A więcej dia nikogo.

Szemrz strumyku dla niego,
Dla mojego miłego;
Szemrz mu słodkie roskosze,
Szemrz mu, proszę cię. proszę.

Szeleść listku dla niego,
Dla mojego miłego;
Ja mu śpiewać nie mogę,
Ty mu szeleść przez drogę.

Skąp się gwiazdko w łzie mojej,
Mignij srebrem z łzy twojej;
Ulżyj sercu mojemu,
Bóg nagrodzi twojemu.

Wiej wietrzyku w me lice,
I na usta, w źrenice;
Wywiej z serca myśl smutku,
Wywiej z duszy myśl smutku.

Szemrz strumyku, szemrz dla mnie,
Pókim żywa; a za mnie,
Jak ja pomrę, szemrz sobie,
Posłucham cię i w grobie.

Listku szeleść powoli,
Szeleść mojej złej doli;
Jak ja będę już w grobie;
Szeleść jak chcesz ty sobie.

Byłaby może jeszcze śpiewała, żeby cały smutek wyśpiewać,
ale matka zbliżyła się do niej.

— Moja doniu, co ci takiego? —

Prakseda schwyła się, spojrzała.

— Nic mi mammo. — A jednak głowę przyłożyła do macie-
rzyńskiego łona, i tuli się do niego jak małutka dziecina.

— Nic mi mammo, nic.

— Ty płaczesz doniu!

— Nie mammo, to rosa mi padła na oczy.

— Chodź do izby, już chłodno.

— Mnie tu tak dobrze było.

— Czego ty tak wzdychasz moja jedynaczko?

— To nic mammo, wiatru się nachwytałam. —

Stary Szymon odsunął się w drugą stronę sadu, ale musiał
słyszeć i piosnkę i rozmowę, bo matka z córką znikły z sadu,
a on jeszcze chodził, potrząsał głową, nawet nierównym tchem

oddychał i przerywanie odmawiał pacierze. (Doczekał się na dworze aż księżyc weszedł, i on patrzył na niego, zwyczajnie starzec na starca.)

Z wejściem księżycy wiatr ucichł, daleko było słycać, i do ucha dolatywało brzękanie pęt pasących się koni, i śpiew dumki młodego Włodzimirza. Szymon pierw słuchał głosu prawnuki, a teraz słucha głosu wnuka.

U ludzi ręce konie,
U ludzi świetne bronie;
A dla mnie nieboraka
Nie przyszła doła taka.

Jabym koniem pogonił,
Szablę w szablę zadzwonił —
Za mną, huknął na sługi,
Tak, i lepiej jak drugi.

Lacka krew we mnie płynie,
Mych ojców imię słyne,
A nie mam ani koni,
Ni zbroi, ni pogoni.

W sile wieku, w lat kwiecie,
Ja nie mam nic, nic w świecie;
Prócz ramienia, i wołę,
I ten zmienię mą dolę.

Tak oboje wyśpiewali swoje chęci, starzec je wysłuchał, a nie mógł im dogodzić; ale tam wysoko w niebie jest Bóg, co może je wysłuchać i zesłać na nie łaskę swoją. Padł stary na kolana, księżyc srebrem pobielił już srebrną głowę starca, i biały wąs jeszcze bardziej uśnieżył. On ręce złożył, wznosił je do góry, i oczy podniósł ku niebu, a głosem drżącym zawołał:

— Boże daj Polskę! Boże daj Polskę! —

modlitwa Szymona

XIV.

A przyjechać do niej trudno,
A odjechać od niej nudno.

PIOSNKA GMINNA.

Rwie koń z kopyta, a tentnienie klóci się po borze szparko, hucznie. Jeździec ciśnie w boki konia i patrzy; taki hulaszczy, że aż sosnom się spodobał, wszystkie pocałumcił, bo zdaje się że one wszystkie a wszystkie za nim lecą. Zielone wianki ku niemu chylą jak do pocałunków, a on burką je odgania i pędzi jakby na przepadłe, jakby chciał duch wyprzeć na raz i z siebie i z konia. Białonogi przez bród szusta, woda chlupocze i srebrem bryzga; na suchym szlaku jak sypkim śniegiem po za siebie miecie, korzenie podkową druzgocze i wyrzywa drzazgi, z kamienia iskry krzesze, a kasztanowata suknia zbieiała na nim od mydlin potu; takim biegiem suwał się pod samą Bohdanówkę.

Tam Dominik wstrzymał konia i wahał się czy ma jechać dalej, czy zwrócić ku Dawidkom. Przed kilką godzinami, posądzał o zdradę, o wiarołomstwo dziewicę do której kilkanaście słów ledwie przemówił, i która mu niczem więcej nie była jak sąsiadką, mało znajomą; posądzał o jakowys występki człowieka, który ani mógł się domyślać o jego uczuciach, a któremu tak wolno było się kochać jak i jemu, leciał z dziką myślą zemsty, czy kary; a teraz rozpamiętuje — marzyłem, szalałem, i w tych dwóch słowach, sobie samemu odmalował wyskoki swojego serca. Na nim znać wychowanie matki bogobojnej, łagodnej; ona umiała całą zartkość jaką miał z ojca, wiaść w karby wiary i dobroci: dla tego w nagłym, nieprzewidzianym czynie był takim jak ojciec, co to nie różwikływał, ale przecinał wypadki aby tak się stało jak on chce; ale kiedy przez namyślenie się przychodził do czynu, to zawsze z wola Bożą i sumieniem się rachował.

Krzyżem świętym się przeżegnał i pocałował obraz Matki dziewicy, który zawsze nosił na piersiach, żeby wir szafu od

siebie odpędzić; nawet modlitwę odmówił na intencję żeby go tam dobrze przyjęto. Tak mu tam było jechać trudno, a jednak namyślił się, jechał. Już go obchodził i strój zbrzydany, i przyjazd pod wieczór nie we właściwą godzinę odwiedzin wiejskich; i co powie? — zkąd jedzie? — dokąd? Tysiąc podobnych fraszek, niezbędnych towarzyszek każdego co się poczyna kochać. Przez sióło koń się rwał, a on go wstrzymywał, chciał żeby lał żółwią stępą, i jeszcze w głowie nie ułożył od czego ma zacząć mowę po powitaniu, kiedy zajechał na dziedziniec. Psy zaszczeły, ludzie wybiegli na spotkanie. Nie było co począć, więc zapytał.

— Są Państwo Deputatostwo w domu?

— Państwo jeszcze nie powrócili z Rudni, ale jest Panna i — Nie domówił, widać że zakręcił sobie język. Dominik myślał: może wypada zawrócić, kiedy jeden ze służących wziął za cugle konia, drugi potrzymał za prawe strzemie.

— Państwo zaraz powrócą, a Panna jest w pokoju. —

Zsiadł z konia, i wnet usłużni ludzie od stóp do głowy go oczyścili, i otwierając drzwi wprosilili do pokoju, gdzie była Panna Benigna. Panna niby nie wiedziała o przyjeździe gościa, siedziała przy fortepianie, i przygrywała na mazurkową nutę. Skoro się drzwi otworzyły, wnet powstała, i po powitaniu widać, że więcej była przygotowaną do niego jak sam Pan Dominik, który nie wiedząc od czego zacząć, zapytał od tak jakby o co najobojetniejszego.

— A Pan Kazimierz?

— Pojechał z Panem Chorążym Załęskim na polowanie; bardzo żałuję że się Pan chwilkę ponudzisz, ale oni niezadługo powrócą.

— Ja miałbym się nudzić? — i dalej słów mu brakło.

— Moi rodzice na przeciw tym panom wyjechali.

— A Pani nie miałaś chęci?

— Ja, bo się boję polowania.

— Czyż tam nie masz ludzi coby natychmiast obawę od Pani odpędzili.

— Ale niebezpieczeństwo któż tak potrafi oddalić jak Pan?

— Pani sobie żartujesz. — I ośmielił się wzięść rękę dziewczicy i pocałować. —

Tą razą dziewica spuściła oczy w ziemię, nic nie rzekła, ale w tem oddaniu ręki do pocałunku było tyle dobrej woli, że wystarczyła za wiele słów.

Tu zahurkotały koła na dziedzińcu i oboje je usłyszeli; Państwo Deputatostwo byli bardzo radzi gościowi, Pani Deputatowa jawnie to okazywała; a Pan Deputat jakoś się wstrzymywał, i obzierał się na Pana Rejenta Uszczapowskiego. Zrozumiał to Rejent i potrząsł głową na znak, że i Statut Litewski i Konstytucje nie wzbraniają być szczerze grzecznym dla przy-

byłego gościa, toby on nie był. Pan Rejent znamienity prawnik wiedział, że [dawniej było wyraźne prawo przeciw niegościnnności; to prawo gdzieś zaginęło, bo polska szlachta go nie potrzebowała, a zatem i nie używała.] W Owruckiej ziemi przechowały się starodawne zwyczaje: choćby największy wróg jakiego rodu przyjeżdżał gościem, przed progiem składał urazy i nienawiści, a przestępując próg stawał się gościem, i tak go przyjmowano jak najlepszego druha.

Kazimierz go witał szczerze, serdecznie, bo u tych Kujawiaków to pocziwe serca, a Pan Chorąży z grzecznością bardzo uprzejmą. Dziwna rzecz, ani Dominik Pannie Benignie, ani Panna Benigna Dominikowi nic nie powiedzieli, a jednak u Dominika w sercu takie dobro się działo, jak gdyby powiedział i usłyszał słowo: kocham.

Podczaszyc przed wieczera chciał wyjechać do Matki, ale Pani Deputatowa zatrzymała go temi słowy:

— Jeżeli Pan nie zechcesz z nami zjeść naszego chleba, i naszej soli, to my Pańskie odwiedziny nie weźmiemy dla siebie. —

Chciał się wymawiać, Panna Benigna spojrziała raz tylko, a on pocałował Panią Deputatową w rękę.

— Jak Pani rozkażesz, to zostaję. —

W czasie wieczoru kilka razy Dominika napadała jakaś myśl zawisła, jakiś smutek, kiedy Panna Benigna grzecznein słówkiem albo grzeczniejszym jeszcze uśmiechem darzyła Chorążego lub Kazimierza; ale to wszystko znowu nikło za jednym słówkiem, za jednym uśmiechem czarownej dziewicy dla niego. Tak zszedł wieczór.

Po wieczery, Pan Dominik żegnając gospodarstwo, na prośbę Pani Deputatowej, na wejrzenie Panny Benigny, przyrzekł iż dnia jutrzejszego przyjedzie do Bohdanówki na powanie, a Deputat dodał.

— Klimowski znajdzie i dziki i łosie, bo u niego to wszystko siedzi jakby w kieszeni. —

A Pan Rejent pogładził się w łysinę.

— Teraz i Statut Litewski, i wszystkie konstytucje będą milczały, bo kiedy właściciel pozwala, to i lex pozwala. — Cicho do siebie pomruknął. — Jednak żeby to pozwolenie było na piśmie, byłoby prawniej, to [stara ale prawdziwa prawda: verba volent, scripta manent; czarne na białem zostanie, a słowo jak wiatr lekkie z wiatrem polecą.] Lecz że sam właściciel, albo kto z ręki właściciela tam będzie, to prawnie.

Obadwa młodzi goście prosili aby im kazał przyprowadzić dwa wierzchowe konie, chcieli konno jechać do kniei. Przy pożegnaniu Chorąży rzekł:

— Dominiku, tylko proszę ciebie nie spóźniaj się z przy-

jazdem, ja bądź co bądź koniecznie jutro na noc muszę być w Jurkowszczyźnie u Pana Marszałka Omiecińskiego. Przyrzekłem. —

W Jurkowszczyźnie była Panna Róża i posażna na wydaniu.

Kazimierz wziął na stronę Dominika.

— Wiesz że ja to dobrze zmiarkowałem iż na nic tu wam się przydać nie mogę, bezemnie wy się tu obejdziecie; a dla mojego i dla waszego bezpieczeństwa, wołałbym dostać się do mojego Jenerała. —

Po tych dwóch gadaniach swobodniej było myśli Dominika, drogą nie gonił białonogiego, i koniowi i swojej dumce wolno puścił cugle. Na sercu trochę mu nudno odjeżdżać od dziewczycy, ale lubo marzyć o niej. Jechał, jechał, i na koniec świata by zajechał, a nie wiedziałby dokąd jedzie, nie myślałby gdzie stanie. Kasztanowaty za niego o tem i wiedział i myślał.

Już po odjeździe Dominika, a Panna Benigna wybiegła przed ganek, chwilę popatrzyła na księżyc, chwilę popatrzyła na las, a w tę stronę gdzie pojechał; wróciła do komnaty, siadła przy fortepianie i w miejscu mazurka, zagrała Ukraińską dumkę, taką miłą jak pierwsza miłość, taką nieśmiałą a czaromocną jak pierwsze wymówienie: kocham. I Kazimierz i Chorąży obadwa jej słuchali, i nigdy dziewczę nie zdało im się tak urocze jak teraz. Czy poznali czy nie poznali co się działo w sercu dziewczycy, nie wiadomo, ale przecucie obudwom mówiło: ona ulatuje od nas. I obadwa chcieli się podobać; czas biegał lubo.

W drugim pokoju Pan Deputat i Pan Rejent siedli przy kominie, w którym gorzał trzaskający ogień, jak w bucie, a z samej olszyny, bo to drzewo daje ciepło, niebieskawe jego płomyki. Pozapalali fajki na długich cybuchach, puszczały dym, popijali ponczyk, i gawędzili, a niegłośno tak żeby w drugiej komnacie nie słyszano.

— Panie Deputacie, chwała Bogu, będziemy podobno niezadługo intercyzę spisywali.

— Z Panną Różą już musi być spisana.

— Ale nie tu na gruncie. Dominus et haeres Bohdanówki wydawać będzie swoją pierworodną córkę.

— Co Waćpanu po głowie się roi.

— Niechno Pan patrzy co to ich tam koło Panny się roi; nie jeden konkurent ale trzech i każdy ma swoje klejnoty. Pan Podczaszyc de nomine et de re kawaler; imię znamienite, i majątek porządny.

— Co z tego nic nie będzie.

— Dla czego? Jaśnie Wielmożny Pan dasz swoje pozwolenie

prawne, i błogosławieństwo rodzicielskie. Pan Dominik wyrobi toż samo od Pana Podczaszego.

— O! nigdy nie wyrobi.

— Czemu? żadnego prawnego sęka nie ma, coby temu przeszkadzał, a jak lex nie przychodzi z negatywą, to i wola ludzka za afirmatywą pójść musi.

— A Pan Ignacy?

— Ani kurator ani legator Panny Benigny; wszystko zabiorą rodzone siostry, jak bez testamentum zejdzie z tego świata, a bez małego datku na szpilki Panna Deputatówna obejdzie się.

— Wszystko to prawda, ale obraza naszego rodu.

— Kiedy tak, to jest ten zacny Pan Kazimierz oficer w narodowym wojsku, a nawet possessionat w Kujawach.

— Oficerstwo jeść nie da, a Kujawy daleko.

— To Pan Chorąży.

— [Ani siadło, ani padło] a Waćpanu uwzięło się moją Benisę wydać za męża.

— Intercyzę byśmy spisali cum omnia formalitate. —

Na ściennym zegarze godzina jedynasta wybiła i wszyscy po życzeniu sobie dobrej nocy, poszli spać. Kazimierz z Panem Chorążym długo jeszcze rozmawiali, a choć nakrecałi mowę to do wojny, to do rzeczy ojczystych, zawsze ona powracała do Panny Benigny, i z myślą o niej obadwa zasnęli.

Nazajutrz dzień ledwie brzask dzienny zajaśniał, Pan Rejent, rauny jak kogut, małych deputatowiczów za uszy z pod kółder powyciągał, chłopcom kazał ubierać się, a potem wszyscy pokłękali, i Pan Rejent w głos zaczął: Ojczy nasz, Zdrowaś Marja i Wierzę w Boga. Panicze słowo w słowo za nim powtarzali, nareszcie wszyscy zaśpiewali.

Kiedy ranne wstają zorze,
Tobie ziemia, tobie morze,
Tobie śpiewa żywiół wszelki,
Bądź pochwalon Boże wielki.

A człowiek który bez miary,
Obsypany twemi dary,
Coś go stworzył i ocalił,
I czemużby Cię nie chwalił.

Ledwie oczy przetrzeć zdołam,
Wnet do mego Pana wołam;
Do mego Pana na niebie,
I szukam go koło siebie.

Wielu snem śmierci upadło,
 Co się wczoraj spać układło;
 My się jeszcze obudzili
 Byśmy Cię Boże chwalili.

Wstali od śpiewu, i już stół był nakryty, a na nim nie gramatyka Księdza Kopczyńskiego, ani Alwar Jezuitów, ale grzane piwo ze śmietaną, ze świeżem serem i gęstą krajanką z chleba. Pan Rejent własną ręką poobdzielał na talerze równo wszystkim. Działwa jadła w milczeniu, tylko czasami jeden drugiego pod stołem nogą kopnął na figła; albo kiedy Pan Rejent się odwrócił, to w mig wszyscy galkami chlebowemi w łysinę go cupnęli, a jak spojrzal na nich, to jedli spokojnie jak niewiniątka, jak trusie. Obtarli się serwetami, wstali i poszli oddawać dobry dzień ojcu i matce, a Pan Rejent przeziarał Statuta, Konstytucje i wolumina legum, czy się czasem jakie abusum tam przez noc nie wkrađło, albo nowy artykuł nie przybył.

Pan Deputat dawno już wstał; obszedł gospodarstwo, i jeszcze przybrany w tułubku, z pestrowym wierzchem, podbitym białemi barankami, czytał w księżce do nabożeństwa, zwanej: Pistolet do zabicia grzechu śmiertelnego. Bardzo to był szacowny zbiór modlitw i nauk, wydany przez Ojców Karmelitów bosych w Berdyczowie.

Pani Deputatowa zadysponowała kucharzowi ranne śniadanie, sama wydała z apteczki potrzebne korzenie, a potem poszła do kobiecego pokoju, i tam przejrzała kamienne imbryczki w których robiła się kawa, garnuszczyki w których warzyła się śmietanka, a wybrawszy te które miały najtłuszczej i najpozorniej kożuszki, przeznaczyła dla gości; dała cukierniczkę zamkniętą na klucz, ale klucz położyła na tacy, kazała podać sucharki osypywane cynamonem i cukrem, i taki przysmak stary kredencierz gościom zaniósł, żeby go pożywali jeszcze w łóżku.

Panna Benigna z pomocą służącej, poubierała młodsze siostrzyczki; odmówiła z niemi pacierze, wydała stołową bieliznę, i dopiero poszła na śniadanie do rodziców. I ojciec i matka pocałowali ją w głowę, i zaczęto pić kawę. Nie zapomniano też o Panu Rejencie; Pani Deputatowa nalała mu w filiżankę kawy ze śmietanką z dobrym kożuskiem, przyłożyła na miseczkę dwa sucharki, i posłała przez kawiarkę.

Panna Benigna była w kamlotowym szafirowym szlafrocuku, skromnie ale składnie zrobionym, warkocz miała w dziewięcioro spleciony, i upięty wysokim grzebieniem z szylkretu; z przodu miała włosy za uszy uczesane i przypięte grzebykami. Pani Deputatowa poprawiła jeszcze własną ręką włosy, i tak już porządnie uczesane.

— Tak ci będzie lepiej do twarzy.

— Dziękuję mamie. — Zarumieniła się jak świt nieba przed wschodem słońca.

— Mężu, dziś taki piękny dzień, i my z Benią pojedziemy wózkiem, tam gdzie będziecie polowali.

— Dobrze moja kochanko i ja będę z wami.

— Jak to, ty będziesz bez strzelby?

— My z Rejentem nie przekraczamy piątego przykazania: nie zabijaj. Ot i Rejenta weźmiemy z sobą.

— A dzieci?

— Dzieci zostaną z Grzegorzem i Harpyną.

— Boję się żeby czasem co nie zbroiły.

— Nie bój się, ale ot moja kochanko trzeba by pomyśleć dla nich o nauczycielu, nim do szkół można będzie odwieźć. Pan Rejent przez przyjaźń dla nas niemi się opiekuje, a jak się ożeni, to i wszystko się skończy.

— Bo też to doprawdy Rejentowi nie wiedzieć zkąd i na co, do głowy przyszło to małżeństwo.

— Moja kochanko, a nam zkąd ono przyszło? —

Panna Benigna wstała z miejsca i odeszła; Deputat spojrzął za nią i skinął głową z uśmiechem. Wtem na dziedzińcu zrobił się ogromny hałas, a jeszcze ogromniejszy w pokoju, w którym Pan Rejent chciał zatrzymać dźwig; przyszły psy i konie z Dawidek. Kawecki wazy pokręcał, posforowane ogary szczekały na Bohdanowieckie kundysy i skakały ku nim, a te biedaki aż pod spichlerz się chowały naszczekując. Dmytro przywiódł dwa dziarskie konie posiadlane, jeden brudno-kasztanowaty ogier ze stada Pana Kajetana Proskury, za którego Pan Podczaszy przed rokiem zapłacił sto pięćdziesiąt dukatów obrączkowym złotem; drugi różowo-szpakowaty koń z czarną grzywą i takim że ogonem, ze stada Pana Steckiego z Międzyrzecza. Dmytro miał taką zuchwałą minę, jak gdyby przyjeżdżał wysiadywać zabór w zawojowanym kraju. Gdyby wszystkie artykuły i rozdziały Litewskiego Statutu był wyrecytował Pan Rejent, byłby nie wstrzymał Paniczów, tak się rozhlukali: wziął się do dyscypliny zawieszanej na ścianie do wybijania pyłu z sukien, ale i to nic nie pomogło, wyparli się przez okno i już byli między psami i końmi, a Rejent jeszcze wołał:

— Do roboty! co to Waćpanów powinno obchodzić. Przyjdzie i na to czas, a teraz do książki. — Był to głos wołającego na puszczy, był to groch rzucony o ścianę. —

Panna Benigna wyszła także na ganek, żeby to wszystko pokazać siostrzyczkom, i wnet białoszyi Zagraj ją poznał, całą siłą karku ciągnął podżarego Dudę, swojego towarzysza sfory,

pryskoczył do dziewicy, i ona go głaskała: tak ją zastali Pan Kazimierz i Pan Chorąży, tak ją zastał i Pan Dominik, który przybiegł na doświadczonym białonogim. Lud prosty w okolicy Dawidek mówił, że ten złoty kasztan, białonogi zwany Pałka, miał djabła w sobie: mógł hasać dzień i noc, i nigdy się nie zhasał; a tak się rozumiał ze swoim jeźdźcem, jakby miał uszy na głos ludzi, a rozum do zgadywania woli ludzkiej.

Po powitaniach, Pan Chorąży rzekł z uśmiechem.

— Wiesz co Dominiku, powinienesz mnie zrobić dar, na moje gospodarstwo myśliwskie.

— Jaki?

— Darować mi jednego psa.

— Dobrze, którego zechcesz oprócz Zagraja, tego za nic w świecie nie oddam.

— A mnie właśnie ten najlepiej się podobał.

— Żałuję bardzo, bo z tego nic nie będzie.

— Jednak Kawecki mówi że on niewyśmienity.

— Dla mnie on najlepszy.

— Ot widzisz, on ciebie za pana nie zna, iść do ciebie nie chce. —

Zagraj w oczy panu patrzył, ogonem pomachiwał, ale kroku od dziewicy nie ruszył, głowę przytulił do jej sukni, i jak maleńki piesek się lasił. Dziewica żywym rumieńcem spłonęła, błękitne oczy zalśniły się, jak niebo od promieni słońca, a nie patrzyła na młodzieńców, tylko wzrok zwróciła ku Zagrajowi.

Po śniadaniu, Grzegorz i Horpyna zabrali paniczów i małućkie panienki, i wyszli w las na orzechy łuszczaki. Dawidkowsy ludzie, z ludźmi Bohdanowieckimi zajadali i popijali po bratersku.

— A co Kawecki, czy nie będzie młodej Pani? — Rzecz Dmytro.

— Kawecki wesa pokręcił.

— Czy będzie, czy nie będzie, tego nie wiem; ale to wiem że nie ona.

— Nie zakazuj się tak bardzo.

— Zobaczysz jak stary przyjedzie.

— Ja ci powiadam, że jak młody zrobi, to tego i stary nie odrobi.

— A ja ci powiadam że z tego nic nie będzie.

— Zobaczymy.

— Mnie ich żal, ale ot prędzej uda się polowanie z babami, jak sprawa ze starym; jak sobie raz powiedział że tak, to tego nigdy nie zmieni. —

Państwo Deputatostwo z Benigną siedli na wózek, Rejent

siadł na deszczulce obok furmana, ten mu podesłał derkę żeby się lex nie wytrząsał z głowy, a młodzież dosiadła koni.

Szpaczek rwał się pod Panem Chorążym, a on wprawniejszy do siedzenia w koczach jak na siodle, i ręką i głosem go powstrzymywał, i myślał całkiem o koniu, a zapomniał o Bożym świecie.

Pan Kazimierz gracko zawodził brudno-kasztanowatym ogierem; ogier podsadzał się, wyskakiwał, ale razem z nim podsadzała się i wyskakiwała Kujawska chępliwość, co to nie widzi tylko siebie.

Dominik zdał się na wolę białonogiego, zapomniał czy siedzi na nim; a jego oczy były dla Panny Benigny, a jego myśl była dla Panny Benigny.

Jechali lasem. Dziewica była szczęśliwa, tem szczęściem co to nieczęsto zdarza się na tym świecie. Ona pojmowała, że to było dla niej, i ta lekliwość Pana Chorążego, i te chępliwe przechwałki Pana Kazimierza, i wzrok i dumki Dominika: wszystko dla niej, dla niej.

Już byli daleko w borze, kiedy ujrzeli jakiś wózek pędzący całym pędem koni, na przeciw nim. Dominik poskoczył naprzód, bo Pan Deputat przerwał urok jego bytu.

— Panie Dominiku, ktoś na przeciw nam pędzi. —

To był Hoszowiec. Wyskoczył z wózka.

— A wy tu wszyscy?

— Albo co?

— Mewes jedzie z całym pułkiem kozaków, o wszystkim, wie, jak na pewniaka poluje, do koła porozstawiał. Ratujmy się.

— Panie Nestorze tutaj dopilnuj, jego tu nie będzie. — Skoczył koniem nazad.

— Puszczaj psy. Kazimierzu, Franciszku, kopcie tą drożyną w lewo. Dmytro prowadź ich do Sobaczego ługu; a bokiem drożyny skacz, zgub ślad. Nuż dalej. —

Kawecki i Klimowski w duch psy ze sfór puścili, zadęli w trąby i poparli w las. Chorąży z Panem Kazimierzem drożyną suwali czwałowym skokiem. Dmytro po nad drożyną pomiędzy drzewami koniem jak ptak się wywyijał. Kobiety strwożone słowa nie mogły przemówić, Rejent w przestkach schwycił za derkę, jakby to był Statut Litewski, a Pan Deputat z wózka skoczył.

— Co to jest? —

I szukał okiem gęstego krzaku gdzieby mógł dernąć, zapewne żeby z tamąd lepiej i pożyteczniej bronić żonę i córkę.

Dominika twarz była spokojna.

— Niech się Państwo nie boją. Mewes jedzie z kozakami, trzeba nie przyznawać się do niczego, ja uprowadzę Kazimierza. —

Deputat wziął się za głowę.

— Zgineliśmy, na Sybir poszła, majątek zagrabia. —

Pani Deputatowa nie straciła głowy.

— Kochanku nie rozpaczaj, odważnem postawieniem się trzeba wszystko nadrobić; inaczej będzie źle. —

Słowa Pani Deputatowej Rejentowi otuchy poddały i rozwiązały język.

— Niech pokaże czy ma prawo robić najazd na grunt obywatelski, albo tykać jego osoby; *neminem captivabimus, nisi jure victum.* —

— W tej właśnie chwili nadszedł Pan Nestor.

— Daj pokój z twoją łaciną, i bez tego my mu oczy zamydlimy. —

Deputat rzucił mu się w objęcia.

— Nestorze, jak ty nas nie uratujesz, to nikt nas nie uratuje.

— Spuść się na mnie, i na Pana Dominika, jakoś to będzie. —

Kiedy Pan Nestor dawał potrzebne nauki wszystkim, Dominik, który zsiadł z konia na chwilkę, przystąpił do Panny Benigny stojącej nad drogą, i ośmielił się wziąć ją za rękę.

— Niech się Pani nie lęka.

— O ja się nie lękam. — I zdało się młodzieńcowi że go dziewczycy ręka lekko ścisnęła, i on to wziął za nieme domówienie: kiedy z Panem. Podniósł do swoich ust tę drobną rączkę, pocałował.

— O niech Pani się nie lęka. —

Tu nie daleko w borze psy zagrały razem, widno wpadły na zwierza na oko, od razu bór zaszedł się granie; i w tymże samym czasie nadjechał Isprawnik Mewes z Dońcami.

Dominik wskoczył na białonogiego, powrócił twarzą ku Mewesowi, jakby umyślnie na to żeby mu się Isprawnik przypatrzył; zdjął strzelbę z pleców, pokłonił się dziewczycy, konia zwrócił, i pędem wichru poleciał dróżyną za granie psów.

Dziewica za nim goniła okiem, i Dońce chcieli za nim poskoczyć, ale uradnik skinął ręką na znak stój; zeskokczył z konia, przypatrywał się na dróżynie, przeszedł dalej ze sto kroków, znowu rozpatrywał: wrócił, stanął przed sołtyskiem:

— Trzech tylko.

— Weź dwudziestu i ruszaj. —

I dwudziestu Dońców z uradnikiem poskoczyło dróżyną; uradnik po przedzie skakał, do grzywy końskiej się przyczepał, i okiem zerkał, jak pies tropowy.

Mewes po swojemu z uśmiechem witał Państwo Deputatostwo, a na Nestora z pod oka mrugał.

— Bardzo przepraszam że nieproszony przyjeżdżam na polowanie, i żałuję mocno że może przeszkadzam.

— Nic nie szkodzi. — Deputat jakoś nieraźnie obracał językiem, jak gdyby klejem zaszła mu gęba. Pani Deputatowa podchwyciła.

— Nic Pan nam nie przeszkadzasz; tu nikt nie myśli strzelać, a Pan Chorąży Załęski z Panem Podczaszycem pojechali w las.

— Rad będę bardzo widzieć tego Pana Chorążego.

— Niech Pan zaczeka, zapewnie oni tu powrócą.

— Ja też to myślę zrobić, za pozwoleniem Pani, ja bardzo lubię przysłuchiwać się polowaniu, a czasem nawet i zapolować.

— Bardzo prosimy Pana; wszak prawda Jasiu, Pan Isprawnik będzie łaskaw do nas na obiadek.

— Proszę Pana Kapitana.

— Z największą chęcią, ale Państwo pozwolą że odeszlę moje konie do Bohdanówki, a sam z Państwem się zabiorę.

— I owszem prosimy. Pan Rejent będzie łaskaw siądzie z Pana Isprawnika pisarzem, żeby tam dano koniom i ludziom wygodę.

— Rejent skłonił się: — Dobrze. — I bryczka Isprawnika, a za nią kilkudziesięciu Dońców z drugim Uradnikiem odjechało drogą do Bohdanówki. Sotnik zaś z kilkudziesięciu został na drodze; z koni nie zsiadali, a słuchali i rozpatrywali, jak stado kóz, kiedy wysłuchuje dalekiego głosu psa. —

Granie psów już tylko zdaleka dolatywało, kiedy dały się słyszeć strzały, Dońce naliczyli cztery, trzy trochę bliżej, a jeden dalej; ale potem jeszcze było słyhać czas jakiś granie psów, nim wszystko ucichło.

Już Mewes zaczynał się niecierpliwić, kiedy dońskie konie zaczęły strzydz uszyna. Sotnik schylił się, posłuchał.

— Idą moi. —

Mewes zatarł ręce. — Może Pan Chorąży powraca?

Dróżyną szło dziesięciu Dońców, a między niemi dwóch obcych jeźdźców. Deputat pobladł, i Pani Deputatowa straciła chęć do mowy. Benigna oparła się o drzewo. Mewes wodził po nich uśmiechającym się okiem. Nestor tylko jakby z radości poklaskiwał w dłoń. Przybliżyli się Dońce, z niemi był Pan Chorąży Załęski, i kozak Dmytro. Pan Chorąży witał się z Isprawnikiem, a ten odwitywał, ale zagryzał zęby. Niezabawem przybył i Uradnik z drugimi dziesięcią Dońcami, i przyprowadził Kaweckiego z zabita sarną, Klimowskiego i połowę psów. Uradnik przed Sotnikiem i Isprawnikiem mówił, że do samego końca dróżyny, nie było tylko ślady trzech koni,

wszyscy trzej zwrócili na sianożęć, a potem ślad znikł. Na głos trzech strzałów poskoczyli jeźdźce i znaleźli tych dwóch jeźdźców. Na pojedynczy strzał, on znalazł psy i dwóch strzelców. Pierwszy jeździec gdzieś przepadł. Mewes poruszył głową.

— Tamtego znam. —

Kawecki opowiadał, że stado kóz po jego strzale się rozbiło, musiały pójść w Chabeńskie, a Pan za niemi pogonił. A co Pan Chorąży z Dmytrem, to warci sforami dostać; kto widział w czasie gonki psów do głuszca strzelać. I trąbił pojedz nego na Pana i na resztę psów.

Już w drodze do Bohdanówki Nestor Isprawnika pocieszał.

— Co z woza spadło, to nie przepadło; w Bohdanówce jak po nitce wszystkiego dojdziemy. —

Panna Benigna dumiała o Dominiku, drżała o niego, bo ona już kochała.

XV.

Oj chłopcze zyjdy świt od chaty do chaty.
Nykto tebe ne bude jak ja kochaty.

STARA PIOSNKA LUDU.

Od Norynia przyleciała wieść, i gruchnęła po Starym Owruczu, wszędzie się wślizga, wszędzie się rozgaszczą, a w każdym miejscu na toż samo ciało, inakszą barwę zarzuca.

W pojezuickich murach Ksiądz Opat, poważny postawą, myślący na twarzy, przechadzał się w obszernej komnacie, a pod ścianą stali: Ksiądz Skibowski i Ksiądz Sierociński.

— Księżę Skibowski, cóż to tam takiego?

— Z rana ludzie Pana Horodniczego zarzucili niewód i wyciągnęli dwa trupy ludzkie.

— I nikt ich nie poznał?

— Nikt. Odzienia na sobie żadnego nie mieli, a takich twarzy ponapuchałych od wody, i wybladłych jak chusta, w Owruczu nie widziano.

— Czy nie widać było śladów zabójstwa?

— Nie; żadnej rany nie znaleziono.

— Księżę Sierociński bądź gotów do podróży, pojedziesz dziś do Żytomierza, ja zaraz z tobą pomówię. A ty Księżę Skibowski miej oko na to co będzie się działo u was na Zarucaju. —

U Ojców Dominikanów, Ksiądz Kwiryn tylko co powrócił od Pani Prezesowej Teleżyńskiej, której był spowiednikiem, wziął na stronę Księdza Lektora.

— Bazyli słyszałeś, sami Moskale uciekają do naszego wojska. X

— A to jakim sposobem?

— Pani Prezesowej, oficer moskiewski mówił, iż dwóch Dońców uciekło do Dombrowskiego. —

Ksiądz Lektor skinął głową.

— Cóż to, Waśc nie dowierzasz?

— Nie; ale już Moskale spoleczony, to tyle wart co Polak zmoskalony.

— Ależ to przecie nie Moskale, tylko Dońce.

— To wszystko jedno; tamto pies, a to sobaka.

— Spytaj Księdza Opata, co on o Dońcach mówi.

— Ksiądz Opat, on Bazyljan; chciałby wszystkich do Rusi przyciągnąć, ale czy to się uda?

— Prośmy Boga. —

W tem wszedł stary Porucznik Jakowicki.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— Amen. Sic Deus adjuvet, znaleziono dwóch nieboszczyków w Noryniu.

— Któż oni są?

— Nie tutejsi, mówią że dońskie twarze.

— To może ci dwaj co zbiegli?

— Moskale mówią że Pan Bóg ich pokarał, a Mewes inaczej.

— Niech on mówi co chce, a to istna kara Boża na Moskali.

Tu dwóch się utopiło, tam cała rota przepadła w lasach Horodeckich.

— Sic Deus adjuvet, wygina co do nogi; po co naszą ziemię najechali. —

W zajezdnym domie Chinci Pan Marszałek był, jak to mówią, w wielkiej tarapacie. Sekretarz stał przed nim z papierami, a on zdjął czerwoną czapkę i drapał się w tył głowy, jakby z tamąd wydrapać rozum na jaw.

— Basam terem tetem, co takiego?

— Jenerał Ertel poleca pod srogą odpowiedzialnością, żeby JW. Wielmożny Pan Marszałek, pojechał natychmiast w Horodeckie lasy i wyszukał przepadłą rotę żołnierzy i wozy z amunicją.

— Wyszukajże ich, basa mazana.

— Z Żytomirza Pan Gubernator poleca jak najsurowiej ażeby przygotować żywności dla dziesięciu tysięcy opołczenia na dwudziesty.

— Sto podwód konnych zebrać i wysłać do Kijowa dla przewiezienia amunicji z Kijowa do Bobrujska, i to powinny być na dwudziesty w Kijowie.

— Djabli by wzięli ten dwudziesty.

— Jeszcze na dwudziesty przygotować sto czterdzieści i trzy powody wołowe dla tegoż opołczenia, i za które mają zapłacić progony.

— Zapewnie woły pojedzą; już koniec?

— Pułkownik Gawiadynow żąda sto i jeden sązni drzewa.

— Basam terem, ja jadę w lasy.

— Kapitan Isprawnik podał doniesienie, iż znaleziono dwa trupy w Noryniu, on poznał że to są trupy Dońców, tych co odprowadzali Pana Deputata do Bohdanówki; pojechał tam na grunt, robić śledztwo, i zaprasza Pana Marszałka.

— A to skaranie Boże, niech ich tam djabli wezmą, a ja mówilem. —

Tu otworzyły się drzwi, i wszedł Horodniczy Falkenhagen.

— Co to Panu Marszałkowi?

— Patrz, patrz, co on trzyma, głowę trzeba stracić 'a nie zrobić nie można.

— Co się Pan tem frasuje. U nas w naszym rządzie trzeba na wszystko odpowiedzieć: słucham, a nic nie robić; to się jakoś samo stanie. Opołczenie samo sobie znajdzie i jeść i podwoły, broń Boże mówić: nie można; to być nie powinno.

— Ale ten Mewes?

— Dońce nie zmartwychwstaną, a (Mewes jak tylko nie z Panem Wojciechem sprawą), to nie zwykł wiele ceregielów robić; kuku w reku, i wsio błahopólnie. —

Na zamkowej górze stary Isor, tak rozpowiadał Panu Kudelskiemu że aż pejsami trząsał.

— Nu tego nigdy nie bywało, ani za Pana Kościuszki, ani za Pana Dombrowskiego; ten Pan Jan z Bogdanówki, ktoby to powiedział. —

To prawda; ruszył ramionami.

— Nu prawda, on trzech zliczyć nie umie, a zadusił dwóch Dońców, i z tym Jenerałem Polskim co to go Mewes szukał, pobili całą rotę Moskali, i tak że nie wiedzieć gdzie się to wszystko podziało.

— To sęk!

— Co to sęk; to wielki Jenerał taki, że i bez wojska wszystkich Moskali pobije, a jego nikt i widzieć nie będzie; to może nasz albo wasz Messjasz, mów Waćpan Panie Kudelski.

— Może, może.

— Może, może, co [Waćpan taki zamyślony, jakby Ilusyt jaki? co Waćpanu jest?

— Poczekaj, papieru i pióra. — Na palcach coś rachował. — Isor ruszył głową, podając mu papier.

— Nu i on takiego zajęczka złapał, jak ten. — I pokazał okiem na Suryna siedzącego przy butelce. —

Kudelski skandował. — Słuchajcie.

— Męstwo Kujawiaka, nie zaś żadna zdrada.

— Suryń porwał się z miejsca.

— Hola rada, hola rada.

— Dajże mi Waćpan pokój, przerwałś całe natchnienie. Znowu ucichło, Kudelski skandował.

- Nie żadna to zdrada, lecz Kujawska siła. —
 Suryn dobył szablę.
 — Pieszczona Filis, fantazję straciła. —
 Czach, czach szablą po oknie, i dwie szyby brzękły.
 — Nu tu takie ważne rzeczy że aż głowa się trzaska, a [im po głowie się roi, jak po śliwkach] nu już ja tego nie wiem kiedy ich bieda nauczy; kiedy oni przyjdą do rozumu. —

Trochę później, a może i o tej samej dobie, Mewes przyjechawszy do Bohdanówki z państwem Deputatowstew, z niekoniecznie wesołą twarzą słuchał pisarza swojego i Sotnika, mówiących że wszędzie wszystko do góry nogami przewrócili, a nigdzie nie znaleźli: ani człowieka obcego ani poszlaku o nim. Pisarz dodał, że pięścią ludzi do gadania zniewalał, a niczego się nie dowiedział.

Nestor na stronie mrugnął na Rejenta.

- A posmarowałeś?
 — A jużci, ale to nieprawnie.
 — Nakryj głowę i idź spać. — Przystąpił do Isprawnika. Zdaje się że już go tak trzymaliśmy jak w klatce. —
 Mewes nic nie odpowiedział.

Państwo Deputatostwo w grzecznościach się przesadzali, zapraszali go na obiad, czekano tylko na Pana Dominika: on się wymawiał; a kiedy się Chorąży śmiał, że tyle narobiono harmideru, do szukania czego nikt nie zgubił, Mewes zagryzł wargi.

— Ja muszę robić moją powinność. —

Zostawił swego pisarza z kilkunastu dońcami w Bohdanówce, coś na ucho szepnął Nestorowi, ten zżymnął się.

Wstąpił po drodze do piekieł, nie długo tam bawił, bo mu gorąco było.

- Już ci nie w Dawidkach?
 — Jak chcesz, ja wracam do Karczówki, pojedziemy razem. —

Isprawnik go ścisnął za rękę. I deputat przy pożegnaniu dziękował Nestorowi. A on mu mówił, tak jednak żeby nikt nie słyszał.

- Nie ma za co, nie ma za co; to rzecz publiczna. —
 — Przez ten cały czas Panna Benigna to poglądała w okno ku bramie, to wychodziła na ganek i patrzyła w stronę lasu z kąd przyjechali. —

Kiedy to się działo w Bohdanówce, Dominik z Kazimierzem jechali lasem, a jechali szparko, to w kłus, to w skoki, czasem tylko stępą darli się przez zarośle i nakoty żeby ślad za sobą

pogubić. Dominik i stu kroków nie wiódł drożyną, zaraz w boki zaskakiwał, omijał brody, a ługami przebierał się przez ruczaje; i tak przybiegli aż pod samą Korczówkę. Kazimierza zostawił, a sam skoczył do Baranowej chaty, huknął:

— Hop, hop, Marko! —

Wybiegł chłopak małecki, praworny, zwinny.

— Nie ma Panie.

— A gdzie?

— Ma być w Możarach, u Pana Szymona.

— Bądź zdrow, a jakby tu przyszedł niech tam idzie.

— Dobrze Panie. —

Zwrócił Dominik białonogiego i sunął nazad.

Brzegowiną lasu po nad czystym polem, oba jeźdce w skoki parli koni. Kawał przemykali polem pomiędzy mogiły. Dominik okiem pilnował na daleko, jak baczna czapła, koniem bezdrożem się kierował, jak powodyr dawnego kozactwa Ukrainy, kiedy to biegało wpadać z nieńacka na Bisurmańskie, albo na moskiewskie karki. Brudno-kasztanowaty pod Kazimierzem rażno sadsził, i jemu ochoczo by było, gdyby nie padła markotność na serce, że tak nagle, tak niespodzianie porzucił dziewczynę.

Nyszkciem niespostrzeżeni wpadli pod Możary, przesadzili cztery płoty, cztery rowy i ruczaj niewieliczki i już byli w sadzie starego Szymona.

A tam nie masz nikogo tylko same niewiasty; witają i pytają.

Gdzie stary Szymon? gdzie Marko Baran?

— Wyszli w las.

— W którą stronę.

— Praksesta wie, ona im jeść nosiła. —

Wyszła Praksesta rumiana, drżąca, i oczów podnieść nie śmiała, i ust otworzyć nie śmiała. Stara Małgorzata do niej mówi.

— Gdzie pradiadek?

— W leszczynowym wianku.

— Czy Pan Dominik trafi?

— Ja nigdy tam nie byłem, ale nad jaką drogą.

— Niech Pan poczeka, Praksesta ich tu przyprowadzi.

— Nie mogę, nie mamy czasu.

— To Praksesta z Teklą panów tam zaprowadzą.

— O to dobrze, bardzo dziękuję. —

I krasna dziewica, i hoża młodyca szły przodem a obadwa jeźdce za niemi, i wiedli konie; przez sady, przez pole ścieżkami, tak przeszli aż w las. U Praksesty serce mocniej biło w łonie, bez przyczyny, bo nikt na nią nie patrzył, płonęła w rumieńcach, okiem nie rzuciła po za siebie, a jednak tak jej się chciało tam spojrzeć.

Po raz pierwszy Dominik patrząc na dziewicę przewodniczkę, zcicha powiedział: To Księżniczka Możajska. I myślał o Benignie.

W chodzie, w postawie dziewicy było coś księżęcego; ni szumiący ruczaj, ni łom walący się pod nogami, ni gęstwa do oczów się drząca, ni zatrzymały ją na chwilę; szła śmiało, lekko, jak królowa lasu, i drzewa przed nią się kłoniły i liść słały pod jej nogi; choć nie było na niej szaty, ani Księżęcej, ani Pańskiej. Kazimierz patrzył na nią, i nie myślał o Benignie, ale myślał o sobie.

W leszczyźnie znaleźli starego Szymona; z synem i z dwoma wnukami rąbali zapust na obręcze, i Marko Baran był z niemi. Szymon zdziwił się.

— Panie Dominiku, co Pan tu robisz? —

Dominik wziął Szymona na stronę i z nim rozmawiał, potem rozmawiał z Markiem Baranem, kiedy przybiegł młody Włodzimierz wnuk.

— Dziadu, dońce do wsi wjechali, rozbiegli się do koła wsi, mnie matka przysłała. —

Kazimierz nie zatrwożył się, ale wymówił głośno.

— Tam wszystko powiedzą.

— Niech się Pan nie obawia, w Możarach nikt nic nie widzi, nie słyszy i nie gada, bez dziadowego rozkazu. —

Stary Szymon głową ruchem przytwierdził prawdę.

— Teraz idźcie panowie w Kabanowe błoto. Marku prowadź panów. Praksedo, Teklo idźcie tam takież, i ty Włodzimierzu; a choćby jak hukano nie odpowiadajcie, a cicho siedzcie. Póki nie świsnę trzy razy, Marku tak jak wabiecie kulika, rozumiesz.

— Rozumiem. —

Przez szuwały, przez kępiny zaszli między gęste łozy i tak znaleźli malutką hulawkę na której stało kilka wierzb, stanęli, stoją cicho i wysłuchują.

Słońce do nizu płynęło ku zachodowi; jeszcze się nad lasem złoci, ale już złotem czepia po wierzchołkach drzew. Dzikie ptaki ku spoczynkowi lecą, i dziki zwierz już nie drzemie. W dalekim lesie siekiera ciuka, a w dalszym jeszcze pastusza duda podyma. Urok wieczoru, ciszą i jakimś lubym smutkiem leje się po wszem świecie. O jeżeli o wieczornej dobie, dumanie codziennym gościem w mieszkaniu ludzkim, o jakimże ono gościem w mieszkaniu wszego świata; tam ono w tej chwili chyłącego się dnia, jeżeli nie posiada, to przynajmniej mięsza się do wszystkich uczuć serca.

Prakседа zadumała się, czuje że ramię jej dotyka białonogiego, słyszy oddech młodzieńca, a patrzy w gęstwie łoż czy tam czego wzrok nie wypatrzy, dusza nie wyduma dla serca. Wszyscy chwilkę się zadumali, a spadający liść szeleścił po łożach.

Tu białonogi zastrzygł uszami, i Marko Baran, zgiął się trochę, jakby chciał jeszcze bliżej ucho przytulić do powietrza; brudno-kasztanowaty zarżał, Kazimierz zerwał go cuglem, i Prakseda i Tekla spojrzęła, ale jakby na dokonczenie rżenia odezwał się Dominik cichym głosem.

— Marku zarżnij go. —

Marko podniósł nóż, ale ręki podnieść nie śmiał, Dominik powtórzył.

— Zarżnij go. —

Ręka poleszuka błysnęła nożem, a brudno-kasztanowaty padł, skonał. Tekla o mało nie krzyknęła, Kazimierz jeszcze w rękę trzymał cugle, i dziwnym wzrokiem patrzył na Dominika: w oczach Marka i młodego Włodzimirza widać ten wyraz uczucia co to gotowe spełniać wszystkie rozkazy, nie pytając dla czego? Białonogi odwrócił głowę i nozdrzami przytulił się do ramienia dziewicy, czy obrony u niej szukał, czy przyrzekał milczenie; dziewica podniosła oczy na Dominika i on był spokojny, słuchał.

Do koła słyhać wyraźny tentent koni, i pogwizdy, i hukania: hop! hop! bywaj tu! Choć łozy były o trzy razy wyższe jak człowiek, oprócz Kazimierza, wszyscy jakąś dziwną mocą, czy nałogiem ciągnęci chyliłi się ku ziemi. Kazimierz miał strzelbę na pogotowiu, ale i on, i wszyscy z ust Dominika wyglądali rozkazu. On, ani polbladł, ani pokrasniał, ani okiem wścieklej zatoczył, ani trwożliwego spojrzenia w bok nie rzucił, tylko milczał i słuchał.

Słońce już znikło z nad lasu i po jasnych obłokach jakby tkanka ziemskiego pyłu mrok się przerzucał, kiedy hukania i tentnienia koni ucichły, a zdaleka potrójne gwizdnięcie kulika doleciała.

— Kazimierzu bądź zdrów! — I obadwa się ściskali.

— Marko cię zaprowadzi do Podkołotego, tam się zobaczymy.

— Może się już nigdy nie zobaczymy. Pożegnaj wszystkich odemnie, ja nigdy nie zapomnę was. —

Dominikowi łzy stanęły w oczach.

— Zobaczymy się. Bądź zdrów i szczęśliwy. —

Marko przystąpił.

— Panie wierzyć nie można tym psom. Niech Pan idzie z Kniaziówną drogą do wsi. Włodzimierz z Panią Jakubową, niech idą koło dawnego Majdanu, a my tu troszkę zaczekamy; zjedzą djabła że tu nas znajdą, niech Pan będzie spokojny. —

Skinął głową Dominik na znak że przyzwala, i zaraz Tekla z Włodzimierzem poszli w lewo. Dominik jeszcze raz zawołał:

— Bądź zdrów Kazimierzu, bądź zdrów Marku. Kazimierzu! do zobaczenia się.

— Niech i tak będzie, do zobaczenia się; bądź zdrów Dominiku. — Uściskali się, i rozeszli się.

Mrok szarzał, zdaje się że z ziemi ku niebu się wznosił, las drzemał; Bożego ptaka słyhać nie było, tylko bydło wracające z lasu dzwonekami kołotało, pastuszek po brzozie biczykiem stukał, i pies pastuszy czasami półgłosem poszczekiwał. Wiatr jesienny do reszty obmotał liść z drzewa i piasek nie wilżył się rosą, ale szorściął od zimna.

Drogą ku siólu szła dziewica, obok niej młodzieniec, i białonogi koń za nimi. Szli cicho, nic do siebie nie mówili, tylko koń wędzidłem podzwaniał. Młodzieniec smutnie dumał; i dziewica kilka razy na niego spojrzała, i żał się jej jego zrobiło.

— Panie Dominiku czego Pan tak smutny?

— Ot tak sobie, dalibóg nie wiem czego.

— Niech się Pan nie obawia, nic się mu złego nie stanie.

— Ja wierzę, ja wiem; ale to smutno, ledwie się poznać, już trzeba się żegnać.

— O! prawda że to smutne pożegnanie. —

W jej głosie było takie tęskne brzmienie, że Dominik spojrział na nią. Wiatr porozwijał kruczy włos dziewicy, twarz blada jak kaliny kwiat, kąpała się w zmierzchającym mroku, a w oczach błyszczały łzy.

— Czegóż Pannie Praksedzie tak tęskno?

— Ja nie lubię pożegnania.

— Lepsze do zobaczenia.

— Ale na to zobaczenie, tak długo trzeba czekać.

— Długo, prawda, ale nie wiecznie.

— Nie wiecznie. — Dziewica dłonie przyłożyła do oczów, jakby chciała łzy tam nazad wcisnąć zkąd się one cisnęły.

— Niech Panna Praksesta nie płacze; bo i mnie się na płacz zbierze. — A jemu już się zebrało na płacz, bo ocierał chustką oczy. —

Zamilkli. W tem koń przyspieszył kroku, aż głową trącił o plecy Dominika. Zachrzęły gałęzie i zastukotało po ziemi. Dziewica zbliżyła się do młodzieńca, a on wzięł ja za rękę.

— Niech się Panna Praksesta nie boi. —

Więcej ręką jak słowem strach odgonił, i wychodzili z lasu w pole trzymając się za ręce, jak brat z siostrą.

I stu kroków nie uszli polem kiedy posłyszeli za sobą tentent koni.

— Łapaj! łapaj! —

Dominik się zatrzymał, dziewica swoim ramieniem jego ramienia się dotknęła. Młodzieniec czuł jej drżenie. Dońce przyskoczyli, ale żaden nie śmiał dotknąć ich ręką; lepiej jak żelazem, wzrokiem osadził ich Dominik, tylko krzyczeli:

— Złapali! złapali! — I dokoła go otoczyli. —

Niebawem nadbiegło dwóch jeźdźców; jeden był Kapitan Isprawnik Mewes, a drugi w szerokim płaszczu, z twarzą kołnierzem zakrytą. Zobaczywszy Dominika odwinął kołnierz, i Dominik poznał Nestora; obadwa zsiadli z koni. Mewes za-
tarł ręce.

— Przepraszam Pana Podczaszyca że mu przeszkodziłem polowania. —

Dominik groźnie spojrzął na niego. Mewes przysmiechnął się.

— Niech się Pan nie gniewa. Na honor przysięgam że nie wiedziałem, iż szukając winowajcy skłócę tak piękne miłostki.

— Panie Isprawniku! — Dominik zbladł, postąpił krok i prawą rękę wznosił, a lewą silniej ścisnął rękę drżącej dziewczyny. Mewes się cofnął, a Nestor wpadł między nich.

— Stójcie Panowie, dajcie pokój! Panie Podczaszycu, ty idź w swoją drogę, a my Panie Isprawniku w swoją. —

Dziewica odważyła się ścisnąć Dominika za rękę, jakby na prośbę: chodźmy. Dominik pogardy okiem rzucił na Mewesa i do Dońców się obrócił.

— Z drogi! —

Nestor głośno zawołał: puszczajcie. — Dońce się rozstąpili, a młoda para poszła.

Mewes przyszedł do siebie, zaśmiał się.

— A co nie dobre moje przecucie? do ucha mi szeptało że on tu w Możarach.

— Prawda, nie ma co mówić. To to my dla tego, żeby go na miłostkach złapać, goniliśmy tych wszystkich dońców, i sami tłukliśmy się na koniach? No żeby ja był wiedział, to nie byłbyś mnie zwabił ani piernikiem.

— Myślałem że tamten tu jest.

— Co za tamten? z kądże on tu miałby się wziąć; chyba spaść z nieba, albo z piekła wyskoczyć. W Bohdanówce go nie było, na polowaniu nie było; dalipan ja boję się o ciebie Mewesie.

— Ty ich nie znasz Nestorze.

— To szukajmy po lesie; wiesz: że kołacz, to będzie ci otworzono, szukaj a znajdziesz.

— Ba szukać, cóż z tego przyjdzie? —

Nestor pomyślał trochę. — No wiesz, żeby Dominika wziąć pod straż, przedstawić do Ertela, a Dawidki i Sewrucki w administrację oddać?

— I cóżby było z tego?

— Byłbym administratorem.

— Mnie o ich pieniądze nie idzie, inny my mamy rachunek z Panem Wojciechem; ja go mam teraz w ręku. —

— Trzymajże żeby nie uciekł. — Zgarbił się. — Ja ciebie nie rozumiem; nie chcesz administracji, a czegoż chcesz?

- Mewes
- Już teraz złapałem co chciałem, nie myśląc.
 - Byłbyś złapał od Pana Dominika, gdyby nie ja.
 - Dziękuję ci Nestorze, pomagaj mnie a nie będziesz żałował. O! ty nie wiesz jak to słodko zemścić się.
 - Nie wiedzieć co.
 - Cóż ty myślisz, że ja ani kochać, ani zazdrościć, ani mścić się nie mogę i nie powinienem?
 - Zapewnie że tak. Isprawnik wszystko powinien na stronę odłożyć, a myśleć o sobie; bo jak przyjdzie czas, to będzie poniewczasie.
 - Gorzko skrzywiła się twarz Mewesa.
 - Nestorze, ty tego nie znasz. Jedźmy. —

Prakseda z Dominikiem już do sioła dochodzili. Dominik był błądy i usta zaciskał; ona była rumiana i na lice łzę po łzie roniła, a trzymali siebie za ręce. Przed kołowrotem zeszli się z Teklą i z młodyn Włodzimierzem, u kołowrota stał Stary Szymon. Włodzimierz się odezwał:

- Nikogośmy nie widzieli. —
- Dominik puścił rękę dziewczicy.
- Do zobaczenia. —

Ona tak cicho odszemrała, iż zdawało się uchu, że to było tylko westchnienie. Stary Szymon przy pożegnaniu podniósł oczy w górę ku niebu.

- Wszystko dobrze pójdzie. W Bogu nadzieja. —

Za tem słowem wszyscy podnieśli oczy ku niebu i powtórzyli w myśli:

- W Bogu nadzieja!

XVI.

Jak szczęście, jak radość miła,
Jak wiosny przyjemna pora;
Jak róża co z wiosną żyła,
Kwitła nam piękna Izora.

MIKOŁAJ WĄŻ.

Mroźne wiatry wieją po Owruckich puszczech, białe śniegi spadły na Owrucką ziemię; z mroźnemi wiatrami, wieść smutku przyleciała do ucha Owruczanów; z białemi śniegami czarna żaloba spadła na serca Owruczanom.

Biała Moskwa, ten przesławny gród moskiewskich książów, nęcący ku sobie barwidłem wschodu, hojnie rozszaniem po mieście, a groźny potęgą Tatarską, siwego Kremla; ten gród gdzie Iwan Kalita tyle ludzi wytruł i wydlawił, żeby mnogie księstwa spoić w jedno, i porodzić Moskiewskie Państwo; gdzie wołą i strachem władał Iwan wielki i groźny; gdzie Dymitrowie fałszerze założyli szermierski rynek o carskie berło; dokąd jak do zajezdnej gospody chodzili: Mniszech, Sapieha, Zarudzki, po Moskiewskim kraju wojując ze swojej woli, i na swoją korzyść; gdzie Żółkiewski wielki hetman Zygmunta, usadowił był panowanie Polskiemu Książęciu; zkąd Piotr przeniósł stolicę na Bałtyk, bo Moskwy zniemczyć nie mógł, a Tatarskiego władztwa za mało mu było; ten gród nie chciał dać gościny Cesarzowi Gallów. Pustką wroga przyjął i ogniem precz z siebie wypędził.

Po raz pierwszy Napoleońskie orły, nie po zwycięztwa leciały, ale gnały w ucieczkę.

Taka wieść spadła na stary Owruca, właśnie w chwili kiedy Prószyński niewinniony przyjechał z Kijowa. Po domach pocztowych witano go wieścią: ledwo połowa wojska Napoleona przeszła Dniepr, Płatów za niemi goni; Napoleon zbliża się do Berezyny, Płatów mu na karku siedzi, Czeczagów z przodu zachodzi; Szwarceberg z Austryakami cofnął się za Bug, Dombrowski opuścił okolice Bobrujska. Wszystkie te wieści, jak nożem go krajały po sercu. Jak tylko wpadł do

zajedznego domu Chinci, ledwie powitał żonę i syna czekających tam na siebie, zaraz pobiegł do komnaty Marszałka Pauszy.

Tam zastał Bajkowskiego, Rapsztyńskiego, Wyhowskiego, Czapowskiego, i kilku innych Owruckich obywateli.

— Jak się macie; a cóż, poczynamy? —

Wszyscy go witali jak najserdeczniej, Czapowski ścisnął go.

— Moja lubo, to Pan Bóg nam ciebie zesłał, w złym razie to chyba ty nam poradzisz. Moja mamó, a cóż Panie Marszałku?

— Basam terem tetem, jedźmy w lasy.

— Nie pozwalam — poprawił pasa Wyhowski. — Wyhowscy w czystym polu biją się z wrogiem; tu w Owruclu się zgromadźmy.

— Zapewnie, zapewnie — podchwycił Bajkowski — w Owruclu zrobimy konfederację i całą Polskę do niej powołamy.

— Maja lubo, poczekajmy trochę nim Pan Tadeusz przyjedzie.

— A gdzież jest Tadeusz?

— W Żytomierzu, dziś wieczorem ma tu przyjechać.

— To dobrze — rzekł Podczaszy — a teraz opowiedzcie co tu się działo w mojej niebytności. —

Jeden przed drugim chcieli mu wypowiedzieć wszystkie wypadki: on słuchał, ale niecierpliwości swojej nie mógł pohamować; coraz to słówko przemówił, widać jaka to dusza i krew kipiąca w tym człowieku.

Kiedy mu mówiono o Mewesie, to tylko spochnurzał, ale ani słowa nie rzekł. Kiedy zaś opowiadano o administracji Nestora, stuknął nogą.

— Skurczy byk, musiał mnie gorzej zrabować jak Drewicz Barskich konfederatów; dam ja mu dam. —

Jak rzecz przysła do domysłów o śmierci Chwediowej i pomocy niesionej przez Nestora Pani Podczaszynie, nie uśmiechnął się Podczaszy, ale głową poruszył.

— On dobry Polak, dziękuję mu. —

Jak gadali o synie, to aż łzy radości stanęły w oczach ojcu, ale kiedy musiano przyjść do bytności Dominika w Bohdanówce, pobladł.

— Mój syn u Potockich?

— Panie Podczaszy, czy gniew raz powzięty ma być wiecznym? ludzie się kłócą i godzą.

— Ha! tak to bywa!

— I dla czegożby tak być nie miało między Potockimi a Prószyńskimi; wasze rody nic nie miały do siebie, z was poszła kłótnia, wy możecie zrobić zgodę. —

Podczaszy milczał.

— Panie Wojciechu, z wrogiem się teraz kłóćmy, a między sobą godźmy.

— Zobaczymy.

— Ot, wiesz co Panie Wojciechu, Panna Benigna już dorosła. —

Tak zmarszczył czoło Podczaszy, że brew zbiegła do brwi, Czapowski znalazł się na tym znaku.

— Moja lubo, co tam mamy gadać o tem, ot słuchaj. —

I zaczął mu opowiadać, o owem zniknięciu moskiewskiej roty w lasach Horodeckich, i o wszystkich domysłach; wnet rozjaśniła się twarz Podczaszego.

— To gracko, to lubię. —

Po chwili Podczaszy był sam na sam z żoną i z synem; wszyscy troje się splakali z radości, a kiedy przyszedł Dmytro, Pan witał go jak najlepszego przyjaciela. Mówił na przemiany do żony i do syna.

— Elzbieto, dziękuję ci za wszystko, ale po co było być w Bohdanówce? —

— Dominiku, rad jestem z ciebie, ale po cożes jeździł do Bohdanówki? —

— Być grzecznym nie mówię; ze swojego domu nikt nikogo nie wypędza, ale tak się śpieszyć z oddaniem grzeczności za grzeczność, to wcale nie potrzebnem było. Mogłeś znaleźć inny dom, innych opiekunów dla twojego przyjaciela. —

Oni oboje milczeli, a on przechadzał się po izbie.

— Elzbieto, wyraźnie oświadczyłem moją wolę, żeby noga żadnego z moich nie przestąpiła progu w dom dla mnie niechętny.

Dominiku, ty przyjaźni z nikim bez mego pozwolenia zabierać nie powinieneś, ja tak chcę. Kto moim przyjacielem to i twoim; a kto mój nieprzyjaciel to i twój. —

Zczerwieniał się, i podniósł głos na wyższe brzmienie, ale kiedy zobaczył w oczach żony łzy, a na twarzy syna bladeść, wziął żonę za rękę.

— Elzbieto przepraszam, nie mówmy już o tem.

— Dominiku, dajmy pokój temu; przeszłości nie wróćmy, a na przyszłość damy sobie radę. — I pocałował go w czoło. —

Usiadł i zupełnie był spokojny.

— A jakże się ma mój stary Kawecki?

— Zdrow, chciałam wziąć z sobą, ale on prosił żebym go zostawiła w domu, mówiąc: przygotuję zwierzyny, biedny Pan, tam nie było kogo żeby mu ją strzelał.

— Pocziwy, on o mnie nie zapomina. Miałem ja tam po-

(dostatek wszystkiego, w tym Charkowie to dobrzy ludzie, bardzo mało moskiewszczyzny) O Polsce gadają jakby oni do Polski należeli. Gdybyście wy ze mną byli, a nie był taki czas, z chęcią bym tam zabawił, choćby i kilka miesięcy.

— A zdrowie ci służyło dobrze?

— Bogdaj tak o co jak o zdrowie; na niem mnie nie zbywało; ale niech djabli wezmą siedzieć pod strażą, i wszystko płacić a płacić; bo to doprawdy ci moskiewscy urzędnicy mają dziurawe wory, który nigdy napchać nie można.

— Chwała Bogu że mogłeś z ich rąk się wydostać.

— Prawda że chwała Bogu, bo też nie żartem do mnie się brano; ale też może Pan Bóg da że i ja do nich się wezmę.

— Ja pewna jestem, że tybys im przebaczył.

— Im przebaczyć? tak, tak, jak będą dyndali na szubienicy. —

Rozmowa na chwilę przerwana została. Podczaszyna znowu ją zaczęła.

— Ale wiesz jak Pan Nestor nam dopomagał, on kilka razy Dominika ochronił.

— Wiem, wiem wszystko Elzbiето. I ja też tak zrobię; w rzeczy publicznej, wesprę go jak brata, a w rzeczy prywatnej zedrę jak żyd. [Kwita byka za indyka, a darmo nic.] — I uśmiechnął się Podczaszyna.

— A ty Dominiku, dobrze żeś sobie obrał za doradcę i przyjaciela Pana Szymona, ja go kocham jak rodzzonego brata.

— I on też ojca bardzo kocha.

— To pocziwiec z kośćiami; ja wszystkich tych Możajskich, to więcej kocham jak Bóg wie jakich naszych magnatów. Z nich każdy może przyłożyć dłoń do serca i powiedzieć: dla Polski, dla przyjaźni, i dla cnoty; to prawdziwa krew dawnych Książów Możajskich.

— Ojczy, oni i pocziwi i waleczni, jak dawni Kniaziowie.

— Tak, tak; trzebaby pojechać do Pana Szymona, a przynajmniej dać mu wiedzieć że przyjechałem.

— Ja to już zrobiłem, zapewne on tu przyjedzie.

— Dobrześ zrobił. Ale, ale, nie mówicie mi nic o mojej stadninie, jakże się ma mój ogier brudno-kasztanowaty. —

Dominik opowiedział całą przygodę nieszczęsnego ogiera. Ojciec go uściskał.

— To mi gracko, prawdziwa moja krew; tak lubię. Elzbiето, a nic mi też nie powiadasz o starej Marcjannie, wszak to moja niańka.

— Jak tylko się dowiedziała że ty jedziesz, natychmiast zaczęła smażyć żurachwiny; powiada że od dzieciństwa to najlepiej jeść lubiłaś.

— To prawda, ale tyle słoików tej smażeniny zostało w Chrystonówce; nie mogliście tego użyć. —

Podczaszyna milczała.

— Domyślam się, Nestorcio to wszystko musiał powywozić do Bołotnicy; ja wiem że tam wszystko musi być porabowanem, jak po napadzie Tatarów; a srebra? —

Podczaszyna znowu milczała, ale w chwili tego zapytania Dmytro przyniósł karafkę z wódką na tacy, i przywilejem starego sługi wdał się do rozmowy.

— Wszystko zabrali Panie.

— Jak to? Nestorcio!

— Nie Panie, Mewes zabrał.

— Mewes!

— On sam, i dziś na pańskich srebrach obiad daje. —

Schwycił się z miejsca, wziął czapkę na głowę.

— Dmytro, chodź za mną. —

Darmo matka i syn brali go za ręce, prosząc:

— Mężu nie idź, proszę ciebie.

— Ojcie na miłość Boga, nie rób tego. —

Wyrwał się i wyszedł, a Dmytro za nim.

Była biesiada u Isprawnika, cały sąd powiatowy i sąd niższy, i kilku obywateli zaproszonych było na obiad. Nikt mu odmówić ani śmiał, ani chciał, bo u starych Owruczanów choć najuczciwszych, weszła w dobrą wiarę ta gadka: Panu Bogu służyć, a djabła nie obrażać, a tem więcej, kiedy ten djabeł w sile i mocy; a kapitan Isprawnik, to nie z kata figura w powiecie, jak to mówią.

Pani Mewesowa jeszcze hoża i niczego kobieta. Moszyńska, z domu, całej umiejętności dożyła, żeby nim dadzą obiad, grzecznościami gości uczęstować. Pan Ignacy Potocki przypominał sobie dawne czasy, i słodko oczyma strzelał na gospodynię domu, a nawet parę madrygałów do niej wypalił.

Nestor odciągnął Mewesa do okna.

— A co panie swacie, już Podczaszy przyjechał, trzeba się wynosić jak nie z pyszna z Chrystonówki.

— Już to ty musiałeś sobie dobrze poradzić, niewiele trzeba wozów na rumację remanentów.

— Ani jednego, gołe ściany mu zostawiłem, niech sobie odbiera bezemnie; ja tam nie pojedę, bo bym wlaź jak Piłat w Credo. —

Tu drzwi się otworzyły.

— O wilku mowa, a wilk tu. Panie Podczaszy! —

Wszedł Pan Podczaszy, przywitał gospodynię domu; ona się zafrasowała trochę, aż rumieniec wystąpił na lice, a potem obrócił się do Mewesa.

— Jak się masz Panie Isprawniku? wszystkoście mi zabrali, musisz mnie przyjąć za gościa, zapraszam się do ciebie na obiad. —

Isprawnik skłonił się, ale na uśmiech się nie zdobył.

Podczaszy ścisnął za rękę Hoszowca.

— A potem do ciebie Panie Nestorze.

— W Bołotnicy chleb i sól, zawsze czekają na Pana Podczaszego. —

Podczaszy spojrzął do jadalnego pokoju; tam na białych obrusach stołowego srebra huk leży, a nawet się piętrzy serwis laminany w esy i floresy. Krzyknął gromkim, krągłym głosem.

— Dmytro. —

I hardy kozak wszedł do pokoju. Podczaszy wskazał ręką na nakryty stół.

— Patrz i bierz co nasze. —

Dmytro duchem przepatrzywał i zagartywał wszystkie srebra. Mewes w pierwszej chwili chciał się porwać do obrony zagrabionej własności, ale kiedy spostrzegł że wszyscy goście stoją i patrzą na to z przyśmiechem zadowolenia, a za oknem zajrzał młodzieńca bladej ale groźnej twarzy; opuścił ręce. Dmytro zgarnął wszystko w serwetę.

— Ojcie to wszystko nasze.

— Weź i zanies do domu, a serwetę nazad przynies. —

Kozak wyszedł, nikt go nie zatrzymał, a Podczaszy skłonił się gospodarstwu.

— Teraz będzie czem jeść, może znajdzie się co. —

Pani Mewesowa tak była zmieszana, że jak siadła na krześle, tak nie podniosła się, aż w dobrą chwilę po odejściu Podczaszego. Mewes zgrzytał zębami, a Nestor go pocieszał.

— Dobrze ci tak; wiesz że u Moskali biją nie za to że ukradł, ale za to że źle schował, a ty przecie urzędnik moskiewski. Zje on suchego djabła, jeśli tak ze mną zrobił, co wilk połknął, tego mu z gardła nie wyrwą.

— No, oddam ja za swoje. — I jak bazyliszek na żonę spojrzal. —

Dominik wrócił i zastał rodziców wybierających się do Księdza Opata na obiad; te słowa ojca o Bohdanówce, tak mu niedobrze zrobiły, że zupełnie był jak nie swój. Matka się pyta czy nie napije się herbaty albo ziółek jakich, a ojciec poklepał go po ramieniu.

— Wszak masz z sobą wierzchowego konia, siądź, przejeżdż się, a to przejdzie; tylko na wieczór powracaj. Pan Tadeusz tu przybywa, a Waśc zarobiłeś sobie na prawo, aby cię uważano za człowieka i obywatela. —

Dominik poszedł za tą radą, potrzebował być sam z sobą.

— Tylko weź rysią czamarę i berlacze dodała matka, teraz takie zimno, nie zaziąb się, ty wiesz jak ci to szkodzi. —

Pocałował w rękę matkę, po pocałunku zrozumiała myśl syna, bo całując go w głowę, szepnęła na ucho.

— Jeszcze się nic nie stało. —

Uśmiechem chciał zagrać po twarzy, ale głowa mimowolnie skinęła i odegnała uśmiech, jakby chciała mówić: Próżna nadzieja, wola ojca, to niezłomna wola.

Chmurne niebiosa, śnieg polatuje płatami, mróz skrzypi pod końskim kopytem. Młody Podczaszyć wyjechał za bramę miasta, i wprost skierował się na Igorową mogiłę. Spojrzał okiem w pole, tam białe a białe; spojrzawszy na Siedmiowzgórze miasto, szare budowy na białym tle stoją, i biały śnieg je dławi; i płaty śniegowe jak siatka płaczą się między okiem a światem Bożym. Chciał dumać o Igorze Igorewiczu, o Owruczanych starej Rusi, a nie mógł, bo dumka grała na nótę o jasno-włosej dziewczynie; i zapomniał że siedzi na koniu. Sam biało-nogi spuścił się z mogiły, śniegiem kopał się do drogi, zwrócił na drogę i w kłus się kopnął.

Dominik dumał i nie patrzył gdzie go koń niesie, bo nikt na to nie patrzył, bo nikogo nie było ani w polu, ani na drodze, tylko kruk jeden: on po nad jeźdźcem leciał i krakał, dogadywał dumce smutku. Już był w lesie, kiedy koń zbiegł z bitej drogi, i już nie tętnił kopytem, tylko jak puchem rozgartywał śniegiem: ocknął się Dominik z dumania, popatrzył po lesie; znany las, popatrzył po drożynie, znana drożyna; skinął ręką.

— Kiedy bieży, niech bieży. —

I nogami ścisnął konia dla poddania mu ochoty; biało-nogi zrozumiał chęć pana, i choć kopno na drodze, raźniej poskoczył.

I koń i jeździec śniegiem narośnięci, całkiem bieli jak zwiastuni dżumy, wpadli na Bohdanowiecki dziedziniec. Prędko Dominik burkę i czamareę zrzucił, z śniegu się otrząsnął, i wszedł do pokoju.

Deputatostwo go witali, on miał na ustach: Mój ojciec przyjechał; i nie powiedział, bo weszła Panna Benigna. Błękitne oko lśniło się szczęściem, i lice oblekło się rumieńcem, i jasny włos splotami nęcił, i koralowe usta uśmiechem się miłyły, jakby cały urok serca wyźwierciadłał się na jaw. Wszystko to dla niego; on patrzył na nią jak po raz ostatni; tak patrzył, iż Deputat po dwukrotny raz musiał powtórzyć:

— A o Panu Kazimierzu nie masz żadnej wiadomości?

— Owszem, wiem; jest przy Jenerale Dombrowskim. —

Deputatowa ciszej zapytała.

— Ojciec pański czy już spodziewany. —

Dominik cicho odpowiedział.

— Już przyjechał; dziś. —

Deputatowa zaczęła mówić o śniegu i zawiei, a kiedy De-

putat, Rejent poczęła osypywać Dominika zapytaniami o nowiny, na które on odpowiadał z roztargnieniem: Tak, nie wiem, podobno, nic pewnego. Ona rzekła.

— Benisiu, zagraj Panu Dominikowi tego mazurka coś się to wczoraj nauczyła od Panny Katarzyny. —

Mimo skrzywienia się Deputata i Rejenta, chciwych nowości, Panna Benigna poszła do drugiego pokoju i poczęła grać. Dominik siadł przy fortepianie naprzeciw dziewicy, nie grania słuchał, ale w oczy jej patrzył. Sami byli we dwoje.

— Pani mnie zapomnisz.

— Zkądże ta myśl?

— Wszystko się zapomina na tym świecie.

— Co Panu jest takiego? — I dziewica patrzyła na smutnego młodzieńca.

— Co mi jest? Nic, tak sobie, przecucie, smutna myśl.

— Niech Pan da pokój takim przecuciom.

— O tak, dać pokój! łatwo to powiedzieć, ale zrobić, to nie.

— Do prawdy ja nie wiem co Panu się stało. — Smutek wionął na dziewicę, i ona była smutna.

— Nic, to nic nie było. Wszak prawda, że Pani o mnie choć czasami wspomnisz?

— Cóż to jest? wszak nie słyszałem abyś Pan gdzie odjeżdżał.

— Nie, ale może. Kto to wie. —

Niespokojność była w błękitnem oku Benigny.

— Niech Pan powie prawdę.

— Prawdę; smutna prawda.

— Czy Pan odjeżdżasz? niech Pan powie.

— Nie, ale. —

— Cóż? niech Pan mówi.

— Mój ojciec przyjechał.

— Ojciec pański? — I zdziwiona była dziewica.

— Pani wiesz że on jest źle z ojcem Pani.

— Wszak to nie przeszkadza abyś Pan nas widywał?

— Pani! to mój ojciec.

— Czyżby wymagał takiej ofiary od Pana? — Przy tem słowie szczerą niewinność była na ustach dziewicy.

— O tak, ofiary droższej dla mnie jak życie. — Wziął za rękę dziewicę, przycisnął ją do swoich ust. — Pani! ja Panią kocham — — kocham!

Dziewica wysunęła rękę z ręki młodzieńca, i od ust ją odjęła, milczenie i lzy były odpowiedzią.

— Pani mnie nie kochasz. — Taka tęsknota brzmiała w głosie jego, że dziewicy mało serce nie pękło. Wstała z miejsca.

— O Boże! Panie Dominiku! —

On padł na kolana, splótł ręce palcami.

— Pani mnie nie kochasz. —

Ona skryła oczy w dłoń, i zaszemrała cicho.

— Kocham. —

Dominik chwycił za rękę i całował, a ona już mu ręki nie wydzieriała.

Kiedy weszła Pani Deputatowa, Benigna szukała jakiegoś nót, i chustką kryła twarz piękną wypowiedzeniem tajemnicy serca. Dominik patrzył na dziewczę, jak na gwiazdę swojego szczęścia, jak na wszystko swoje szczęście.

— Prawda Panie Dominiku że ładny mazurek, rzekła Deputatowa.

— Przewodny; nic ładniejszego nigdy nie słyszałem.

— Właśnie jak się wczoraj Benisia uczyła, mówiłyśmy że się Panu podoba: jest w nim tyle polskiego.

— Cała dusza w nim Polska. — Chciał dalej mówić o tym mazurku, ale zmiarkował że oni go nic a nic nie słuchali, zwrócił tedy mowę. — Zkądże on się dostał do Łubina?

— Panna Podkomorzanka go się nauczyła w Żytomierzu od Panny Heleny Grzybińskiej. Czy uważał Pan jakie zaczęcie wymienite?

— Bardzo harmonijne, muzyczne.

— Już to harmonijne jak harmonijne, ale skoczne, polskie.

— Tak, chciałem powiedzieć skoczne.

— Benisiu proszę cię, zagraj jeszcze tego mazurka. —

Przez ten czas Benigny twarz trochę choć niezupełnie owionęła z odblasku uczucia, i serce zwolniło gwałtowne bicie. Siadła i grała. Dominik słuchał, i uchem nie stracił ni jednego dźwięku, ale też i oko topił w oku, w licu dziewczycy; kiedy grać skończyła, matka pocałowała ją w czoło.

— Dziękuję ci moja Benisiu. —

O! jakże słodkim ten pocałunek był dla obojga kochanków; w nim była i nadzieja, i przyzwolenie ich miłości.

Dominik chciałby żeby dzień się zatrzymał i był bez końca, tak mu dobrze było w Bohdanówce, tak mu się odjeżdżać ztamtąd nie chciało, a dzień nieubłagany po swojemu szedł ku schyłkowi, i słowa ojca: powracaj na wieczór, jak złowieszcze zakłęcie trapiło serce. Kilka razy wstawał żeby kazać konia przyprowadzić, spojrzął na dziewczę, i znowu usiadł na swoim miejscu, przy niej.

— Wieczorem muszę być w Owruczu — z ust wyrwały mu się te słowa.

— Jeszcze do wieczora daleko — z uśmiechem rzekła Deputatowa. —

I Dominik i Benigna spojrzeniem oka jej podziękowali.

Rejent stojąc koło okna przypatrywał się jakiejś książce.

— Nic nie widzę, tak prędko teraz zmierzcha. —
Zarumieniła się Panna Benigna. — Bo Pan Rejent ma słabe oczy, ja tu mogę czytać.

— Proszę Pani. I przyniósł jej książkę.

— Ale to u nas choć o południu, trochę ciemno, to okna temu winne, i drzewa zasłaniają. —

Deputat dbały o honor swojego domu, zataił ręce:

— Moja Benisiu co ci jest takiego? tu tak jasno jak na dworze; szyby wielkie, szkło dubeltowe i szlifowane. Patrz żadnego drzewa nie masz przed oknem, z resztą teraz gałęzie żadnego cieniu nie robią.

— Widzi Papa na dworze chmurno i śnieg pada. —

Rejent pomuskał łysinę.

— Już od dwóch godzin ustał; czyż Pani nie widziała jak słońce pięknie zachodziło na pogodę. Niebo takie jasne, czyste, tęgi będzie mróz na noc, ani się zabiera na odelgę. —

Deputatowa przyszła w pomoc zakłopotanej dziewicy.

— Ale księżyc teraz tak pięknie świeci, widno w nocy jak w dzień; wszak to teraz pełnia.

— Podług kalendarza Berdyczowskiego pierwsza kwadra. —

Dziewica nie wytrzymała milczenia, ale szepnęła tak, że Dominik to słyszał: — Jaka mama dobra!

Wniesiono jarzące świece, okiennice zamknięto, i dopiero Dominik uwierzył że to wieczór, prosił aby mu konia przyprawiono, i jak mu dano znać że koń już gotów, leniwie zabierał się do pożegnania. Benignie i zimna noc, i wilcy, i rozbójnicy, i błędzenie i wszystkie przygody nieszczęsne stały w myśli, a nieśmiała o nich mówić, a chciała aby je odgadnięto. Nikomu to nie przyszło do głowy. Dominik jak większa część Owruckiej młodzieży miał w nałogu jeździć po nocach, żeby w dzień nie stracić polowania, zabawy, albo gospodarstwa. Wszyscy byli z temi nocnymi podróżami oswojeni; nieszczęsne przygody jedni między bajki kładli, drudzy tłumaczyli: jak komu przeznaczono, to go przypadek spotkać może, wśród białego dnia, i na gładkiej drodze. —

Przy odjeździe Benigna szepnęła.

— Niech Pan nie zapomina — i po chwili dodała — o nas.

— Nigdy, nigdy. —

Po pożegnaniu te powtórzone — nigdy — brzmiało uszom dziewicy, a młodzieńca ręka czuła lekkie ściśnienie ukochanej ręki.

Drogą przez lasy kopał się białonogi, a jeździec wiózł w sercu dumkę szczęścia, i zdało mu się że wszystko dobrze będzie. Jak pielgrzym nabożny liczy paciorki świętego różańca jedną po drugiej, i za każdą pacierz odmawia, żeby miłością

ku Bogu wyjednać miłość dla ludzi, tak on na różańcu myśli, liczył wszystkie słowa ukochanej dziewicy jedno po drugim i powtarzał je w głos, i modlił się żeby miłość Bożą wyjednać dla swojej miłości, a w serce lało się dobro, i nadzieja w łasce Bożej.

Wyjechał z lasu; księżyc świecił, na polach śnieg iskrzył się od mrozu. Mogiły płoną księżycowem srebrem, olbrzymiami cieniami kładną się na biel. Widno i mogiłę Igora Igorewicza, całun jej biały, i nad całunem krzyż biały. Widno wzgórze starego Owrucza, z tamtąd jeszcze gdzie niegdzie drobnutki światełka ciekawie migają, jakby temi niemymi błyskami mówiły światu: żyją tu jeszcze ludzie, żyją.

Dominika serce piane miłością dla dziewicy, piło jeszcze miłość ku rodzinnej ziemi. Ojczyzna i kochanka grały w jego duszę. Kochanka i Ojczyzna grały w jego serce, a białonogi szyję wyciągnął, nozdrzami wiatr chwyta, szeroko skacze po drodze, kopytami sypki śnieg miecie w górę, ku niebu.

XVII.

Oj dola, moja dola!
Oj hirsza jak newola.

STARA PIOSENKA.

Smutno to, przykro, kiedy po jaśniach nadziei, nadejście chmura co ją zaciemni; ale stokroć smutniej, stokroć gorzej, jeżeli ludzie sami zmarują drogi czas, i z dobrej woli doczekają się gromu co uderza w ich nadzieje.

U Księdza Opaty było nieliczne zebranie, z ważniejszych obywateli Owruckich. Szlachta to polska, szlachta z sejmikowym duchem, a nie radzi, nie sejmikuje; cicho siedzi, jak mnichy przy obiedzie; przeczuwa smutne myśli, wzdryga się na jaw słowo wyrzucić. Nie jeden przytknął wargami, szorstką dłonią wyłysiałe czoło potarł, ramionami ruszył, podniósł oczy, spojrzął i nic nie powiedział. Nie jeden jakby dla siebie tylko przebaknął. — Żle — i westchnął.

Jarzące pochodnie świeciły złoto, ale blado; na ścianach pełno wizerunków Księży Opatów, i Dobrodziejów zakonu Ojców Bazylianów. Twarze nieboszczyków Opatów zdają się kornie modlić do Boga; wąsate lica Dobrodziejów zdają się napominać i grozić ludziom. Ale i te wizerunki nieboszczyków Owruczanów, tak się zadumały, tak milczą jak i żyjący Owruczanie.

Tadeusz Teleżyński przyjechał z Żytomierza i przywiózł wieść że w przeprawie na Berezynie Napoleona wojska pobite, zniszczone, Napoleon porzucił wojsko, pojechał do Francji, a niedobitki wojska cofają się w największym bezładzie. Austrija, Prusy, Szwecja, już odbiegają przymierza z Cesarzem Francuzów, a biegną kłonić czoło przed carem Moskwy.

— Przepadliśmy! — wszystko stracone! — ozwały się głosy. —

A potem klamka milczenia zapadła na usta, i było taka cisza, jak gdyby wszyscy czekali sądu na siebie.

W pierwszym Podczaszym niecierpliwość zgryzła niemy smutek, wstał.

— Było — przeszło — a teraz — —

Teleżyński podniósł sędziwą głowę.

— A teraz, cierpliwie znieść nieszczęście, i czekać lepszej doli. —

Głos jego był spokojny i twarz spokojna; przeciwnie twarz Podczaszego była zaiskrzona, i głos ucinkowy, dobitny.

— Tak, czekać, i zawsze czekać; i zawsze robić cośmy zrobili teraz. —

Wszyscy spuścili oczy ku podłodze, a Ksiądz Opat przemówił:

— Panie Wojciechu, na nas to cięży wina nie na tobie; tyś nie mógł, myśmy mogli. —

Jak słońce topi śniegowe nasypy, słowa Księdza Opata stopiły krewkość Podczaszego; brał za rękę Księdza Opata, Pana Tadeusza, Bajkowskiego, Wyhowskiego, Rapsztyńskiego i wszystkich.

— Ja was nie obwiniam; siebie, całą Polskę obwiniam; ale jeszcze wszystko niestrawione.

— Dałby to Pan Bóg.

— I da jak my zechcemy. Najprzód tej wieści o pobiciu Napoleona nie wierzę.

— Moja Mamo, dobrze mówi Pan Wojciech: u Moskale zelgać, to jak piórko zesmalić.

— Zresztą, gdyby i tak było, to jeszcze nie tak to łatwo, Napoleońskie wojska zapędzić za Ren jak śnieg zdmuchnąć. Zabierzmy się do roboty, wszak my jesteśmy u siebie.

— Co prawda, to prawda, moja lubko, by taki człowiek, że żeby tacy i na kamieniu się rodzili, toby było dobrze. [Jak ewangelja prawda, że u siebie w domu, człowiek wielki pan; dla tego u Moskale dali bobu Napoleonowi, choć on taki wielki człowiek, że wlaź do ich domu, a my Polacy to już przeszli na Niemców, co to i w domu i za domem nas łupią, nigdzie sobie rady nie damy. —

To przyrównanie do Niemców, jak chrzan marcowy zagryzło w nosy Owruczanów. —

— My nie Niemcy; kiedy bić, te będziemy i bić. —

Rapsztyński ze srebrnej tabakiery z wizerunkiem Rejtana, zażył tabaki, utarł nos w płócienną chustkę ozdobioną barwiami kratami.

— Ot tak Mościpanowie, natychmiast zwołać szlachtę do Owruca, Ksiądz Opat w zastępstwie Prymasa ogłosi bezkrólowie, et stante pede wyda manifest przeciw Moskwie, Niemcom i wszystkim wrogom Polski. Legalnie z Owruca zrobi Warszawę albo Kraków, konkurs do korony ogłosi, i zaprosi do elekcji na króla; przytem postanowić komissje do roz-

poznawania dóbr zagrabionych, administrowania królewsczyzn i dóbr pojezuickich. —

— Ale któż pobije Moskali — przerwał mu Kaliński pokrecając wąsa.

— Poczekaj Waćpan Dobrodziej.

— To trzeba najprzód.

— Książd Opat, zawsze w zastępstwie Prymasa, Sejm zkonwokuje, i wici do pospolitego ruszenia rozeszle. —

— Tak, tak — postukując obcasem zawołał Bajkowski — trzeba Hetmanów postanowić; tymczasowie jednego jazdy, drugiego piechoty, a trzeciego Hetmana artylerji, czyli harmaty.

— Moja lubo, ty masz moździerze u siebie, i w odpusta strzelasz na wiwat, to ja ciebie podaję na hetmana harmaty. Ale tu moja Mamo trzebaby na stronę odłożyć i bezkrólewie i wszystko, a bić Moskali. —

Józef Pausza podrapał się w głowę.

— Kiedy na to się zanosi, ja jadę do siebie, tam w lasach, to co innego, basam terem tetem. —

Podczaszy cały czas słuchał, ale aż ręką musiał usta przyciskać żeby słowa zatrzymać, nareszcie nie mógł tego dokazać.

— Co tu gadać, djabli wiedzą o czym; obraliśmy naczelnika njech on rozkazuje, a my będziemy słuchali. Panie Tadeuszu! —

Teleżyński myślał chwilę, myśl płacząc się po chudej twarzy do wyrazu prawości dorzuciła te znaki zbytnej przezorności spokojnego ale lekliwego męża.

— Najprzód należy się dowiedzieć dokładnie, o prawdzie nieszczęsnej wieści.

— Ja to biorę na siebie, żywo odrzekł Podczaszy.

— Jeźliby to był fałsz, stosownie do naszych dawnych umów, przypomnieć każdemu co przyrzekł dostarczyć dla sprawy.

— Czapowski pokołacze o to, wszak prawda?

— ~~Moja~~ moja mamó, rachuj na mnie jak na Czarnego Zawiszę, ale nie jak na Czernichowskiego, bo u tego patria to Czerniechów. Jak będziemy potrzebowali podradczyka, a zapłacimy z góry brzęczącą monetą, to on nam uczerwiej dostawi jak kto inny.

— Satis, zawołał Rapsztyński; słuchajmy Pana Naczelnika. I spojrział dumnie na Czapowskiego jakby chciał powiedzieć: masz za swoje.

— Porozumieć się z naczelnikami wszystkich gromad. Uchodzić urzędników rządowych.

— To rzecz Pana Nestora.

— A potem jeżeli będzie można to i zaczniemy.

— Bez tego, można lepiej, Panie Tadeuszu.

— Moja lubo i to, można, potrzebne. Widzicie co Moskale mówią; wszystko można, tylko ostrożnie. X

— Zapewnie że oni dobrze mówią; powiedział Teleżyński. Z ostrożnością wszędzie zajechać można. X

— A ze zbyteczną ostrożnością nigdzie, odrzekł Pan Podczaszy. X

Ponczyk, ten trunek ulubiony Owruczanów, przyszedł w pomoc na dobrą zgodę; każdy chwalił cwietoczną herbatę, i rum z Jamajki przybyły do Owrucza przez Czernobyl. Panowie obywatele djable na Moskalów się zawzięli; przelali nie jeden czajnik herbaty, nie jedną butelkę rumu, w nadziei że niebawem będą przelewali krew moskiewską. ma do
spoda
Jemel

— Ot tak moja lubo, tak najlepiej: mało mówmy, więcej pijmy, a jeszcze więcej bijmy. X

Pani Podczaszyna wróciwszy z obiadu od Księdza Opata, sama jedna siedziała w swoim pokoju; w piecu palił się trzaskający ogień, przed nią na stoliku leżała książka, ale oko jej niespokojne, bynajmniej niezatrzymywało się na tej samocie rozumu ludzkiego; pilnie chwytiała uchem najmniejszy szmer w sieni karczmy, a okiem poglądała ku drzwiom.

— Czy panicz jeszcze nieprzyjechał? zapytała wchodzącego Dmytrę.

— Nie Pani, jeszcze nie ma.

— Nieślyszalesz czy czasem nie zajechał wprost do Księdza Opata?

— Nie musi bydz tam, boby tu zaraz konia przyprowadzono.

— A bardzo zimno?

— Zimno, mróz dobrze wziął.

— Biedny Dominik zmarznie.

— Niech się pani nieboi, panicz dobrze odziany.

— Śnieg pozasypywał drogi, może zbłądzić.

— Oho, prędzejbym ja zbłądził w tym pokoju, jak panicz w Owruckim powiecie; choćby w najciemniejszą noc, żeby i drogi i nieba nie było widać.

— A wilcy teraz niewłóczą się?

— Ba, jeszczeby panicz wilka miał się bać, jak białonogi świstnie to nie tylko wilk, ale nawet orzełby go nie dogonił. Niech się Pani nie turbuje. —

Kozak myślał że zaspokoił macierzyńską obawę i wyszedł do drugiej izby, a Podczaszyna ukłękła i modliła się o powrót syna, bo był jedynak.

Pani Podczaszyna w bardzo młodym wieku wyszła za męża, nie z miłości, ale pełniąc wolę rodziców; w mężu znalazła

opiekuna, uczciwego człowieka, ale nie kochanka, tylko samowładnego Pana. Wiara i powinność obudziły w jej sercu silne przywiązanie; kochała męża, ale on mało żył tem życiem domowego zacisza, burzliwa jego dusza latała za wirem świata. Mąż szczęśliwy, szczęśliwy ojciec, ledwie miał czas rzucić przelotną pieczętę żonie i synowi: oni byli sami sobie zostawieni, i miłość ich rosła w miarę tego odosobnienia. O młodości Podczaszego biegały dziwne wieści, nieprzebaczano nawet późniejszemu jego wiekowi, ale te wszystkie gadania żona odpychała od swego ucha: ona go kochała, i w synie swoim jednaka jeszcze jego kochała.

Wstała z klęczek, otworzyła drzwi do drugiej izby. — Dmytro przygotuj wodę do herbaty, żeby panicz zastał jak przyjedzie. Może zechce co zjeść.

— Wszystko gotowe Pani.

— A łóżko posłane!

— Posłane Pani. —

Samą próbowała czy nie twardo; poprawiła poduszkę, kódrę znalazła niedość ciepłą.

— Dmytro połóż pańskie baranki, bo paniczowe rysie i burka muszą być zimnem przeszłe. —

Wróciła do swego pokoju; i w macierzyńskiej troskliwości, kabałowała czy wjechał, czy nie wjechał do miasta; licząc okiem belkę po belce na suficie, i mówiąc: wjechał, nie wjechał. Pierwszy raz wypadło wjechał. Słodko się uśmiechnęła, poszła ku oknu, słuchała; słyhać i głosy ludzkie, i skrzypienie powozów, nawet chrupotanie śniegu pod kopytami końskimi, ale nikt do karczmy niezajeżdża; to nie Dominik.

Znowu zaczęła liczyć belki, ale już od innego końca, zdając wybór na przypadek oka, wypadło: nie wjechał. Smutnie siadła na drewnianej kanapie, oparła łokieć o poręcz, a twarz o dłoń. O jakże czas był długim dla niej! gorzka łza niepokoju cisnęła się do oka, a tęskne westchnienie obawy wzdymało pierś.

Znalazła karty i kładła kabałę; wypadło cztery króle w jednym rządzie. To spełnienie myśli. Ucieszyła się, kładzie dalej: obok czerwienego niżnika, szóstka żółędna i tuż za nią kralka takąż! — To Dominik, przed nim smutna droga i łzy. Zadrżała jej ręka, ale ciągnęła kabałę: tuż winny i kralka czerwienna; w domu wesołość, serdeczność, ale tuż obok pantil czerwieny i tuż żółędny. To ona, i smutek i żaloba. Rzuciła karty o stół, wzięła książkę do nabożeństwa i zaczęła czytać modlitwę, na uproszenie łaski Bożej, i szczęśliwego powrotu dla podróżnego.

Posłyszała chrupotanie śniegu, matczyne ucho wnet przeczuło, zbliżyła się do okna i posłyszała głos Dominika.

— Hej otwieraj! —

Wybiegła aż do sieni, właśnie w chwili kiedy Dominik wjeżdżał i pytał Dmytra:

— A gdzie Pan?

— Dominiku! — Matka zawołała, i on przybiegł do nóg.

— Mama się zaziębi.

— Chodź do pokoju! — i weszli oboje.

— Mamo, ja muszę zaraz iść do ojca.

— Co ci jest? już tak późno, ojciec zaraz przyjdzie.

— Będzie się gniewał.

— Gorzejby się gniewał żebyś przyszedł teraz. —

On całował ręce matki, ona go w czoło pocałowała.

— Jakże ty masz zimne ręce? i czoło takie zimne jak lód. Chodź tu, niesiadaj przy kominie bo kataru dostaniesz. Dmytro prędzej dawać herbatę, weź baranki ojca. — I sama mu je podawała. — Gdzieżeś ty był Dominiku? —

Pocałował ją znowu w rękę, i jak malutka dziecina pieścił matczyną dłonią swoją twarz.

— W Bohdanówce? — tyś mi niepowiedział.

— Ja sam niewiedziałem, koń mnie zaniósł.

— I cóż tam?

— Widziałem ją. Ona mnie kocha. —

Po tem wyznaniu bardziej się cisnął do matczynej ręki, ona go pieściła.

— Biedny Dominiku! moje kochane dziecko! ty płaczesz?

— Nie mamo; ale ty mamo czegoś taka smutna?

— Nie mój drogi: to zmęczenie się, dziś twój ojciec przyjechał. O ciebie tak byłam niespokojną.

— Moja mamo kochana!

— To wszystko mnie wytrąciło z mojego zwyczajnego życia.

— Mnie trzeba spoczynku.

— Jak twój ojciec przyjedzie.

— Niech mama idzie spać, ja na ojca zaczekam.

— Nie mój Dominiku, pij herbatę, a potem idź połóż się. Takes przeziął, boję się żebyś nie był chory.

— Nie mamo, niech się mama nieboi, mnie to wcale nie szkodzi, ja jestem na wszystko zahartowany. —

Tu zajechały sanie przed sięń. Podczaszyna wzięła za rękę Dominika.

— Tylko nie niemów przed ojcem żeś był w Bohdanówce toby go zgnięwało, potem powiemy. —

Westchnął Dominik. — Cóż powiem?

— Żeś był w Możarach.

Wszedł Podczaszy, i syn i żona wyszli go witać.

— Czemużes nieprzyszedł do Księdza Opata, tam na ciebie czekano.

Podczaszyna za niego odpowiedziała.

— Tak go głowa bolała, żem mu niepozwoliła wychodzić.

— Cóż ci jest takiego?

— Nie wiem, coś mi niedobrze.

— Napij się herbaty mocnej, to przejdzie.

— Już mi jest lepiej ojcze.

— To dobrze, trzeba żebyś zaraz pojechał. —

Syn rzekł. — Dobrze, jak ojciec każesz.

Matce wymknęło się z ust. Dokąd? ale to widać wyraźnie że się tylko wymknęło, bo choć mąż nic nieodpowiedział, już ona drugi raz nie powtórzyła zapytania.

Podczaszy wziął Dominika do drugiego pokoju, na Dmytra skinął żeby wyszedł, i długo z nim rozmawiał. Podczaszyna ani uchem chwytła słów rozmowy, ani okiem poizera na mówiących choć drzwi były otwarte. Do chustki tuliła swoje łzy i westchnienia; potem Dominik udał się do sieni dawać rozkazy; wrócił stamtąd i żegnał matkę.

Przy pożegnaniu matka rzewnych łez wstrzymać nie mogła, sama ubierała syna, obwijala mu szyję swoim szalem, ale ani słowa nie mówiła. Podczaszy odwracał oczy żeby łez żony nie widzieć, syna uściskał.

— Jedź zdrów, a nie baw się. —

Kiedy już odjechał Dominik, a Podczaszyna ciągle płakała, Podczaszy zbliżył się do niej.

— Elźbieto, daj pokój. Cóż mu się stanie; kiedy ja posyłam to wiem dla czego i gdzie.

— Ja nic nie mówię, ale on zachoruje.

— Tybys z niego chciała zrobić babę.

— Mój mężu, ty wiesz że ma słabe zdrowie.

— Wolalbym nie mieć syna, jak mieć chyrlaka, niech się hartuje. —

Chodził po pokoju, zacierał ręce, ale i jemu kręciła się łaza w oczach.

— Ha! cóż robić? kiedy trzeba to trzeba. —

Potem jakby chciał zamówić te słowa, usiadł koło żony.

— Gdzież on jeździł, tak długo bawił.

— Był w Możarach.

— W Możarach. Pan Szymon tak późno przyjechał do Księdza Opata, a o nim mi ani słówka nie mówił.

— Może niezastał Pana Szymona.

— He! — pomyślał — chyba by zajechał do Nestorcia, bo to oni naczelnicy szlacheckich gromad, zawsze się z sobą znoszą, choć jeden do drugiego niepodobny, jak niebo do piekła. Ale i Nestor tu jest.

— Może gdzie odszedł z domu?

— Toby mu powiedzieli. Czy pewno ci mówił że był w Mozarach? —

Cicho przemówiła Podczaszyna.

— Tak mi się zdaje.

— Elżbieto, ty mi nie mówisz prawdy? —

Ona milczała.

— Elżbieto, on był w Bohdanówce. — I porwał się z miejsca. —

Ona oczu na niego nie śmiała podnieść, twarz Podczaszego poczerwieniała nagle, pędem wyszedł z pokoju do sieni i chwilę go nie było. Wrócił, wypił dwie szklanki wody, kilka razy przeszedł po pokoju, dopiero stanął przed żoną, i tak wybijał słowa, jakby każde przyciskał przed wyjściem, a one tak powolnie wychodziły jedne za drugimi, jak gdyby były o milę od siebie.

— Słuchaj Elżbieto, czy był, czy nie był w Bohdanówce, tego nie chcę wiedzieć; ale to ci powiadam, że wolałbym go widzieć na marach, na katafalku, jak jego miłość dla — dla Benigny.

Po wyrzuceniu tego imienia z ust, już nic nie mówił, tylko więcej godziny przechadzał się wzdłuż i wszerz izby. Podczaszyna już łez nie roniła, ale było jej tęskno, gorzko na sercu.

Nazajutrz dzień pierwszym gościem u Pana Wojciecha był Isprawnik Mewes; wszyscy co to widzieli, mocno się temu dziwili, zwłaszcza patrząc na uśmiechającą się twarz, i uprzejme ruchy Isprawnika; prosił aby mógł na osobności mówić z Panem Podczaszym. Podczaszy zimno go przyjął.

— Czy znowu Waćpan masz jaki rozkaz zabrania mnie? Proszę, rób swoją powinność bez tych ceremonji.

— Bynajmniej, mam pomówić z Panem Podczaszym o rzeczy, która go obchodzi, i za którą spodziewam się, że Pan będziesz mi dziękował.

— Dziękować, coby to było? proszę, zobaczemy. —

I poszli do osobnego pokoju.

Długo rozmawiali z sobą, Dmytro wyraźnie słyszał głos Pana.

— Cóż dziwnego?

— Kiedy tak, to niechże i tak będzie.

— Kiedy złe się zrobiło, to złe trzeba dobrem poprawić. —

Mewes odchodząc nie miał takiego uśmiechu na twarzy jak przy wchodzie; tak to było widocznem, że kiedy Hoszowiec wychodząc od Marszałka Pauszy, zdybał się z nim we wrotach, i pokręcał głową.

— Coś widzę Panie Swacie, ty wyglądasz jak spylony.

— Niebój się, ziarnko rzuciłem.

— Żeby no czasem nie zbutwiało w ziemi.

— Będzie z niego pszenica.

— A prędzej kąkol! bo kto kąkolem sieje, to i kąkol zbiera.

— Niech co chce się rodzi, byle się urodziło, byle on miał za swoje.

— Coś mi się zdaje że ty wyjdiesz jak Zabłocki na mydle, albo jak ten co łapiąc wróbla w powietrzu, wypuścił z rąk indyka, a potem i tego i tamtego nie miał.

— Jak to?

— Że ty djabli wiedzą sobie co ubzdryłeś w głowie, a nie pilnujesz swojego Isprawnikowskiego rzemiosła. Ot tak jak Podczaszy posiedzi jaki miesiąc i zagospodaruje się, zagnij mu znowu jakiego kruczka, żeby na Chrystonówce zrobić administrację.

— Spuść się na mnie, to swoją drogą, a to swoją. Z Panem Wojcieszkiem jakoś to pójdzie, nie posiedzi on cicho.

— Oj mnie się zdaje, że nauka nie poszła w las; będzie siedział cicho.

— Nie tak to łatwo go uchodzić.

— Ależ bo mu się nalała bieda uszami.

— Nie tak to mu tam złe było; wiesz że bogatemu sam djabeł dziecinę kołysz.

Po odejściu Isprawnika, Podczaszy zawołał Dmytra.

— Idź, poszukaj czy nie ma czasem w mieście Pana Szymona; jak jest, to powiedz że chciałbym się widzieć z nim. Proś go żeby tu przyszedł, rozumiesz?

— Rozumiem ojcze. —

Potem przyszedł do żony, ale już na twarzy był pogodniejszym, chociaż nie zupełnie wesoły.

— To był Dominik w Możarach? czy pewna jesteś?

— Tak mi się zdaje.

— Był. To hultaj chłopiec. —

Podczaszyna patrzyła na męża, on parę razy zatarł ręce, i sam do siebie zagadał:

— Wcale to mi nie na rękę, o czem innem myślałem, ale cóż robić kiedy tak się stało, wolę to jak co innego.

Wtej chwili nadszedł Pan Prezes Teleżyński, a Pani Podczaszym wyjechała na Mszę świętą. Pan Prezes miał zgryzotę na licu i w oczach, kiedy został sam na sam z Podczaszym, wyciągnął jakiś list i dał mu.

— Czytaj Wojciechu. —

Podczaszy czytał, naprzód poblądł, potem się zarumienił, oddał list.

— Tadeuszu zmiłuj się, poradź temu.

— Trzeba zaradzić, ale jak? —

Podczaszy odpiął kamizelkę, odchylił koszulę, zdjął skórzany woreczek; który zawsze nosił na piersiach, rozprół, i wyjął z niego papier.

— Masz Tadeuszu. — Ręka mu drżała i głos drżał. —

Prezes czytał, odczytywał.

— Biedna! cóż ty chcesz?

— Pokaż.

— Komu?

— Im.

— Wojciechu co ci jest? — Popatrzył mu w oczy.

— Daruj Tadeuszu, ja nie wiem co gadam, co robię. Wszak prawda, ty mnie przebaczasz Tadeuszu?

— Wojciechu, nie mówmy o tem. — I ścisnął go za rękę.

— Nie mówmy, ale to moje największe nieszczęście.

— Uspokój się; na tamto nic nie poradzimy, a trzeba drugiemu zaradzić.

— Radź Tadeuszu. — Oczyma go o to prosił.

— Przyrzekasz mi że nic o tem nikomu ani słowa nie powiesz, cobykolwiek bądź nastąpiło.

— Przyrzekam.

— Powierzysz mi ten papier?

— Powierzam.

— Bądźże teraz spokojnym, i mnie to obchodzi.

— Tadeuszu, ty zawsze jesteś moim aniołem stróżem, moim dobrodziejem.

— O gdybym ja mógł nim być, wieleby rzeczy nie tak było.

— Prawda, prawda.

— Dajmy temu pokój. — I zaczął mówić o sprawach ojczyzny. —

Podczaszy taki powolny przed chwilą, znowu powrócił do całej swojej żartkości; fukał, porywał się z miejsca, chodził po izbie.

Prezes łagodny, powolny, ani razu się nie unióśł, ani upierał się w chęci przekonania swojego przyjaciela, zawsze jednak w końcu udobruchał go, chociaż ten i przystając jeszcze pomrukiwał.

— Co to czekać, kiedy robić to robić.

Od dawien dawna przyjaźń szczerą łączyła Podczaszego z Prezesem, nigdy między niemi nie było żadnego sporu. Zdaje się, że Prezes do szacunku jaki miał dla Podczaszego dołączył pobłażanie jego porywczosci. Podczaszy zaś naprawiał swoją porywczosc usłuchaniem rady przyjaciela, i tym sposobem zachowywała się dobra zgoda.

Tak rozmawiali obadwa przyjaciele, kiedy wszedł stary Szymon; obadwa go witali po bratersku, przychylnie ze czcią, jak przystało na braci szlachtę Polską.

XVIII.

BÓG ZAPŁAĆ!

Jeszcze daleko do świtu, a już Marko Baran nie spał; całą noc prawie porał się po izbie, jak jego patron święty Marek po piekle. Przed północą i po północy wychodził na dwór, patrzył czy śnieg niepada, czy ponowy nie psuje; słuchał czy wiatr niewieje, i poczuwał jakie zimno? Sam do siebie mówił: cicho, mroźno, zwiierz z miejsca ruszy. Choć jeszcze najranniejszy kogut niezapał, Łyska pies wierny Barana, przeczuł świt, i począł z sieni łapą we drzwi drapać.

Marko schwycił się z za piecowego poła; tam sypiał żeby rozgrzać ciało po zimnie, i na zimno; rozpalil skalniki i krzyknął na syna i żonę.

— Wstawaj stara! wstawaj mały! — I wpuścił Łyskę do izby. —

Łyska był to pokurez, ostrouszek, rudy jak lis, z białą łysiną na łbie. W domu stróżliwy, a w polu ochoczy; tropowik jakiego w okolicy niebyło, kradł głos i najczęściej potajkiem gonił po tropie, ale Marko go rozumiał; kiedy zwiierz farbował, to już niebyło rady, jak się uczepił, to musiał go dojść, nigdy zaś skórki niepsuł. Od dzika i od rysa umiał uskoczyć, a z wilkiem potrafił poborukać się; nim się tego nauczył, nieraz był podkiereszowanym, ztąd szramów zarośniętych było niemało na jego skórze: był on jak dziecko w domu. Łaszcząc się, wszystkim oddawał powitanie i wszyscy go głaskali.

— Marku, może dać trochę jeść Łysce? teraz zimno.

— Niezaszkodzi, niebędzie taki ręczy. Iwasiu nakrusz mu chleba w pomyje, tylko gęsto, a niech niebędą gorące żeby się niesparzył. —

Chotyńna przygrzewała barszcz mężowi, Iwaś przystawił do ognia garnek z pomyjami i kruszył chleb dla Łyski, a Marko pokręcał nabój w handźarce, połą od świty wycierał panewkę, i pazurem pocierał po skałce, jak gdyby ją nastalał.

— No teraz i do rodzonegoby Ojca wypaliła. —

okładka 124
 Izba była dość chłodna, glina tylko miejscami połupała się na ścianach, na suficie dym jeszcze niezupełnie belki zakopcił; i komin wiszący nad piecem, i łucznik na środku izby świeżo wybielone były, bo to wtorek, a dobra gospodyni, co soboty, i bieli i myje chatę. Klepowisko było w miejscu podłogi ale gładkie. Na tapczanie była jaka taka pościel gospodyni, nawet poduszka pierzem wypchana; w końcu izby na kożuchach było legowisko syna i Łyski kiedy go wpuszczono do izby. Garnki i miski stały pod przypieckiem, a koło nich siedział kot i niby zaspany patrzył na tarakany, jak spłoszone światłem zmykały w szpary. Była tam i dziezka z kwasem, i półbeczek z soloną kapustą.

X
 Ale nie z tego można sądzić o bycie Marka Barana; trzeba zajrzeć do komory, a tam skóry niewyprawne z rysiów, lisów, kun, bobrów, zajęcze skórki, zagadałyby: będą za nas karbowanie, a za naszych braci już są gdzieś w garnku zakopane w ziemi. Tam faski z solonem mięsiwem zwierzyny, ryby suszone, także jagody, orzechy, poświadczłyby, że w Markowej chacie niedostatku niebywało. Niepijał u żyda arędarza na wilczą skórę, kiedy ta gdzieś po lesie jeszcze biegała z wilkiem; ani też przejadał tego samego dnia, to co zarobił; żył z jutrem, oglądał się na to co będzie, a trzymając się prawdy, że ziarnko do ziarnka, to będzie miarka: wzrósł w możliwość.

W sieni po raz pierwszy kogut zapiał, kiedy Marko już dojadał barszcz z kawałem chleba, i zabierał się w drogę pomrukując.

— Do Żołońskiego bagna dobry kawał, wczoraj tam pociągnęły dwa rysie, trzeba uprzedzić Skorodnińskich miściuków.

— I oni ranni ptaszkowicie.

— Chybaby im djabeł do ucha szepnął o rysiach. Wczoraj cały dzień śnieg jak z za rękawa padał, a jak ja widział ślad, to tylko co było można dojrzeć. —

Ze strzelbą, przy torbie dobrze obciążonej, Marko przestępując próg, żegnał się w imię Ojca i Syna i Ducha świętego Amen. A Łyska skakał koło niego, kiedy przed chatę zajęchały jakieś sanie. Marko wyszedł i powrócił z Panem Dominikiem.

Chotyna po powitaniu, na syna zawołała:

— Pocałuj w rękę Pana. —

Dominik go pogłaskał pod brodę.

— Dokądże tak wybrałeś się Marku?

— Zwyczajnie Panie, szczęścia poprobować po ponowie.

— A ja ciebie chcę zabrać z sobą.

— To jak Pan każe, ja gotów, a dokąd?

— Na cietrzewie podjazdem. —

Marko pokręcił nosem. — Będzie bardzo jasny dzień, ciężko znaleźć, a jak znajdziemy, to niedosiedzą.

Dominik mrugnął, i kilka słów powiedział mu ciszej.

— No to i pojedziemy, Iwasiu pobiegnij, obudź Trochima, przychodź z nim tu. — A kto Pana przywiózł?

— Stepanek.

— On jeszcze młody, na polowaniu się niezna, niech tu zostanie, a ja Pana będę powoził.

— Niech zostanie.

— Chotyno pamiętaj o nim. —

Wszedł Trochim, a Marko mu rzecze na stronie.

— Wsiądź na bułanego, weź Łyskę, i pojedź do Żołńskiego błota, wiesz, do tego gdzie to stoi czortowy dąb, postaw konia koło Mykity stogu, a sam z Łyską obejdziesz ług do koła, tylko trzymaj Łyskę na pasie; potem przejdź ług w szerz ale niezaczepiaj, broń ciebie Boże, zielonego wianka. Weź ze spichlerza tego burego kota, co to w miejscu do myszy, do gołębi się bierze, włóż w torbę; jak będziesz wychodził z ługu to go nożykiem czerknij, i pokrop farbą ślad, w koło stoga więcej farby zostaw, i powracaj do domu, a tak jedź i tam i nazad, żeby ciebie oko ludzkie niezajrzało. Rozumiesz Trochimie.

— Wielka sztuka kota czerknąć, i ludzi pobałamucić, żeby to tylko udało się wywieść ich w pole.

— Bądź spokojnym, poznają oni łapy Łyski, a krew kocią to rychtyk taka jak rysia. Jeszcze to do tego złego nieprzyszło, żeby Miścicy Skorodniańscy polowali po śladach Marka Barana. No ruszaj Trochimie, a duchem. —

Jeszcze z Korczówki niewyjechali, kiedy Marko odezwał się.

— Panie, a niedobrzeby było z Możarów kogo wziąć, tu bliżej i składniej jak do Jezieran.

— Zapewnie.

Jakubcio i młody Włodzimierz to chwaci, a jak jest stary Pan Szymon, to i on nieodmówi. To to robota trudna.

— Jakoś to będzie.

— Ale w dzień niemożna, trzeba czekać do nocy.

— Kto to wie, jak wypadnie.

— Kiedy tak, to niech się Pan przebierze tak jaki my, a sanki zostawimy w Możarach. Już to nikt tam się o tem nie-dowie, na wszystko poradzi stara Małgorzata i kniaziówna. —

Jeszcze się nierozświtało, kiedy przyjechali do Możarów przed dworek starego Szymona; ale już tam ludzie czuwali. Małgorzata jak posłyszała że Pan Dominik chce polować w Możarach, zaraz zawzięła się przyrządzać śniadanie. Duchem konie Poczeszyca były w stajni, a Jakób i młody Włodzimierz, do dwóch saneczek malutkich, o jednym dyszlu, zaprzęgli po jednym koniu. Pustym śmiechem śmiały się kobiety, kiedy

Dominik przybrał się w kozuch i nałożył siwą czapkę. Praksesta pomyślała sobie.

— O czemuż on tak zawsze niechodzi! —

I nieśmiała się, nie pustowała z innymi.

Dawno wyjechali myśliwi. Małgorzata zagoniła córki, synowe, i wnuki do wybierania pszenicy na strudel Bożego Narodzenia. U niej jak u drobnej gospodyni, o wszystkim w czas myślano; trzeba była ziarno przesuszyć, zmleć w młynie i mąkę suszyć, a na to wszystko mało kilka dni. Na stole, na ogromnym radnie, wysypano pszenicę, w około zasiadły niewiasty i dziewice, każda zrzuciła na bok kąkol, groszek, nikłe ziarno, i inne zboże, a ziarno czyste zsypywała w podolek, i śpiewały.

Tekla naprzód poczynała:

Oj dziewczyno, dziewczyneczko
Dla kogo to, te ziarneczko?
Dla kogo to, krasnolica?
Oj dla mnie to, dla dziedzica.

Magdalena odpowiadała:

Nie dla ciebie, ta pszenica.
Nie dla ciebie, to dziedzica.

Wszystkie korowodem kończyły.

Dla naszego, dla lubego.
Dla Jezusa malutkiego.

Znowu Tekla.

Hej dziewczyno, ot zapłata,
Za ziarneczko, masz dukata.
Oj daj, w oczki spojrzę tobie.
A ja potem pójde sobie.

Skończyła Tekla, a Magdalena śpiewała.

Niechę, niechę twej zapłaty;
Niechę, niechę; weź dukaty.
Nie dla ciebie ma żrenica.
Nie dla ciebie ma pszenica.

I znowu korowód wyśpiewywał.

Dla naszego, dla lubego
Dla Jezusa malutkiego.

Tu Tekla krzyknęła i odskoczyła od stołu.

— Praksesto. —

Prakseda zerwała się z miejsca, ogromny pajak kosarz lazył po niej, podniosła rękę żeby go strząsnąć, Magdalena porwała ją za rękę. — Daj mu pokój!

I Małgorzata powtórzyła.

— Daj mu pokój; to znak że kawaler dla ciebie się zjawi niezawodny. —

Pajak pomalutku zsunął się z dziewczycy, ale młody kotek igrający pod stołem skoczył za nim, i tak go łapkami przyduślił, że pajaka zgmiotł. Magdalena chustką go odgoniła, ale już było poniewczasie.

— Ot i nieszczęście! —

Prakseda była rumiana, była blada, siadła i wybierała pszenicę, a wszystkie na nią patrzyły.

Małgorzata kaszlnęła parę razy.

— Jak dziś pamiętam, cztery nas było u matki, ja najmłodsza. Jednego wieczora w piątek, wlaź na mnie pajak; wszystkie się śmiały, a nazajutrz dzień ni ztąd, ni zowąd przyjechał Włodzimierz, i zrobiło się małżeństwo, a z moich sióstr, żadna tego roku nie wyszła za mąż.

— Ależ mam, dziś wtorek. — Odezwała się Dorota.

— Prawda że w piątek, to dobry początek, ale i wtorek zły na worek; będzie miała bogatego męża.

— Ale bo ten kot.

— Już co tego to nie wiem; mój pajak pamiętam dobrze polazł na ścianę. Pani Tomaszowa możeby nam i powiedziała co to znaczy.

— Ja pójdę po Panią Tomaszową. — Zerwała się Tekla z miejsca. —

Prakseda podniosła głowę.

— Niech ciocia nie chodzi.

— Niby to ona nie chce.

— Dalibóg że nie; proszę bardzo cioci nie chodzić.

— A jak mama mówi?

Małgorzata nic nie powiedziała, ale skinęła głową i Tekla poprawiła chustkę na głowie, nadziała przyjaciółkę podszytą białemi królikami i wyszła.

Starej Małgorzacie stanęły w pamięci wszystkie mowy Isprawnika Mewesa w ów dzień urodzin teścia, owe tańce, i owe rozmowy Pana Dominika z Praksedą; tak to sobie przypominała, że aż zmrużyła oczy, jakby zadrzemowała.

— O! nie, to być nie może! —

Otworzyła oczy, popatrzyła na Praksedę, ona taka ładna; uśmiechnęła się staruszka.

— Czemu nie? — niepodobniejsze rzeczy się zdarzają.

— Co mamie jest, mama sama do siebie gada?

— To tak coś mi się przypomniało; ale ot słuchajcie, Tekla

już wraca, jak się śmieje, co to za pusta głowa, sprowadziła biedną Panią Tomaszową w takie zimno. —

Prakseda wstała i wyszła do alkierza, a w tej samej chwili weszła Pani Tomaszowa.

Tomaszowa miała już do pięćdziesięciu lat. Gruba, otyła a nie wielkiego wzrostu, twarzy nacechowanej dobrą wolą, prawie zawsze się uśmiechała, a to tak że nawet tłusty podbrodek zdawał się uśmiechać. Ta postać dziwnie pasowała z jej umiejętnością niby lekarki, niby znachorki.

Wszystkie się jąły na prześcigi opowiadać jej o owym nieszczęśliwym pajaku. Ona się śmiała.

— A jużciż to kawaler; a jakiż on był, czy kosarz, czy krzyżak?

— Kosarz! kosarz!

— To dobrze, jeszcze nieżonaty. Gdyby był krzyżak, toby znaczyło, że to wdowiec będzie.

— Ale kot go zgniotł.

— To niedobrze — pomyślała trochę — ale czy przypadkiem, czy umyślnie?

— Już tego nie wiemy.

— A jakżeby było lepiej? — zapytała Małgorzata.

— Lepiejby było żeby przypadkiem.

— Jużci że to musiał być przypadek, cóżby kotek miał do tego pajaka? cóżby to miało znaczyć?

— Nie wiem — nic. — I nie uśmiechała się Tomaszowa. — Jeżeli to przypadek, to może przypadek odwróci nieszczęścia od kawalera; jeżeli umyślnie to nic go nie uchroni.

— To przypadek, ale gdzież Prakseda?

— W alkierzu. — Dorota wstała i wyprowadziła z tamtąd córkę.

— Jakaż ty blada moja doniu?

— Cóż ci się stało?

— Nie bój się, twemu kawalerowi nic się nie stanie, to przypadek.

— Oho! jakiego raka upiekła.

— Tekło węz talerz, żeby go tam złapać.

— Tomaszowa, powiedźże nam, jaki będzie jej kawaler, czy białokury, czy czarnobrewiec?

— A może rudko?

— O niechże ją Pan Bóg broni od tego. [Wiesz że mówią; lys, zyz, kuternoga; kiedy się uda, to wielka łaska Pana Boga; a do tego dodają i rudego.]

— Jakże to poznawać Pani Tomaszowo?

— Dajcie mi trochę fasoli białej, ciemnej, żółtej i pstrokatej, każdej po trochu. —

Przez ten cały czas Prakseda tak sobie dumiała, jakby to nie o niej mówiono, jednak jej lice było tęskne, i nawet chwi-

lową wesołością ani razu się nie przybarwiła. Przyniesiono fasolę; Tomaszowa naliczyła ziarenek ile jej było potrzeba, między obiedwie dłonie je włożyła, mieszała i poszeptywała jakieś słowa z cicha, a potem rzuciła na stół; w jednym miejscu było siedem razem, sześć ciemnych, a jedno pstrokate, inne rozsypały się pojedynczo, po dwie, po trzy najwięcej.

— Czarnobrewiec, ale musi mieć siwe, albo błękitne oczy.

— Dalibóg zgadła Pan Tomaszowa — zawołała Tekla. —

(Siwe oczki, oj siwe
Dla dziewczyny szczęśliwe.)

Prakseda z ukradka popatrzyła na ziarnka fasoli, słuchała mowy Tekli, i spojrzała na matkę i na ciotkę Magdalenę, jak gdyby ich prosiła żeby dały jej pokój. Magdalenie żal się zrobiło siostrzenicy.

— Ty Teklo gadasz o siwych oczkach, a to Pan Feliks śpiewał o siwym koniu, pamiętasz?

— Nie pamiętam, zaśpiewajże mnie.

— Dobrze, słuchaj:

(Siwy konik siwy, siwo jabłkowity,
Kochają mnie panny, kochają kobiety;
Siwy konik siwy konopiata grzywa,
Powiedz dziewczyneczko, kto u ciebie bywa.)

(Siwy konik siwy, po nim czarne pręgi,
Kochaj mnie dziewczyno, bo ja chłopiec tęgi.)

— A ja dośpiewam na ucho Praksedzie. — Schyliła się do ucha dziewczicy.

Czyje konie czyje? po polu biegają?
Pana Dominika, Praksedy szukają.

Tak rumieńcem spłonęła dziewczica, że aż twarz musiała skryć w chustkę.

— Cóż ta pustaczka jej naszeptala? —

I Tekla i Prakseda obiedwie razem odpowiedziały.

— Nic. —

Potem gadano o tem że Pani Ignacowa sprzedała wszystkie kury i kaczki, a nawet łoszaka Pana Ignacego, żeby sobie kupić takie kałanki, i taką kozio-puchową chustkę, jak u Pani Woźniny Lewkowskiej. Że Pani Karolowa wabi i zwabić nie może do córki Rejenta Nidaszkowskiego. Że Panna Urszula przerzucała chłopcami jak gnilkami, a teraz nikt jej nie chce, i rada nie rada, musi osiąść na starem panieństwie. Że Jan z Leonem aż za czuby się wzięli, dla tego że Janowa nazwała

Leonowę szurpą. Nakoniec, że Wincentowa mimo przysięgi iż nie pójdzie drugi raz za mąż, jak się jej trafił Korkuszek, ni z pierza, ni z mięsa, bo to i niepoczesny i niebogaty, tak się go uczepiła, iż nieborak musiał przystać na zapowiedzie, a za tydzień od tej niedzieli pójdzie do ślubu. Tomaszowa wszystkiego słuchała, ale ani słowa nie rzekła coby mogło rozjaśnić tajemnicę. Ona o wszystkim wiedziała, bo do niej przychodzono po rady, po wiadomości; ale ona zawsze mówiła: co do mego ucha dojdzie, to tak jak do ucha spowiednika; nikt o tem wiedzieć nie będzie, sam Pan Bóg tylko.

Przeszedł dzień, nadszedł wieczór, a myśliwych jeszcze nie było; Tekla była spokojną o swego męża, sama mówiła.

— Jak wyjeżdża na polowanie, to zawsze powiada: jak tylko zmrok padnie, to zaraz powrócę; a tymczasem i dwa i trzy dni bawi, a potem niestworzone rzeczy mnie plecie, i myśli że ja temu wierzę.

— To prawda że ci mężczyźni, póki kawalerami, to nie tak bardzo lubią polowanie, a jak się poženią toby ustawicznie polowali. —

Mężczyźni którzy już powrócili z roboty śmieli się.

— Polują żeby nie być na oczach żonek. — Ozwał się Łukasz.

— A tóż dla czego?

— Bo żonki oczy, zawsze to gorsze łańcucha. —

— Widzisz ich, jakie gagaty; Jakóbby jednak tego nie powiedział.

— On lepiej sobie radzi, bo robi to co ja mówię.

— Ale ot słuchaj ktoś jedzie. —

Prakseda odezwała się. — Nie babko, to tak dranica mocuje się z mrozem.

— Patrzcie, ona słucha, a zdaje się że tak szyje jakby o niczem innem nie myślała.

— I dobrze słyszy, bo doprawdy to dranice pękają.

— Dziadek pewnie nie powróci, zanocuje u Księży Bazylionów, on tak późno bez potrzeby nie lubi jeździć.

— Ale Pan Dominik?

— Pan Dominik może prosto powróci do Owrucza, jak mu bliżej będzie.

— Kiedy zostawił swoje konie tu. — Odezwała się Prakseda.

— Co to znaczy, koniom tu się nic złego nie stanie, a Pan Dominik prędzej zechce być w mieście, widzieć się z Panem Podczaszym.

— Jakto, albo już powrócił?

— Od kilku dni, zdrów i taki jak był zawsze.

— A Pan Dominik nic nam nie powiedział?

— Myślał że wszyscy o tem wiedzieli.

— Słuchajcie, ale otoż i kury pieją.

— Ktoś jedzie. — Wstała z miejsca Prakseda, i w jej oczach była radość dziecinna, błyszcząca uśmiechem, a na jej twarzy radość dziewicza, barwna rumieńcem. —

W samej rzeczy zajechały sanie, i weszli myśliwi: Małgorzata na wstępie zaraz powiedziała.

— Prakseda pierwsza posłyszała sanki. —

Dominik uśmiechnął się.

— Nic dziwnego, praprawnuczka Księcia Chrzyciciela musi mieć ucho czujne, oko baczne.

— A serce? — Odezwała się Tekla, nie bardzo głośno.

— Co umie kochać Polskę, jak serce Księżniczki Praksedy, matki dzielnego Księcia Włodzimirza.

— To Pan słyszał o tem; od kogo? od Praksedy?

— Włodzimierz mnie dziś opowiadał w czasie polowania. —

Te słowa wlały i dumę i szczęście na postać dziewczicy, i pięknie jej z tem było. Pomyślała sobie: on o mnie myślał, kiedy mówił o moim rodzie. Dominik był bardzo uprzejmy, i weselszy tego razu jak zazwyczaj, lecz niestety krótko bawił i wyjechał z Włodzimierzem młodym, który napał się go odprowadzić do Korczówki.

— Gdzież podzieliście Marka?

— Jak poszedł za kuną, tak ani rady było odhukać. Pan Dominik się śpieszył, trzeba było porzucić, ale on znajdzie swoją drogę.

— Już to o polowaniu, to was ani pytać, kiedy sami nie gadacie. —

Jakób potrząsał głową.

— Naprzód zaraz jak tylko wyjechaliśmy, Samuelowa przeszła nam drogę z próżnemi wiadrami; potem zdybał nas Zaruczajski Semen i biczyskiem policzył.

— No to wszystko. — Rzekł stary Włodzimierz, mąż Małgorzaty. — Jak Ksiądz Baszniański mawiał: racja fizyka, Kaśka nie ma butów.

— Ba ojciec niewierzy, a ten Semen to takie ma paskudne oczy.

— To trzeba było dopędzić Semenę i kazać mu rakiem przeleść przez waszą drogę, toby oduroczyło.

— Myśmy chcieli, ale Pan Dominik nie pozwolił.

— I na czemże się skończyło?

— Tak jak na niczem, zabiliśmy jednego ciecieruka, dwa koty i capa dwulatkę. Pan Dominik wszystko to tu kazał zostawić dla Kniazionnej.

— To prawda że niewiele na taką ponowę.

— Ponowa niekoniecznie wyśmienita, ale w lesie to strzelanie jak na rezurekcji, tak jakby starzec z zakłętego jeziora się rozhukał.

— A naszych zdybywaliście?

— Naszych było pełno, ale wszyscy za kunami się włóczyli; ale to Markowi się udało, jednym strzałem i ciecieruka i capa złomotać.

— A to jakim sposobem?

— Dojeżdżaliśmy do Kaszczynej sosny, kiedy na samym zakręcie, na niewielkiej łożie siedzi ciecieruk; niemiał ja czasu koniaki zatrzymać, aż tu Marko hrym, ciecieruk z dymem w śnieg się przewrócił, ale i w łożie załomotało. Bierzemy ciecieruka, idziemy dalej, aż tam w łożu cap, jak żydowski pies na łapkach służy; ze trzy szróciny krzyże mu przebiły.

— A prawdaż to temu?

— Jak moją Teklusię kocham, tak prawda.

— Tekluniu czy można wierzyć?

— On lepiej to wie jak ja.

— Nic dziwnego, [człowiek strzela, a Pan Bóg kule nosi]; a Pan Dominik że zabił co?

— Nic: cały czas z Włodzimierzem bałakali o Praksedzinyh kazkach. —

Stara Małgorzata wstała z miejsca.

— No teraz dalej spać, a jutro wszyscy możecie iść sobie na polowanie, my wam szczęścia dajemy.

— Dobrze, dobrze.

— A nie zapominajcie o pacierzu, bo [kto bez pacierza spać idzie, temu Pan Bóg nic nie daje]. — Małgorzata jak dzieci naganiała córki, wnuki, synów już podszpakowaciałych, i wnuków pod wąsem, a oni jak dzieci słuchali. —

Tekla rozswawoliła się i jeszcze przy odchodzie szepnęła Praksedzie:

— Proś swojego starca, żeby ci Pana Dominika nie zaklął w brodatego żubra.

— A to dla czego?

— Bo coś ja temu zaczynam wierzyć, że to wszystko na prawdę. —

Dziewica nie odpowiedziała nic, ale uściśnęła ciotkę na dobranoc.

Dopiero na drugi dzień w wieczór Marko powrócił do chaty, głąskał Łyskę.

— Biedny Łyska ty zemną nie był, jutro pójdziemy. Trochim tego się spisał. — Wyciągnął z torby dwie skóry ry-

sie, samiec naprzód, a samiec nie daleko poszedł, swoje dostał. —

Żona ogłądała skóry. — Będzie najmniej dwadzieścia karbowańców.

Synek ze strzelby mierzył do kota. — Toby to ja jego palnął.

Po wieczery Marko długo siedział w komorze. Chotyna zasłyszała jakby stukanie rydla i jeden raz brzęk karbowańców. Przeżegnała się krzyżem świętym.

— Chrystynowscy Panowie na rękę memu człowiekowi. Niech im ludzie nie nawrocą a Pan Bóg dopomaga. —

XIX.

Westchnienie tylko westchnienie.

TADEUSZ PUNGOWSKI.

— Taki tak. Pop swoje, a djabeł swoje: i zginie a rozumu nie przybędzie.

— Cóż tam się zrobiło moja luba?

— A Wojcieszek zawsze. Wczoraj u Istrapczego my sobie zasiedli do ćwika, ja, Pieńkowski, stary Kownacki, Gierszod i gospodarz, bo to nie ma jak w pięciu ćwikowac. Pieńkowski po swojemu wpadł w płatkę, było sto dwadzieścia złotych gotówki, a drugie tyle na kredkę; ładna stawka. Ja dawałem karty, wyświeciła Księżna siostra; Pieńkowski pod ręką siedział, i wyrwał się: ja biorę na ćwika. Bierz, twoja płatka. U mnie był tuz. Myślę sobie; pójdę do hazardu a napędzę mu Piotra; aż tu drzwi się otworzyły i wszedł Pan Wojciech w futrze. Nie powiedział nikomu dobrydzień, jak się masz, jakby to my wszyscy byli psy. Pan Istrapczy podniósł się, on za lichtarze ze stolika. Dmytro! — zdmuchnął świece — bierz, to nasze.

— A cóż moja mamó, kiedy to było jego; jak mu zabrali tak on odebrał.

— Taże to jego było, nie ma co mówić; ja to o tem dobrze wiem, ale to Istrapczy może licha narobić.

— Nie bój się, na złodzieju czapka gore.

— Taże, żeby to tak czapki gorzały na złodziejach, to do tej pory wszyscy moskaleby się popalili, i nie byłoby ich na nasienie.

— Tato prawda że to ich rzemiosło. Starzy ludzie moja mamó mówią, że kiedy Chrystus Pan był na krzyżu, polak przyszedł i rzekł do niego: Synu Boży, Panie mój jedyny, ja ciebie odrąbię i za ciebie się wyrąbię. A moskal nyszkciem się zbliżył: Jezusie Chrystusie, ja cię ukradnę. Chrystus odpowiedział: — Dziękuję wam, zostawcie mnie, idźcie w pokoju, a róbcie swoje. Otóż oni i poszli. Polak rąbał a Moskal kradał.

— Ta. — Polak rąbał i przerąbał się, ze swoim rąbaniem na hetkę petelkę wyszedł; a moskal kradł i nakradł, i teraz wielki Pan. [Kto ma pobrzękacza, to znajdzie i rębacza.]

— Zostawmy ich, ale cóż moja lubo Istrateczy?

— Tak się rozgniewał że ani rady; powiada: że to dla niego gorszy dyzhonor, jak gdyby go w pyski zbili.

— Ja jemu mówiłem żeby wyzwał Pana Wojciecha na szabelki, to będzie i satysfakcja; ale on nie chce, mówi że to za mało; a trzebaby jego uchodzić, bo będzie nam wszędzie w drogę włązu.

— Ta moja luba, może mu dać ze sto rubli assygnacyjnych.

— O co to, to mu satysfakcją zrobi, lichtarze więcej nie były warte.

— Ty Nestorciu już to weźmiesz na siebie.

— Jak dacie pieniądze, to na siebie wezmę.

— A powiedzno, czego to Mewes dziś tak rano poleciał?

— To znowu jakaś sztuczka się zrobiła. Jakiś rotmistrz taki wąsaty jak sum, jechał kurjerem od samego świetlejszego Kotuzowa; już ujechał ze staję z Troski, kiedy w lesie napadli jacyś hajdamacy; obrali ze wszystkiego, z groszy, z sundaczka, a nawet sumkę z papierami zabrali. Konie z sankami zapędzili do djabła, a Pan Rotmistrz, z jemszczykiem wrócili do staję, i dopiero przed świtem tu przyjechali.

— Coż on gada ten Rotmistrz?

— Zwyczajnie Rotmistrz, a jeszcze huzar. Łże jak pies, a dmie się jak pęcherz. Mówi że było rozbójników ze dwiestu, i że on zastrzelił i zarąbał już nie pamięta wiele, dość że było mięsa. Jemszczyk mówi że był pijany jak sztok, i nie ani na kryszkę nie pamięta. Ja mówiłem Mewesowi: coś ten Rotmistrz papla jak Piekarski na mękach.

— Ba, moja lubo — może to oni?

— Już to jeżeli co było, to pewnie nie wilcy, ani zające, ani ty i ja.

— Znowu będzie dla Mewesa gratka.

— Chciałem ja żeby on tu został, ale i tak nic nie robi; lis jaki rozumny, a jednakowo saneczkami da się objechać.

— Cożeś ty zrobił?

— Namówił żeby wziął z sobą Zasiedatela Korczewskiego, ten jak potrzeba, to jego i pod trop poprowadzi; to nasza krew, choć on Zasiedatel, to taki wilka ciągnie natura do lasu. Ja zawsze to gadałem naszym pańom, trzeba wszędzie swoje trzy grosze wsadzić. Ot jak się zda teraz i Zasiedatel, kiedy nasz.

— Już Nestorku, jak będzie Polska to będziesz administratorem wszystkich królewszczyn, i dóbr po jezuickich; już ja ciebie podeprę, choćby obudwoma ramionami.

— Bóg zapłać i za to; ale i bez tegoby się obeszło; to rzecz publiczna, a każdy Hoszowiec taki dobry polak jak i inny.

U Pana Marszałka Pauszy wszyscy jak to mówią pospuszczali nosy na kwintę. Pan Podczaszy przyniósł im czarno na białem, pewność o Berezyńskiej kłesce, i o odjeździe Napoleona z Wilna. On sam zwątpiał na chwilkę, ale spojrzął na syna: na ustach młodzieńca, było milczenie przez poszanowanie dla starszych, a w oczach jego było wyzywanie tychże starszych do czynu. Podczaszy głową potrząsał.

— A cóż Waśc?

— Napoleon powróci.

— Może tak, może i nie.

— Czyż my dla tego mamy przestać być Polakami?

— Nie, nie synu; tak źle nie będzie. —

I po tych kilku słowach, każdy przebąkiwał, jakby podstrajał swoją mowę. Nareście się rozgadali, i długo radzili, a z tej rady tylko to się rozeszło między owrucką szlachtą: Napoleon powróci; gotujmy się na Moskala.

W parę godzin po tej naradzie, Pan Podczaszy był z żoną i synem. Widno że chciał coś mówić, a niewiedział od czego zacząć, nareście dotknął synowskiego ramienia.

— Tęgoś mi się spisywał, bardzo rad z tego jestem ale po co? — ale zaprzyjaźniłeś się bardzo w Możarach.

— To dzielni ludzie ojcze, żeby tacy byli wszyscy.

— Ja to wiem; dobra szlachta stara, z Książów Możajskich, ale i Waśc dobry szlachcie. Kasztelanów miałeś w swoim rodzie; Prószyńscy siadywali na senatorskich krzesłach. —

Syn niewiedział do czego ta mowa zmierza, milczał. Ojciec, u którego we zwyczaju nie było kołować koło rzeczy, o której chciał mówić tak pomału wyszukiwał słów, jak student co swojem słowami chciałby wyrecytować lekcję, której się nienauczył, w końcu machnął ręką.

— Waśc dobrze znasz Pannę Praksedę prawnukę Pana Szymona.

— Znam mój ojcze.

— I dobrze znasz? — przygryzł wargi. — Mówią że przystojna panienka, i wcale do rzeczy.

— I jedno i drugie prawda.

— Otóż ja chcę, żeby była moją synową. — Przeszedł się.

— Tak, tak, Waśc się z nią ożenisz. — I nie czekając odpowiedzi wyszedł na przeciwną stronę, do Pana Pauszy. —

Podczaszyna patrzyła za mężem, patrzyła na syna. Cicho, nie śmiało przemówiła.

— Co się stało twemu Ojcu?

— Ja się nie ożenię.

I oboje na tem zamilkli.

Kiedy Podczaszy wszedł do Pana Marszałka, zastał tam

kilka osób, a między niemi Rejenta Uszczapowskiego; za nadejściem Prószyńskiego wszyscy przestali mówić, i spojierali po sobie. On nie był w bardzo uprzejmym stosie.

— Cóż tam takiego, tak spojieracie na mnie jak na raroga? Przecież ja ten sam co byłem przed kilku godzinami.

— To tu nie o tobie była mowa moja luba, coś tobie w nos wzło, a ty na nas chciałbyś spędzić złą dumkę.

— E, daj mnie pokój, mnie teraz nie żarty w głowie.

— Kiedy mojem nie w ład, to ja z mojem nazad moja mamu. —

Obrócił się plecami do Czapowskiego.

— Jak się masz Panie Rejencie? Cóż tam, nagotowałeś na mnie jaki pozew?

— Moją submisję składam Panu Podczaszemu, jak trafi się okazja, a mój pryncypał zarekwiruje, to i pozew się znajdzie.

— Pozywajcie, niech was djabli wezmą. —

Czapowski ruszył ramionami.

— Moja luba, na kim się skrupiło to skrupiło, a na mnie i na Rejencie się zmeło.

— Czy ty do mnie gadasz? — Obrócił się do niego twarzą.

— Teraz do ciebie moja luba, a co wprzód do takiej smutnej twarzy ani gadać, ani patrzeć nienawykłem.

— Przepraszam ciebie; wziął go za rękę.

— Kiedy Pan przeprasza, to ja się niegniewam, a na Rejencie to już ma przyschnąć.

— Pan Rejent się niegniewa.

— Bynajmniej, nie było żadnego przekroczenia ani przeciw Statutowi, ani przeciw Konstytucji. —

Podczaszy odszedł do drugiego pokoju z Czapowskim.

— Czegoż ty tak się rozindyczył?

— Bo nie lubię kiedy przedemną kryją się z mową jakoby o mnie co złego mówili; między nami powinno być tak: wszystko w oczy, nic po za oczy.

— Co bo tobie jest? to nie o tobie mowy.

— Jak nie o mnie, to trzymajcie się z niemi.

— Ta to nie o tobie, ale o Dominiku; nasze Owruckie kwoki moja luba, rozkwokały że twój syn zbałamucił Możarkę.

— Mój syn zbałamucił? to nie prawda.

— A choćby i tak było, jak my młodzi byli, to tak samo robili. —

Głośno zawołał Podczaszy, a po swojemu głosem wybił.

— Mówię ci że mój syn żeni z Panną Praksedą Możarowską. Tak, tak, Księżniczka Możajska nie powstydzi Prószyńskiego. Ja tak chcę, a Pan Szymon zezwoli. —

Wyszedł ztamtąd, szlachta rozmawiała:

— Przystąpiło coś do niego: Prawda że Możarowscy taka

dobra szlachta, jak i drudzy, ale posagu złamanego szeląga nie ma.

— Po djabła jemu posag, kto ma Chrystonowiecki klucz ten o posag może niedbać.

— Od przybytkła głowa nieboli.

— Ale co to powiedzą nasze panie szlafrakowe, jak zobaczą szlachcianeczkę z gorsecika i z przyjaciółki wyrosłą na Panią Podczaszycowę.

— Pofochają trochę, a potem dadzą się udobruchać.

— Ja wiem co to: Pan Wojciech rachuje na pewno że będzie Polska, Możajscy odbiorą i pograbione dobra i tytuły zaprzeczone przez Moskala. Oto wtenczas będzie tym wszystkim konfuzja co będą na to krzyczeli.

— Słuchajno ty moja luba, tak nie gadaj na Pana Wojciecha; on nie żyd, ani żaden kupiec, żeby tam kartował jakieś rachunki. On dobry szlachcic i uczciwy człowiek, powiada: moja mamó, kiedy się kochają, to niech się biorą. —

Wszyscy zawołali:

— A ten pies ktoby o takie żydowstwo posądzał Pana Wojciecha.

— Pan Kordysz tak tylko sobie żartował; nieprawdaż?

— A jużci ja nie w złąj myśli to powiedziałem, zachowaj mnie Boże. Panie Kamiński, Podczaszy taki Owruczaniu jak i my, a ten Bożego podszycia nie wart kto na swoje gniazdo kraka. Ja w najlepszej myśli tak życzyłem Panu Wojciechowi, jakbym sobie życzył.

— Panie Marszałku, wina, kieliszków, wypijemy. —

Duchem wniesiono czego Panowie szlachta zachcieli, bo to psia powinność Marszałka, za to że mu do urny sypnęli afirmatywek, musi przez całe trzy lata karmić, poić i służyć szlachcie; jak gdyby on był gospodarzem zajezdneho domu, i to żydem, co to drze bez miłosierdzia, ale za to też i służy na jednej nodze.

Czapowski porwał za kielich.

— Dobrze powiedział Kordysz, choć nie temi słowami; paskudny to ptak co swoje gniazdo kala. Moja mamó, żeby takiego między nami nie było, po wiek wieków. —

Szlachta duszkiem piła.

— Żeby pomiędzy nami takiego nie było po wiek wieków. —

I szlachta na dobre zawzięła się suszyć Marszałkowskie butelki. Rejent pomrukiwał sobie pod nosem:

— Ktoby powiedział? Pan Dominik taki młody, zdałoby się komu że niewiniątka, a dwie panny na raz bałamucił. Biedna Panna Benigna, cóż robić, prawodawce nie przewidzieli kary na takiego bałamuta, nie masz na to lexu. —

Nie mogąc ani pozwem, ani manifestem, ani wpisem po-

prawie doli córki swojego pryncypała, łykał winko na pociechę swojej niemocy.

Podczaszy nie zastał ani żony, ani syna, markotno mu trochę było, że syn którego mogło spotkać małżeństwo z najznakomitszą Panną na całej Rusi, dostawał za żonę szlachcianeczkę; bo choć to z rodu Książąt Możajskich, urodzona i wychowana w domie szlachcica na zagrodzie, a on ojciec najlepsze życzył swojemu dziecięciu; dla tego to, kłopotany tą myślą, tak niewiedzieć po jakimu znalazł się u Marszałka, ale inna myśl rozpędzała tę troskę, rozpagadzała lice.

— O tak! chwała Bogu skończy się wszystko. —

W tem posłyszał w sieniach głos Kaweckiego; Kaweckie to jego najdawniejszy sługa jeszcze kawalerski. Z jego głosem, przypomniało się dawne życie, westchnął, a kiedy wszedł do pokoju, o mało nie rzucił mu się w objęcie. Kaweckie go całował w ręce, a on ścisnął mu dobrze szpakowatą głowę, i obadwa się splotkali.

— A co mój stary?

— I jakże Panu?

— Ot widzisz jeszcze żyję.

— Chwała Bogu! — Hunewoty! tak męczyć Pana?

— Cóż robić mój stary.

— Bogdaj ich tam w piekle palono i pieczono w gorącej smole.

— A tyś jak?

— Zdrow Panie, Pan Bóg jeszcze pozwolił abym służył Panu.

— W Chrystonówce musi być pustka?

— Co tam tem się turbować, jak Bóg da zdrowie to i wszystko będzie. —

Przypadkiem Kaweckiemu wyleciał list z czapki.

— Cóż to za list?

— To Panie. — — Podrapał się w głowę.

— Od kogo?

— To, do Panicza.

— Od kogo?

— To — od — z Bohdanówki Panie.

— Daj mi go tu. — Wziął, rozdarł i wrzucił w ogień. — Kaweckie, czy i ty?

— Ja Panie, nie, ale ona tak ładnie prosiła.

— Kto, ona?

— Mówiła: to od Mamy proszę oddać Panu Dominikowi.

— Któż tak mówił?

— A jużci Panna Benigna.

— Panna Benigna! Kaweckie! stary. — — I już zaczął się czerwienieć na twarzy.

— Żeby Pan widział, jaka ona podobna do nieboszczki, to

kubek w kubek. Takie oko, taki chód, tak nawet się uśmiecha kiedy mówi do człowieka.

— Podobna? — Podczaszy już siedział w kanapie, a gniew stał, i dziwnie patrzył na starego sługę jak gdyby i chciał i nie chciał słuchać jego mowy.

— Podobniutenka, tak przed ołtarzem klęczała w Metejkowskiej kaplicy jak nieboszczka. Dalibóg że ja myślałem że to ona, i Anioł Pański zmówiłem za jej duszę.

— To było w Metejkach?

— W Metejkach mnie też list oddała, i mówiła: chwała Bogu wasz Pan powrócił. Mnie się zdaje że ona się modliła za powrót Pański.

— Za mnie?

— Tak, za Pana; żeby Pan ją widział toby zobaczył że ja prawdę mówię.

— Idź sobie stary. —

W tym głosie było drzenie, i jeszcze powtórzył:

— Idź sobie stary. —

Podczaszyna wróciwszy do domu, zastała męża leżącego na kanapie, przykrył się płaszczem i głowę miał przykrytą. Zbliżyła się, słuchała. Cicho oddycha, ledwie słyhać. Słucha dalej, westchnął. Oddaliła się na palcach, żeby mu snu nieprzerwać.

Kawecki z Dmytrem poszli do karczmy na przeciw, na piwo, jakby to ono tam było i lepsze i smaczniejsze jak u Chinci. Nałóg to dworaków, nie dla tego żeby zataić się przed Państwem, ale że swoja karczma, to jak swój dom, nie ma tyle pojęty, do chwilowego pobaraszkowania dla przemiany. Siedli przy stole, popijali i gawędzili.

— A co Dmytro? ja tobie mówiłem.

— Co takiego?

— Że z tego nic nie będzie, żeby nasz Panicz ożenił się z Bohdanowiecką Panną.

— Może i twoja prawda; co tu się działo? —

Tu Dmytro rozповідаł co przez piąte dziesiąte pochwycił z tego co widział. Kawecki popił piwa.

— Z Możarką!

— Z Możarką dziś Imość sama jeździła do Księdza Opata, i ztamtąd na Imościnyh sankach Ksiądz Sierociński pojechał do Pana Szymona, i przywiózł go do Opactwa. Długo coś rozmawiali, a potem Imość z Panem Szymonem razem przyjechali aż pod sam Chinci dom, i tam dopiero rozstali się z sobą.

— To to Możary będą teraz drzeć lby do góry.
 — Zadzierali oni i tak dobrze.
 — Teraz ani przystępu do nich.
 — Ale to aż dziwo. Jawdocha Meweska mnie mówiła że to w Owruczu nie nowina, że nasz Panicz polubił Możarkę.

— Ha!

— Już to że czarnobrewa taka, jakiej w całej okolicy nie masz, a ta psiawiara Jawdocha mówiła: oto się spisał Pan Podczaszy, da wam za panią taką, co żydom wodę nosiła. Ja takem ją tarachnął w kark, że aż musiało jej być serdecznie, a powiedziałem na całe gardło: lepiej żydom wodę nosić, jak być takim jak twój Pan, co to i parszywego żyda nie wart.

— Dobrześ zrobił; to gadziny. —

Ocknął się ze swojego zadumania Podczaszy.

— Zono!

— Czego ty chcesz?

— Jedźmy do Chrystonówki.

— Czyś ty chory?

— Nie, ale potrzebuję spoczynku. A gdzie Dominik?

Nie wiem, ale zdaje mi się że poszli z Panem Terleckim.

— Elźbieto! trzeba, trzeba koniecznie żeby on się ożenił jak najprędzej. —

Matka nic na to nie odpowiedziała.

— To ja każe pakować.

— Każ Elźbieto! Pojedziemy, ale poszlij po Dominika, chcę żeby on z nami jechał. —

Właśnie w tejże samej chwili, Dominik zdybał się ze starym Szymonem koło wrót karczmy, obadwa siebie uścisnęli za rękę.

— Panie Szymonie!

— Panie Dominiku! —

Słów im nie stało na dalszą rozmowę. Stary Szymon pokręceniem wąsa chciał czoło rozchmurzyć, ale nie mógł.

— Panie Dominiku, bądź spokojny! —

XX.

Tak meni tiazko, bołowki nezvedu.

STARA PIOSNKA LUDU.

Do Bohdanówki przyjechał właśnie w odwiedziny Pan Ignacy Potocki, Sędzia ziemski Owrucki, 'brat stryjeczny Pana Jana. Pan Ignacy sam nieżonaty, miał dwie siostry zamężne; może przez zamiłowanie w szlacheckim klejnocie, a tem samem w rodzimem imieniu, a może przez ten nałóg bogaczy bezdzietnych, obiecywania złotych gór każdemu, co tylko do niego kropelką krwi albo powinowactwem jakim należał, zwłaszcza jeżeli ten każdy miał swój dom, w którym mógł przyjąć bezdzietnego bogacza, albo był mu potrzebnym do wyrobienia jakiegokolwiek interesu; dla jednej z tych dwóch przyczyn Pan Ignacy często powtarzał:

— Nie zapomnę o twoich dzieciach Panie Janie, wszak to Potoccy.

W domu wszystko było na zawołanie Pana Ignacego, tak iż stara klucznica mówiła:

— Dogadzają mu jak wrzodowi. — A Klimowski dodawał: — Pan Sędzia rozumny, szpakami karmiony, żeby za życia co dał, toby podziękowali, a potem zapomnieć, albo byłiby jak dzieci, coto zjedzą piernik i zaraz wrzeszczą o drugi; a obiecanką do śmierci można manić, a po śmierci, mniejsza co będzie na ziemi. To tylko dziwo, że ohoć wszyscy wiedzą o tem: obiecanka cacanka, a głupiemu radość, jednak świat cały woli być głupim, jak rozumnym. —

Państwo Deputatostwo pokoju nie dali Panu Sedziemiu. Może Pan Ignacy tego chce, a może tamtego; Benisiu patrz żeby dobrze posłali dla Stryjaszka. A jak Pan Ignacy lubi miękko czy twardo?

— Wszystko mi jedno.

— Niech papin materac położą.

— Tyle ambarasu.

— Zygmus powiedz stryjaszkowi coś się nauczył. —

Zygmunt stanął, wyprostował się jak strona.

— Różniemy się ludzie od zwierząt rozumem i mową.

— Poczekaj, a tyż co jesteś?

— A już ci czło wiek z rozumem i mową.

— A pies? —

Młodszy synek podniósł rękę do góry.

— Ja powiem.

— Mów.

— Jeżeli gończy to człowiek, jeżeli kundys to zwierz.

— Co ty pleciesz?

— Ja dobrze mówię. Klimowski zawsze powtarza o Gro-mirzu jak przyjdzie z polowania: rozumny piesek, zająca od razu znalazł, a jak zagadał, to aż miło było w lesie. —

Deputat po głowie go pacnął.

— Siedź i nakryj głowę. A teraz z religji.

— Dobrze, a wiele jest Bogów? —

Najmłodszy wznosił łapkę do góry, jak królik w powietrzu paluszkami przebierał.

— Ja powiem. — I nie czekając odpowiedzi. — W kościele u Księży Bazyljanów trzynaście, a w kaplicy Metijkowskiej jeden.

— Co ci jest? Jeden jest Pan Bóg, i nie będziesz chwalił innego tylko jego samego.

— Tak, podług katechizmu, ale w kościele Owruckim jest ołtarzów trzynaście, a w Metijkach jeden. —

Szczeńciem przybiegła malutka Emilka, i cały katechizm wyrecytowała od deski do deski; dostała od Stryjaszka hama-nowe ucho i makagigę. Mały Ignas mruzczał.

— Wielka rzecz, ją mama uczy, a mnie Pan Rejent za uszy kręci, jakby ja był żydowskie ciele. —

Zygmus popisywał się dobrze, i dostał od stryjaszka dwa jabłka. Zaraz pobiegł do osobnego pokoju, a że wiedział że stryjaszek bogaty ma pełno dukatów, krajał jabłka i szukał czy czasem stryjaszek nie nasadzał tam dukatów, żeby mu zrobić nadspodziewaną przyjemność. Skrajał jabłko, i nic nie było tylko drobne kawałeczki. Panna Benigna popisywała się ze śpiewem i z muzyką. Pan Ignacy słuchał, jadł, pił, i mówił:

— Panie Janie, wyborne masz dziatki, ja o nich nie zapomnę, wszak to Potoccy. —

Już nawet Pani Deputatowa odważyła się kilka razy wspomnieć imię Pana Dominika, i Sędzia nie bardzo się marszczył i przebąkiwał:

— Tęgi chłopiec. Gdyby nie syn — tego — toby był. —

Na te słowa, toby był, Benigna zarumieniła się jak jagoda. A Deputatowa mówiła mężowi:

— Zobaczysz Jasiu, że Pan Ignacy na wszystko pozwoli, tylko mnie nie przeszkadzajcie; ja to pomalutku zbuduję.

— Buduj, buduj choć i pomaleńku, wszak to i Kraków nie od razu zbudowany.

Takie szczęśliwe nadzieje rosły w Bohdanówce, kiedy przybył Rejent, i gradem niszczącym nadzieje żniwiarza, pomieszał szyki Państwa Deputatostwa wieścią:

— Pan Dominik żeni się z Panną Praksedą Możarowską.

— To być nie może?

— Autentycznie z ust samego Pana Podczaszego słyszałem.

— Tylko cicho Panie Rejencie, żeby Benisia nie posłyszała.

— Prędszej, później, trzeba i jej to zmanifestować.

— Niech Pan da pokój, onaby umarła.

— Uchowaj Boże, w indukcji żadnego procesu nie słyszałem, żeby kobieta jaka z miłości umarła; a gdyby się to kiedyś zdarzyło, toby przecie ad acta zapisanem było. —

Ta rozmowa była tylko między Rejentem a Deputatową; ale kiedy nadszedł mąż i stryj, przybrała inną barwę. Ojciec nie posiadał tajemnicy córki, może się tylko domyślał i to bardzo nie jasno. Stryj zaś o niczem nie wiedział. Zaczęli tedy szeroko o tem rozprawiać. Deputatowa nie jak macocha, ale jak najtroskliwsza matka, pobiegła do pokoju Benigny.

Dziewica snuła myślą tkanki szczęścia, i szczęście w jej oczach błyszczało, jak szczęście na niebie.

Dobra macocha siadła koło niej.

— Benisiu o czem ty tak myślisz?

— Sama nie wiem o czem, tak sobie o różnych rzeczach.

— Ja zgadnę, żeś ty myślała o Panu Dominiku. —

Dziewica czegoś szukała w swojej chustce, i oczu nie podniosła na matkę.

— Mnie żal Pana Dominika.

— Co jemu się stało. — Zbladła, i wznosząc oczy, wzniosła z niemi niepokój; dodała: — Czy odpisał mamie?

— Nie, nie, ale Pan Rejent przyjechał.

— Widział go, czy mu jaki przypadek się stał? niech mama mówi.

— Nie, żaden przypadek go nie spotkał, ale ojciec chce gwałtem go ożenić.

— Z kim? — Patrzyła w oczy matce szukając prawdy.

— Z Panną Możarowską.

— Mamo, on się nie ożeni.

— I mnie się tak zdaje.

— Ja pewna jestem mamo, on się nie ożeni z nikim. —

I zatrzymała się w mowie takim spadkiem, jakby ją urwała nagle.

— Moja duszko, dla tego to ci mówiłam, żeby przygotować do gadania Pana Rejenta i stryjaska o tem zamęściu.

— Dziękuję mamie. —

Po odejściu matki, kilkanaście razy sobie powtórzyła: on się nie ożeni z nikim, jeżeli nie zemną. I z taką pewnością weszła do bawialnej komnaty. Zapytywała Pana Rejenta o Pannę Możarowską, czy jasnowłosa, czy czarnobrewa, czy ładna, czy przystojna tylko; a tak nadrabiała i miną i głosem, jak żołnierz któremu serce drży strachem, a ucho już słyszy strzały boju; chciałby swoją bojaźń zagadać, a przynajmniej ludziom nie pokazać. Rejent w swoim prawnym rozumie brał to wszystko za najlepszą monetę, prawił a prawił bez końca, o wszystkich wieściach jakie połapał w Owruczu. Dziewica chciała odpowiadać, a głos się bałamucił; chciała patrzeć oko w oko, a oczy się zasłaniały. Matka jedna to spostrzegła; kobieci serce rozumie serce kobiecie, kiedy ono zacznie gadać niememi znakami.

— Benisiu, proszę cię zobacz co Emilia robi.

— Dobrze mamó. — Do Rejenta się obróciła. — Ja zaraz powrócę. —

Rejent przystąpił do Deputatowej.

— Nie spodziewałem się tyle odważnego animuszu.

— Biedna dziewczyna!

— Widzę że bez żadnych wykrętów, ale po prostu, prawnie rzecz wyluszczyć, i jak na talerzu pokazać, to najlepiej.

— O! niech Pan da pokój ze swoim prawnictwem.

Wyszła do córki. Benigna sparta na łóżku, skryła twarz w poduszkę, i płakała rzewnymi łzami.

Tego wieczora dziewczica nie pokazała się w bawialnej komnacie. Pani Deputatowa zaspokoiliła ojca i stryja składając wszystko na gwałtowny ból głowy, sama jej przyrządzała i nosiła herbatę, ale ani razu nie zaniósła, ani razu nieprzerywała jej gorzkiego żalu. Mężowi tylko powiedziała.

Nie chodź, może zaśnie, i ból przejdzie.

Stryjowi.

— Przyjście Pana Sędziego by ją ambarasowało, a ona potrzebuje spoczynku. —

Rejentowi.

— Widzisz Pan, byłoż [to po trzeba tak się rozgadywać, a już prawda że panowie gorsi stokroć razy jak kobiety, nic nie utrzymacie co macie na języku. —

Rejent był w prawdziwej konfuzji, żadnego prawnego argumentu nie mógł znaleźć na wytłómaczenie swojej nie zgrabności, tylko uderzył się w piersi.

— Mea culpa, mea culpa. —

Noc przyszła, ciemna jak grób, i milcząca jak grób; ci co

szczyście, co spokój i błogość w sercach noszą, jeśli nie śpią, w swoich rojeniach muszą się nieraz zdybać ze smutną myślą, ale ci którym na sercu snieżyć nieszczęścia zalem albo obawą padnie, a sen od oczu odleci, toną w świetle smutku i rozpaczcy, a błoga dumka im nie zajaśnieje: błogie dumki uciekają z tamąd, jak ptakowie białego dnia do pustek zwaliska.

Dziewica nie spała, a światła nie było w jej pokoju; żeby promyk księżycy przywędrował przez szczelinę okienicy; gdyby jakie pruchno zaświeciło w pokoju, byliby to goście pożądani, możnaby na nich popatrzeć choć chwilkę; i w tę małą chwilkę myślby się roztargnęła, stroskane serce by spoczęło. Ale tego wszystkiego nie było.

Dziewica nie spała, a i w pokoju, i na dworze taka cisza szeroka jak świat. Gdyby przynajmniej wiatr zawiał, i pokolał w okienice, gdyby pod piecem swirszcz zaśpiewał, gdyby mysz zaszurgotała; jeszczeby to byli pożądani goście, choć na małą chwilkę uchoby ich posłuchało; myśl by się roztargnęła; stroskane serceby spoczęło na chwilę tylko, i za toby było Bóg zapłać; ale tego wszystkiego nie było.

Tego wszystkiego nie było, a dziewczyna nie spała, i smutne dumki w nawiedziny do niej się zbiegły i stawały przed oczami takimi cieniami życia, jak gdyby samem życiem były.

Dominik ponury jak kir żałoby, w oczach niósł śmierć, a w sercu wierność; ku niej wyciągał ręce i ona ku niemu wyciągała ręce, już, już mieli się dotknąć; ale Podczaszy groźnej postawy, taki straszny, jak nigdy sobie nie wyobrażała człowieka tak straszego. I trumna tam była i grób wykopany. Syna własną ręką w trumnę włożył, w grób rzucił, grób się zasunął, a on stał jeszcze groźny, straszny. Dziewica krzyknęła, porwała się, siadła na łóżko; oczy przeciera, nie spała i nie śpi. Widzenie znikło, ona się krzyżem świętym przeżegnała, a płakać nie mogła, a serce tak boli, i w piersiach tak duszno.

Znowu przytuliła się do poduszki, i znowu nie śpi, ale z nowem widzeniem się widzi. Dominik wesoły jak szaty godowe, w oczach miał szczęście, w sercu miłość. Był tam ołtarz pański w biel przybrany, na nim krzyż srebrny ze Zbawicielem i Kapłan Pański. Wzrok Pana Podczaszego radością strzelał, Pani Podczaszyna wszystko to miłowała dobrocią. Już chciała iść do ołtarza, ale tam przed ten ołtarz stanęła inna dziewczyna, czarnobrewa, taka jaką opisał Pan Rejent. Z łóżka zeskoczyła, i widzenie znikło; załamała ręce, do oczu je cisnęła, i widzenie znikło; załamała ręce, do oczu je cisnęła, a płakać nie mogła, a serce bolało.

O gorzka dola, znowu tuli się do łóżka i oczy mruży, a sen przyjść jak nie chce tak nie chce; marzy i widzi: kobieca postać w bieli, blada, wyszła, jak postać z tamtego świata,

w błękitnem oku było srebrne światło księżycy, i po jasnym włosie to światło się lało, a na licach była jasność gwiazdy. Za nią stał Dominik, a ona mu drogę zastępowała. Dziewica poznaje: to postać nieboszczki matki, z dziecka ją zapamiętała, to ona. O gdyby to był sen, przynajmniej mogłaby się obudzić, ale ona nie śpi, i podnieść się na łóżku nie śmie, a zdaje się że posłanie pod nią rośnie; na łzy się zebrało, poczęła płakać, a potem modlić się.

W modlitwie zasnęła, i przez cały czas snu obraz nieboszczki matki nie odszedł od niej; czuwał nad swoim dzieckiem, garnął je w swoje objęcia, jakby ze śmiercią macierzyńska miłość nie ustawała.

Kiedy się obudziła dziewczica, główki zwiesić z poduszki nie mogła, tak jej tam ciężko było; a na sercu waga kamienia; ledwie mogła odetchnąć, ani ze snu, ani z widzenia jednej całej myśli osnuć nie może, i odmawia Anioł pański, za duszę nieboszczki matki.

Przyszła Pani Deputatowa.

— Jakże ci moja duszko?

— Tak mi było nie dobrze, teraz lepiej trochę.

— Biedna Benisio. I pocałowała ją w czoło.

— On, nic mamie nie odpisał?

— Nic, może nie dostał tych książek, o które go prosiłam.

— Mamo, on je miał w sobie, może zapomniał o. —

— Co też to za myśl!

— Prawda namo, on nie zapomni, on nie zapomni nigdy, ja pewna jestem. —

I wstała i ubrała się, i była trochę spokojniejszą ale bladą, i tak zmienioną jak gdyby długą chorobę odbyła.

Klimowski jechał za sprawunkami do Owrucza. Benigna wyniosła mu pieniądze.

— Proszę oddać na mszę u Księży Bazyljanów za duszę świętej pamięci mamy. Siedem świeczek zapalić do siedmiu ran Chrystusa Pana, a to rozdać ubogim, niech się modlą za jej duszę. —

Ojciec usłyszał i wszedł.

— Cóż to jest Benigno?

— Mama mi się śniła całą noc.

— I mnie się śniła. Klimowski zamów na poniedziałek żałobne nabożeństwo u Księży Dominikanów, pojedziemy się modlić, przypomina się nowym modłom — westchnął. —

Tymczasem Pan Ignacy dowiedziawszy się od Rejenta że Pan Dominik konkurował taki na dobre o rękę panny Benigny, mocno się rozsierdził na Podczaszego.

— Ten człowiek zawziął się na cały nasz ród; czem może to

nam dokucza. Woli na synową pannę bez żadnego posagu, wychowaną na czynszową gospodynię, jak córkę obywatelską posażną i urodziwą; bo cóż tu można zarzucić naszej Benisi? — Nic; między Potockimi a Prószyńskimi nie masz związków, ja bym na to niepozwoilił, a teraz ja sam wyswatał męża dla niej, choćby trzeba było dać sto, dwakroć sto tysięcy posagu, dam, byle wyszła za męż, wprzódy nim on się ożeni; niech ludzie nie gadają że Prószyński starał się starał i dał grochowy wianek Pannie Potockiej, o tak. —

Obadwa jak litanią do wszystkich świętych wyliczali po imieniu całą młodzież Owruckiego powiatu, mało któremu nie dostało się jakieś ale, kartowali na którego wędkę zarzucić.

Rejent gładził się po łysinie.

— Tylko pisać słówko, a zlecą się jak wróble do pszenicy, bo to i prawnie i po obywatelsku mówiąc, dobre wiano w dziesięciór albo więcej powiększa i krasę i rozum panny. W prawnych przypowiastkach wyraźnie zapisano: Panna co ma wiano nie długo panieński stolec zasiedzi.

— Waćpana prawda Panie Sebestjanie, trzeba to koniecznie zrobić, niech zna pies Prószyński, co to Potoccy. —

Tegoż samego dnia Deputat mówił do żony.

— Pan Ignacy zapis robi dla Benigny, nie ma nic złego, coby nie wyszło na dobre. —

Ona mu nic nie odpowiedziała, ale udała się do drugiego po-koju, uścisnęła Benignę.

— Biedne my kobiety. —

W Owruczu po odjeździe państwa Prószyńskich rozmaicie a rozmaicie ludzie gadali; jedni ciskali kamieniec potępienia na Pana Wojciecha, drudzy brali jego stronę.

Tamci mówili: Podczaszy z żoną jak z niewolnicą się obchodzi, za jej miłość płaci złą monetą, syna takiego dzielnego młodzieńca grożą traktuje jak najlichszego pacholka. On ich nie wart, pożał się Boże że Bóg złego obdarzył dobrem. A gdyby zająrzeć w sprawki Pana Wojciecha, z polskich czasów lepsi od niego szli na bannicję, a teraz pod moskiewskim rządem to wszystko uchodzi.

Ci zaś odpowiadali: Jest w tem wszystkim cokolwiek prawdy, ale Pan Wojciech tak niecierpi Moskala i Niemca, jak pies wściekły wody, i dla Polski gotów ostatnią kroplę krwi, ostatnią koszulę oddać. I tem zamykali gęby, nawet tym co jak na dłoni mogli jasno pokazać wszystkie psoty życia Podczaszego. Nestor zaś zawsze jednym sposobem odpierał wszystkie zarzuty.

— O tak, panowie bracia, cudze zobaczymy pod lasem, a swego nie widzimy pod nosem.

Stary Jakowicki mówił do zięcia.

— Sic Deus adjuvet, Mospanie nie chciałbym być jego ani żoną, ani synem; ale wolałbym być w jego brygardzie szeregowym, ciurem nawet, jak u innego Majorem, dowódczą bataljonu, choćby kawalerji narodowej, takiej jak była za czasów nieboszczyka Brygardjera Jerlicza, Boże święć jego duszy, sic Deus adjuvet. —

Kiedy stary Isor w najlepszej myśli opowiadał Panu Kudelskiemu, co tylko wiedział o Podczaszym, ten napisał następne wiersze.

Curiculum vitae, Pana Podczasegn,
Haereses Chrystynek, Wojtka Proszyńskiego:
Panny balamuciał, mężatki wykradał,
Kto mu drogę zaszedł, temu kijem zadał.
Niemca ma za pludrę, Moskala za wieprza,
Jak tylko będzie mógł, wpakuje im pieprza.

Na takie gadanie, na takie wiersze, Suryn krzyknął.

— Hola rada! —

Dobyl szabli, i nie po oknie brzęknął, ale krzyżową sztuką nakiwał pod nos i żydowi i Adwokatowi.

— Ty żydzie parchu, nie szczekaj na szlachcica; a ty palestrancie idź do kratek, tam szczekaj, nie tu. —

Siadł i spokojnie dopijał wino.

Takie to puste gadania biegaly po Owruczu, jakby na odpoczynek po smutnej wieści o Berezynie.

Tak przeszły dnie powszednie i nadeszła niedziela; był to dzień świąteczny, dzień uroczystości obchodzony u Księży Dominikanów, nabożeństwem za dobrodziejów i kolatorów kościoła. Od samego rana w kościele było pełno Bożego ludu, a kiedy nadeszła summa taki był ścisk, że się obrócić nie można było snadnie, a gdyby błogosławieństwo Boże spadło, musiałyby się rozlać na wszystkie głowy, tak się szczerlnie jedni do drugich ludzie cisnęli; cisnęli się braterstwem Chrześcijańskim, cisnęli się miłością Chrześcijańską, bo Owruczanie w służbie Bożej i w służbie Ojczyzny, zapominają o wszystkich swarach, stają obok siebie jak dzieci jednego Boga, jednej Ojczyzny.

Obok Pana w kontuszu z sajety, stoi szlachcic w pakłakowym kubraku; przy niedźwiedziej delji pokrytej czerwonym sukniem, widać prosty kozuch, bez wierzcha; przy sirej świecie zagrodnika, stoi panicz w okolistym płaszczu. Obok Pani w sobolach, tumakach, a przynajmniej w kałankach, siedzą w ławkach szlachcianki, w popielicach, lisach, królikach, najwięcej w prostych baranach. Były tam czapki zimowe z aksamitu z manelami, i strojne czepki, obok żółciastych i czerwoniastych chustek kryjących głowy. Obok tureckich dyftyków, chustki Kijowskie lśniące jakby klejstrem pociągnięte. Wszystko tam

było, tylko po usuwaniu się z miejsca, po ustępywaniu się z ławek, poznać można że ten któremu taką cześć okazują, jest naczelnikiem gromady szlacheckiej, albo pojedynk, jakiś dobrze znany; im ich rodem to się należy, oni czuwają nad dobrem drugich, im pierwszeństwo.

Wczoraj jeszcze Lewkowscy z Perszkami zaapelowali do Sądu głównego w sprawie granicznej, zarzekali się zgody z sobą, jak zetknięcia z zadżumionym człowiekiem, a dziś stoją obok siebie, i mówią pacierz. I odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Wczoraj jeszcze Czyczyrkowie za czuby się brali, i zbili potężnie Tołkaszów, przyjechali do powiatu pozwy sobie wydać; spóźnili się, bo stanęli w sobotę po zachodzie słońca; poszli na mszę świętą, i jakby zmówili się: daruj bracie, daruj bracie, Jezus Chrystus, co nas zbawił, większe winy przebaczył, w jego imię godźmy się. Makarewicz nie wypominali Moszkowskim pograbionych siekier i wołów. Redczyce Hejnowskim przed kościołem powiedzieli: spaliliście nam karczmę; Hejnowscy odrzekli, to pozywajcie; a w kościele sami się zbliżyli: postawimy nową, darujcie. I tak robili wszyscy, bo szczerze się modlili; a Bóg do ich dusz przemawiał: kochaj bliźniego jak siebie samego; a Ojczyzna w ich sercach gadała: wszyscyśmy Polacy.

Między tym nabożnym tłumem była dziewczica w pańskich szubach, z ławem okiem, z bladym licem, tęskna jak myśl smutku, wiotka jak myśl nadziei. Obok niej niewiasta, w twarzy łagodna jak uczucie dobroci, w oczach tkliwa jak prośba pobożna; nad nią czuwała i z nią się modliła. Błagały obie, i obie miały nadzieję.

Między tym nabożnym tłumem była druga dziewczica, w skromniejszych szatach, także tęskna, ale inną tęsknotą, posępniejszą, bez nadziei, tak się kryjącą jawia, jak się kryje podupadły Pan wielkiego rodu, ze szlachetną duszą, z powiedzeniem, z pokazaniem: ja cierpię niedostatek. Przy niej stał starzec także niewesoły, biały wąs gładził, i na dziewczycę patrzył, jakby mówił: to moja chluba, i to moja chluba, a potem do Boga modły wznosił: Boże daj szczęście jednej, daj zanieść cześć do grobu drugiemu. I dziewczica także się modliła, gorąco się modliła.

Już Ksiądz prześpiewał: *Ite missa est*, organy przebrzmiały: i przeżegnał krzyżem świętym lud Boży. Wszyscy wychodzili na smętarz; tam san mnóstwo, woźnice Panów pokukują, szlachta do biczów się bierze.

Pani Mewesowa przystąpiła do Doroty Możarowskiej, matki Praksedy, i zaczęła z nią rozmawiać. W tejże samej chwili, jacyś pisarzycy z kazienej pałaty, i z sądu niżnego, poczęli rozmawiać za dziewczycą, i szkalować wydziwianiem na jej miłości z Podczasycem. Młody Włodzimierz to posłyszał a że nie

był mocny na słowa, w miejscu zawołać: milcz, huknął ręką, i tak silnie zatknął gębę niżnikowi, że aż cztery zęby poleciało mu w gardło zatykać mowę.

Niżnicy krzyknęli.

— Rozbój, do kozy! —

A szlachta odwrzasnęła.

— Gwałt na szlachcie. —

Stary Szymon uprowadzał pannę do kościoła, i wten czas zdybał się z Deputatostwem za samemi drzwiami.

— Panie Możarowski.

— Panie Potocki. —

I obiedwie dziewice patrzyły sobie w oczy.

Szymon z kościoła wracał do swoich; a tam zgiełk i wrzawa: łomoczą niżników. Niewiasty to do sani, to do kościoła uciekają. Pańskie konie zastępują, płaczą, i mieszaninę robią między saniami. Żaden szlachcie z miejsca nie rusza, czeka. Mewes wywinął się bez guza, pobiegł po opolczenie, po Dońców. Z pomiędzy krzyków niewieścich, i głosów męskich słyhać wołania Naczelników.

— Werpowscy, hej tu do mnie.

— Daszkiewicz, za kołki, a duchem tu się zbierajcie.

— Staszkievicze, brońmy braci szlachtę.

— Kto Nieraszkowski, ten nie da szlachcie grać po nosie.

— Bechy, hej pokażmy się, a po naszymu.

— Waškowscy, utnijcie po waszemu. —

I szlachta koło swoich naczelników kupkami się gromadziła. W tem stary Szymon zawołał.

— Panowie Możajscy za mną! nasza sprawa, my pierwsi łby nadstawmy; a was Panowie bracia prosimy o pomoc i dziękujemy za nią. —

Zewsząd wrzaski się odezwały.

— Jednego szlachcica Owruckiego krzywda, to sprawa wszystkich. —

W mieście tarabaniono, zwoływano Dońców, a zebrać nie można było i stu ludzi, wszystko się chowało w gruby, na strychy żydowskie. Mewes udał się z proźbą do Marszałka, do Teleżyńskiego, a kiedy ci przyjechali, zastali szlachtę, nie pijaną, nie szumną wrzaskiem; ale gotową czy do zaczepki, czy do obrony. Każdy Naczelnik był ze swojemi, a nawet Nestor stał między Hoszowcami.

— Tak moje dzieci, trzeba bronić się i bić, nie ma rady, to rzecz publiczna. —

Pan Tadeusz słowem swoim szlachtę do pokoju nakłonił, a Mewes przyobiegał ukarać gadatliwych niżników. Szlachta się rozchodziła i rozjeżdżała. Zasiadatel Korczewski rzecze do Nestora.

— No, wczoraj ja wmówiłem w Isprawnika, że Rotmistrz

i jemszczyk pobili się, pogubili wszystko, i bajki plotą: a teraz sam nawarzył piwa, i sam je pije.

— *Bożanin* — ~~Ja~~ tobie mówiłem, że nie taki djabeł straszny jak go malują; nie trzeba wielkiej pracy żeby Mewesa oszwabić, ludzie na niego napaść włożyli, że on cymes, a on taki fuszer jak i drugi. —

W drodze stary Szymon milczał, Praksesta była smutna, posępna, ale się nie skarżyła; matka ją pocieszała.

— Moja doniu nie smuć się, wszystko dobrze pójdzie. —

Praksesta skinęła głową, a młody Włodzimierz popatrzył na nią, i pomyślał sobie: Taką musiała być Księżniczka Praksesta, kiedy potraciwszy synów, nie rozpaczała, ale szła ocalać cześć Chrzcicielowego rodu.

Benigna będąc sam na sam z macochą, łzami się zalewała.

— Mamo! mammo! jaka ona ładna!

Macocha jak prawdziwa matka tuliła jej głowę do łona, i obudwóm ciężki smutek spadał na serca.

U Księży Bazyljanów Pan Tadeusz mówił do Księdza Opata.

— Chwała Bogu, udało się ich powstrzymać.

— Zapewnie że Bogu chwała; ale i to Bogu chwała że pokazali wszelką gotowość; z taką szlachtą Polska nie zginie. —

U Ojców Dominikanów Ksiądz Kwiryn przystąpił do Pana Jakowickiego.

— Jedno słowo było szepnąć o Ojczyźnie, a byłaby i bójka.

— Djabeł doradził Panu Wojciechowi odjazd; żeby on tu był, możeby co i było. —

Pani Mewesowa z uśmiechem musu mówiła do męża.

— Zrobiłam coś chciał, powiedziałam Możarowskiej.

— Dobrze, dziękuję ci. Matka wie, wszyscy ludzie będą o tem gadać. Zabaczemy czy ten stary zgodzi się na nieczęść prawnuczki. Szlachcianka czynszowa będzie Panią Podczaszy-cową. Zobaczemy Panie Podczaszy. —

Spojrzał na żonę niedobrze, i zatarł ręce.

XXI.

Litwo! Ojczyzno moja.

ADAM MICKIEWICZ.

W Możarach rzeczy jakoś dziwnie idą. Stary Szymon po powrocie słowa do nikogo nie przemówił; usiadł przy oknie, to spierał głowę na rękę, to patrzył w okno, i tak ciągle dumał, aż do samego wieczora. Choć Szymon prawie nigdy groźnego słowa nie używał, jednak kiedy on milczał, wszyscy w domu milczeli.

Dorota ruszała ramionami, jakby na dziwo, czemu dziadek zawziął się tać rzeczy, o których już obcy ludzie wiedzą. Młody Włodzimierz swarzył się i żałował, ale w myśli: czemu dalej nie poszło to co on tak tego zaczął, a możeby kniaziowskie czasy wróciły, czasy Czarnobylskiej dzielnicy; możeby Bóg mu pozwolił szablą Chrzyciela chrzcic Moskwę; usiadł przy Praksedzie i patrzył na dziewicę; ona była tą gwiazdą, co po stepie marzeń wskazała jego dumkom drogę; ona była tem słońcem, co promieniami pamiętek, roznieciła w jego duszy ogień bohaterskiego życia. Śpiewką, powiastką jak piastunka dziecinę z pieluch podniosła ku światłu Bożemu, i on tak jak ta dziecina o tem świetle marzył, za tem światłem tęsknił, do niego się napierał, i rady sobie dać nie mógł. A ta gwiazda dziewica zalała się chmurą tęsknoty; oczek łzami myć nie chce, westchnieniem tęsknoty rozwiać nie może, a tak milczy jak prawdziwa gwiazda na niebie.

Małgorzata nie śmie ojca wezwać do marjasza, albo do družbarta. Stary Włodzimierz nie odważa się zapytać o rady na Korystyszowski jarmark; i Tekla pustego śmiechu na usta przywołać nie może, Magdalena nawet nie zaszcebiotała, a Jakób i Łukasz jak mruki pod piecem siedzą; dzieci przygarnęły się do matek, jak kurczęta do kwoki, i postulane siedziały cicho. Młody kotek nie swawolił, a ławki, stół i stara rusznica, i wszystkie sprzęty izby, zdawało się że wpadły w większe bezżycie jak zawsze.

Mrok, a nikogo nie wzięła chętka światła zapalić. W końcu Tekla poczęła nucić, ale smutnie, ale po cichu.

Odezwał się głos starego Szymona, ale także nie wesoly.

— Wnuko, zaśpiewaj nam, śpiewka często ludziom dobrą radę niesie.

— Zaśpiewam dziadku te piosnkę co mnie Praksesta nauczyła.

— Zaśpiewaj co chcesz. —

I głos Tekli tęskny, jak wiatr co w podziemnych grobach dmucha, lał się po szerokiem milczeniu, i to milczenie słuchało piosnki.

— Jedź mój miły, jedź daleko;
Niech ci będzie Bóg opieką:
Jeszcześ nie mój, jam nie twoja,
Owruć, Owruć, ziemia moja.
Tumem się ja porodziła,
Tumem wzrosła, tumem żyła,
Tutaj moi leżą w grobie,
Pozwól niech tu umrę sobie.

Tyś Pan wielki, Rycerz sławny,
Wiek twój młody, a ród dawny;
Znajdziesz sobie i dziewicę,
Czarnobrewę, krasnolicę;
A odemnie i składniejszą,
A odemnie i ładniejszą;
Ona z tobą pójdzie wszędzie,
Ona ciebie kochać będzie.

A mnie nie iść w cudzy zamek,
Mnie nie tykać cudzych klamek;
U mych ojców, jest kraina,
U mych ojców, jest rodzina;
A mnie nie żyć w cudzej ziemi,
Żyć, umierać, ze swojemi;
Owruć, Owruć, kraj mój miły,
Tu nasz zamek, tu mogiły. —

Słuchał Dymitr Wojewoda,
Aż skończyła Anna młoda,
Czarnobrewa to dziewica,
Ładna, składna, krasnolica.
— Co mi tam, co mi tam wara
Z inną. Nie chcę córy Cara;
Hej ty dziewczce śliczna taka,
Dla cię pójdę za prymaka.
Rączę konie, złote zbroje.
Orły, charty, służbę moję,
Wiano całe, a bogate,
Dla cię wniosę w cudzą chatę.

Tylko się śmieję, lezki nie roń,
 Siadaj ze mną, siadaj na koń.
 Białozor szlak nam poznać,
 Chart za koniem w skok okraczy;
 Ptakiem wrony rwie z kopyta,
 Jękiem tętni ziemia bita;
 Będziem lecieć gdzie zamek mój,
 Tam dopiero, tam huknę: stój.

Wrony stanie, służba wita,
 Kloni czoła, woli pyta:
 Hej na wozy, sprzęty, bronie,
 Charty w smycze, w powóz konie;
 Hej na berła białozory,
 Żywo, żwawo złoto w wory.
 Dalej w drogę w cudzą chatę
 Wwieziem wiano, a bogate. —

Mileży Dymitr, dziewcze stoi,
 Ciemnych oczów wznieść się boi;
 A na licach krasa płynie,
 Taka, jaka na malinie.

— Zostaw mnie tu, czekać będę,
 Na mogile, ot tam siędę;
 Albo bliżej tu koło wrót,
 Czekać będę na twój powrót.

— Oj nie mogę, bo dni kilka,
 Godzin kilka, jedna chwilka,
 Dla mnie śmiercią, jak nie z tobą;
 Dziewcze jedźmy, wróćmy z sobą.

— Szczęście twoje dla mnie drogie,
 Ale jechać, ja nie mogę;
 Patrz nasz zamek, a tu ruczaj,
 Owrucz, Owrucz mój luby kraj.

— Nie chcesz, nie chcesz, bądlże zdrowa!
 Już nie powiem, ani słowa;
 Nie poproszę o rzecz żadną,
 Pod mogiłą trupem padną.

Nie daleko do Tatara;
 Jeszcze bliżej Moskwa Cara;
 A do Litwy bliżej o ćwierć,
 Jeden z tych trzech, da mi, da śmierć.

Wskoczył na koń i wrony w skok,
 Białozor w lot, chart mknie krok w krok,
 Dziewcze łzami oczy zmywa,
 I ruczajowi na wtór śpiewa,

— Wracaj, wracaj mój ty miły,
 Nie jedź, nie jedź do mogiły,
 Oj nie szukaj życia w grobie,
 Nie daj płakać mi po sobie.

Moje życie z łzą wypłynie,
 Nie daj umrzeć twej dziewczynie;
 Jej się nie chce umrzeć jeszcze.
 Lepiej niechaj w dłonie pleszcze,
 Na twój przyjazd: mój ty luby,
 Nie chciej, nie chciej mojej zguby.

O ja jeszcze taka młoda!
 Świeża, hoża jako woda;
 Liczkiem biała jak kalina,
 I rumiana jak malina.
 Chcę cię kochać w wieku kwiecie.
 O chcę dożyć na tym świecie.

Wracaj, wracaj, mój jedyny,
 Wracaj, wracaj do dziewczyny.
 Owruć, Owruć kraj mój miły,
 Lepszy, miłszy od mogiły. —
 Codzień dziewcze tam płakało,
 W ruczaj wody przybywało;
 Codzień lice łzami zmywa,
 A ruczajowi wtór nie śpiewa.

Owrućanie przyjechali,
 O Dymitrze rozmawiali;
 Nie zginął on od Tatara,
 Nie poszedł w bój z Moskwą Cara.
 I za Prypć nie pogonił,
 Z Litwą w szablę nie zadzwonił;
 Ale wrócił na zamek swój,
 Z ładną żoną jak róży zwój.

Dziewcze słucha, nie klnie doli,
 Łzy nie roni, serce boli.
 Padła, ani słówka rzekła;
 Dusza lekko z tchem uciekła.
 Uciekła tam k' Pauu w niebie,
 W dań miłości wniosta siebie.
 Ludzie ciało pogrzebali,
 I na grobie tak śpiewali:

— Zmarła, zmarła nam dziewczica,
 Czarnobrewa, krasnolica;
 I kochała, i płakała,
 A z Owrućza wyjść nie chciała,

Taj z Owrucza z swego kraju;
Taj z naszego tutaj raju.
Święć jej duszy, Boże Panie,
Prosimy cię Owruczanie.

Skończyła Tekla i milczenie poklaskiwało jej pieśni, i dwoje westchnień tylko słyszeć się dało, jedno lekkie jakby przed ludzkim słuchem się tailo; drugie ciężkie jakby bynajmniej o ludzkie uszy niedbało. Kiedy Magdalena rozpałała światło, wszyscy głowy mieli obrócone w stronę śpiewającej, tylko Prakseda ze starym Szymonem patrzali na siebie, jak gdyby w śród ciemni można było siebie widzieć. Światło podchwyciło łyż w oku starca, i łyż w oku dziewczycy.

Nazajutrz dzień stary Szymon z dziesięć pacierzy więcej jak zazwyczaj powiedział, z dziesięć razy dokoła obszedł izbę, nim wziął prawnukę za rękę i wyszedł z nią do alkierza. Prakseda była blada jak gdyby cierpiała noc całą, ale uśmiechem kryła oczom dziadka i bladeść i cierpienie.

Sami byli we dwoje.

— Moja prawnuko.

— Co pradziadek każe?

— Siadaj tu koło mnie. Słuchaj moje kochanie, nie wszystko to złoto co się świeci; nie wszystko to szczęście co ludzie zowią szczęściem. —

Dziewica milczała.

— Ja ciebie nie pytam czy tobie się podobał Pan Dominik, ja to zgaduję; ale on ci tego nigdy nie mówił żeś się mu spodobała?

— Nigdy. — I spuściła czoło ku ziemi.

— Nigdy, i on tak mówił swojej matce; ale Pan Podczaszy oświadczył mi wyraźnie swoje żądanie o twoją rękę dla Pana Dominika. —

Tak pokraśniało lice dziewczycy, jak śnieg kiedy żurachwiny nad nim wzejdą.

— Cóż ty na to mówisz moja Prawnuko?

— Pan Dominik mnie nigdy o niczem takim nie mówił.

— A bez tego niechciałabyś go za męża?

— O nie.

— Moja Prawnuko, niech cię uściskam. O tak Możajska nikomu narzucać się niepowinna. Choć my dziś biedna szlachta, ale krw w nas płynie też sama co i w naddziadach. —

Wstał i chodził po alkierzu.

— Tak, tak, gdyby nie ten prałat Litwy, i mybyśmy nie byli tem czem teraz jesteśmy. —

Zatrzymał się chwilę.

— Podczaszy uczciwy człowiek; on na nas z góry nie patrzy; mówił ze mną jak z równym sobie. Gdybym miał mitrę i bo-

gactwa praocjów jeszczebym rad miał Pana Dominika złączono-
nego z moim rodem, ale on kocha inną. —

Prakseda głową o ścianę się oparła.

— Matka to mi jego mówiła. Mówiła: ojciec może zmusić,
ale nie będzie dla nich szczęścia. Ja powiedziałam. —

Spojrzał na błądź prawnuki, przystąpił do niej; ona
ocknęła się nagle.

— Co pradziadek powiedział?

— Że moja prawnuka nie zechce takiego męża.

— O tak, nie chcę.

— I jemu samemu powiedziałem, niech będzie spokojny. —

Ona skinęła głową.

— Niech będzie spokojny. —

— I przez cały czas ani jednej łezki nie strwoniło jej oko.
Pradziadkowi przy końcu stare oczy zwilżyły się łzami.

Po tej rozmowie przyszło do rozmowy z matką. Matka mó-
wiła o tem co słyszała od Pani Isprawnikowej o woli Pana
Podczaszego aby syn żenił się z Praksedą. Prakseda odpowie-
działa.

— Ja nie pójdę za Pana Dominika, mnie tu dobrze przy
mamie, przy pradziadku.

— Ale cóż ludzie będą gadali, słyszałaś co wczoraj było?

— Będą gadać i przestaną. Moja niewinność zamknie im
usta.

— Oj nie przestaną moja doniu, ludzie zawsze będą
ludźmi.

— To ja im się usunę z oczu.

— Pan Podczaszy nie zna oporu swej woli, Pan Dominik
będzie nieszczęśliwy.

— Dla jego szczęścia ja się usunę.

— Moja doniu byłabyś z nim tak szczęśliwą, on taki do-
bry. —

Ani słówka nie rzekła Prakseda.

— Na stare lata byłabyś mi pociechą, podporą. —

Jeszcze milczała dziewica.

— Jabym tak była szczęśliwą widząc wasze szczęście.

— Mamo, mamo, on mnie nie kocha. —

Wyszła z izby, ale matka jej łez nie widziała.

Tego dnia wiatr był od moskiewszczyzny silny, mroźny, i
śnieg polatywał. Po wczorajszej odwilży wszędzie zaszro-
niało; drzewa obmarzły, pola gładkie jakby skorupą jedną
powleczone, i na mogiłach też samo skorupa się powleklea; ale

słońce z za chmur nie wyjrzało, żeby obrylantować świat ziemski.

Kruki i orły siadały na mogiłach, pyłą się polatującym śniegiem i kraczą, żeby większy śnieg z nieba wywołać. Na drzewach krasno-piersie gile siedzą i świszczą; po gałęziach skaczą jemioluchy; żółto-brzuski do obór między bydło się cisną, a bydło ucieka pod czopy; wszystko to na śnieg.

Prakseda przez sad wyszła na pastewnik; ani znaku ruczaju gdzie chusty prała, nad którym śpiewała sobie czasem, i na łące nie masz kwiecia. Ona co jak żeglarz gwiazdy, tak znała wszystkie mogiły po imieniu i z nich w swojej pamięci snuła drogę o przeszłości, teraz żadnej rozpoznać nie może, wszystkie jednakie białe i białe, równe i równe; takie jednakie jak wały Dnieprowego limanu. Dziewica Owruczanka patrzy na nie wzrokiem takim tęsknym jak czapła kochanka, kiedy na zimę gdzieś het odlatuje z rodzinnego kraju.

Postała, popatrzała i wracała nazad, w sadzie zdybała młodego Włodzimirza.

— Co ci jest moja ty synowico czarnobrewa?

— Nic mi nie jest, mój ty wujaszku młody.

— Takaś tęskna, jakbyś była chora.

— To tak sobie.

— Może to te wczorajsze gadanie, powiedz; a jest nas Możajskich nie mało.

— Dajcie pokój ludziom, to mi nic nie szkodzi. —

Do chaty wróciła, otworzyła bednię, wyjmowała wszystkie swoje rzeczy jedne po drugich, i kładła je na stole i na tapczanie. Nikogo nie było w alkierzu; ona sama jedna patrzyła na spodnice kałamajkowe, na kaftaniki różnobarwne, i na białe koszule czerwonym mereżone, i na fartuszki obrzucane folgą, i na wstążki, i na kwiaty, i na trzewiki. Patrzy na bekieszkę karmazynem podbitą, srebrnym galonem lamowaną, i na przyjaciółki, i na chustki, i na futerko z popielicami, na całe swoje bogactwo. Odpięła korale, paciorki z szyi, pierścionki z palców zdjęła, i wszystko to tam położyła.

Splotła ręce na piersiach, i patrzyła na swoje bogactwa. Rozmawiali z sobą. Każda rzecz jej się przypomina: wtenczas a wtenczas mnie nosiłaś; kiedyś się we mnie pierwszy raz ubrała, toś tańcowała; kiedyś mnie pierwszy raz na siebie wzięła toś śpiewała; byłaś wesołą, byłaś szczęśliwą. I ona im odpowiadała.

— A teraz już wy mnie na nic — i ja wam już na nic. —

I łezki w oczach się kręciły.

Potem wedle swego widzimi się parowała je z sobą, i odkładała na kupki, i na paluszkach coś liczyła, i w myśli coś szepotała; bo czasem głos wyleciał i zaszemrał.

— To dla cioci Tekli, to dla małej Jagusi, a te kwiatki

wszystkie na grób nieboszczyka ojca, niech tam kwitną i zimą i latem, póki wiatr gdzieś het nie zawieje, póki je deszcz albo śnieg, gdzieś het w ziemię nie wbije.

I zanuciła sobie:

Ja biedna dziewczyna,
Ja córka wdowina;
Na co mi to kwiecie,
Mnie nie żyć na świecie —
Wietrze, w niebo mnie zwiej,
Śniegu, w ziemię mnie wbij,
Niech tam spoczne sobie;
Duch w niebie, proch w grobie.

Śpiew to jak łzy, na zawołanie i szczęścia i nieszczęścia; i radość śpiewa i smutek śpiewa. Dziewica pośpiewała i popłakała, jakby na bądźcie zdrowe wszystkiemu temu bagactwu.

Znowu coś z pradiadkiem na osobności długo a długo gadała, a reszta rodziny tylko dosłyszała te słowa Praksedy.

— Ja chcę żeby on był zupełnie spokojnym, zupełnie. —

Stary Szymon nic nie odpowiedział, ale tak miał twarz zasępioną, jak oblicze nieba na cichy i długi śnieg.

Po tej rozmowie, Prakseda, ciotkom, siostrom i pokrewnym rozdawała wszystkie swoje rzeczy, a tak prosiła żeby je przyjęły, iż nie można było odmówić, a na wszystkie pytania matki odpowiadała.

— Mnie nie takiej wyprawy będzie potrzeba niezadługo.

— Prawda, prawda moja Doniu. — W matki oczach radość błysła, uściskała córkę. — Noc dobra do porady, moja ty podporo, moja ty pociecho; ale ty się pośpieszasz za nadto.

— O nie mammo — ledwie mogła domówić. — Niech pradiadek powie. —

Pradiadek skinął głową i milczał.

Dorota na stronie mówiła do Tekli i Magdaleny.

— Moja nieboga mnie usłuchała; jej żal nas wszystkich opuszczać.

— A jednak ona go kocha.

— Ale i nas kocha. — Matezynem okiem wyglądała w okienko czy panowie swatowie nie jadą: a tam na dworze nic nie widać, tylko śnieg polatuje a polatuje, i ze śniegiem swatowie nie lecą. —

Tekla z Magdaleną szeptały między sobą.

— Co tu zwodów, korowodów!

— I z nami tak było.

— Prawda to prawda.

— Biedna nasza Prakseda!

— Co za biedna? Jej tam będzie dobrze, na niczem nie zabraknie.

— Kto to wie, czy tam w teścinej chacie, tak będzie dobrze jak tu u matki.

— O będzie dobrze. Mąż młody, bogaty; co tylko zechce, to wszystko będzie miała.

— Ale czy będzie miała serca, co ją kochają jak tu. —

I obiedwie przędły dalej, a kądziałki dygotały, wrzeczona się kręciły, jakby i one takż rozmawiały o Praksedzie.

W piekarni Prakseda zastała młodego Włodzimirza, przystąpiła do niego.

— To dla ciebie mój stryjaszku. —

Włodzimirz popatrzył, pierścień złoty z drogiemi kamieniami a dziwnej roboty.

— To pierścień Księżnej Praksedy, ty wiesz, żony Księcia Chrzyciciela; wszystkie Możajskie go nosiły, aż do matki naszego pradziadka. Pradziadek dał mi go, a ja tobie strzyjaszku. Weź go; dasz w darze swojej żonie jak będzie Księżną Możajską.

— Chowaj ty go Praksedo.

— Mnie go nie chować, ja nigdy nie będę Księżną.

— Prawda że ty będziesz Panią Proszyńską.

— Nie, nigdy, nigdy. — I odeszła.

— Dobra, jak ona kocha swój ród, nasze Księztwo. — Przypatrywał się pierścieniowi. — Jak będzie Księżną Możajską! —

Już do południa dali a Praksedy nie ma. Pradziadek jej woła, matka szuka, a jej jak nie ma, tak nie ma. Może poszła do Tomaszowej po wróżbę; tam posłano i tam jej nikt nie widział. Może poniosła jakie dary dla córek Jędrzejowej; tam pobiegli, i tam jej nie było. Szukają nad opołonką ruczaju, w sadzie, w oborach, na toku, a nie widać śladów po świeżo napadałym śniegu, hukają na nią, i głos żaden nie odpowiadał, tylko wiatr wieje.

Pradziadek obawę w sobie dławi. Matka płacze, córki woła; wszyscy się mozola. — Młody Włodzimirz pomyślał i sam do siebie zawołał.

— Ja wiem gdzie? —

Bez czapki pobiegł, a tak szybko, że oku ludzkiemu ciężko łapać jego skoki.

Biegł drogą i wybiegł za siolo, aż na smętarz. Tam śnieg biały i krzyże białe; pod jednym klęcz dziewczica ze złożonemi rękoma do modłów, a przed nią posypane różnobarwne kwiaty

i srebrzyste i złociste, śnieg je kiściami jak puchem przyprusza, przyprusza i dziewicę. Włodzimierz między wielą krzyżami poznał ten krzyż, on strzeże grobu brata Pawła, Praksedy ojca; ramiona wyciąga do Boga, o łaskę, do ludzi, o modły. Młody Możajski nieprzerywał modłów dziewicy, ukląkł pod jej, i modlił się także za duszę brata, o szczęście dla synowicy.

Modlili się; potem ona pochyliła czoło, śnieg łzami topiła i ustami grobowej ziemi chciała dostać, a tak westchnęła że Włodzimierzowi smutnie się zrobiło, trącił ją po ramieniu.

— Praksedo!

— Stryjaszku! — przeżegnała się krzyżem świętym, dłonią łzy otarła — wracajmy.

— A tam o ciebie wszyscy tacy nie spokojni.

— Prawda że nie nie powiedziałam. Mnie tak tu dobrze było.

— Czegoż ty taka Praksedo? — Wszak go kochasz? On taki ładny, taki dobry, taki Polak! —

Dziewica milczała.

— Zobaczysz jak ci tam będzie dobrze, jak oni wszyscy ciebie pokochają. —

Ona wciąż milczała.

— Cóż ty nie chcesz iść za niego za mąż? czy ty go nie kochasz? Praksedo powiedz, powiedz!

— On mnie nie kocha, on mnie nie chce. — Jej głos tak boleśnie brzmiał, jak gdyby go gwałtem wyrwano z piersi. —

Włodzimierz spojrział na nią, ona blada jakby śnieg jej lice ubielił, oparła się o wrota smętarza.

— Ja nigdy jego nie będę, ani niczyją.

— Ha! ja wiem. Praksedo wracajmy. — I wziął ją za rękę.

— Wracajmy. —

Krzyżem świętym żegnała się z smętarzem, i idąc jeszcze kilka razy pozierała poza siebie, ale oboje słowa nie mówili, tylko każde rozmawiało ze swoją dumką.

W drodze zdybali starego Szymona i Dorotę. Praksedo, jak dziecina i pradiadkę i matkę przeproszała.

— Moja ty prawniko, niech ci Pan Bóg nie pamięta, takeś mnie przestraszyła, że jeszcze teraz przyjść do siebie nie mogę. Moja luba, ale tobie zimno. I w swoich rękach, rozgrzewała jej ręce. —

Matka kożuchem swoim ją przykryła.

— Tobie zimno mój Aniele. I ciszej mówiła do niej tylko. Nie płacz, nie smuć się, ja ciebie nie oddam; co mi po

bogactwach, po wszystkim, kiedy tam nie będzie twego szczęścia. —

Córka tuliła się do matki.

— Mamo! mamó! —

W Szymonowej chacie otucha, błogość; znalazła się zguba, ale niewiedzieć czemu ani do rozmowy, ani na twarzy wesele przybłąkać się nie mogło.

Śnieg już gęstemi płatami sypał, a przed stajnią młody Włodzimierz na myszatego konia wsiadał; stary Szymon to widział, a nie kazał zapytać dokąd on jedzie, i po co? A kiedy kilka głosów powiedziało.

— Gdzie Włodzimierz rusza? będzie taka szaruga. — Szymon machnął ręką.

— Niech sobie jedzie. Niech się bawi, kiedy może. —

XXII.

Dzieci z okoła!
Ojczyzna woła!

KAZIMIERZ BRODZINSKI.

Jeszcze do świtu daleko, a już Podczaszy był na nogach i czuwał w narożnym pokoju. W tym narożnym pokoju zamiast obicia była makata czarnego tła, narzucana złotemi pół księżycami: miejscami gładko cisnęła się do ściany, miejscami spływała w gęste fałdy; żadne okno, żadne drzwi widocznie do niej niewzierały. Pod ścianą stał bukszpanowy kantorek natykany białą kością i hebanem wyrzynanym w dziwne esy i floresy. Naprzeciw była szafa z książkami, szklanne drzwi zasuwawała zielona kitajka, i kryła oku ludzkiemu te płody rozumów ludzkich. Przed kominem długi stół, z przodu w półkole wycięty, osłoniiony zielonem sukniem, i z trzech stron otoczony pozłacaną galeryjką. Na tym stole leżały papiery i wszystkie przybory do pisania listów i świecznik srebrny o czterech jarzących świecach, z zieloną obłoną u wierzchu a światło jakby kradzione czepiało się po makacie, na której nie było oni obrazu, ani broni żadnej.

Pan Podczaszy osłonięty tułubkiem ze stambulszczyzny, podbitym gronostajami, siedział koło stołu, ale obrócony do ognia, z długiego cybucha palił tytuń, i przypatrywał się jak lekki dymek wjał się ku ogniewi, niby życie ludzkie ku wieczności. Ale on o wieczności nie musiał myśleć, bo czasami marszczył czoło, i chmurzył oko, a czasami uśmiechał się i ręką uderzył o stół, jak człowiek co ziemskie rzeczy myślał siecze.

Już tak z pół godziny siedział, kiedy za makatą dało się słyszeć powiercenie klamki i człowiek przepłynął przez fałdy a fałdy za nim zapłynęły.

— A co mój stary? —

Kawecki wesał pokreślił.

— Hoszowce wpadli jak basiory w jamę.

— Co, potopili się?

— A broń Jezu Chryste, co wisieć ma to nie utonie; zdrowi, ale drapnęli tak jak kot kiedy mu charty zemkną smyk.

— No rozpowiedźże jak to było, chodź bliżej do ognia. Nagrzej się mój stary.

— Panie teraz ogień zimny. I spojrzął okienu na ścianę gdzie było trochę fałdów.

— No to weź ztamtąd gorącego. —

Kawecki dwa razy nie dał sobie powtórzyć rozkazu, rozsunał fałdy, z szafki suto ustawionej sztofami, wyjął jeden, nalał tęgą szklanicę, i łyknął jednym haustem.

— Za zdrowie pańskie, ten to trochę gorętszy, otarł wasy.

— A teraz gadaj.

— Wczoraj, jeszcze nim Pan powrócił od Pana Hołowińskiego, Marko dał wiedzieć, że Hoszowce w nocy będą wieźli sześć fur piątaków; jak on się o tem dowiedział, to sam djabeł chyba wie; on i po czarnej stopie wytropi nie tylko psa ale i kota. Zabrałem z sobą tęgich chłopców dziesięciu, podrąbaliśmy lód wzdłuż drogi, a sami zasiedliśmy w krzakach. Zmierzchno, cap wyszedł na żer, wilk trąbił po lesie, a ich jeszcze widać nie było; bałem się, żeby czasem lód się niezmarzył, i chciałem znowu go trochę podciukać, kiedy słucham. skrzypią sanie: jak kopicy siana sześcioro jedno za drugim sunęło — Hoszowców było ze dwunastu. Wjechało troje sani na lód a lód trzymał, myślałem przyjdzie się wziąć za czuby, bo już to ich niemożna było na sucho puszczać z pod nosa, aż tu lód tarachnął tak jak Pan Bajkowski kiedy z moździerza na wiwat pali. My z za krzaków jak hukniemy po moskiewsku: biery! wiazy! tak Hoszowce w nogi, batogi pogubili. Mieli my roboty, jak z żydowską kobylą w błocie, nimesmy fury powyciągali.

— Ale przyprowadziliście tu wszystkie.

— Wszystkie Panie co do jednej.

— No teraz piątaki zsypać w zasieki w spichlerzu, a fury odprowadzić tam gdzie się lód załamał i porzucić.

— Dobrze Panie.

— A gdzież Marko?

— Powiedział: ja na trop was naprowadził, a teraz gońcie, mnie tu nie siedzieć darmo.

— Prawda, prawda; to dziś środa. — No zagrzej się stary, a tym gorącym ogniem i ruszaj. —

Kawecki łyknął drugi haust, i utonął w fałdach makaty. Podczaszy uśmiechnął się. — No Nestorcio poskrobie się dobrze: gorzej od Tatara zrabował mój dom, ale niech zna że ja sobie w kaszę niedam pluć, żebyin nieodpluł.

I zegar kwadransa jeszcze nieprzedygotął, kiedy z przeciwnej strony, tej którejdy wyszedł Kawecki, słyszec się dało

szemranie klamki. Sam Podczaszy wstał, odchylił makatę i i wpuścił dwóch ludzi, przybranych w świtki; byli to: Podkołoty i Marko Baran. Podczaszy zmusił ich, aby siedli na dwóch krzesłach, i sam usiadł.

— No panowie swaty, wyście się lepiej popisywali jak bracia szlachta.

— I szlachta Panie, dobrze robiła; Możarom nie ma co zarzucić.

— To prawda, ale to jedni oni.

— Wszyscy oni byliby tak zrobili: tak dobrze Chodakowscy i Kierszniowscy, jak tamci; ale to widzi Pan tak się zrobiło. Pankowie mówili: opanujmy Owrucz, i tam na Moskala czekajmy; a my mówili: Co tam czekać, a jak nie przyjdzie? lepiej iść jego szukać i gdzie popaść, to bić. —

Marko skłonił głowę.

— Już to tak, co z woza spadło, to i przepadło; Ot teraz lepiej poradzić się z panem, co to robić z ptaszkami z Kozaczej puszczy.

— Prawda Panie, trzebaby z niemi zrobić, bo już jastrząb nad niemi szybuje.

— Jaki jastrząb?

— A już nie kto inny jak Mewes.

— A tóż jakim sposobem?

— Zawsze my robili podług paniczowskich rozkazów, jak wilcy w pobliżu żadnej szkody, a dalej trochę; to gdzie przydybali Moskala, to tak go cupnęli, że już ludzi więcej nie widział. Otoż kilka dni temu, jak zahulali sobie z Jezierońskim Moszkciem, taj narobili trochę hałasu. Mewes rozpuścił swoich na wywiadki. Wczoraj rudy Herszko już wachał po naszym kraju. —

Podczaszy z głucha mruknął:

— To mu zrobić kiesym.

— Ta moi chłopcy na to, jak na lato, ale ot i drugie nieszczęście; jesiotry z Czerwonki nie popłynęły do Dniepru. Stary Matwij ich nadybał.

— Ten pies Matwij wszędzie. — Zagryzł usta. Marko spojrział na Podczaszego, i Podczaszy odrzucił mu wzrokiem zapytującym, czego on chce? — I cóż dalej?

— Myśmy Matwija uchodzili; on wierzy że to nieboszczyki.

— Ten człowiek nieszczęściemznaczony, do czego tylko go użyć, to wszystko popsuje. — Wstał z miejsca i kilka razy się przeszedł, obadwa chłopcy także powstawali, i obadwa patrzali na Podczaszego, Podkołoty otwartymi oczyma, a Marko wzrok przysłał długą rzesą. Podczaszy myślał, stawał.

— Trzeba wszystko to przywieść tu, Dominik to robi. —

Znowu chodził, i znowu stanął.

— Ha, już teraz wiem. Kontrakty blisko. Podkołoty, pojedziesz mi na osadniczego.

— Jak Pan każe.

— Nad Prutem osadzisz mi Słobodę; rozumiesz, niemi.

— Rozumiem Panie; ale czy zaraz?

— Nie, jeszcze czas jakiś poczekajmy, może się zdadzą. Dominik ci powie. — Dobył z kantorka garść pieniędzy. — Podkołoty weź, niech im na niczem nie brakuje; w skarbowych lasach zakup tam posadek gospodarski, a w Dawidkach przygotuj wozy i woły; a tylko prawornie a ostrożnie.

— Ta jabym rad jak najlepiej.

— Kto ma dobrą wolę, to i dobrze zrobi; a to tobie Marku. — Dał mu kwit. — Na kutję na świętki, i na len dla żonki, żeby miała się czem bawić.

— Dziękuję Panu.

— Poczekajcie trochę; tak się nie rozchodzą dobrzy ludzie. — Wydobył z szafki wódki, nalał. — W twoje ręce Podkołoty; niech Bóg nam da lepsze czasy. —

Podkołoty dłonią otarł usta.

— Ale to Panie nie ta co dla Moskalów. —

Uśmiechnął się Podczaszy i wskazał palcem na inny sztof. — To aloesówka dla tych psów, a to taka prawdziwa, jak my prawdziwi Polacy.

— To dobrze, kiedy to nie aloesówka; bo tej gdyby i zającowi dał, toby nie tak prędko przed chartami uciekał. No Panie Marku do was. Bogdaj Bóg nam dał prędko doczekać, żeby Polska była w Owruczu, taki po prawdzie. —

W tej samej chwili i w oficynach już nie spano. Pan Dominik tylko co wprowadził młodego Włodzimirza, i wrócił do pokoju w którym nocował. Błady był na twarzy, a w oku niósł cierpienie; chodził i myślami przeganiał kroki; stawał, a myśl nie stawała; tak dumał, że nie powitał okiem białego dnia, że nie posłyszał kroków Macieja Didkowskiego, który wszedł do pokoju. Dobry dzień Panu Dominikowi, jak się spało, czy dobrze się wstało? — I usiadł Maciej koło pieca.

Didkowski plenipotent Pana Podczaszego, spał w drugim pokoju, prawie nic nie słyszał z rozmowy Pana Dominika z Włodzimierzem, ale poznał głos tego ostatniego; był on bardzo ciekawy, zwyczajnie jurysta, ale tak się namarzył w drodze, że mu ciepłego łóżka zarówno porzucać się niechciało jak życia. Wstał dopiero dniem, i pokręcał głową na donysły o zadumaniu Pana Podczaszyca. Adwokacki język świerzbiał od długiego milczenia. Onby cały dzień ślezczał nad zbutwiałoymi dokumentami, i słowaby nie pisał; ale długo czytać z niemego

dokumentu życia, to nie jego rzecz, zaraz mu się zachciewało indagacji.

— Panie Dominiku dobry dzień. —

Na ten głośniejszy głos, Dominik ocknął się z dumania.

— A, dobry dzień Panu.

— Spałem jak zabity, przez całą noc ani razu się nie przewróciłem. Ale Pan widzę rano się budzisz.

— To już u mnie w nałóg poszło.

— Dobrze to rano wstawać. Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje; tak mówi Pan Szymon Możarowski. — I oczy utkwil w twarz Podczaszyca. Wyraźnie widać że wymówione imię, bardziej jak inne słowa, bacność jej zwróciły, ale Dominik ani słowa nie odpowiedział.

— Hem, szkoda że Pan w niedzielę nie byłeś w Owruczu, Moskale cieniutko przedli; jak stary Isor mówi: jeden puf, a wszystkoby do góry nogami się przewróciło. Pan zapewnie o tem wszystkim musiał słyszeć?

— Słyszałem.

— Co też to złość kobiety może zrobić; to prawda, że jak kobieta zła, to gorsza djabła. Rzucić potwarz na biedną, której całym dostatkim dobre mienie; zatruć ostatnie chwile życia starcowi, który z górą ośmdziesiąt kilka lat zarabiał na dobre imię. —

Wzdrygnął się Podczaszyc.

— Jak to?

— Czyż Pan nie wiedziałeś o tem, że pani Mewesowa, i wszystkie jej przyjaciółki puściły w obieg, że Pan z panną Możarowską kochacie się od bardzo dawna, a Pan Szymon sam przyzwala na te miłości, że Pan tylko bałamucisz dziewczynę, o małżeństwie ani myślisz, i do tych zmyślonych bajek na Pana. — Z temi słowami cień uśmiechu przewinął się po licu Didkowskiego, odchrząknął. — W dodatku, pochwalają że pan dobrze robisz, powiadając, o toż byłaby śliczna rzecz, żeby Pan Prószyński ożenił się z Panną Możarowską. Prawda że to oni siebie mają za potomków Kniaziów Możajskich, ale to stare rzeczy, baby tylko za piecem o tem dzieciom gadają. Są skazki co wyraźnie mówią że Możarowscy, poddańczuki, muzyki kapituły Wileńskiej. —

Dominik słuchał wszystkiego; milczał, ale twarz jego nie milczała: to błądź spędzala rumieniec, to znowu rumieniec iskrzył się na licu.

— A ludzie co na to?

— Ci co Pana, co starego Szymona bliżej znają, nie wierzą; ale większa część to zwyczajnie ludzie, jak dzwony głoszą złe gadania na drugich; jak studnie zachowałyby w milczeniu dobre słowo o bliźnim. Każdy się użala. Młodzi ludzie, serca się radzą, nie pytają rozumu. Stary biedny nie ma z czego żyć,

i temi uzaleniami się, rzucają kamień potępienia na biedną dziewczynę i na sędziwego starca.

— I nikt że im ust nie potrafi zamknąć?

— **O** Panie, łatwiej taką drabinę wystawić, żeby po niej do nieba było można się dostać, jak obmowie usta zamknąć.

— I cóż? — Ręce miał splecione na piersiach, a głowę chyłącą się pod ciężarem myśli; dumka jak odbrzek wypuściła to jedno słowo. I Didkowski parę razy skinął głową.

— I cóż! sława starca i dziewczycy cierpią! — Po chwili dodał. — Na Pana ludzie krzyczeń nie będą, to rzecz do zapomnienia. —

Ale już Dominika nie było, wyszedł i prosto udał się do matki.

Pani Podczaszyna jeszcze była w łóżku, kiedy wszedł syn. Matczyne oko poznało że przyszedł do niej z rozranionem sercem, rękę do niego wyciągnęła.

— Dominiku!

— Mamo, ja gotowem spełnić wolę Ojca.

— Jaką?

— Żenić się z panną Możarowską. —

Oko matki szukało w twarzy syna łzy, a tej nie było; szukało rumieńca, ten z tamtąd uciekł; szukało bladości, rozpacz, ale i tej tam nie było: tam było postanowienie smutne, ale postanowienie.

— Dominiku!

— Mamo ja się namysliłem.

— A serce twoje?

— Nie zmieni mej woli. — Całował w rękę matką; ona przypomniała sobie, że tak kiedyś, dzieciną jeszcze, całował, kiedy miał jakąś potrzebę do wyblągania.

— Mój Dominiku! — serce miałoby wiele słów do powiedzenia, ale usta nic więcej nie umiały dodać.

— Niech mama będzie łaskawa powie to ojcu.

— Może nie dziś.

— Dziś mam, dziś jeszcze, żeby można zaraz. Mamo ja postanowiłem, ja proszę. — Ucałował jej rękę, i jakby gwałtem wyrwał się z matczynego pokoju. W sieni zdybał biało-szyjnego Zagraja, ten skoczył mu łapami na piersi. Z temi pieścizotami psa, Dominikowi stanęła przed oczy dziewczica kochanka: ścisnął głowę psią.

— A potem, potem, zobaczymy. —

Pan Podczaszy miał dwóch gości, i jeden i drugi nie mieli wesołej twarzy, i to ulżyło powinności gospodarskiej, bo nie potrzebował zdobywać się na uśmiech: byli to Tadeusz Teleżyński i Nestor Hoszowiec. Ten ostatni już wiedział o pogra-

bieniu swoich piątaków, próbował czy się nie uda ich wydo-
stać, ucieklszy się do proźby; jeszcze dzieckiem uczono go, że
pokorą i mury przebić można; że pokorne ciele dwie matki
sšie; ale Podczaszy nie dał prawdy tej nauce, i Pan Nestor za-
markotniał.

Podczaszy oprowadzał go po całym domie.

— Widzisz gołe ściany, jak Tatar mnie zrabowałeś, i ka-
flowym piecom nie darowałeś, jakbym to ja nie był Polakiem
współobywatelem twoim. — Wodził go na tok. — Patrz stert
nie ma, a były; i szarańczaby tak do czysta nie wyjadła. Stado
mi zaraziliś chebetami, a moje żrebaki pobrałeś.

— Panie Wojciechu, to plotki, odpowie Nestor, jak bę-
dziesz wierzył temu wszystkiemu, to nie będzie między nami
zgody, a dalibóg że ja chcę w zgodzie żyć.

— I współobywateli ze skóry drzeć; tak się nie godzi. Spoj-
rzyj na moich chłopków, żebyś jeszcze poadministrował był
z jaki tydzień, toby het precz wyszli z torbami.

— Dalibóg to plotki.

— Spytajmy się ich, przekonajmy się o prawdzie.

— Co to w takie rzeczy się wdawać, chłop zawsze gotów na
plotkę, czy w oczy, czy po za oczy.

— Otoż ja nie chcę twoich piątaków, ja swoje daruję.

— O tak to lubię; ja to dawno wiedziałem, że ty Panie
Wojciechu stukniesz, pukniesz, a krzywdy człowiekowi nie
zrobisz.

— Że nie zrobię, to pewnie że nie zrobię. Hej Kawecki! —
I Kawecki stanął.

— Słucham Panie.

— Zwołać całą gromadę, niech sześciu z pomiędzy siebie
wybiorą. Ci obliczą jak najsumienniej każdą krzywdę, jaką
który poniosł od Pana Sędziego, a Waść z przysiężnym jak
najsumienniej wypłacicie co się komu należy z piątaków Pana
Sędziego, resztę oddać Panu Sędziemu.

— Ale bo proszę, Panie Wojciechu.

— Nie ma gadania. — Zaprowadził go do lamusu, i pokazał
piątaki w zasiękach. — Beatus qui tenet, tak Waćpan zawsze
mówisz, otoż będą błogosławieni ci co będą trzymali należność
za swoje krzywdy. —

Darmo pokornie gadał Pan Nestor, musiał czekać skutku
woli Pana Podczaszego, i dla tego był taki markotny.

Pan Prezes inną rzecz miał na sercu, kilka razy zrywali się
z miejsca, i chcieli z sobą pogadać na osobności, i kilka razy
ot tak sobie bez żadnej przyczyny, siadali nazad i rozmawiali o
obojętnych rzeczach. Nareszcie Nestor odwinął się do Pana
Didkowskiego, czy przez niego co nie wyrobi, a oni zostali;
ciężko im było, bardzo ciężko wypchnąć pierwsze słowo z ust.
Nareszcie Prezes pierwszy zaczął.

— Jadę tam.

— Jedziesz?

— Bez tego nogaby moja u niego nie powstała.

— Biedny Tadeuszu?

— A cóż z nim?

— Nie chce, ale musi.

— Musi? zmusić trudno.

— Zobaczymy.

— Z nią jak tu począć? —

Podczaszy milczał, co mu się rzadko trafiało, spuścił oczy ku podłodze. Prezes pomyślał.

— Jak tu począć, powiedzieć?

— O broń Boże! — Schwycił Prezesa za rękę.

— A jakże ty chcesz?

— Odwodź, a ja tu skończę; niech nie wie o niczem.

— Zapewnie.

— Tadeuszu, jest Boża kara.

— Ale jest i miłosierdzie. —

Weszła Pani Podczaszyna, i rozmowa ta przerwana została, a inna na jej miejsce się nie porodziła. Wszedł i Pan Nestor i Didkowski i Pan Dominik; ale nie kleiło się nawet pogadać o pogodzie, i o mrozie. Zastawiono sute śniadanie, a przed samem śniadaniem przyszedł Kawecki.

— Po najsumienniejszym rachunku, nie zostało tylko trzy piątki. — Położył one na stole. —

Nestor się zczerwieniał.

— To być nie może!

— Przysiężny na karbie wszystko karbował, a pisarz zapisywał co się komu należy. Niech się Pan przekona.

— Po śniadaniu Pan Sędzia zobaczy. —

Nestorowi niebardzo w smak było to śniadanie, jednak trzy piątki wziął ze stołu, i zgarnął do kieszeni.

— Pan Starosta Bachtyński powiada, że kto piątaka nie szanuje, to i sam piątaka nie wart.

Didkowski szepnął mu na ucho.

— U Pana Sędziego piątki rosną jak grzyby.

— Tak, tak, siędę na pieńku, to i piątki porosną; ale to mnie wstyd, że ja stary wróbel i to mazurek, a dałem się złapać w samotrząsk, jak dúdek jaki.

Większą połowę śniadania nietkniętą bynajmniej, zebrano ze stołu, a butelki ledwie nadpoczęte. Gospodarstwo na to nie zważało, ale Dmytro sarkał.

— Jakby to temu jadłu, albo tym napojom można było znaleźć jaką przyganę. —

Po śniadaniu porozjeżdżali się goście, a Podczaszy został sam z żoną. Nad swój zwyczaj był on smutny, ale tkliwy dla żony.

— Elżbieto, czegożeś ty smutna?

— Bo was wszystkich widzę jakoś zafrasowanych.

— Widzisz, wszystkie wiadomości z tamtąd, od naszych, nie dobre. Francuzi już do Niemiec się wynoszą, wszyscy sprzymierzeniec ich odstępują. Austrja i Prusy, i reszta tych niemieckich Książątek, a nawet i ten Bernadote; nadzieje nasze z dymem poszły.

— Zapewne że tem nie można się pocieszać, ale do tego dołączyły się jakieś inne smutki, ty przedemną wszystkiego nie mówisz.

— O innych nie mówmy Elżbieto. Gdzie Dominik?

— Nie wiem, wyszedł, ale ja właśnie o nim mam mówić z tobą. —

Schmurzył czoło Podczaszy, nawet zdało się że zamruknął: nie — nie — ale Podczaszyzna już nabrała odwagi.

— On gotów spełnić twoją wolę.

— To dobrze.

— Ale mężu, pamiętaj że to o jego szczęście chodzi.

— To moją rzeczą pamiętać. Dmytro hej! prosić tu Pannicza, niech zaraz przyjdzie. —

Podczaszyzna złożyła ręce jak do modłów.

— Mężu, proszę ciebie, zaklinam, miej zmiłowanie nad nim; on to robi co ty chcesz, ale przyplaci i szczęściem i życiem. —

Podczaszy odwrócił się ku oknu i nic nie odpowiadał, w tem drzwi się otworzyły i wszedł Dominik. Matka mu okiem wskazywała, żeby się wrócił, ale Podczaszy wejście jego posłyszał.

— Dominiku, matka mi mówiła żeś się Waśc namyślił. —

Głos ojca był rozkazujący, a twarzy jego widno nie było, i Dominikowi wróciło na twarz i w głos postanowienie.

— Tak ojcze, proszę abym mógł się ożenić z Panną Możarowską. —

Odwrócił się Podczaszy.

— Chodź tu Dominiku, tak szlachcic polski, tak mój syn powinien postępować. —

— Uściskał syna, i z syna twarzy zdawało się uciekać to blade zimno cierpienia, a matki serce bolało patrzeć na to: ona rozumiała ile i jak syn cierpi.

Podczaszy zaraz napisał jakiś list, i zawołał Dmytra.

— Ruszaj z tem, do rąk oddać Panu Prezesowi.

— Gdzie Panie?

— W Bohdanówce. —

Oparł się o ścianę Dominik, i zęby zacisnął; ale kiedy ojciec spojrział na niego, on mu odpatrzył w oczy, tak że Podczaszy rzucił wzrok w inną stronę.

— Kiedyż chcesz żebyśmy jechali do Możarów?

— Zaraz ojcze.

— Ja napiszę do Pana Szymona, a teraz chodź ze mną. —

Wyszli obadwa do owej narożnej komnaty, która była tuż o ścianę.

Matka płacząca dosłyszała te słowa Podczaszego.

— Wprzód tamto, to posługa Ojczyźnie, a ojczyzny sprawa zawsze winna mieć pierwszeństwo przed własną; inaczej to przestaniemy być Polakami. —

W parę dni po tym dniu, Nestor Hoszowiec zjechał się w Owruczu z Mewesem. Isprawnik śmiał się do rozpuku z przygody, którą mu Nestor jako przyjacielowi, powiernikowi opowiadał o owych piątakach.

— Trafiła kosa na kamień, ja kamieniem w kamień palnę i rozbiję.

— Zdawałoby się komu że on babilońską wieżę wybudował, a on pożeni Prószyńskiego z Możarowską, i za to złamanej kopijki na obwarzanek mieć nie będzie.

— Nie wielka sztuka. Patrz, czytaj, i podał mu plik papierów. —

Nestor przerzucił i czytał.

«Ukaz Cesarzowej Katarzyny, którym Kniaziowie Możajscy za buntowanie się przeciw władzy moskiewskiej, odsądzeni od Księstwa i szlachectwa, a przeznaczeni na zesłanie w Sybir z żonami i dziećmi.

Ukaz Cesarzowej Katarzyny; na proźbę Biskupa Masalskiego, byli Książęta Możajscy nie będą zesłani na Sybir, ale zostaną zapisani w poddaństwo kapituły Wileńskiej.

Skazki roku 1793; trzystu sześćdziesięciu Możarów zapisanych w okład poduszne go klucza Sławeczkańskiego, należącego do kapituły Wileńskiej; z tych dwiestu osmdziesięciu w zbiegach, nie znajduje się na gruncie.

Ukaz Cesarza Pawła; na proźbę obywateli Owrućkich, pozwalający Możajskim być szlachtą, i uwalniający ich od rekruta, i okładu poduszne go, z warunkiem iż nie będą brali tytułu Książąt, i będą się zwać Możarowskiemi.

Roku 1812, 10 lipca; przedstawienie Isprawnika Mewesa do rządzącego Senatu, że Możarowscy nie słusznie używają przywileju szlacheckiego, ponieważ ukaz Cesarza Pawła, nie zniósł z nich kaźni ciężącej pierwszym ukazem Cesarzowej Katarzyny, ale uwolnił ich od należenia do Kapituły Wileńskiej.

Roku 1812, dnia 15 października, rozkaz Rządzącego Senatu, zrobić śledztwo nad przedstawieniem Isprawnika Mewesa, i jeżeli tak się okaże jak on donosi, to Możarowskich odsądzić

od szlachectwa, i przypisać w poddaństwo do dóbr skarbowych, lub zasiać na Sybir na posilenie, o czem Senat później postanowi. Teraz zaś naznacza Isprawnika Mewesa prezesem śledztwa, jako najlepiej świadomego rzeczy.»

Nestor rzucił papiery. Mewes się uśmiechnął.

— A co?

— To paskudnie. — I Nestor na Mewesa rzucił okiem pogardy i wyszedł. Mewes zatarł ręce.

— Widzisz go jaki łaskotliwy na uczciwość; żeby tak administracja, toby zaraz capnął. Ale Pan Wojciech z muzykami się pobrata, za synowę będzie miał poddanke. —

XXIII.

Ścisaliśmy się ze łzami.

RAJMOND SUMIŃSKI.

Jeszcze tydzień nie upłynął od przyjazdu Pana Prezesa do Bohdanówki, a jakież tam nastąpiły zmiany! Szumno, dworno, gości pełno; i z Łuhin i z Ksawerówki i ze wszystkich części Owruckiego powiatu. Pan Ignacy nie wyjeżdża ztamtąd, jeżeli się oddali na kilka godzin, zaraz powraca. Pan Tadeusz znalazł Benignę we wszystkiem tak podobną do nieboszczki siostry, iż przypomniał sobie młode lata przepędzane w gronie rodzeństwa, i także odjeżdżać nie miał wielkiej chęci, proszono, zostawał, a teraz i żona do niego przyjechała. Panu Sebestjanowi Uszczapowskiemu łysina się pocila, jak wśród kanikuły, a choć na dworze mróz był moskiewski, i biegając przez dziedzińiec nigdzie pieca nie nadybywał, tak szczerze pomagał Pani Deputatowej.

Cóż to wszystko ma znaczyć? — Oto Pan Chorąży powiatowy, zaczął na szczerze zalecać się do ręki Panny Benigny, ludzie namawiali i namówili. Panna ładna, urodziwa przystawała do serca, a w dodatku do wdzięków Pan Ignacy obiecał wyliczyć posag sowity. Pan Ignacy był bojny, bo to chodziło o cześć imienia Potockich; ciągle powtarzał:

— Teraz Chrystonowce niech żałują, już po niewczasie. —

Pani Deputatowa widziała w swoim domu Panią Podkomorzyńnię połączoną pokrewieństwem ze Steckiem, z Proskurami, znajomą dobrze na całym wielkim Wołyńskim i Ukraińskim świecie; wnioskujeła jaka to przemożna pomoc będzie dla jej własnych dzieci z tego połączenia się, i sprzyjała mu szczerze.

Benignie dobroć macochy, pieśczęty wuja, tego ukochanego brata nieboszczki matki, goiły rozranione serce; przyjaźń Podkomorzanek, zalety ich brata, ciągle zabawy, niesposobność podumania jednej chwili tylko bałamuciły smutek,

a miłość obrażona, a ta pewność że Dominik wiarołomny, w jakiś dziwny, gorączkowy stan ją rzuciły. Była wesołą, ale w tej wesołości było tyle nieprawdy, że aż smutno na nią patrzeć, gdyby tylko kto patrzył okiem serca.

Jeden tylko wuj to rozumiał. On ile razy spojrział na nią, to westchnął, i pomyślał sobie: Nieboszczka siostra taką była. I jeszcze mu miłszą ona się stawała. Nieraz całując ją, tak tulił do siebie, jak ojciec córkę ukochaną, kiedy odjeżdża na długo, a może na zawsze, a niechce słowem powiedzieć: — bądź zdrowa, błogosławię cię.

Był to dzień znowin. Od samego rana Pani Podkomorzyna rozmawiała z Państwem Deputatostwem i z Panem Prezesem. Rejent tego dnia uwolnił dziatwę od nauki, a sam na ogromnym stole porozkładał Statut Litewski, Konstytucje, prawa kanoniczne, korekturę pruskę, i to wszystko co należało do apteki prawnej. Pióra z dziesięć razy scyzorykiem przytemperował, noski zaciął, zaostrzał, ślił, potem wycierał połą od kapoty, tak jakby miał pisać wyrok na ścięciu głów, przynajmniej pół tuzinowi ludzi. Nareszcie zaczął pisać, i przy pierwszej literze, takiego rozmacha zrobił ręką, jakby pióro miało w pirnety skakać po papierze. Pisał i odczytywał to cicho, to w głos, i sam siebie słuchał; skończył i poniósł Panu Ignacemu.

Pan Ignacy odczytywał, Rejent stał i czekał na pochwałę, tak jak student, kiedy nagryzmoli wiersze i stoi przed katedrą czytającego profesora. Sędzia przeczytał, parę razy krzyknął.

— Hem — hem — Waćpan się pospieszyłeś.

— Wszak taka była wola Pana Sędziego, sporządziłem akt zapisu in antiqua forma.

— Djabła on o antykach gada, jest tu wyraźnie trzydzieści tysięcy rubli srebrnych, dzisiejszych.

— Możemy to zredukować na złote polskie.

— Mniejsza o to, nie kijem to pałką. Ale wiesz Waćpan o tem, że pannę jeszcze o nic nie pytano.

— Panna dobrze wychowana, pójdzie za wolą rodziców.

— Zapewne, ja się spodziewam; ale żeby tego nie wzięła za złe, że wprzód zrobiono zapis, nim wybadano życzenia jej serca.

— Wszak Pan Sędzia tyle razy oświadczał swoją magnificencją i szczodrotę Pannie Benignie.

— To prawda; ja to tak tylko się pytam. Waćpan tu przyjaciel domu, jak najlepszy krewny, musisz wiedzieć co im przyjemność, a co nieprzyjemność zrobić może.

— Za to assekurować mogę Panu Sędziemu, że z największą gracją przyjętym zostanie ten akt. —

Już Sędzia wziął pióro do podpisania, ale się zatrzymał i

myślał. Uszczapowski także myślał. Nic dziwnego, nie tak to błaha rzecz, jednym czerknięciem piórka wysypać ze swojej kieski dwakroć sto tysięcy złotych polskich; widząc jednak że Sędzia pióro z rąk wypuścił, odważył się przemówić.

— Ależ to Pan Podczaszy będzie się wściekał ze złości, jemu to ani nigdy przez myśl nie przeszło.

— Tak, tak, niech się wścieka, i wścieknie kiedy zechce. —

Wziął pióro i podpisał. Prosił na świadków Prezesa i Regenta, a potem akt schował do kieszeni.

— Sam go oddam Benisi. —

Obiedwie Panny Podkomorzanki, Benigna i Pan Chorąży były w bawialnej komnacie.

— Żebyś ty wiedziała Benisiu, jak nam przykro będzie ztąd odjechać.

— Mnie jeszcze przykrzej będzie po waszym odjeździe; ja będę sama a sama.

— Ja, to niechęć nawet o tem myśleć, bo to gorszego na świecie jak rozstawanie się.

— Ot jedź z nami Benisu do Łuhin.

— I cóż z tego że ona z nami pojedzie, będzie musiała odjechać; zawsze prędzej, czy później trzeba będzie rozstawać się, i będzie smutno.

— Kasiu, wynajdźno jaki sposób żebyśmy się nigdy nie rozstawały. Benisiu chciałabyś ty tego?

— Pewniebym chciała, ale cóż kiedy to być nie może.

— Czemu nie może? Franciszku, słyszysz co Benisia mówi. —

Przez cały czas Pan Chorąży przerzucał kartki książki leżącej na stole, ale nie wiedział co przerzucał; na głos siostry przystąpił.

— Gdyby tylko Panna Benigna chciała, toby mogła. —

Benigna nic nie odpowiedziała, Panna Katarzyna wzięła ją za rękę.

— Benisiu ty nas nie kochasz?

— Dla czego?

— Bo nie chcesz być z nami.

— Ja chcę.

— Kiedy chcesz, to możesz, widzisz i Franciszek to mówi.

— Jakim sposobem? —

Panna Katarzyna szeptała jej na ucho, a ona rumieniła się i spuściła oczy w dół.

— Ty nic nie mówisz Benisiu?

— Widzisz ona nas kocha.

— Ale kocham. — Benigna oczów nie podniosła.

— Kiedy kochasz, odpowiedź na to com ci mówiła.

— To odemnie nie zależy.

— A od kogoż?

— Od moich rodziców.

— Franciszku, Benisia mówi, że to od Państwa Deputatostwa woli zależy. —

Choraży pocałował ją w rękę.

— Moje szczęście zależy od jednego słowa Pani. —

Ona milczała.

Przecież Benisia powiedziała że to wszystko zawisło od Państwa Deputatostwa.

— Niech Pani powie. —

Ona i ręki nie wrywała i słowa nie rzekła. Choraży czuł że ta ręka była i zimna, i jakby nieruchoma.

— Jedno słówko, Pani: tak, nie.

— Benisiu! Benisiu! powiedz że choć słowo; wszak to od twoich rodziców zależy?

— Tak. — I wyszła z pokoju, ale to słowo było ciche jak szmer. —

Choraży wstrząsnął głową.

— Czegoż ty chcesz Franciszku? odesłała ciebie do rodziców.

— Ona mnie nie kocha.

— Dziwni jesteście, chcielibyście żeby Panny wam się rzucały na szyję, i krzyczały: Kocham Pana.

— Ja tego nie chcę, ale jeden uśmiech, jeden rumieniec, jedno ściśnięcie ręki, więcej mówi niż słowa.

— A toż z jakiego romansu?

— Z romansu życia.

— Niewiedzieć czego ci się zachciewa, ot dziękuj, żeśmy zrobiły co obiecały, a teraz idź do mamy.

— Dziękuję wam? —

Pan Prezes przyszedł do Benigny pokoju i zastał ją we łzach.

— Benisiu co ci jest takiego?

— Wujaszku czego oni chcą odemnie?

— Chcą twójego szczęścia moja droga.

— Szczęścia, kiedy ja go nie chcę.

— Benisiu ty wiesz, jak ja ciebie Kocham, jak mi drogie twoje szczęście, i ja chcę tego samego. Pani Podkomorzyna będzie ci matką, potrafi prowadzić twoją młodość. Pan Choraży przystojny, młody, majątny, dobrego rodu, już w urzędowaniu, on ciebie kocha.

— Ale ja. —

— Ty go będziesz kochała później, jak poznasz. Miłość na szacunku oparta to najtrwalsza. —

Benigna nie nie odpowiedziała stryjowi.

— Słuchaj Benisiu, boleśnie mi rozraniac twoje serce, ale dla twojej przyszłości, to robię. Patrz i czytaj. —

Dał jej list, a ten był od Podczaszego: w nim były te słowa.

— Tadeuszu, Dominik sam mnie prosił żebym przyspieszył jego małżeństwo z Panną Możarowską; wszystko się skończy. —

Dziewica jeszcze trzyma w ręku papier, a już nie patrzy; omdlała, a taka blada jakby życie z niej uciekło. Usta zbladły, oczy się przymknęły. Prezes po ratunek bieży, macocha już koło niej.

Jak przyszła do siebie, poczęła płakać, i w płaczu mówiła.

— Kiedy rodziców taka wola, kiedy Wuja takie życzenie, to ja pójdę za Pana Chorążego. —

Oprócz Deputatowej, Prezesa i wiernych sług, nikt o tem omdleniu nie wiedział. Wieczorem Pani Podkomorzyna ścisłała Benisę jak przyszłą synowę. Podkomorzanki mówiły:

— Już teraz Benisio będziemy zawsze razem z sobą. —

Chorąży patrzył na narzeczoną i smutek mimowolnie garnał się do jego serca, i wtenczas kiedy widział najwięcej tęsknoty wijącej się w uśmiechu dziewczicy, wtenczas ona była mu najmiłsza, najładniejsza, wtenczas najbardziej ją kochał. Serce jak dziecko: to mu się nad wszystko podoba, co mieć najtrudniej.

Jutrzejszy dzień byłznaczony na zaręczyny.

Dzień ten uroczysty był niedzielą. Pani Podkomorzyna wiedziała że tak będzie. Pan Deputat ani chwilki nie zwątpił, że córka to zrobi co on zechce; naspraszono tedy nowych gości, bo Pan Deputat na wtór swojemu stryjecznemu powtarzał.

— Pokażemy ludziom co to Potoccy, niech o tem Prószyńscy słyszą. —

Przyjechała stara Pani Kownacka z dwoma córeczkami już podlotkami, żeby sobie poskakały, i żeby ludziom pokazać że będą u niej panny na wydaniu za lada roczeK.]

Przyjechali państwo Pieńkowscy z Pieniaszewicz, a mieli z sobą córkę Helenę, a tak ładną że Czapowski o niej gadał.

— Moja luba ot tu, to gotowa zrobić z Owrucza drugą Troję, z Rapsztyńskich Atrydów, a z Trzeciaków Prijamidów. Co moja mamó niech mnie djabeł porwie, że tamtej choć Wenus swego paska pożyczala, choć ją śpiewał ślepy Homer, nie była gładsza od naszej Heleny. —

Kudelski mocno się ucieszył posłyszawszy te słowa; mający siebie za Owruckiego barda, bo czytał Homera od pierwszej do ostatniej karty, wnet napuszył się poetycką wena, spojrzął na Pannę Helenę i spojrzął na Pana Pieńkowskiego, u którego łysina jak księżyc błyszczała na głowie; jak o-

rzech zgryzł, wypalił trzynasto - miarowy, na bohaterską miarę:

Zacna córka naszego Podkomorza łysa,
Na wędkę by złowiła każdego Parysa.

Już na palcach skandował dalszy ciąg, kiedy Bajkowski mu szepnął.

— Daj pokój, widzisz Czapowski choć po chłopsku gada to vir doctus, a Waść choć wierszami prawisz, mydło powiesz i za Jaksą Marcinkowskim. —

Gdyby Pan Hetman armaty, był wypalił z swojego mózdzierza, nie byłby lepiej w sedno trafił Kudelskiemu, bo ten zamilkł, i w miejscu hypokreny, łyknął wina a dobrego.

Ściągnął tam i Pan Felicjan Głębocki ze swojemi kozaczkami Szelestem i Hołubcem, co jak zaśpiewali, a zadrumkali na teorbanach, to nie tylko nogom ale duszy i sercu chciało się skakać.

I Suryń z Rzeczycy stawił się ze skrzypcami i z korowodem śpiewaków. Ale Pani Deputatowa na wszelki wypadek prosiła Rejenta aby sprowadził muzykę Owruckiego Chaima. Było to trio arcyślawne. Chaim na skrzypcach, Judka na basetli, a stary Dawidek na bębenku z dzwoneczkami. Oni sami o sobie powiadali.

— Nu w Owruckim, w Radomyńskim, a nawet i w Żytomirskim, największe państwo skacze, jak my zagramy.

Bohdanowiecki kucharz na ten dzień został kuchcikiem, i Wielebnicki takoz, a kuchmistrz z Żuhyn, który terminował trudną sztukę w kuchniach Pana Kajetana Proskury i Józefa Steckiego, stanął u steru; zgoła takie było święto w Bohdanówce, jakiego ona od swego założenia nie widziała.

Panna Benigna całą noc prześniła o wiarołomnym; on przysięgał że tak kocha, a teraz przysięga to innej, a teraz żeni się z inną. I z tą gorzką myślą chęć zemsty wślizgała się do serca dziewicy; ale tej zemsty niewieściej co to ludzi, a nie przeistacza serca, i co za jednym słowem, za jedną prawie nic nie znaczącą rzeczą, tak prędko, tak snadno niknie, jak niknie śnieg wiosny, przed promieniem słońca wiosny. Benignie się zdawało że ona ani smutna, ani wesola; ludzie temu się nie dziwowali, a młodzież między sobą rozmawiała: — Jaka ona ładna! — co za szczęśliwy ten Franciszek! — I każdy sobie wyrzucał: czemu ja o jej rękę się nie starał. I każdy żałował: czemu ona nie moja.

Ksiądz Opat sześciokonną kareta przyjechał i obiad już się skończył. Ci co byli w kontuszach, a było ich najwięcej,

popuszczali pasy na ostatnie odpustki, a jeszcze te ich cisnęły, tak jedli i pili. Wszystko było wyśmienite i podostatkiem. Dokazywano co to ha. Post pisces vinum misces; po mięsie za karę, wypij wino stare: — hej po zwierzynie, utopić smak w węgrzynie; po szpinaku, dawaj pontaku, a po cieście zmyj buzię w szumiącym francuzie.) A zdrowiami tak szafowano, iż począwszy od gospodarstwa, płci pięknej, Panny Benigny i Pana Franciszka, szli kolejno do wszystkich, i nie zapomnieli o najdrobniejszej konsolacji każdego gościa.

Już powynoszono stoły z jadalnej komnaty, i Chaimowe trio tam się wносиło, kiedy z niemi razem wpadł pies gończy, gość wcale nieproszony. Żydów o mało nie wywrócił; aż krzyknęli. — Aj waj! — Darmo kredencarz jeszcze zbrojny w serwetę, machnął i krzyknął: a won — on obcesem przedarł się przez tłum, pomiędzy gości będących pod dobrą datą, i obcesem skoczył do panny Benigny.

Ona krzyknęła: — Zagraj! — A w tem zrobił się wielki zgiełk; kobiety uciekały: — gwałtu — ratujcie — pies wściekły; mężczyźni biegli — zabić — zastrzelić.

Benigna drżąca, blada, sparła się na poręcz kanapy, a pies odwrócił się i do jej nóg się cisnął, jak gdyby zarazem chciał jej bronić — i u niej dla siebie szukał obrony. — Nielitościwy kredencarz zarzucił mu serwetę na szyję, i mimo że go kasał w rękę wyciągnął z pokoju. — Dziewica sparta na ramieniu matki wyszła także, i szemrała ale tak cicho że tylko ucho matki mogło dosłyszeć: może on tu jest.

Wszyscy wrócili do komnat, i Chaim sztyftował się do zarypania Polskiego, ale panna Benigna nie wróciła. Pani Deputatowa wyszła.

— Nieboraczka, tak się zlekła, że teraz mocno cierpi; posłaliśmy po doktora. —

Kto tylko wrócił od chorej, powtarzał.

— Biedna Benisia, jakże ona cierpi.

— Biedna, ja boję się żeby nie dostała gorączki. —

Muzyka nie zabrzmiała, wieczór przeszedł, noc przyszła, a ani myśleć żeby panna Benigna mogła wstać choćby jutro, albo pojutrze z łóżka, tak powiedział Pan Chenez Owrucki lekarz. Goście jedni zabierali się do spania, drudzy wyjeżdżali.

Pan Ignacy pomacał po kontuszowej kieszeni, czy jest tam jego zapis?

— Jak wyzdrowieje to wtenczas dam przy zaręczynach. —

Kilku młodych ludzi na ganku, siadając do sani rozmawiało.

— I jestże tu co pewnego na świecie?

— Nie dziś to jutro się stanie, kiedy ma się stać.

— Tak zapewnie, ale może się wszystko rozerwać.

— To to Franciszek musi kląć tego psa.

— Bo też to przeklęty pies.

— Może on wściekły. —

Rapsztyński ruszył ramionami.

— Gdzież tam wściekły, ja go znam; to Zagraj białoszyi, pies Dominika. —

Wszyscy powtórzyli.

— A, a! Dominika? —

Urwała się rozmowa, a rozgłos jeszcze domawiał: Dominika.

Kiedy w Bohdanówce odbywały się takie zaręczyny, w Możarach było smutno, cicho, jak gdyby anioł boleści mignął całunem smutku przed wszystkich oczyma; jak gdyby tchem milczenia wionął w usta wszystkich. Stary Szymon widno że tylko co z drogi powrócił, przed stajnią jeszcze nie wyprzęgli z sanek koni, i na Szymonowej huńce w sieniach na kołku zawieszanej śnieg jeszcze nie otopniał.

Wszyscy go witali, ale nikt o nic nie śmiał zapytać, i on oprócz odwitania, nikomu nic więcej nie powiedział.

Stary Włodzimierz z założonemi na piersiach rękoma, czekał rozkazu. Małgorzata z Teklą przyrządzały połudenek, Magdalena przędła, dzieci pierze skubały, Jakób grzał się pod piecem, a Prakseidy między niemi widno nie było.

We zwyczaju to było u starego Szymona, po każdym powrocie obliczyć okiem wszystkie głowy swojego pokolenia, i przypatrzeć się czy czasem które nie zmizerniało na twarzy, albo nie kuli się postawą; teraz tego wszystkiego nie robił, okiem na stole, przed sobą czegoś szukał.

Małgorzata przypominała sobie jakąś rzecz, bo rzuciła połudenek, wyszła do alkierza, i wnet wróciła niosąc w rękę list, który oddała Szymonowi.

Szymon czytał; twarz starca i tak już posępna, posępniała jeszcze, ciężko z głębi serca kilka razy westchnął.

— Nic z tego nie będzie. —

List złożył i schował w zanadrze.

— A to dziś poniedziałek?

— Poniedziałek ojczyste. —

Zamyślił się, parę razy potrząsnął głową.

— Pogubiłem dnie, ale to na nic by się nie zdało; już za późno. —

I znowu było milczenie.

Wszedł Łukasz i młody Włodzimierz; ten ostatni z dziadkiem jeździł, ale i na niego napadła takąż sama choroba milczenia, jak i na dziadka. Wyprzęgając konie, Łukaszowi odpowiadał tak krótko, tak nie jaśnie, że ten się rozgniewał.

— No, żeby konie i sanie umiały gadać, więcej by od nich można się było dowiedzieć, jak od ciebie. —

Zasiedli do południku; wszyscy a wszyscy byli, tylko jednej Praksedy a drugiej Doroty tam nie było. Kiedy Szymon prosił Boga o błogosławieństwo, głos jego był tak rzewnym, że wszystkim na sercach rzewnie się zrobiło. I chleb był wypieczony, i w barszczu uczciwa okrasa; na hreczanych kluskach złociły się skwarki, a biały ser jak nici się ciągnął; i przyrumieniony prosiak chrupotał pod nożem, a nikomu oprócz dzieci jeść się nie chciało. Wszyscy brali na talerze, widno dla tego tylko aby uniknąć zapytania: czemu nie jesz? Bo nie jedli.

Pierwszy Szymon ruszył się z miejsca.

— Dosyć tego, wstawajmy. —

I dziękczynienie Bogu było odmówionem jeszcze rzewniejszym głosem, tak jakby się zabierali na płacz.

W tem Tekla spojrzała w okno.

— Ktoś jedzie! —

I stary Szymon spojrział.

— 'To Pan Podczaszy i Pan Dominik. —

Cztery różne konie zaprężone wzdłuż zakręciły na dziedziniec, i sanie stanęły przed Szymonową chatą. Nim Szymon wyszedł przeciw gościom, obrócił się do Małgorzaty.

— Upiecz no tam co, i przygotuj na przekąskę. Łukasz pamiętać o koniach i ludziach. —

Jeszcze na dziedzińcu uprosił o rozkaz wyprężenia koni. Podczaszy wchodząc rzecze:

— Choć to my w dziewosłęby tu przyjechali, ale my starzy przyjaciele, nasze szkapy nie powinny drzeć na mrozie, one się nie kochają. —

Dominik był wypogodzonej twarzy, może udawał taką; stary Szymon ścisnął go serdecznie, ze łzami w oczach, i on go witał jakby własnego ojca. Wszedłszy do chaty, darmo okiem rzucał do koła, nie widział ani matki, ani córki; drzwi od alkierza były otworzone, ale i tam ich nie było.

Podczaszy z bracią szlachtą się witał.

— Panie Szymonie, a gdzież twoja prawnuka, gdzie Pani Pawłowa?

— Wyjechały obiedwie.

— Czyś nie odebrał mojego listu?

— Dziś dopiero kiedym powrócił z drogi.

— To nie dobrze; ale cóż robić, kiedyśmy zjechali na grunt, to i w nieprzytomności strony trzeba sprawę odsądzić. Co na to mówisz Panie Szymonie? —

Szymon milczał, tylko skinął głową na swoich, i oni wyszli. Podczaszy siadł.

— Panie Szymonie, wiesz że sam jestem swatem mojego syna do twojej prawnuki. —

Szymon odpowiadał powolnym głosem; tak jakby mu go ciężko było z piersi dostawać.

— Bóg mi świadkiem Panie Podczaszcy, że to połączenie się z twoim rodem byłoby dla mnie największem szczęściem. I własnego dziecięcia nie mógłbym i kochać i szacować więcej, jak kocham i szacuję Pana Dominika, gdybym był takim za-
możnym i potężnym jak moi przodkowie. — Tu trochę czoło wznosił do góry. — Panie Podczaszcy, wolałbym twego syna nad Książąt i Carów. Dziś ja biedny szlachcic, nic więcej nie mam oprócz tego starego serca, które was kocha, i boleję, że to coby było mojem szczęściem, być nie może. — Schylił głowę i lży mu w oczach stały. —

Dominik patrząc na starca od płaczu ledwie się wstrzymać może. I Podczaszemu jakoś nie dobrze, zdobył się jednak na mowę.

— Panie Szymonie dla czego być nie może?

— Panie Podczaszcy, ona nie chce.

— Kto nie chce?

— Praksesta, moja prawnuka.

— Gdzie ona jest?

— Panie Podczaszcy, to na nic się nie zda.

— Panie Szymonie co to znaczy? Kiedyż ona powróci?

— Ona między nas nie powróci. —

Dominika serce zabolalo. Wstał.

— Panie Szymonie, czy nieszczęście jakie? — czy? — I zatrzymał mowę.

— Żyje ona, żyje Panie Dominiku; ale już między nas nie powróci. —

Starcowi lży się potokiem puściły; Dominik płakał, ręce załamywał, a Podczaszemu nie dobrze było.

XXIV.

Słowo — mądra,
Kulak — wiara.

STARA GADKA

Minęły kijowskie kontrakta. obywatele hurmem jakby na wyciągi powracali do domu; ten umieścił kapitalik na siódmy procent tylko, ale na pewną ewikcję; tamten zapożyczył się na ósmy procent i to z góry, i już zawczasu myślał o tradycjach i rozbiorze. Jeden z ubieranego grosza na dzierżawach, kupił dziedzictwo, drugi praojcowskie dziedziczne włości sprzedał a poszedł na dzierżawy, a może i na bruku osiedzie. Nie jeden ekonom, szypr i inny oficjalista zadzierżawił, albo kupił pańską wioskę, a nie jeden dziedzic poszedł na komisarstwo do jakiegoś tam większego panka: tak to szlachtą panoszała, panowie na drobne szlachetki przechodzili, i sprawdzali staropolską gadkę: że szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie; bo co dziś jednego spotkało, to drugiego może spotkać jutro, nikomu droga nie zagrodzona ani do góry, ani na dół; kłapnie, tem gorzej dla niego; podniesie się tem lepiej dla niego, a zawsze niczem innym nie będzie, jak szlachcicem polskim.

Ten zgrał się w faraonika jak włoskie skrzypce, i cienko przedzie; powtarza sobie: nie za to ojciec karał syna że grał, ale za to że się odegrywał; tamten pan kandydat na bankruta, woła: nie ma wiary między bracią szlachtą, jak skała twarde mają serca, żaden pożyczyc nie chce, nawet na dziesiąty procent. A każdy wiozł dla żony, dzieci, rodzeństwa, albo i dla siebie: kawior, jesiotrzynę, minogi, śledzie, konfitury suche i mokre od Bałabuchy albo od Kisielewskiego, herbatę i inne produkta, przynajmniej na pół-roku do potrzeb domowych.

O rzeczy publicznej złe wieści każdy przywiózł; Francuzi wybrali się za Odrę, Moskwa załała kraj Polski i za Francuzami wali a wali. I Niemcy dziawkają za wielkim Cesarzem, jak ta

hołota uliczna, co lży słowami, kamykami rzuca na nieprzyjaciela uchodzącego przed ludźmi wojny.

Taki to pokontraktowy był zjazd w Owrucza. Pan Podczaszy z synem powrócił z Kijowa, i stanął u Księdza Opata: tam się mieściła wieksza część Owruczanów; Chinci dom i inne domy zajezdne przez bratnią uprzejmość odstąpili dla przejezdnych Wołyniaków. Pan Podczaszy kupił nad Prutem gdzieś koło Kiszeniewa trzy tysiące dziesięcin stepu; kupił je za bezcen, a Pan Dominik jeździł z ojcem, bo tak ojciec chciał. W Kijowie wszyscy mówili: co to za urodziwy młodzieniec, jakiej szlachetnej postawy, szkoda że taki dziki jakby się ludzi bał, taki posępny, milczy jak mruk. Owruczanie szanowali jego smutek, każdy nad nim pobolał, i każdy mówił: hodaj takich wielu było.

I Pan Choraży Załęski także powrócił z kontraktów, i ten był nie swój. Panna Benigna niktęła na zdrowiu, a zaręczyny odkładano do jutra.

Stary Szymon przyjechał także do Owrucza na kilka godzin, nie z Kijowa ale ze swojej ubogiej chaty; w jego boleści było wiele książecego, przed nikim nie użalał się na los, nikomu nie powierzał swojej doli: cierpiał ale sam w sobie, ludziom nawet tego nie chciał pokazać. O Praksedzie nikt nie wiedział gdzie jest. Dorota powróciła do Możarów, ale bez córki; ludzie rozmaicie gadali i przegadali się.

Odwilż była wielka na dworze, jakaś wilgoć mrczyła, rozmarzły się sople, i z dachów woda ciurkiem kapiała, koło domów pędziły potoki; konie jak woły w pługu ciągnęły podreziaste sanie, a piesi babrali się w błocie jak w Marcu, albo w Październiku. W taki to dzień przed mieszkanie Isprawnika zajechały pocztowe sanki, z nich wysiadł sam Mewes; i on, i konie i zwoszczyk byli całkiem oklapani błotem. W domu była Isprawnikowa z Nestorem, który dnia wczorajszego wrócił z kontraktów. Isprawnik wpadł podobniejszy do djabła jak do człowieka, tak był zamazany błotem.

— Żono przejdź każ mi dać przebrać się i jeść, dziś jeszcze będę musiał jechać. Jak się masz Nestorze?

— Jako tako, ale ty?

— Ja dobrze, mam w rękę ptaszka; chodź ze mną, pogadamy. —

Po chwili obadwa byli z Nestorem.

— Niech ją tam djabli wezmą; głupia szlachta jak sobie posłała, tak się i wyśpi.

— A tóż śledztwo o szlachectwo?

— Odkładam go między zaległe dzieła. Widzisz Nestorze nie taki to ja zły jak się zdaje, chciałem temu psu Wojcie-

chowi dać przysmaczek, a teraz kiedy mu z tej rzeczy nie będzie ani zimno, ani gorąco, to i mniejsza o to czy Możarowscy chłopci czy szlachta. Mam ja go innym sposobem na haczku.

— A to jakim, czy można wiedzieć?

— Tobie wszystko można; wiesz że on kupił step na Besarabji.

— Wiem, przy mnie płacił pieniądze; myśli założyć tam składy wszystkich leśnych produktów, zobaczysz jakie zrobi pieniądze.

— Nie jego to rzemiosło, tam coś innego się święci; wiesz że na osadnika wybrał tego Podkołotego z Jezierańskiej slobody.

— To sprytny człowiek, zna się ze stepem, jak ryba z wodą, jak my panie bracie z karbowanicami.

— No ty tak myślisz?

— A tyż jak?

— Ja inaczej, a też konszachty z Markiem Baranem?

— Młody bez niego, ani stąpi na polowaniu.

— Dla mnie te ~~ich polowania podjarzane~~; patrz, na wszystkich traktach rozbijają, a rozbójników nigdzie przydybać nie można.

— Słuchaj panie bracie, ja ci za naszą szlachtę nie ręczę, nawet i za moich Hoszowców; daj im sadła pod nos, dalibóg nie porzucą; ale też i Dońce nielepsi, to ich rzemiosło; dla nich wszystko jedno czy moskala obedrzeć, czy Francuza, czy Lacha, byle obedrzeć. Oni nie przebierają, jak jest kura to dawaj kurę, a jak nie ma to dawaj chleb.

— Wszystko toby być mogło, ale moi widzieli jak Marko i Podkołoty byli w nocy w Chrystonówce, i w nocy ztamąd wyjechali. Widzieli jak Dominik trzema saniami wioził jakieś rzeczy ze slobody Podkołotego.

— W nocy być w Chrystonówce to nic nie stanowi, i od Podkołotego można wieść różne rzeczy, a cóż ty myślisz z tego wszystkiego?

— Ja myślę — ja myślę — że oni tam robią djable polowania; zabrałem Marka, Podkołotego i tego Matwija z Horodca, i wszystkich trzech kazałem prowadzić do Mozyra.

— Kiedy?

— Jeszcze teraz nie muszą być w Mozyrze.

— A potem co?

— Tam musi być, albo przyjedzie Jenerał Ertel. Napisałem do niego doniesienie, i sam zaraz tam pojedę, dowiemy się my od nich prawdy, a potem weźmiemy choćby kilka pułków, i pójdziemy z obławą po lasach.

— Niech wam djabeł szczęści, ale mnie to dziwno że ty taki

sprytny, na Isprawnikowstwie zęby zjadłeś, a jak w ciuciubabkę chcesz grać z wiatrem w polu.

— Jak to?

— Łapać indyka na powietrzu, a puszczać wróbli z kieszeni.

— Ja tego nie rozumiem.

— Otóż ja ci powiem. Wiesz że ja tego psa Wojciecha radbym w łyżce wody utopić, taki mam na niego chrap; w Kijowie dowiedziałem się od Czopowskiego, jak się tego podciął, że dzisiaj w nocy mają się zjechać w Piniaszewiczach.

— Kto taki?

— A juźci Wojciech i cała jego klika.

— U Pana Pieńkowskiego?

— Tażeż u niego; ale na nieszczęście to w Radomyślskim powiecie.

— Cóż oni tam będą robili?

— Tam będzie Seweryn Załęski.

— To siostrzeniec, prawda.

— A ma tam przybyć z Warszawy Pan, Pan Tarnowski zdaje mi się. Podobno to Pułkownik.

— Tak, tak Marcin Tarnowski z Bereziec, Pułkownik szesnastego pułku ułanów polskich.

— Ale to próżna rzecz gadać; jedź ty za swoim do Mozyra, może ci się tam uda; ta to czasem na niespodziewanem miejscu najwięcej zwierzyny można zastać.

— Nic, ale te Piniaszewicze, możnaby tam na gorącym uczynku schwytać.

— Połapaćby ich tam można jak w matni; ale dajmy pokój temu, dwóch rzeczy razem nie robić.

— A gdybym ja kogo posłał do Mozyra?

— Zapewnie gdybyś posłał Korczewskiego, onby się tam sprawił, ja myślę; ale gdyby się nic ztamtąd nie dało wyciągnąć, wyrzucalbyś sobie żeś się polenił. —

Mewes przeszedł się parę razy.

— Nestorze postanowiłem, poszlę do Mozyra Korczewskiego, sam kopnę do Radomyśla, ztamtąd do Piniaszewicz, i tak się zwinę żebym jeszcze na wtorek był w Mozyrzcu.

— Zwijaj się, a jak ich złapiesz, to trzymaj żeby nie uciekali.

— Jakoś to będzie, ale ty Nestorze dowiedz się kiedy i jak oni jada.

— Dobrze, spuść się na mnie jak na siebie samego. Już to kto, a ja ciebie, to nigdy nie zawiodę. —

Dominik z woli ojca żeby się rozerwać trochę, wsiadł na białonogiego, którego mu przyprowadzono z domu i ruszył

z młodym Rapsztyńskim żeby się trochę przejechać za miasto. I stu kroków nie zrobili kiedy zdybali starego Szymona. Dominik żywo zeskoczył z konia i powitał starca. Nie był panem siebie i zapytał o Praksedę.

Starzec potrząsł głową.

— Panie Dominiku, bądź szczęśliwy, ona nią nigdy być nie może. —

Dominik stał przed starcem a milczał, ten go wziął za rękę.

— Jeżeli ci się na co zda błogosławieństwo starca, to cię błogosławię, bądź szczęśliwym. —

Jeszcze i do bramy Wileńskiej nie dojechali, kiedy zdybali kryte sanie. Dominik poznał konie, ludzi, zajrzał młodą dziewczę, zdało mu się że słyszał jej krzyk, ale słyszał wołanie takóž głosu kobiecego — ruszaj. I sanie zniknęły, jak widzenie jakie. Dominik zaciął konia ale nie pojechał za saniami, Rapsztyński zbliżył się do niego.

— Dominiku ty kochasz Pannę Benignę. —

Dominik nie nie odpowiedział.

— I ona ciebie kocha, ja to zaraz widziałem w owym dniu kiedy miały być zaręczyny z Franciszkiem. Wiesz co Dominiku.

— Co?

— Ja pojedę do Państwa Deputatostwa, powiem.

— Cóż ty powiesz?

— Powiem Pannie Benignie że ty ją zawsze kochałeś i kochasz. —

Podczaszyc potrząsł głową.

— Pocieszę biedną dziewczynę; żebyś to ją widział co się z nią zrobiło, teraz do niepoznania.

— Wracajmy.

— Ja boję się o nią. —

Ale już Dominik tych słów nie słyszał, bo białonogi pokłusował.

Wróciwszy zastał matkę, ta zaraz przy powitaniu mu powiedziała.

— Widziałam ją, ona ciebie kocha; miały być.

— Już są.

— Dominiku ty tak zmizerniałeś.

— Ja zdrow jestem mamó. — Miał na ustach pytanie, ale ono ztamtąd nie wyszło.

— Mój Dominiku nie trać nadziei, zobaczysz, ojciec pozwoli.

— Tak się Mamie tylko zdaje.

— Będę dziś jeszcze mówiła z panem Prezesem.

— Ja wątpię żeby on potrafił zmienić wolę ojca.

— A ja nie. — Ty posłusznym byłeś jego rozkazom, a kiedy to być nie może, to może on nakłoni się na nasze próśby. — I Pan Szymon. — —

- Ja widziałem dziś Pana Szymona.
 — On ze mną długo mówił o tobie, on ciebie kocha tak jak swego syna.
 — Ja to wiem, i przezemnie traci najukochańsze dziecko.
 — Tyś temu nic nie winien; on chce mówić za tobą.
 — Tak mam, ja mu smutek wniosłem do domu, a on chce dla mnie szczęścia.
 — Proszę ciebie, nie miej ty takich czarnych myśli.
 — Mam, ja nie wiem dla czego, ale mnie się zdaje że z tego nic nie będzie.
 — Mój Dominiku! — I matka chciała wzrokiem, macierzyńską pieszczotą wlać w serce syna tę nadzieję, którą nie mogła wlać słowami. —

- Pan Podczaszy pokazywał księdzu Opatowi jakiś papier.
 — Wyrobiłem przecie przeniesienie trzydziestu dusz do mojej nadpruciańskiej ziemi.
 — To chwała Bogu. —
 Prezes Teleżyński się odezwał.
 — Tylko się śpiesz, żeby Mewes znowu jakiej psoty nie wypłatał; on wziął się na ciebie jak zły duch.
 — O ten pies! — Ciszej mówił do Prezesa. — Dominika tam wyszlę, to go uleczy.
 — Cóżes zrobić z naszymi papierami?
 — W największym bezpieczeństwie, bądźcie spokojni.
 — Możeby lepiej przewieść one do Księdza Opata.
 — U mnie nie poważą się przetrząsać.
 — Jak chcecie, to i to się zrobi. Wszystko w nic poszło, no uderzmy się w piersi, a wołajmy głośno: nasza wina nasza wina. —

Tu otworzyły się drzwi i wszedł Nestor; za nim stary Szymon, a po chwilce i Dominik, którego ojciec wprzódy jeszcze potrzebował.

Nestor opowiadał, wszyscy słuchali, a jak skończył, Prezes pociągnął rękę po bladym czole.

— No teraz przepadniemy. —

Podczaszy poczerwieniał.

— Ten hycel naważył się na nas, jużbym mu siebie oddał; o Podkołotego i o Marka nie boję się, nic nie powiedzą, ale ten Matwij to moje nieszczęście. — Spojrzał na Teleżyńskiego. —

Ópat złożył ręce.

— Bóg miłosierny, on nas uratuje; módlmy się do niego, dodał, i w jego imię róbmy.

— O tak, tak, hem, krząknął Nestor. — Rąk nie opuszczajmy, a jeszcze raz ubierzemy Mewesa w szory. Ty Panie Woj-

ciechu z żoną i Panem Tadeuszem jedźcie do Piniaszewicz, a niech wam co w drodze się złamie. W Mozyrzcu przez ten czas może wykupiemy się, i poszlemy wszystkich trzech nad Prut. —

Szymon siwy wąs musnął. To dużo czasu zabierze wykupować, się a może się i nie udać; żeby jak i inny sposób. — Dominikowi na bladą twarz wystąpił rumieniec.

— Ja mam sposób, ja ich uwolnię. I wyszedł z komnaty nim ojciec usta otworzył. Nestor popatrzył.

— Znowu jakiegoś diabła zmaluje, dalibóg wartoby go związać na kaganiec. —

Podczaszy i Szymon wyszli, a już Dominika nie było w Opactwie, a białonogiego w stajni.

Podczaszy milczał, stary Szymon przebąknął.

— To mi to człowiek. —

XXV.

Gorzka iza tam płynie.
Kto tyle jak ja utraci.

D. G. MAGNUSZEWSKI.

Nad Litewską Prypecią stoi przy mieście Kimbarówka, i na Mozyr patrzy, tak blisko jak niegdyś Litewka patrzyła na Rusinów harcujących po tamtej stronie wody. Nie daleko rzeki z ziemi wysoka góra dźwiga się ku niebu; przed latami był tam zamek Litewskiego Kimbara, ale on zawadzał wrozkowi Książów Możajskich, Strażników Czarnobylskiej dzielnicy: poszli i ze szczytu zamek zmiotli precz; ludzie pobawili się z dziełem ludzkim, ale góry, dzieła Bożego, wrzucić z miejsca nie mogli, zostawili ją tam, i ich wzrok przywykł do tej zawady. Po pod górą ściele się dolina, taka gładka, taka równa jak niebo; tam wiosną i latem barwią się kwiaty, takie kraśne, takie jasne, jakich nigdzie nie widać, i ptaki tam się zlatują, takie dziwne, takie śpiewne, o jakich nigdzie nie słychać, i dla tego ludzie ją przewali: Anielska Dolina.

Teraz po dolinie śnieg się bieli, na przymieściu szarzeją dachy od odwilży, i droga poszarzała; a dwa wielkie monastery poglądają na siebie oko w oko. Po ich murach słońca się biel taka jak na szacie siostry Cysterki, a miejscami starzała taka bura barwa, jak na kapturze brata Cystersa. I te monastery jeden był schronieniem siostr Cystersek, drugi mieszkaniem braci Cystersów.

Już dzwony przedzwoniły Anioł Pański, zakonnice śpiewały w kaplicy pieśni poranne, z prośbą do Boga. Długim rzędem klęczą, białe szaty spływają na kamień posadzki, białe kaptury szeroką kapą kryją i włosy i lica, w biel niewinności odziewają ziemskie ciała. Na piersiach stuły bure jak proch ziemi, to przypomnienie, że od ziemi oderwały się ich serca, to przestroga żeby do ziemi już nie powracały, chyba po śmierci, bo wtenczas dusze polecą ku niebu, ku niebu, jak teraz tam leci śpiew ich prośby.

Między temi zakonnicami była jedna, bez kaptura na głowie, bez stuły na piersiach, w biel takóŜ przybrana, ale krucz włoŝy jeszcze wiatr muskał, jeszcze nad skronią wily się samowolą. Widno i lice blade, i tęskny smutek na nim, i to oko zasnutę cierpieniem, i te usta modlące się do Boga. O! ona jeszcze nie była Oblubienicą BoŜą, ale dziewicą smutku, próŝby. Bogu nioŝła swoje serce, i proŝiła: Ojczy nasz, pociesz je; i weŜ je sobie.

Kto była ta dziewica? — Niedawne czasy jak przybyła między siostry Cysterki, i w murach monasteru zamknęła swoją młodość. Zwano ją imieniem Anna, ale widać że to imię przybrane. Często kiedy która z sióstr woła: Anno, ona słyŝy wołanie, i nic nie odpowiada, i ku niemu nie idzie, aŜ przełoŜona przyjdzie, weźmie ją za rękę, i łagodnie szepnie jakby na ucho: to ciebie wołają; wtenczas dziewica rumieńcem, spuszczeniem oczu, przyrzeka że więcej tego juŜ nie będzie, a jednak od czasu do czasu to się powtarzało.

Celę miała obok matki przełoŜonej: nieraz inne zakonnice przechodząc tamtędy słyŝyły z korytarza, śpiew smutny, tęskny; jakby struna samowolą dzwoniła, jakby wiatr jęczał, a gdzieś daleko; słyŝyły westchnienia dziewicy, łagodne słowa i płacz przełoŜonej. Widziały jak obiedwie wychodziły na wieŜę kaplicy, i dziewicy wolno było jeszcze ztamtąd patrzeć na ŝwiat; na ŝwiat pusty, ale za murami monasteru. PrzełoŜona garnęła ją ku sobie, jak siostra rodzoną siostrę, jak matka córkę.

PrzełoŜona, był to Anioł dobroci, przed niedawnymi laty i ona była dziewicą smutku i próŝby. Marcelina Hołowińska z bogatego i znamienitego rodu, rzuciła ziemskie ŝczęście, i ziemskie dostatki, żeby w zaciszu zakonu słuŜyć Bogu; od dwóch lat dopiero, po ŝmierci Humbeliny Trzeciakówny, na jej miejscu została przełoŜoną sióstr Cystersek. Owruczanka nastąpiła po Owruczance. Ona była dobra, łagodna, bo sama cierpiała.

Inne siostry bynajmniej się nie dziwiły tej przychylności matki przełoŜonej ku dziewicy; mówiły między sobą:

— Któżby ją pocieszał? któżby potulał jej smutek, jeŝli nie ona, nasza matka. Pocięchą, potuleniem, najlepiej z serca wyrzucić co bardzo za ziemskie, a potem jak będzie czyste, Bóg je sam weźmie. —

Wszystkie lubiły młodą dziewicę, bo one wszystkie były Owruczanki.

Siostry Cysterki szeregiem wyszły z kaplicy, i kaŜda poszła do swojego zatrudnienia, a w celi młodej dziewicy było słychać śpiew, nie koronki, nie kantyczki, ale śpiewki ŝwiatowej, znanej po wszej Owrućkiej ziemi.

Tają śniegi, tają lody,
I Prypeci szemrzą wody,
Czemuż smutek tej dziewczynie?
Ni tchem taje, ni lżą płynie?

Tają śniegi i stajały,
Szparko, wartko Prypecć płynie;
Płynie, płynie, a dziewczynie
Oczki łzami nie plakały.

Oj zła dola już jej grozi,
Bo dziewczynie płakać trudno;
Lód na sercu lezki mrozi,
O tak cierpieć, jak to nudno.

Nad Prypeci siadła wodą,
I zwiesiła główkę młodą;
O! jak prosi łzy, mój Boże!
Chcę popłakać; i nie może.

Ciemne oczy w niebo wzniosła.
Żuraw leci po nad lasem,
Skrzydłem świszcze, śpiewa czasem:
Ona prosi tego posła:

— Mój żurawiu, mój ty miły,
Lecisz sobie k' naszej chatce,
A ja idę do mogiły;
Nie mów tego mojej matce,

Ani ojcu stareńkiemu,
Ale powiedz miłeńkiemu;
Powiedz, powiedz żem umarła,
Oczki moje śmierć zawarła.

Niech nie jęczy, niech nie szlocha,
Niech nie rzuca swe roskosze;
O rzecz jedną tylko proszę,
Niech zapłacze po mnie trocha. —

Żuraw leciał, zniknął z oka,
Dziewczę prosi. — Łzy mój Boże!
Małej težki, choć z obłoka;
Chce popłakać, a nie może.

A Prypecią lotacz płynie,
Biały lotacz ku dziewczynie;
Ona ręką go podnosi,
Rzuca w wodę, i tak prosi:

— Nad Prypecią jam urosła,
Nad Prypecią moi siedzą;
Niechże o tem nic nie wiedzą,
Żem nad Prypecę się przeniosła.

Mój lotaczu pływ daleko,
Tam się wstrzymaj, gdzie dom biały,
Stoi blisko ponad rzeką.
Wydzie chłopiec, już nie mały;

Pozna ślady mojej ręki,
Powie tobie: dzięki, dzięki!
I zapłacze chociaż trochę,
Nad dziewczyną co go kocha. —

Biały lotacz płynął sobie,
Łza dziewczęciu nie chce płynąć;
O tak cierpieć, lepiej zginąć!
Stokroć lepiej leżeć w grobie!

Biedne dziewczę łzy nie miało,
Układło się po nad rzeką;
Tak leżało jakby spało
Z suchem okiem i powieką.

Śmiercią spała pod mogiłą,
Łzy uie było, i nie było.
Bóg do prosby się nie skłonił,
I kochanek łzy nie ronił.

Z tego świata poszła sobie,
Bez łzy — tyle przecierpiała,
Bez jednej łzy i skonała;
Nie dostała łezki w grobie.

I po śmierci cierpi jeszcze.
Biały lotacz w wodę nosi,
Na żurawia w usta pleszcze,
Małej łezki ludzi prosi.

Jak u wszystkich, tak i wszędzie,
Jednej łezki żebrać będzie,
Łezki tylko, łezki trzeba,
Żeby mogła pójść do nieba.

Skończyła dziewica i twarz skryła w obu dłoniach, a myśl utopiła w dumaniu; ale dłonie były suche, łezka je nie zrosiła i dumanie było smutne, myśli nie rozjaśniło.

Po chwili i Przełożona i młoda dziewica wyszły na wieżę kaplicy popatrzeć na świat.

Poczerniały lasy, tuman mroki owionął Kimbarową górę; mraka zjada śnieg na dolinie, i biel śniegowa tak się zmieniała jak gładkość na licu dziewczyny, kiedy ją zła dola pocznie trapić. W monasterze braci Cystersów dzwony jęczą głuchym, stłumionym pojękiem, przez mraczne tumany biją się do nieba. Młodej dziewczycy serce pojękiem odpowiada jęczeniu dzwonów, a oko szuka w mracznych tumanach, samo nie wie czego: czy do nieba drogi, czy szlaku po ziemi; z tym się rozbratała, a do tamtej jeszcze nie przeziera. Przełożona wciąż się modli, pacierze odmawia, i ona wciąż szepce pacierz serca.

W Mozyrzcu ludzi nie zająrzeć, mraka wszystkich pozaganiała. w domy, i w Kimbarówce nikogo nie widać, a na dolinie pustynia.

Daleko na szlaku od lasu, jakaś kupka czerni się, i sunie się wprost ku dolinie. Z początku mała, coraz się zwiększa, zwiększa, w oczach rośnie. Widno: ludzie na koniach, jadą do koła sanek, i na tych saniach ludzie. Poznały że to Dońce na koniach, a na saniach jacyś więźniowie. Obiedwie złożyły ręce do modłów.

— Znowu jacyś nieszczęśliwi! Boże zmiłuj się! —

Tylko modlić się mogły za nimi, i nic więcej.

Już byli na pustej dolinie, i kopali się rozstającym śniegiem ku murom monasteru. Dziesięciu było dońców, a na saniach trzech ludzi w dyby pozabijanych, i woźnica.

Aż tam znowu od lasu coś się czerni, pojedynczo jacyś jeźdźce pędzą a nie wielu ich, kilku, ale może w lesie więcej, bo coraz jeden za drugim na szlak wymyka; a pędzą jakby na przepadłe gnali, konie szutami wyrwywają się z nakatu, jak pijane zataczają się po drodze, a skaczą naprzód. Jeden jeździec wybiegł przed innemi i sunie śniegiem, bokiem szlaku, a widno że puch śniegowy nic nie tętni, bo czutkie ucho dońców nic nie słyszy. Ni razu się nie obejrżeli, uszy wtulili w burki i jadą, dochodzą, dochodzą do murów monasteru, kiedy jeździec powodyr pogoni już, już do nich doskakiwał. Odwinął burkę, z pistoletu błysnął, huknął. Młoda dziewczica krzyknęła.

— To on! to on!

Dońce jak djabłem pchnięci, skoczyli naprzód, rzucili sanie: obejrżeli się, wypalili z janczarek i mknęli w cwał ku miastu. Jeździec pogoni, tak silnie targnął konia, że ten zesłupił się, i w słupieniu przerzucił się aż pod samą furtkę monasteru. Jeździec zsunął się z konia, i do nadbiegających jeźdźców zawołał.

— Uciekajcie — w las. —

A sam się oparł o furtkę, furtka się odemknęła; ukazały się

dwie dziewice zakonu, z niemi zniknął jeździec, i furtka się zamknęła.

Przełożona i młoda dziewica zbiegły z wieży kaplicy do furtki; siostra furtjanka przestraszona strzałami, uciekła i klucze porzuciła. Same otworzyły furtkę i wprowadziły jeźdca, tak iż nikt o tem nie wiedział w monasterze oprócz nich.

— Panie Dominiku, Pan ranny.

— Praksedo!

— Pan ranny, gdzie?

— To nic, musi być lekka rana. —

A głos jego był słaby, a twarz bladła, i ledwie mógł się utrzymać na nogach. Praksedzie rumieniec rzucił się na lice, a trwoga do oczów, i drżała jak liść osiki, a obiedwie wspierały rannego młodzieńca i wiodły go do celi ojca kapelana monasteru.

Z przed monasteru i sanie i ludzie zniknęli, tylko koń osiodłany bez jeźdca biegał koło muru, w monaster poglądał, i rżał, jakby jezdca do siebie wołał.

Z Mozyrza hurmem kopiań dońce, jak ptaki na strzemionach się podnieśli; jak sokoły het daleko oczyma rzucili, zajrzeli; po pod lasem czernieją; dalej po koniach nahajkami, w kabłąk się kulą, do grzywy się czają, jakby chcieli przed konie wylecieć, a krzyczą dla ochoty.

Koń bez jeźdca nastawił się, chrapnął, poznał że nie swoi; zwrócił się, parsknął, wisnął, i w skok kopnął z kąd przybiegł. Dońce za nim, i tak przelecieli koło monasteru. Po pod lasem, konie ich biły się po śniegu, tak ciężko skakały, jakby się ratowały z wody ku brzegowi. A oni sami nic już nie widzieli, tylko las, i jak ci myśliwi charciarze kiedy starcą z oczów zająca, wołają płaczkliwym głosem: A gdzie on? gdzie?

Ksiądz Józafat, kapelan monasteru Cystersek, ośmdziesięcioletni starzec, bywalec, rotmistrz dragonji za polskich czasów, a potem zakonnik Cysters, opatrzył ranę Pana Dominika; pod prawą piersią kula przeszła, ale nie została w ciele, ani płuc nie tknęła.

— Będzie zdrów! Jezu Chryste przez twoje rany błagamy ciebie o uzdrowienie cierpiącego. To mylny strzał, nie taki ja dostałem od tych rabusiów pod Berdyczowem, w same piersi, a jednak się wyleczyłem. —

Przemył kryniczną wodą, a potem założył pajęczyną, i przewiązał białą szmatą.

— Teraz synu zaśnij zdrów. Chwała niech będzie Matce Najświętszej: ona czuwała nad tobą; tyś Polak ona Królowa

Korony Polskiej. Za parę dni będziesz znowu mógł konno hasać za temi drabami: bij, a duchu słuchaj, w Imię Chrystusa Pana; to nasze wrogi. —

Prakseda przez cały czas stała podedrzwiami celi Księdza Kapelana, a kiedy posłyszała jego słowa, zwiastuny zdrowia dla Dominika, padła na kolana, dziękczyniła, modliła się, a łzy perły do oczów jej przyszły, i lżej było na sercu.

Pierwsze słowo Dominika było.

— A Panna Prakseda? —

Przełożona z młodą dziewicą weszły do celi, ranny dziękował im wzrokiem, wyciągnął rękę do Praksedy.

— A gdzie oni?

— Kto oni? — Dziewica spuściła oczy jeszcze łzawe, ale łzą dziękczyniła Bogu.

— Twój, nasi, Włodzimierz, Jakób.

— To byli oni!

— Oni — gdzież oni?

— W las pobiegli, ale za nimi — — Nie domówiła, i twarz odwróciła, żeby nie pokazać obawy. —

Dominik pomyślał.

— W lesie, nic się im nie stanie. — Wyciągnął znowu rękę do dziewicy. — Panno Praksedo daruj. —

Dziewica milczała.

— O! ja chciałbym żyć jeszcze. — Wzrok trzymał wlepiony w twarz dziewicy, ciszej jak gdyby pacierz szeptał, dodał: — Boże daj, żebym mógł wrócić szczęście Panu Szymonowi. —

Prakseda usłyszała te słowa, ale żywa radość nie błysnęła w jej oku, tylko lekkie westchnienie uleciało z piersi.

Ksiądz Kapelan na znak milczenia palec do ust przyłożył.

— Trochę spokojności; spoczynek doda sił, zostawcie go niech zaśnie, a ja pójdę do Mozyra, przyniosę potrzebne rzeczy, i wywiem się co też tam słychać. —

Przełożona spojrzała na starca.

— Księżę Józefacie, może posłać po saneczki na ekonomią.

— I nie potrzeba; mam zdrowe nogi, dzięki świętemu Józefatowi mógłbym jeszcze nie jednego Moskala dopędzić. Pan Puławski zawsze mawiał: swoje własne nogi, najpewniejsze to konie; nie poniosą i nie pobiją, a jak dobre to i nie ustaną. —

Ranny miał się lepiej; szarym mrokiem wrócił Ksiądz Józefat, wrócił ale nie piechotą, tylko krytemi saniami Pana Marszałka Jeleńskiego. Opatrzył rannego.

— No, zupełnie dobrze. Bóg nas wysłuchał, ale co napędziliście strachu, to napędziliście tym złodziejom. Taki

rejwach w mieście, że to aż miło. Chryste daj żeby oni takiego doczekali się na prawdę.

— Ale nasi czy cali?

— Ba, żeby Poleszuka złapali w lesie, nie ich to rozum; prędzejby potrafiłi rękoma łapać ptaszki, posypując im sól na ogony, jak to — — Ale ja tu na gadaniu czas trawię, a tu trzeba jechać.

— Dokąd? — Zapytała Przełożona.

— Nie mnie, ale matce Przełożonej; odwieść rannego rodzicom. Pan Marszałek swoich sani i ludzi pozwolił: ludzi wiernych. Przytulił palec do ust: furman Horwat, a lokaj Oskierko.

— Dla czegoż tak nagle jechać, Pan Podczaszyc jeszcze chory.

— Tak nagle, trzeba; teraz Moskale nie wiedzą co z niemi się stało, a jak przyjedzie ten Ertel, to może co i złego mogłoby nastąpić, a dziś w wieczór ma przyjechać; zresztą Państwo Podczaszostwo mogliby być niespokojni. Panu Dominikowi droga nie zaszkodzi, święty Dominik zaprowadzi go na miejsce szczęśliwie, a rodzicom to bardzo szkodzi niepewność o dziecię. —

Dominika oczy mówiły: prawda, prawda. Praksesta zbladła i okiem szukała: to oka Dominika, to oka Przełożonej; ta namyśliła się.

— Niech i tak będzie. Praksedo, pojedziesz ze mną. —

Praksesta odpowiedziała milczeniem, a Dominik skinieniem głowy podziękował obudwom.

Przy wsiadaniu do sanek, Ksiądz Józafat błogosławił ich krzyżem świętym.

— Jedźcie szczęśliwi, Bóg nad wami, wszyscy święci nad wami. Matko Przełożona bądź spokojna, i porządek tu utrzymam, i tym rabusiom się nie dam. Chryste miej nas w swojej opiece, i wstaw się za nami do Boga Ojca, w Twoje Święte Imię, my go prosimy, a będzie nam dano. —

Jeszcze przed furtą tak się modlił Ksiądz Józafat, a sanie już dawno pojechały.

W podróży żadnej złej przygody się nie stało; drugiego dnia nad wieczorem wjeżdżali na dziedziniec przed Chrystonowiecki dom; w samej bramie zdybali białonogiego kasztana, jak go prowadzono do wodopoju, i on zarżał, jakby Pana poznał.

Przed gankiem Dmytro i Kawecki witali.

— Chwała Bogu! co tu niepokoju! Koń w nocy przybiegł. Pan porozsyłał na wszystkie strony. Pani o niczem nie wie. Czy Panu nic się nie stało?

Obadwa starzy słudzy chcieliby ścisnąć, i wypytywać młodego Panicza; nie dziwnego, oni go na rękę dziecięciem piastowali.

Podczaszy wybiegl.

— Dominiku! Dominiku! —

Ścisnął syna i nikogo nie widział, dopiero potem spostrzegł.

— Matko Przełożona, Panno Praksedo! On ją poznał. Proszę, proszę. — I jak dziecko na żonę wołał: Jest i syn i zguba nasza. Elźbieto! Elźbieto! Dmytro daj znać Panu Szymonowi, proś żeby tu zaraz przyjechał. —

Podczaszyna witała gości, całowała swojego Dominika. A kiedy jej Przełożona i Dominik opowiedzieli wszystko a wszystko:

— Mój Dominiku! — Ścisnęła jego i Praksedę i matkę Przełożoną. — Moje dziecko połóż się zaraz, mężu poszlij po doktora.

— Dobrze, dobrze. — I jeszcze raz uściśnął syna. Na twarzy była u niego chluba ojcowska, a w oczach ojcowska łza.

— Mój synu! —

XXVI.

Assyryjczyk na Judeę, jak wilk się miota,
Huf jego od szkarlatu polyska i złota.

LORD BYRON, tłum. J. hr. DUNIN BORKOWSKI.

W parę dni później, Zasiadatel Korczewski wracał z Mozyra na Horodec, i w samym Horodcu zdybał ze sześćdziesiąt sani z leśnemi produktami, a tak było dużo poganiaczów, że po trzech i po czterech możnaby naliczyć na jedno sanie. Zasiadatelski pisarz, jakiś Gryszka Korobkin, przepatrywał między temi ludźmi.

— Mnie się zdaje, że ten na koniu, tak coś wygląda jak Podkołoty.

— Co ci jest, ja go tak znam jak siebie samego, Bóg wie gdziebym go poznał; to nie on.

— A ten Panie, taki rusiawy jak Marko Baran?

— Ha, ha! u ciebie jak tylko pies rudy, to i łyska musi się nazywać; a każdy żyd z pejsami, to musi być Moszko.

— Dalibóg że mnie się zdaje że to oni.

— No, pilnuj sani, a ja pójde zapytać kto oni; gdybyśmy ich połapali, toby to można powiedziec, że szczęście z nienacka na nas wpadło. —

Poszedł, rozmawiał z temi ludźmi, jakieś papiery od nich brał prezierał; powrócił.

— Jada za paszportami po całej formie.

— No, a ja dalibóg myślał, że to oni.

— Ba, żeby to byli oni, czego by tu było trzeba?

— I jak to mi się przywidziało; a jak teraz sobie obrachowuję, to oniby tak prędko ludziom się nie pokazywali.

— Prawda, a ja na twoje oczy się spuściłem, i już cieszyłem się, że ich capniemy; teraz trzeba ruszać do Korczówki, może tam przydybiemy Marka. —

I pocztarski dzwonek podzwonił swoją drogą, a walka sani poszła w swoją.

W Owruczu do Pana Ignacego Potockiego przyjechali Państwo Deputatostwo z najstarszą córką, umyślnie dla tego aby poradzić się o jej zdrowie, u Konsyljarza Szlemera, który jechał z Kijowa do Żytomierza przez Owrucz. Był to Czech rodem, pobratymiec Sławianin, spełniał obowiązek nadwornego lekarza przy ostatnim Metropolicie Unickim w Radomyślu, i dlatego Owruczanie mieli w nim wielką wiarę.

Panna Benigna, czego nigdy nie bywało, nabrała rumieńców takich, jak gdyby były wypieczone na licach, a usta jej tak pobladły, jak gdyby krew z tamtąd uciekła; powstrzymywała kaszel jak mogła, i mówiła że nic a nic ją nie boli. Od kilku dni macocha jej powtarzała:

— Pan Dominik nie żeni się z Panną Możarowską, on ciebie kocha jak zawsze; widziałam się z Panią Podczaszyną, a ona chce mieć swoją synowę. Słyszałaś co Pan Rapsztyński mówił. —

Te wszystkie słowa nadzieją wciskały się do serca dziewczicy; uśmiecha się, chce o szczęściu myśleć, a sama nie wie dla czego, taka tęsknota posiadała jej duszę, że nic jej nie miło; a jednak daleka, daleka od niej myśl śmierci, choć tęskną duszą wciąż wiąże sobie jakieś klecenie na przyszłość.

Taką była Panna Benigna na obiedzie u swego wuja. Było tam oprócz swoich, kilku gości, a między niemi Konsyljarz Szlemer; był tam i Pan Chorąży Załęski, choć ona macosze już powiedziała: Ja za niego nigdy nie pójdę. On o tem nie wiedział, i troskliwem okiem narzeczonego poglądał na nią, jakby na swoją już dziewczycę.

Szlemer dzwonywał Benignę co jej jest, i twarz mu trochę sposepniała; ale do rodziców się uśmiechnął.

— To nic, sem zaraz zapiszę receptę, ulepek niech żywa, alteję pije, kaftanik flanelowy nosi, a sem będzie dobrze. —

Odszedł ztamtąd i Czapowskiemu powiedział na ucho:

— Nie dobrze sem, nie dobrze. —

Już było po obiedzie, kiedy całym cwałem koni sanie zjechały przed ganek. Pan Podczaszy z nich wysiadł, i jak błyskawica wpadł do izby. Nie witał gospodarza, nikogo, Szlemera pochwyił za ręce, o mało przed nim nie ukląkł.

— Panie Konsyljarzu, na miłość Boga ratuj mi syna, jedy-naka, mego Dominika. —

Benigna krzyknęła.

— Pan Dominik! — I jak ściana zbladła. —

Podczaszy spojrział na dziewczycę.

— To ona! to ona! taka jak ona! Boże mój, Boże! —

Prezes porwał go za ramię.

— Panie Wojciechu! —

On wyszedłszy do drugiej izby, ręce na głowie splótł.

- Boże mój, Boże! Panie Konsyljarzu jedźmy. —
 Padł na kanapę i tak siedział, jak gdyby odumianie kamieniem na niego padło. Ze sześć razy musiał Prezes wymówić.
 — Konsyljarz już gotów. Wojciechu! Wojciechu! —
 Zerwał się.
 — Jedźmy. — Spojrzał w oczy Prezesowi. — Tadeuszu! —
 ścisnął go za rękę. — Jedźmy! — I tak schwycił za ramię Szlemera, jak gdyby chciał go na swoim ramieniu nieść. —
 Panna Benigna płakała. Matka jej w ucho szeptała.
 — Zobaczysz że on pozwoli; ja to widziałam, ja to wiem. —
 Benigna nie mogła utulić łez, a Pan Chorąży sam sobie powtarzał.
 — Ona mnie nie kocha. —
 Ludzie to widzieli.

I trzech godzin nie minęło od odjazdu Pana Podczaszego, kiedy Hoszowiec wpadł do Pana Prezesa. Nestor był tak zadyuszany, że ledwie mógł mówić.

— Żywo który do Chrystonówki. Mewes tam się wybiera z Dońcami. Nie wiem czy wie, czy na domysł goni, że tam są jakieś papiery, że całą owrucką szlachtę poszle na Sybir. Zatrzymałem go trzy godziny, zakłamię się, że dowiem się od was czegoś ważnego.

— Moja lubo, ja pojedę, duchem.

— Żywo leć na łeb, na szyję. —

Czapowski wybiegł, a Marszałek Pausza podrapał się w głowę.

— Basem terem tetem uciekajmy w lasy. —

Twarz Prezesa była tak spokojna, pogodna, jak pogodna i spokojna jego dusza.

— Przed czasem nie trwoźmy się, chodźmy do Księdza Opata na poradę, a w Bogu miejmy nadzieję: on nas uratuje. —

Po nieszporach od Księży Bazylianów, i od Księży Dominikanów, zeszło się kilka osób u starego Isora; nie pili wina, ale twarze mieli zaturbowane, i ciekawie każdemu się przysłuchiwali kto tylko mówił.

— Sic Deus adjuvet — pokręcał wąż Jakowicki. — Na rynku zbierają się Dońce, a taka ich siła, że spisy jak las sterczą. Sic Deus adjuvet; to niesłychana rzecz, już Francuza w kraju nie ma.

— Coś to jest? — mówił Kudelski, ale już nie wierszem tylko zwyczajną mową. — Na swoje oczy widziałem jak Czapowski dereszami pędził za Wileńską bramę. I Pan Podczaszy wpadł tu jak po ogień i zaraz pojechał.

— To nic — odpowiedział Didkowski. — Pan Dominik od kilku dni chory, samem z nim szukał Pana Szlemera; nimeśmy go wynaleźli u Pana Prezesa, wziął go z sobą i pojechał. —

Uszczapowski w łysinę się pogładził.

— Ja wam powiem co słyszałem. Mewes posłał do Możarów szlachtę zabrać, gwałt na niej zrobić; w którym to Statucie, albo Konstytucji wyczytał? kiedy winni czemu ich nie zapozwie przed sąd do grodu, ale inaczej gdzież jest: nemo captivabimus nisi jure victum. A to jak bisurinan bezprawie spełnia, na factum gwałtu wysyła urzędnika skarbowego, Zasiadateła Korczewskiego. Panowie bracia! to gwałt wykonany na lesie.

— Tak, tak — wszyscy wołali, tylko stary Isor się uśmiechał.

— No, kiedy on wysyła Korczewskiego, to on dudek, jeszcze tego nigdy nie bywało, żeby kruk krukowi oko wykłuł, a Korczewski to taki jak i Waćpanowie wszyscy, pewnie Moskala i Niemca nie pohołubi. —

Tu drzwi się otworzyły i wpadł jeden Suryn z dobytą szablą, a drugi ze skrzypcami w rękę.

— Hola rada. Filis wypieszczona, fantazję straciła; bracia Polacy! Moskale w Owruczu, do szabel!

— Sic Deus adjuvet, do szabel! —

I szlachta wołała. — Do szabel! do szabel!

Sędzia Suryn wziął się do skrzypiec.

— Co tam do szabel, ot lepiej zagrajmy sobie. —

Pociągnął smyczkiem i tupnął nogą.

— Precz ze skrzypcami! — szlachta krzyknęła. —

Isor spojrział w okno.

— No, ot i Pan Prezes Teleżyński jedzie do Księdza Opata oni tam coś uradzą, poczekajcie Waćpanowie.

— Kiedy poczekać to i poczekać. Panie Macieju Waćpan idź w deputacji do Pana Prezesa po rozkazy, a my tu czekamy.

— Sic Deus adjuvet, czekamy zbrojno, i gotowo. —

Kiedy tak szlachta Owrucka rwała się do broni, na zamkowej górze, słońce zachodziło nad Starym Owruczem, i złotymi promieniami siało.

O! szczęśliwe słońce, ono mogło powiedzieć Staremu Owruczowi: do jutra!!! do jutra!!!

XXVII.

Bo gorączka wewnątrz pali
I przytomność chmurzy. —
ALEKS. HR. DUNIN BORKOWSKI.

Północ była. — W narożnej komnacie Pan Podczaszy przechadzał się szerokim krokiem; syn zasnął, konsyliarz Szlemer zapewnił ojca o jego zdrowiu.

— Sem na moje słowo, to nic nie będzie, trochę gorączki i wszystko przejdzie. —

Już odebrał wiadomość że za Owruckie i Radomyślskie przeszli Podkołoty, Marko i Matwij; na pewno nie dostaną się w ręce Mewesa. Stary Szymon od kilka dni w Chrystonówce bawi; Pani Podczaszyzna pokochała Praksedę jak własną córkę, i Dominik więcej jak dobrą wolę okazuje czarno-brewej dziewczynie. Wszystko idzie po myśli Podczaszego, a jednak on jakąś dumkę przeżuwa w myśli, i zwyczajnie człowiek kipiącej krwi, jak war, bez chcenia tajemnicę dumki przebrzmiewa na jaw.

— Taka ona! — Boże mój, Boże! — kara nieba! — biedna! — Nie, nigdy, nigdy! — Niech tak będzie! — O Boże! —

I u tego człowieka więcej mówiącego ruchem, jak słowem, to cisnęły się łzy do oczów, to marszczyło się czoło, to dłoń cisnęła się do serca, to mięła się w kulał.

Nie słyszał jak wszedł Czapański, dopiero jak go zobaczył zatrzymał się.

— A ty co tu robisz?

— Moja lubo, moja mamó — i opowiedział całą rzecz. —

Nie zmięszal się Podczaszy, rozsunał w jednym miejscu fałdy makaty, uderzył pięścią o ścianę, i szafka się rozskoczyła, wziął papiery.

— To wszystkie. —

Z dołu wyjął sporą baryłkę z prochem, otworzył denko, wsunął tam papiery, a zapakowawszy na nowo, wsadził w piec już nałożony samemi skalnikami.

Jak będzie kręto, to jeden iskra, i wszystko pójdzie w wiatr.

— Moja lubo lepiejby teraz spalić.

— A jak to tylko strachy?

— Jak chcesz, ty to lepiej wiesz moja mamó. —

I jeszcze z godzinę z sobą rozmawiali.

Dzień, miły gość zawitał do Chrystonowieckiego dworu, a z nim Isprawnik Mewes i Dońce: niemili to goście.

Mewes układnie witał Podczaszego.

— Panie Podczaszy, pan pozwolił żebym spełnił rozkaz mi dany. —

Podczaszy przeczytał, i oddał.

— To szukaj Waćpan. Hej Dmytro, otwierać Panu Isprawnikowi i prowadzić gdzie zechce, rozumiesz.

— Rozumiem panie. —

Podczaszy odszedł do oficyn, do chorego syna, a Mewes nie mógł schwycić okiem żadnego niemego znaku między panem a sługą.

Pan Dominik miał się już daleko lepiej, siedział na łóżku, rozmawiał ze Szlemerem, ze starym Szymonem, z młodym Włodzimierzem. Pani Podczaszyna tylko co wyszła od syna, a Praksesta kilka razy już dowiadywała się o zdrowie, ale sama wejść nie śmiała. Podczaszy patrzył w okno; Dońce do koła stoją, zaśmiał się.

— Panie Szymonie na nas polują.

— Włodzimierz mówił że i u nas byli, szukali i nie znaleźli. —

Już weszli do chorego i Czapowski i Ksiądz Kapelan Metjowskiej kaplicy, kiedy huknął ogromny strzał jak z harmaty. Podczaszy wybiegł na podwórze.

Żona biegła przeciw niemu, za nią Praksesta, a obiedwie przestraszone. Wybiegł i Mewes, wołając.

— Zdrada! zdrada! —

Podczaszy trochę się załął, ale spojrzął, żona zdrowa i dom cały.

— Stój Waćpan, to pewnie ten proch, co położyłem suszyć w piecu; teraz masz więcej otworów do szukania. —

Podczaszy wiedział że prochu było nie nadto, a narożny pokój oddzielony od innych. Dmytro widział że Mewes zabiera się do szczonego szukania i podpalił w piecu.

Mewes ani się wracał, ani zatrzymał, tylko wleciał wprost do oficyn. I Dońce wbiegli na dziedziniec.

Huk prochu, tentent koni, obity się o ucho Dominika i krew w nim warem zakipiała. Zerwał się z łóżka, ludzi nie poznaje, twarz mu kraśna ogniem płonie, oko błyszczące błyskiem Azraela, aniola dawcy śmierci; woła.

— Do broni! do broni! hej! nad Czerwonkę, fu! pal! bij! —

Matka bieży, chce go ramionami objąć.

— Synu! —

On ją odpycha.

— Cicho — idą — pilnuj.

— Prakse da rękę ku niemu wyciąga.

— Panie Dominiku! —

On rękę dziewicy odtrącił.

— Moskale! bij, bij, ha! ha! W Czerwonkę top, top. —

W gorączce ani ojca, ani nikogo niepoznaje, a woła.

— Księżę Opacie błogosław! Kniaziowie Możajscy za mną!
na Moskala! na Moskala! —

Mewes jak szatan zamruczał:

— Otóż i prawda! —

Czterech ludzi Dominika nie może utrzymać tak się szamoce.

— Tak, tak Panie Prezesie, wszystko w puch! —

Szlemer biedzi się, nie może choremu synapismów przyłożyć, ani co dać mu zażyć. Podczaszy blady jak trup, rękę ścisnął w kułak.

— Krew mu puścić. —

Szlemer mu powiedział z cicha.

— Może nie wytrzymać.

— Krew mu puścić! ja ojciec. —

Dominik już przytrzymany na łożu jeszcze wykrzykiwał.

— Marku! Podkołoty! w Czerwonkę psów! top, top. —

Podczaszy Mewesa do ściany przycisnął plecami, pierwszy raz tak blisko zetknęli się z sobą.

— Puszczaj krew! ja każę, ja ojciec. — I słowa mowy tak się rwały, jak gdyby ojcowskie życie się rwało. —

Cerulik dotknął lancetem ręki, krew trysnęła. Krzyknęła matka, krzyknęła Prakse da. Mewes chciał się wyrwać z za Podczaszego, a Podczaszy jeszcze silniejszym pociskiem do ściany przytulił.

— Chwilka — chwilka, i gorączka Dominika ustała, zwiła się krasa z lica, przygasał ogień w oku, patrzy, wszystkich poznaje.

— Matko, ojcze, Prakse do, przyjaciele, dobry dzień wam. Głos jego był słaby, nikiący, tak iż uszom źle się robiło, a serce się rozdzierało. —

Szlemer krew zatamował, puls dotykał, i spojrzał w oczy Podczaszemu.

Podczaszy spojrzał w oczy Konsyljarzowi.

Wszystko sobie powiedzieli.

Dominik czy zrozumiał ich mowę, czy jemu coś z góry szepnęło do duszy: ustami poruszył.

— Spowiednika. —

I matka i kochanka jęk w sobie stłumiły. Ojciec stał jak

z kamienia. Spowiednik przyszedł, wyspowiadał; dał Ciało i Krew Pańską, i ostatnie Namaszczenie. I uroczego milczenia nic nie przerwało. Mewesowi nawet tęsknota tknęła w serce.

Podniósł oczy Dominik i wyciągnął rękę.

— Matko! — ojcze! — darujcie! — Daruj Szymonie. Włodzimirzu, Praksedo daruj — Matko — o Benignie! — bądźcie zdrowi. —

Matka za rękę go trzymała; nie puszczała na tamten świat.

Prakseda jak lilja pochylała się nad łożo śmierci.

Możajscy i dziad i wnuk płakali, wszyscy byli smutni.

Tu drzwi się otworzyły, i weszli ksiądz Opat z Teleżyńskim, mieli jakiś papier w ręku.

— Amnestja! Amnestja, dla wszystkich za wszystko. — Dominika oczy już zagasły, wszyscy milczeli. Podezszy tylko głosem rozpaczy na odpowiedź im jęknął.

— Ja nie mam syna. —

Ksiądz spowiednik ukląkł.

— Wieczny odpoczynek jego duszy. —

Wszyscy padli na kolana i modlili się, a głos rozpaczy ojca i przez modlitwę się przebijał.

— Ja nie mam syna!

W kilka tygodni później, na grobie Dominika klęczały dwie dziewice. Jedna blada, zwiędłej twarzy, jak gdyby już iść miała na tamten świat dziś albo jutro.

Druga w białych szatach, w białym kapturze, a na pierśsiach miała burą stułę: już uczuciem do tego świata nie należała.

Obie patrzyły na siebie, i za duszę zmarłego modliły się łąką.

DOMÓWIENIE.

Żytomierzanin pobratymiec Owruczanów, spokrewniony i spowinowacony z nimi, czułem za konieczną potrzebę dla mojego serca, napisać niniejszą powieść o ludziach, których po większej części znałem, z których wielu żyje jeszcze tam, tam, na Owruckiej ziemi! na tej ziemi którą miłuję tak, że dałbym resztę mojego życia, żebym mógł pożyć na niej, choć jeden rok, ale tak, jak żyli nasi praojcowie Owruczanie, kiedy byli Strażnikami Czarnobyłskiej dzielnicy, puklerzem Polski.

Tło tej powieści, i wszystkie czyny w niej zawarte, są prawdziwe, osoby niezmyślone. Pamięć moja jeszcze z kraju uniosła część tych rzeczy, a większą daleko część winienem opowiadaniu Feliksa Trzeciaka, Owruczanina, za czasów Napoleońskich Kapitana z pułku huzarów Tolińskiego, za czasów naszych powstańca z Łuckiego powiatu, a dziś pędzącego stare lata na wygnaniu. O nim to można powiedzieć że jest kroniką żyjącą Owruckich ludzi, i Owruckiej ziemi. Jemu to składam braterskie podziękowanie za dobro jakie lał w me serce, mówiąc o Owruczu, o Owruczanach.

Znałem Wojciecha Prószyńskiego, w chwili kiedy był wypuszczony z więzienia, z Ostrowu Żytomierskiego. Siedział on tam między Kołodnikami (tak zowią zbrodniarzy) ręce i nogi miał okute w kajdany. Oskarżony o zabójstwo kilku ludzi swoich, o przyczynienie się do śmierci syna, o chęć wysadzenia prochem żony, a głównie o zabójstwo Pani Turczaninowej; (w roku 1812 osadzonej pod strażą w Żytomierzu, dla tego iż była urodzoną Francuzką). Isprawnik Mewes najzawziętszy nieprzyjaciel Prószyńskiego, te wszystkie śledztwa robił, i powynajdywał dowody jak najbardziej potępiające. Wielki Książę Konstanty zdziwił się nad ogromem zbrodni, zajął się sam przejrzeniem tej sprawy, i co do Pani Turczaninowej, przekonał się, że Prószyński wykradł Panią Turczaninową z Żytomierza, powierzył ją niejakiemuś Panu Chądzyńskiemu, który ją przywiózł do Warszawy. Ztamąd dostała się ona do Paryża, gdzie

umarła we dwa lata później swoją śmiercią, jak najspokojniejszą. Wielki Książę używał do tego śledztwa ludzi najuczciwszych, własnych adjutantów. Kazał natychmiast Prószyńskiego wypuścić z więzienia, i uwolnić raz na zawsze z pod wszelkich dawnych zarzutów. Człowiek ten posądzany o rozmaite występki, nigdy nie ściągnął na siebie zarzutu o nieszczerność, i brak patriotyzmu. Z ust najniechętniejszych mu ludzi słyszałem:

— Pan Wojciech Prószyński taki, owaki; ale to prawda że nigdy nikogo na grosz jeden nie ukrzywdził. Zawsze był gotów poświęcić życie, majątek i co tylko miał najdroższego dla Ojczyzny. I jedna robota patriotyczna nie przemięła, do którejby on nie należał; a udział jego nie był płochliwy, zwyczajny niektórym pansom, istnym uzurpatorom patriotyzmu, co dlatego tym płaszczykiem się odziewają, żeby frynarczyć na wyborach i kontraktach. On działał czynnie z wylaniem się dla sprawy. —

Jak słyszałem, w roku 1831, już stary wiekiem, ale duchem jednaki, był jednym z naczelników Owruckiego powstania, i został skazanym na Sybir do ciężkich robót w kopalniach. Żona go kochała, słudzy i poddani byli mu wierni; miał prawdziwych przyjaciół, miał zażartych nieprzyjaciół. Nigdy nikt o nim nie powiedział: Ot sobie dobry człowiek. Samo z siebie człowiek taki musi mieć w sobie niepospolitą wartość.

W tej Owruckiej ziemi, biorąc ją tak niegdyś była z częścią powiatu Żytomirskiego i z całym powiatem Radomyślskim, znachodzi się przeszło czterdzieści tysięcy samej szlachty. Wielki element do przyszłego powstania, tylko się trzeba przestać obawiać tych dwóch maniaków bezustannie trwożących niektórych Polaków: Anarchji i Arystokracji. Tam możeby ci przezorni ludzie przekonali się, że zawczesne wojowanie tych maniaków, jest zarówno śmiesznem i niepożytecznem, jak wojna Donkiszota z wiatrakami.

Dość zobaczyć posłuszeństwo jakie gromada szlachecka ma dla naczelnika swojego, porządek jaki w niej panuje kiedy naczelnik rozkazuje czynem, aby przewidzieć: że w Polsce będzie ład i posłuszeństwo, kiedy się zjawi naczelnik, co czynem o nie postuka.

Dość zobaczyć jak Wyhowscy, Możajscy, Daszkiewicz, z kniaziów, z wielkich panów przeszli na kozuchową szlachtę, żenią się i bratają z chłopami, a uszlachceni za Stanisława Augusta, już po konstytucyjnym sejmie, duże włości pokupowali, i piastowali urzędy; jak za naszych dni, Kamiński stary szlachcic, Pan milionowy, przeszedł na właściciela sfory gończych i strzelby pojedynki, i w kubraku się nosi. Takie przykłady są bardzo częste: co pokazuje że arystokracja rodowa

w Polsce, jest czezem, pustem zwaniam. Zapytaj Owruckiego szlachcica, czy on się jej obawia, czy on, jak uszlachcą chłopą, albo mieszczanina, nie przyjmie go za brata, i to za takiego dobrego brata, jak gdyby miał pergamin szlachectwa wypisany ręką własną samego Bolesława Chrobrego?

Pamiętam doskonale słowa jednego z moich współpawietników. Jednych wyborów ten współpawietnik Owruckiego szczepu, rozsierdził się mocno na jednego Wołyńskiego magnata, zaczęliśmy mu tłumaczyć brak potrzeby tego gniewu, a on nam odpowiedział:

— Ja im nie zazdrozczę ani ich rodów, ani ich dostatków; takem dobry szlachcic jak i oni, ale to są psubraty: zobaczycie jak przyjdzie do powstania; to ty, ja i on, przyprawdzimy po kilku, po kilkunastu, po kilkudziesięciu ludzi, każdy co będzie mógł, a on jeżeli nie dernie do Niemca i do Moskala, to jak kozak z listem pojedynczo ruszy przyczepić się do sztabu jakiego Jenerała; albo zechce zostać Pułkownikiem pułku, który my sformujemy, na który on i złamanego szeląga nie da, ale jeszcze weźmie z kassy narodowej pieniądze na sztyftowanie.

W tych słowach współpawietnika, na nieszczęście było wiele prawdy. Gdyby magnaci polscy porzucili ten brzydki nałóg, nie byłoby ku nim, ani nienawiści, ani zazdrości; bo serca Polaków dobre, niezepsute, po bratniemu kochają tego kto kocha, kto służy wspólnej matce Polsce.

Gdyby demokraci tułactwa, swoje pojmwowanie otrząsnęli z przywidzeń, i wdroyli się w rzeczywistość, poszli na drogę czynu, możeby całą swoją niechęć ku owym zwanym arystokratom, sprowadzili do tych słów: z nami razem nadstawcie wasze głowy, rzućcie na ołtarz Ojczyzny co macie, i w imię Boże chodźmy walczyć wrogów Polski! I byłoby braterstwo; nie byłoby ani arystokratów, ani demokratów, ale byłiby Polacy, i byłaby Polska.

Od Owruczanów, sam nie wiedząc zaszedłem do jakiejś polityki; na szczęście że to polityka Owrucka, a zatem przy mojem domówieniu nie będzie wyglądała jak kwiatek przy kożuchu czumaka. Wracam znowu do moich braci, do Owruczanów.

Bogaty to kraj do prawdy, i na prawdę i na powiaśki. I teraz w roku 1831, kiedy my Żytomierzanie Zatateterowcy, koczycym obyczajem, jak meteor jaki pognaliśmy po polskim kraju, Owruczanie i Radomyślanie, u siebie zrobili powstanie; nam wygnańcom większa część ich czynów nie wiadoma, ale doleciały i do naszego ucha imiona i czyny Hołowińskiego Wilhelma, Gałęckiego Onufrego, Trypolskich, Paszkowskich, Ojców Bazylianów, i wszej szlachty Owruckiej, której imion z milczenia wydobyć na jaw, i niewolno, i nie godzi się.

Gdzie oni są? — czy na ojczyściej ziemi, czy w Sybirze? — czy na Kaukazie? — czy gdzieś na Czechnie? — na wygnaniu. — Cześć im! cześć! — Boże! w imię Chrystusa cię prosimy, daj żeby przyszedł czas a prędko, prędko, w którymbyśmy imiona i czyny zasłużonych Ojczyźnie, z Zamkowej Góry, z Igorowej Mogiły, mogli głosić siedmiowzgórzemu Owruczowi, i wszęj Polskiej ziemi.

PRZYPISEK.

Żeby nie nudzić cierpliwości czytelnika, i nie być zmuszonym do ciągłego powtarzania: to prawdziwe, to się stało istotnie; przypisków wcale nie pisze. Wyrazów miejscowych nie używałem tylko takich jakie się znachodzą w innych moich powieściach; a że mam nadzieję że tę powieść będą czytały osoby, które czytały moje poprzednie pisma, zatem nie mam potrzeby tłumaczyć znaczenia wyrazów które im są znane. Jeźliby zaś kto tę tylko jedną z moich powieści dostał do rąk, a oną czytał z dobrą wolą, niech raczy czytać poprzednie.

W niektórych miejscach używałem wyrazów z myśliwskiej technologii. Myśliwy każdy je zrozumie, a że w naszym kraju, na szczęście więcej jest myśliwych jak niemyśliwych, zatem muszą wiedzieć że wilk zowie się basiorem; jego wycie trąbieniem; kły dzika szablami; żerowanie dzików buchtowaniem, i tak dalej. Dziarski to nasz język myśliwy, warto go używać. Dziarska to rzecz myślistwo, młodych ludzi sposób i hartuje na wojaków, a starym nie daje z pola zchodzić.

Winienem tylko wytłumaczyć wszystkie piosnki ukraińskim językiem położone, dla tego aby mniej oddalać się od miejscowości.

W ROZDZIALE XI.

Ne hody, ne nudy, ne zaliciajsia,
Ne pijdu za tebe, ne spodiwajsia.
Ne chody, ne nudy, ne traty hroszy,
Ne pijdu za tebe, boś ne choroszy.
Oj maty, neznaty czy rada tomu,
Może tia zaslubyt' komu innomu;
Zachoczet bohactwa, i mnoho hroszy,
Może tia ukrotyt' twojej roskoszy.

(Oj nie chodź, nie nudź, nie zalecaj się,
 Nie pójdę za ciebie, nie spodziewaj się;
 Nie chodź i nie nudź, nie trać pieniędzy,
 Nie pójdę za siebie, boś nieładny.
 Oj nie wiadomo czy matka rada temu,
 Może ciebie zaślubi komu innemu;
 Zechce bogactw, i wiele pieniędzy,
 I może skróci twoje rokosze.)

Po pid hajem, hajem zełenenkim,
 Orała diwczynyna wołykom czernenkim;
 Orała taj neumiała hukaty,
 Naniała husareńka w skrypku hraty.

Hraje husar, hraje,
 Taj browami morhaje,
 Oj ne na woły, ne na korowy,
 Ale na biłe łyczko, na czorne browy.

(Po pod gajem, gajem zielonym,
 Orała dziewczyna czarnym wołem;
 Orała i nie umiała hukać,
 Najeła sobie huzara, żeby jej w skrzypkę grał.

Gra huzar, gra,
 I brwiami mruga,
 Nie na woły, nie na krowy,
 Ale na białe liczko, na czarne brwie.)

Ej posijaw kozak hreczku,
 Na duboczku, na werszczuku;
 Hdeś się wzięła szura, bura,
 Kozakowi hreczku zdula.

(Hej posiał kozak hreczkę,
 Na dębie, na wierzchołku;
 Skądęś się wzięła szaruga, burza,
 I kozakowu hreczkę zwiąła.)

Handziu, Handziu, traściana mamu,
 Czerez tebe wpaw ja w jamu;
 Czerez tebe mołoduju,
 Wpaw ja w hłubokuju.

(Anno, anno, trzysta matkę,
Przez ciebie wpadłem w jamę;
Przez ciebie młodą,
Wpadłem w jamę głęboką.)

Odna hora wysokaja
A druhaja niska;
Odna myła dalekaja,
A druhaja błyska;
O ja tuju blyzenkuju,
Ludiom podaruju,
A do moij dalekoj
Piszki pomandruju.
Dwua hołuby wodu pyły,
A dwa kolotyły,
Bodaj tyi wik konały,
Szczy nas rozłuczały.
Sywy hołub sywy.
Hołubka sywijsza;
Myły otec, myła maty,
Diwczyna milijsza.
Kochały sia lubyły sia,
Potem perestały,
A na koniec rozeszły sia,
Jak temnaja chmara.

(Jedna góra wysoka
A druga niska,
Jedna miła daleka
A druga bliska;
A ja tę bliską
Ludziom daruję,
A do mojej dalekiej
Piechotą ruszę.
Dwa gołąbki wodę piły
A dwa klóciły,
Bogdaj ci wiek konali,
Co nas rozłączyli.
Siwy gołąb, siwy,
Gołąbka siwiejsza;
Miły ojciec, miła matka,
Dziewczyna milsza.
Kochali się, lubili się,
Potem przestali;
A na koniec rozeszli się,
Jako ciemna chmura.)

I szumit' i hude, drobny doszczyk ide,
 Ktoż mene mołodu, do domu zawede,
 Ktoż mene mołodu, do domu zawede.

Odezaw sia kozak pry sołodkim medu,
 Hulaj, hulaj mołodycia, ja do domu zawedu.
 Hulaj, hulaj mołodycia, ja do domu zawedu.

Oj proszusz ja tebe, ne żyż ty mene,
 Bo lychobo muża maju, bude byty,
 Aż trascia zatrase.

Ne stij pid wiknom,
 Ne machaj rukawom,
 Jak ja budu maty czas,
 To ja wyjdu do was.

(I szumi i huczy, drobny deszczyk pada,
 Któż mnie młoda do domu zawiedzie?
 Któż mnie młoda do domu zawiedzie?)

Odezwał się kozak koło słodkiego miodu!
 Hulaj, hulaj niewiasto, ja do domu zawiodę.
 Hulaj, hulaj niewiasto, ja do domu zawiodę.

Oj proszę ja ciebie, nie czekaj ty na mnie,
 Bo złego męża mam, będzie bić,
 Aż febra zatrząsie.

Nie stój pod oknem,
 Nie machaj rękawem,
 Jak ja będę miała czas,
 To ja wyjdę do was.)

A wże susid żyto sije
 A u susida zełenije;
 A u mene ni orano,
 Ani żato, ni sijano
 U susida chata biła,
 U susida żynku myła;
 A u mene ni chatynki,
 Nyma szczastia, nyma żynki.

Za susidom mołodyci,
 Za susidom i wdowyci;
 I diwczata spohladajut,
 I wsi susida kochajut'.
 Ej pijdu w stepy, bory,
 W nezawodnyi zawory;
 Tam budu szczastia szukaty,
 Na nedelu narekaty.

(A już sąsiad żyto sieje,
 A u sąsiada zielenieje;
 A u mnie nie orano,
 Ani zżęto, ani siano.
 U sąsiada chatka biała,
 U sąsiada żonka miła;
 A u mnie ani chatki,
 Nie ma szczęścia, nie ma żonki.
 Za sąsiadem niewiasty,
 Za sąsiadem i wdowy;
 I dziewczęta poglądają,
 I wszyscy sąsiada kochają.
 Oj pójdę w stepy, bory,
 W nieprzebyte pustynie;
 Tam będę szczęścia szukać,
 Na niedolę narzekać.)

Bortnyk bortniczki prosyw,
 Do nej rączenki wnosyw,
 Szczob jemu ne boronyła,
 Szczo jego wola chotyła.

(Bartnik bartniczki prosił,
 Do niej rączki wnosił,
 Żeby jemu nie bronila
 Czego jego wola chciała.)

Bodaj sia kohud znudyw,
 Szczo mene z rana zbudyw;
 Małaja nyczka mała,
 Szczem sia ja ne wyspała.
 Prysposob Boże nocy,
 Na moi czorny oczy,
 Toby sia ja wyspała,
 Czczob maty ne poznała.
 Czy w domu pry porozi,
 Czy w lisi pry dorozi;
 Zawsze mołodoho znaju,
 Bo czorny oczy maju.
 Bodaj sia kohud znudyw,
 Szczo mene z rana zbudyw;
 Małaja nyczka mała,
 Szczem sia ja ne prespała.

Bodaj się kogut znudził,
 Co mnie z rana zbudził;
 Mała noc, mała,
 Jeszczem się ja nie wyspała.

Przysposób Boże nocy,
 Na moje czarne oczy,
 Tobym się ja wyspała
 Żeby i matka nie poznała.

Czy w domu przy proggu,
 Czy w lesie przy drodze,
 Zawsze młodego znam,
 Bo czarne oczy mam.

Bodaj się kogut znudził,
 Co mnie z rana zbudził,
 Mała noc, mała,
 Jeszczem się ja nie przespała.

W R O Z D I A L E XII.

Oj dla Polszy naszej Maty,
 Neżal Boże pohulaty,
 Lach młody stane z nami,
 Stane z nami młódcami.
 Pijdem w łuby, pijdem w bory,
 I na szlaki i na dwory;
 Wże sia Moskal trasit w strachu,
 Ej wedy nas pane Lachu.

Zaspiwajem jak bisowi,
 Na pochoron Moskalowi;
 Neżal Boże pohulaty,
 Taj dla Polszy naszej maty.

(Oj dla Polski naszej matki,
 Nie żal Boże pohulać,
 Lach młody stanie z nami,
 Stanie z nami chłopcami.
 Pójdziem w lasy, pójdziem w bory,
 I na drogi i na dwory;
 Już się Moskal trzęsie z strachu,
 Ej prowadź nas panie Lachu.)

Zaśpiwamy jak djablówi
 Na pogrzeb Moskalowi;
 Nie żal Boże pohulać,
 Taj dla Polski naszej matki.)

W R O Z D Z I A L E XIII.

Pustyż mene, pustyż mene,
Podolanko na picz.

Oj ne puszczu, oj ne puszczu
Ne kozacka to rycz.

Pustyż mene, pustyż mene
Na czarynoczku,
Szczob pohryłby
Hołowoczku.

Jak ja maju pustyty,
Koły muzyk bude byty.

Hej czem boso chodisz,
Czem czobot ne zarobysz.

(Puść mnie, puść mnie;
Podolanko na piec.

Oj nie puszczę, oj nie puszczę,
Nie kozacka to rzecz.

Puść mnie, puść mnie
Na czareczek,
Żeby pogrzać
Głowę.

Jak ja mam puścić,
Kiedy chłop będzie bić.

Hej czemu boso chodzisz,
Czemu butów nie zarobisz.)

Ej pijdu ja w lis po openki,
Aż tam stoit' dub mołodeńki.
 Stoit' stoit' dub mołodeńki,
 A na nym łyśt' zełeneńki.
Aż tam stoit' dub zełeneńki,
Pid nym chłopec mołodeńki.
 Stoit' stoi' dub mołodeńki,
 A na nym łyśt' zełeneńki.

(Ej pójdę ja w las po opieńki,
 Aż tam stoi dąb młodziński.
 Stoi, stoi dąb młody,
 A na nim liść zielony.
 Aż tam stoi dąb zielony,
 Pod nim chłopiec młody.
 Stoi, stoi dąb młody,
 A na nim liść zielony.

WYJĄTEK Z DZIEŁA:

P O W S T A N I E

NA

WOŁYNIU, PODOLU I UKRAINIE

OPIŚANE

PRZEZ

FELIKSA WROTNOWSKIEGO.

TOM II. Str. 232 i 297.

WYDAWCA
WARSZAWA
WYDZIAŁ
KRAJOWY
KSIĘGARNIA
NARODOWA

WYDAWCA
WARSZAWA

POWSTANIE

WOJNY PODOLI I UKRAJINY

Dla uzupełnienia obrazu patriotycznych usiłowań w każdej epoce dzwignania się z upadku Narodu Polskiego, tej jego części, która między Prypecią i Dnieprem zawarta, posłużyła Panu Czajkowskiemu do utworzenia historycznej powieści *OWRUCZANIN*, pożyczamy z dzieła Pana Wrotnowskiego, ma-
lowniczego opisu powstania w roku 1831.

FELIKSA WROTNOWSKIEGO

TOM II. STR. 103 I 104

Jeszcze w owych dniach lepszych nadziei i na nowo obudzającego się ruchu, którym rozypka daszowska położyła koniec, razem z usiłowaniami ożywionemi w różnych punktach gubernii kijowskiej, powiat radomyński, najpółnocniejszy jej zakątek między Wołyniem, Prypecią i Dnieprem, wziął się do bronii. Duszą patryotycznych narad i później naczelnikiem związku w tym powiecie, był marszałek Onufry Gałęcki. Człowiek ten umiarkowany, i rozważny posiadał ufność współobywateli, a razem rządowi nie zdawał się być niebezpiecznym. On umysły powietników sprzął jednym ogniwem, wstrzymywał zagorzałych, pobudzał ozięblejszych; pod pozorem urzędzeń przeciw cholerze, zwiedzając wszystkie okolice, przygotowywał powstanie; dla łatwiejszego porozumienia się związkowych, uzyskał od władz gubernialnych wczesne zdjęcie kordonów zdrowia; mając dobrze napięte sposoby wewnątrz, chciał je zastosować do układów w sąsiednich stronach i do wypadków zewnętrznych. Wysłańcy jego dojeżdżali do granic królestwa: znosił się z Wołyniem i właściwą Ukrainą, osobiście naradzał się z Tyszkiewiczem. Ostatnich dni kwietnia, wedle powszechnie wówczas zaleconych przepisów, powiat jego dzielił się już na okręgi, każdy z okręgów miał wytknięty punkt zboru i wojskowego dowódcę, dla całej siły zbrojnej był upatrzony naczelnik. Lecz gdy wnet razem doszły tu wiadomości, o usuwaniu się Dwernickiego ku Galicyi i wstrzymaniu powstania na Podolu, a rozkazy Tyszkiewicza naczynające dzień 7 maja, zostały przejęte i spalone przez niechętnych, wszystko upadło znacznie na duchu, zawisło w niepewności. Gałęcki dopiero widząc że ogólny plan nie mógł być przyprowadzony do skutku, a słysząc o powtórnych umowach w powiatach owruckim i kijowskim, postanowił zastosować się do nich. Zebrawszy więc radę gorliwych obywateli, naznaczył termin powstania na dzień 15 maja, i uchyliwszy poprzednie instrukcye, kazał ze wszystkich okręgów sile zbrojnej ścigać się do miasteczka Czarnobyła.

Tymczasem w rozmaitych punktach trzech prowincyi wynikłe poruszenia, albo odkryte ślady przygotowań, uderzyły w oczy władzom moskiewskim. Rząd chwytając drobne wątki rozerwanej zmywy, uczuł pod palcami tkaninę leżącą w całym kraju, wszędzie pocisnął gwałtownie swoje policyjne sprężyny. Sprawnik powiatu radomyńskiego, postrzegając częste zjazdy u Gałęckiego we wsi Słobodce blisko Radomyśla, miał już go w podejrzeniu: gdy przytem jeden oficyalista w Brusilowie tocząc szablę, nieostroźnie odezwał się, że ją ostrzy na Moskali, i wzięty do turmy mógł wygadać co wiedział, a Złotnicki targowiczanie, mieszkający w dobrach darowanych przez Katarzynę, (któremu młodzież często przysyłała w listach rysowane szubienice), naglił sprawnika do środków czujności; ten niezwłocznie doniósł wojennemu gubernatorowi o złym duchu obywateli i niebezpiecznych rządowi knowaniach marszałka.

W nocy 12 maja Gałęcki otrzymał już przez żandarma rozkaz stawienia się natychmiast przed gubernatorem w Kijowie. Treść pisma i sposób w jaki było przysłane, nie zostawiały mu wątpliwości o co rzecz chodziła. Nazajutrz więc wyprawił bilety do sąsiadów z oznajmieniem, że musi nie czekając dwóch dni do terminu, z bronią w ręku wystąpić w pole, zalecił im uwiadomić resztę związkowych, a sam zebrawszy domowników w towarzystwie kilku młodych ludzi, którzy bawili u niego na ten koniec, wyruszył do Czarnobyła.

Sprawnik pilnie trzymający na oku Słobodkę, tejsze godziny powziąwszy wiadomość o tem, zalecił zaraz sześciu zasidatelom żeby z żandarmami rozjechali się po powiecie i pochwytali obywateli podejrzanych, a sam wziąwszy oddział Kozaków puścił się w pogoń za marszałkiem.

Gałęcki wstąpił po drodze do Ksawerowa, wsi swojego brata Mikołaja, i chociaż nie zastał jego w domu, zatrzymał się na obiad. Tylko co zbrojni goście usiedli do stołu, wpadł sługa i ostrzegł, że niedaleko dworu pokazali się Kozacy. Natychmiast cały orszak pośpieszył do koni i puścił się przez wieś Kuchary do Wołczkowa, gdzie chorąży powiatu Lipoman, jako związkowy, przyjął towarzyszy, kazał ludziom swoim dobyć broń i wspólnie z przybyłymi gotował się do odporu napaści.

Wkrótce nadciągnął nieprzyjaciel. Sprawnik zatrzymawszy się u bramy, posłał na dziedziniec kozaków ze swoim kancelistą jakimś Węgrzynowiczem, żeby ten przemówił do marszałka i jego towarzyszy, nakłaniając ich do złożenia broni i zdania się na łaskę monarszą. Skoro parlamentarz, znajomy dobrze obywatelom z przebiegłości w podłych usługach policyjnych, stanąwszy przed gankiem ze swoją asystencyą, zabrał głos po moskiewsku, posypały się z okien gęste strzały

luftkami. Węgrzynowicz padł ciężko poraniony, kilku kozaków legło trupem, inni porwawszy omdlałego parlamentarza pierzchnęli nazad; sprawnik nie czekając ich, pomyślał o sobie tak troskliwie, że go już nikt nie widział. Powstańcy rzucili się zrazu w pogoń, lecz nie postrzegając sprawnika, którego szczególnie pragnęli schwytać, wrócili do domu i poczęli radzić co dalej czynić.

Był pierwiej projekt, złapawszy w Wołczkowie sprawnika, powieszeniem jego dać hasło powiatowi, a rozbiegłszy się potem małemi hufcami przyspieszyć ruch powszechny. Ponieważ to się nie udało, uchwalono teraz założyć obóz w lesie, czekać tam na zebranie się powstańców i ze zgromadzoną siłą udać się do Kijowian albo Owruczan. Na stanowisko obrano wieś Białosorokę nad Prypecią wyżej Czarnobyła.

Wiść o wypadku w Wołczkowie rozeszła się po sąsiedztwie: obywatele gromadzili się koło swego marszałka, i nazajutrz hufiec dosyć już znaczny ciągnąc do obozu, nawiedził Czarnobył, małe lecz handlowe miasteczko. Mieszkańcy różnego stanu i wyznania ze szczerą radością powitali rycerstwo, wedle powszechnego zwyczaju wyszli na spotkanie z chlebem i solą. Następnego dnia w niedzielę 15 maja, Gałęcki odprawiwszy uroczyste nabożeństwo, z wielu nowozaciężnymi ochotnikami wyszedł do Białosoroki.

Jak sama myśl obozowania była skutkiem instynktu wspólnego wszystkim naszym niedoświadczonym ziemianom, mianowicie okolic leśnych, tak też porządki i organizacya w obozach wszędzie rozwijały się podobnym sposobem. Poczęto w Białosorocie od odezw i ustanowień władzy. Gałęcki napisał energiczną proklamacyą do powietników i wyprawił z nią Jakubowicza, a mianowany prezesem tak zwanej najwyższej rady, nazaczył komisarzy którzyby siłę zbrojną opatrywali w żywność, konie i rynsztunek. Ponieważ nie było nikogo z dawnych wojskowych, dowództwo powietrzono Lipomnowi.

Koło tak założonego ogniska, usiłowania patryotyczne rozpromieniały się powoli. Co tylko gorliwość obywatelska dostarczyć mogła, składano tu w ofierze obok poświęceń się osobistych. Kobiety miały wielki udział w pracach i niebezpieczeństwach swych mężów i braci. Komunikacye z powiatem, dowóz broni i prochu, werbunek ochotników nawet, odbywały się za pośrednictwem tych zacnych Polek. Pomiedzy niemi odznaczała się szczególnież zapałem i bohaterką odwagą Aniela Pienkowska. Ośmnastoletnia ta panienska, pełna wdzięków i wychowana starannie, w czasie zmowy służyła związkowi jak najtroskliwszy konspirator, w czasie obozowania powstańców na puszczy, odwiedzała ich ciągle jak duch opiekuńczy. Wielu młodzieży i sług z sąsiednich domów na jej głos wzięło

się do broni, wiele nabojów i potrzeb dla żołnierzy, przeszło przez jej śliczne ręce. Niemordowana w staraniach, powołała sobie w pomoc swoje rówiennice, założyła towarzystwo młodych patryotek, które miało za cel zgromadzić zapas bielizny, chorągiewek, szarpi i tym podobnych rzeczy. Z takim ładunkiem, często małym wózkiem, tajemnie udawała się do lasu i znowu biegła na powrót, żeby braciom zbrojnym przywieść korzystną przestrożę, albo pocieszającą nowinę.

W kilka dni od przybycia do Białosoroki, orszak powstańców liczył już przeszło 250 jeźdźców i strzelców. Lipoman własnym przemysłem, nagradzając brak umiejętności, szykował i ćwiczył tę siłę. Tymczasem sprawnik i cała jego szajka policyantów grassowała swobodnie po powiecie. Porwano z domów mnóstwo obywateli, schwytano Jakubowicza z odezwanami; dowiedziawszy się z tych papierów o planie i urzędzeniach, przecięto drogi do obozu, poaresztowano komisarzy powiatowych. Coraz smutniejsze doniesienia poczęły zatrzwać patryotów zbrojnych, ochotnicy przestali przybywać, dawał się czuć nawet niedostatek furazu i żywności. Rada uchwaliła natenczas iż potrzeba szukać wsparcia w którymkolwiek z powiatów sąsiednich, gdzie były albo być miały poruszenia zbrojne. Posłano emisaryusza do Owruczan, proponując im połączenie się w jeden hufiec, z warunkiem, że strona mniejsza do liczniejszej przejść będzie powinna.

Owruczanie nieco pierwej jeszcze od Radomyślan, także pod przewodnictwem swego marszałka Wilhelma Hołowińskiego, rozwinęli chorągiew powstania. Zgromadzeni naprzód o pół mili od miasta powiatowego, uorganizowali się na prędcę, pozdejmowali poczty i przejęli znaczną partycję rekrutów, których eskorta broń złożyła, a wielu ich dobrowolnie przystało do swoich oswobodzicieli. Wszedłszy potem do Owrucza pojмали sprawnika, zabrali kasę skarbową zawierającą 60,000 rubli assygnacyą i razem z wielką liczbą nowozaciężnych, wyprowadzili na powrót do obozu nie mało pożytecznych rekwizytów. Klasztor Bazylianów, którego przełożony Sierociński dał dowody najgorętszego patryotyizmu, dostarczył dwie armaty czterofuntowe i cztery moździerze; księża ile ich było zdolnych oręż obok krzyża podnieść, poszli dzielić trudy i niebezpieczeństwa z bracią zbrojną.

Wszystkie stoli początkowe powodzenia i korzyści prędko obróciły się niemal w niwecz. Marszałek Hołowiński poświęcał się z całej duszy; składający radę przy nim, obywatele Antoni Pausza, podkomorzy Rapsztyński, Kazimierz Zagorski, dwaj bracia Zielenieccy i inni, byli ludzie zacni i gorliwi; mimo to, powszechny brak doświadczenia, brak jednej tegiej woli i następnie nieład, sparaliżowały zgromadzoną siłę. W gwarze obozowym rozwinęły się bardzo nałogi sejmikowe, niektórzy

przypomnieli sobie czasy augustowskie; myśl o głównym celu i czujność wojenna zagłuszone niewczesnem rozprawianiem i weselem, nie mogły być nagrodzone obfitością odezów. Zebrało się wszakże przeszło 500 zbrojnych ochotników: piechotą dowodził sam marszałek Hołowiński, jazdą, Zeleniecki. Ponieważ liczba ta przewyższała siłę Radomyślan, wypadło z układow że tabor z Białosoroki miał przyciągnąć pod Owrucz.

Str. 297: «Pułkownik Lewicki, z dwoma szwadronami strzelców konnych, jeszcze ostatnich dni kwietnia komenderowany przeciw powstańcom kowelskim, zwróciwszy się w okolicy gdzie wszczynały się nowe poruszenia, dostał w pomoc sobie batalion piechoty, dwa działa, oddział kozaków, i z temi siłami uderzył na Owruczan. Bój był zacięty. Nieostroźni i nierządni powstańcy dali dowody męstwa, które pod dobrym sterem mogłoby zapewnić im wygranę. Lecz nagła obrona w lesie, pomimo wytrwały opór musiała skończyć się rozsypką. Nieprzyjaciel lubo ze stratą kilkudziesiąt ludzi, opanował stanowisko, i wszystkie zapasy; zabrał moździerz i chorażew, która posłana do Petersburga była tryumfalnie prezentowana poddanym carskim jako znak wydarty zastępowi 5000 buntowników! Patriotów poległo tylko czterech, ale wielu na placu bitwy, więcej z kryjówek dostało się w ręce moskiewskie. Marszałek Hołowiński do ostatka nie ustępując kroku, padł okryty kilku ciężkimi ranami. Zawleczony najprzód do Żytomierza, potem do Kijowa, w gubernji włodzimirskiej dokonał żywota. Z towarzyszy jego Antoni Pausza także prowadzony na Sybir, nie zdołał oprzeć się rozpacz, i w drodze własnymi kajdanami rozsadził sobie czaszkę. Kobylński z synem, Zielenieccy, Rapsztyński, Baranowski, Zagórski i kilkunastu innych obywateli, wzięci z bronią w rękę, po męczarniach więzienia i śledztwa, zostali rozesłani na dalsze katusze do kopalni Nerczyńska, do Wiatki i do Kurska.

Właśnie kiedy Radomyślanie wybierali się w pochód z Białosoroki pod Owrucz, nadbiegła wieść, że powstańcy owruccy znajdują się w ciężkiem położeniu. Trzeciego dnia po tem, kilkudziesiąt rozbitków przyniosło im dokładną wiadomość o klęsce i przestrożę, żeby się gotowali do obrony. Świeże doświadczenie sąsiedniego oddziału nie natchnęło lepszej myśli: postanowiono w miejscu czekać nieprzyjaciela. Gałęcki kazał spuszczać drzewa, robić zasieki koło obozowiska; Lipoman gotował się z jazdą wystąpić za twierdzę i atakujących

wprowadzić na zasadzkę. Nieprzyjaciel spodziewany ukazał się wkrótce: jazda pomyślnie zaczęła utarczkę na przyległej niwie; lecz to samo powodzenie zmieszało dalsze plany i przyniosło zgubę. Pierwszy szwadron strzelców konnych moskiewskich został rozbity, drugi pierzchnął. Zapalona młodzież rzuciła się mordować i ścigać, a zamiast co miała fortem zadać cios Moskałom, sama ujrzała się w nieprzewidzianej przygodzie. Artylerya i piechota moskiewska zbliżyły się pod obóz: huk dział, i gęstych strzałów karabinowych zmienił prędko chwilowy tryumf w powszechną trwogę, ufortyfikowany tabor stał się placem walki. Odwaga i męstwo podały zaraz w ręce zwycięzców najszlachetniejsze ofiary; ucieczka zbawiła tych tylko, których później szukać nie chciano. Po między walczącymi najodważniejszej, pierwszy poległ marszałek Gałęcki: lekarz który przybiegł go ratować, martwemu już wydobyl z piersi kulę z grajcarem od ladsztoka. Lipoman śmiertelnie raniony, dokonał życia w więzieniu. Walery Waksman i F*** P*** niepierwej dali się pojmać, aż póki upływ krwi sił ich nie pozbawił. Stępkowski możny obywatel, Jaroszewicz starzec sześćdziesięcioletni, i Karol Glinka, na polu bitwy dostali się do niewoli. Michał Kozieracki, Paweł Zaleski, brat marszałka Mikołaj Gałęcki z synem Franciszkiem, Stanisław Fiedorowicz, Henryk Zmijewski, Edward Bojarski, Antoni Rudnicki, Salezy Giersztold, dwaj bracia Zubowscy i liczni inni obywatele, złowieni w lasach albo porwani z domów, poszli za miłość ojczyzny pokutować w pustyniach carstwa. Z pomiędzy niewielu, którym udało się ujsć rąk moskiewskich, Jan Ludwik Jastrzębski, młodzieniec pełen patriotycznego zapału, raniony, przemknął się do Galicyi, i dziś z nami podziela tułactwo. Mściwość i okrucieństwo moskiewskiego rządu nie przepuściły nawet płci niewieściej: Pani Stępkowska, przedtem wdowa po księciu Jabłonowskim, schwytana przy mężu w obozie, wycierpiała długie więzienie w kazamatach kijowskich, wśród łotrów osadzonych za kradzież i rozboje. Pani Pieńkowska, starościna przemyska, dama majątna i pełna szanownych przymiotów, doświadczyła podobnie barbarzyńskiego obejścia się, z powodu, że w dobrach jej znaleziono w kościele kilka moździerzy i kilkanaście kul armatnich. Kuzynka starościny młoda Aniela Pieńkowska, znajoma szczególnie z usług oddawanych powstańcom, piękne swoje poświęcenie się zapieczętowała śmiercią. Dniem przed rozbięciem powstania jadąc z obozu dla przywiezienia z pewnego domu zebranej broni i amunicyi, trafiła na czaty kozackie. Przeleknioma wyskoczyła z wozu i chciała naprzód ratować się ucieczką; lecz postrzegłszy tuż za sobą pogoń, machinalnie chwyciła za mały pistolet który nosiła za paskiem u piersi, i zuchwale stanęła do obrony. Strzał — przypadkiem może —

był trafny; kozak spadł z konia. Dopiero huk wystrzału, widok trupa, tentent nadbiegających drogą nowych nieprzyjaciół i razem myśl że niespodziewane niebezpieczeństwo grozi braciom, porwały jakby na skrzydła pozbawioną już przytomności dziewczynę: puściła się przez gęstwę drzew i zarośli na powrót do obozu. Ale wkrótce zabrakło jej tchu, zamroczyła się głowa i mrok zaskoczył błakającą się w lesie. Ledwo nazajutrz wyszedłszy na pole, zdołała rozpoznać miejsce i o północy przybyła do własnego domu, znużona, przeziębła, objęta gorączką. Wiadomość o klęsce powstania wzmogła niezmiernie symptomata choroby; kiedy Moskale wlekli swoich jeńców do lochów Kijowa, krewni młodej bohaterki, prowadzili jej zwłoki na smętarz.»

W RZYMIE 29 MAJA 1840 ROKU.

Księgaruia otrzymawszy ten fragment od Autora już po wydrakowaniu UKRAINEK , rada jak najrychlej dać go poznać czytelnikom polskim , załącza go do pierwszej powieści Pan Czajkowskiego , jaka z pod jej prass wychodzi.

(Nota przy pierwszym wydaniu.)

I.

Dziwne to, niepojęte to marzenia ludzkie — ledwie schwyci jakąś myśl, już z niej jak jedwabnik snuje nici i niemi wiąże świat przeszłości z przyszłości światem. — Dumne dziecko Twórczej siły, śni — a zda mu się że widzi na jawie — i jak o jawie ludziom gada.

Już opuszczałem Rzym, i w pośród tego mogilnika po-gaństwa, w tej Chrześcijaństwa stolicy — nie osnułem ni jednego łkania na lichą powiastkę nawet. — Nasyp pamiętek potęgi i sławy — ogrom arcydzieł sztuki, tak rozpoił mego ducha podziwieniem, iż myśl ni razu nie chciała zamarzyć ani o starym Rzymie ani o rodzinnym stepie — w zachwycie zawisła, i z tego uroku niemocy wywikłać się nie mogła.

Na odjezdnem żegnałem człowieka pięknego ducha i pięknego serca, człowieka, co kochać i marzyć umie. — On bez myśli żadnej — ot tak sobie powiedział: — Rozmaici ludzie, w rozmaite barwy przybierają Rzym, radbym widział czy go kto przybierze w kozaczą barwę, albo z niego wysnuje Kozaczną. — Śmieliśmy się z pustej myśli — ale on odszedł, a ja nie zmrużyłem oka, tylko marzyłem.

Jakby senne mary przesuwały się przed oczyma mojej myśli, hufce Atylli bieżące na Rzym — wołały one: Roma! Roma! A mnie się zdało że między nimi widzę prapraojców Kozaczych. — Genseryk przechadzał się po forum Romanum, i moja myśl wystroiła go na kozaczą postać. — Gospodarzył on w starym Rzymie jak potem Sahajdaczny w Trebizondzie, Synopie i Carogrodzkich przedmieściach — jak potem, potem Płatów w niemieckich grodach i w samym Paryżu. — I już nie jak we śnie ale jak na jawie, widziałem kozaczą młodź bieżącą raźnie i ochoczno na carski gród. — Nie Roma! Roma! ale inne imię wykrzykiwali, i w sercach nieśli stokroć większą zajądłość, jak kiedykolwiek barbarzyńcy żywili ku staremu Rzymowi; aż dusza mi panoszała widząc jak tłumy kozacze, niby

bure chmury, sunęły a sunęły bez końca — ziemia bita kopytami stękała jakby się miała rozpaść — wiatr szumiał, konie rżały, podzwaniały wędzidła, a wojenna pieśń grziała gromko, donośnie — i rozgłosy leciały przez Bałtyk na Skandynawskie kraje, tak hucznie i tak groźnie jak gromy gniewu Bożego.

I wódz na wronym koniu, wiódł te hufce — dziki, posepny, nic nie mówił, tylko szablą wskazywał — na Carski gród — na Carski gród. — I w chorągwi na malinowem tle srebrzył się się Archanioł Michał, wydzierał się z kitajki i chciał lecieć na Carski gród, żeby go zgnieść jak szatana. — I z pośród tumanów kurzu, jak błyski rozdąsanego nieba, migotały stale szablę i rusznicę. — A w Carskim grodzie tak było straszno, jak w starym Rzymie, kiedy Atylla podchodził pod Salaryjską bramę.

W dzwony nie dzwoniło, spiże nie huczały, i wrzaskliwego hurra! ani słycać było — tam głucho — niemo — lud Carskiego grodu ku Kozakom biegał, ku nim wyciągał ramiona — i wołał: Zbawce! Zbawce! — tylko garstka wylekniiona uciekała ku morzu — za nią wiatr poświstywał pośmiechem — a przed nią morze wyło na powitanie.

Kozactwo weszło do Carskiego grodu, i Wódz szablą w powietrzu krzyż święty wypisał — a Kozactwo ruszyło na wsze strony i rozsypało się jak mrówki w rozkopanem mrowisku. — Długo — długo gospodarzyli w Carskim grodzie, i kozaczym praznikiem czcili swoje wejście. — Setne a setne płomyki buchnęły z Carskiego grodu, dym zasął się po niebiosach, a Kozacze okrzyki przekrzykiwały krechtanie i łomot palącego się grodu — potem Kozacze hufce szły znowu na powrót tym szlakiem z kąd przyszły — tylko nad szlakiem wzdłuż w prawo i lewo mogiły się powznosiły — od mogiły do mogiły widno — i koło każdej Kozacy, albo się modlili za pomarłych braci, albo panoszyli się z pobitych wrogów — takie to były słupy szlaku Kozactwa, takie Kolombarja Kozacze.

Jak wprzód, wiódł ich Wódz na wronym koniu, z czaplem piórem u czapki; ale szabla drzemała w pochwie — i Kozacze bronie nie migotały połyskami groźby — i Archanioł Michał nie wydzierał się z kitajki, srebrzył się na niej jeszcze jaśniej jak wprzód — a chorągiew dumnie i spokojnie kąpała się w powietrzu — wesołe okrzyki Kozactwa hulały się pod niebiosą, a lud Boży, biegał, słowami dziękczynienia i błogosławieństwa, sypał na nich. — Mogiły i ludzie za ściany im służyły — niebiosą za sklepienie — i pod taką bramą sławy szli daleko, daleko, aż ku rodzinnemu Dnieprowi. — Tak żaden Cezar nie powracał zwyciężkiego wojska Ojczyźnie. — A Carski gród zgłiszczami się przytłoczył, w bagno zasunął, i w niem zatopił. — Bałtyk, jak dawniej, orał się w gęste wały — biało-

grzywemi bałwanami skakał na bagno — a na bagnie ani śła u było Carskiego grodu.

W Rzymie widny Mogilnik pogaństwa, pomniki i zwaliska pozostały nasypem, i jak wierni skarbnicy, późnym wiekom przechowali pamięć jego ogromu i sławy. — Na Mogilniku stanął krzyż Chrystusa, i ztamtąd rozramienił panowanie na świat cały. — Chrześcijaństwo nie targnęło się na pomniki, poszanowało pogańską wielkość — jak Matka piastuje to co pozostało. — I kiedy lud wierny gromadzi się do Chrystusowej Stolicy — korzy czoła przed Namieśnikiem Chrystusa, do koła siebie widzi i podziwia Mogilnik pogaństwa.

Z Carskiego grodu nic nie pozostało, coby powiedziało późnemu pokoleniu: — Tu Mogilnik barbarzyńskiej niewoli. — Kozacy przed praszczurami nie chcieli sromem okrywać swoich praoców — woleli po swojemu ogniem, mieczem pohulać — jak żeby kiedyś mógł kto pokazać: — Tu był gród Carski, ztąd Car, jak niewolniczym ludem, władał Kozactwem.

II.

W Kozaczej Ławrze, na prażnik w dzwony dzwonili, i podzwonne tak rozgłosnie, tak na daleko hula, jak nigdy tego nie bywało ani w starym ani w nowym Rzymie. — O! nigdy tam takiego wesela nie było — bo w tym Rzymie mętny Tyber jak wilk płowy, jak wilk płowy wykrętami płynie, a nikt nie zgadnie jaka jego szparkość, gdzie bieg swój obróci. — I kraj Rzymu taki, i lud Rzymu taki. — Kozaczy Dniepr, jak rumak pohoży, sinemi wody się czwani; wre, pieni się, przez porohy skacze, w prawo, w lewo na stepy się rozpiera, i zawsze prędko, w podskokach pędzi ku morzu — gdzie pędzi, każdy to zgadnie — jak pędzi, każdy to widzi. — I Ukraina taka — i lud Kozaczy taki.

Prażnik — prażnik w Kozaczym grodzie — lud radośny — miasto radośne. — Starce praśny miód sycą, kłacze przed domy wynoszą — dziewice czarnobrewy w kraśne barwy się postroiły — w białe rączki kwiecica nabrały — i szły, to nad Dniepr, to za złotą bramę; miejska służba w kontuszach, w żupanach, w złotolitych pasach, na trzy działy się podzieliła — z chlebem i solą szła za gród na trzy szlaki. — Kapłani w świątecznych przyborach, cerkiewne cechy z rozpiętymi chorągiewami, wszystko to szło za gród. — Cerkwie otwarte, jaśniejące srebrem, złotem, jarzącymi pochodniami, czekały na przyjęcie gości.

Trzy wojska Kozacze przyciągnęły ku grodowi. — Jedno, nad Dniepr przyszło od Carskiego grodu, i przez Dniepr się przeprawiało — drugie ciągnęło od stepów, gdzieś z krainy,

kędy ludzie nie Bożą mową mówią, gdzie za dobrodziejstwo niewdzięcznością płacą — trzecie sunęło od lasów z nadmorskich krain, gdzie lennik przez długie lata Pana udawał. Przed każdym wojskiem jechał Wódz na wronym koniu, i przed każdym w powietrzu rozpięła się chorągiew malinowa, ze srebrzystym Archaniołem — i za każdym ciągnięto wozy ładowne zdobyczą, jak przysłało na ucziwość wojskową.

Brzmiała pieśń wojenna — gromko — szumnie — w grodzie prażnik — po Cerkwiach modły. — Patrjarcha błogosławi trzech Wodzów — a oni w głos wołają: — Nie nam — nie nam sława — tylko imieniowi Bożemu — nie nam — nie nam potęga — tylko Królowi Polskiemu. — O! tak nigdy nie bywało ani w starym, ani w nowym Rzymie.

III.

Czy barbarzyńcy naszli na Kozaczy gród — taka tam mozajka rozmaitego ludu. — O! nie barbarzyńcy to — nie żadna mozajka — to dzieci jednej matki, rozproszone po Bóg wie jakich krajach, zleciały się do rodzinnego grodu — to sokoły Dnieprowe — to orły stepu.

Aż z za Dunaju, z po nad Azowskiego morza, z Kaukaskich krain — z Uralskich stepów — z nad Donu — z nad Wołgi — z Sybiru — ze wszej Ukrainy — Kozactwo zbiegało się do nad Dnieprowego grodu. — I stary gród tak zapanoszał, jak kiedyś za pierwszych lat Chrześcijaństwa Słowiańszczyzny.

Ani kohorty Konsularne, ani pułki Cezarów nie były takie mnogie, takie hulaszce jak Kozacze pułki — jak okiem rzucić od złotej bramy, aż po za wał — tak wszędzie stoi jezdne i piesze rycerstwo — i gwiazd nie więcej na niebie, jak tam wojennego ludu.

I starce, i dzieci, i niewiasty, i dziewice — wszystko wyszło z domów i pokryło wzgórze starego grodu. — I tam gdzie przed latami księżyc bielił kości i kamienie — a wiatr z badyłami pogadywał pojękiem żalu — teraz widno, pełno żywych ludzi, i słyhać gwary ludzkiego głosu — gwary, od dawien dawna nieznanego wesela.

Wojsko za broń chwytą — gra muzyka, brzmia śpiewy — rzą konie — bronie dźwięczą — spż i dzwoni i huczy — tam od Białogrodki, ciągnie hufiec i długie szeregi złocistych wozów. Przed hucem jechał mąż na śnieżnym koniu — ze złocistą koroną na głowie, z berłem w ręku — za nim wiozą chorągiew. — Biały Orzeł kąpie się w kraśnej barwie — i srebrny jeździec bieży w pogoń po lazurowym polu — wojsko

Kozacze, lud Kozaczy — witali okrzykami serca Króla Polski i Braci Lachów.

Nie w wozie tryumfalnym, ale na koniu, jak przystało na Wodza wojennego Narodu, wjeżdżał Król Polski do grodu Kozaczego. — A w grodzie bratali się Lachy z Kozakami, jak dzieci jednej matki; Król ojciec na to patrzył i tem się radował: — prąznik — prąznik dla Kozaczego ludu — prąznik — prąznik dla Lachów.

Kiedy słońce poszło gdzieś za góry, w morzu się kąpać — na niebie nie było ani księżyca, ani gwiazd wiele — tylko jedna gwiazdka wzeszła — takiej dotąd nikt nie widział: — luba jak oko rusalki, i jasna jak wejrzenie Archanioła — z nieba na Polskę patrzy — a lud woła: jedna gwiazdka na niebie, jedna Polska na ziemi.

IV.

Cóż to się stało w Kozaczym grodzie — jak w nowym Rzymie, po świątyniach Bożych, po zamkach piętrzą się marmury, granity: — na ścianach barwią się arcydzieła sztuki — a posągów z kamienia, z marmuru, z bronzu taki huk — że się przeliczyć ledwie dadzą — starzy ludzie chodzą i przyglądają się i mówią: — To zdobycze wojenne naszych dzieci. —

Dzieci biegną za złotą bramę — na grobowiec Sahajdacznego — na pole bojowisk, i tam panoszą się sławą praojców — i co krok powtarzają: i my tacy będziemy.

Matka dziecinę lackiem i słowy usypia — dziewice lacką mową dawne dzieje pieją — młódź po lacku rozmawia i po lacku w szable brzęczy.

Na Peczerskiem, nad miastem, jedna chorągiew powiewa — a na niej w krasnej barwie kąpie się Orzeł Biały!

2

F

507
/45